

MARY CLARKE



DIANA

Nie spełnione sny

28 sierpnia 1996 roku wydział rodzinny sądu w Londynie orzekł rozwód brytyjskiego następcy tronu Karola z księżną Walii Dianą. Skończyło się bajkowe małżeństwo jednej z najświetniejszych par współczesnego świata.

A zapowiadało się tak pięknie... W słoneczny lipcowy dzień 1981 roku miliony dziewcząt na całym świecie z zazdrością patrzyło na piękną dziewczynę i jej „ślub stulecia”.

Chcąc zrozumieć kobietę, człowiek musi znać dziecko. Autorka tej książki, Mary Clarke, opiekunka, powiernica i przyjaciółka Diany, maluje jej portret na tle rodzinnego domu, szkoły, przyjaciół. Przedstawia jej dziecięce marzenia i troski, zainteresowania i upodobania – wszystko, co złożyło się na jej późniejszą osobowość.

Książka jest bardzo prawdziwa, miejscami zabawna, miejscami refleksyjna, a największym marzeniem jej bohaterki jest odwzajemniona miłość i rodzinne szczęście. Cóż, nie wszystkie sny się spełniają...

MARY CLARKE, krytykowana ostro przez matkę Diany, stała się najważniejszym świadkiem w toczącej się przed Wysokim Trybunałem sprawie o prawo do pieczy nad dziećmi. To dzięki jej zeznaniom ojciec dzieci, hrabia Spencer, zachował to prawo. Pani Clarke wspomina przeszłość z uczuciem.

4.30 zł



ISBN 83-85467-83-1

Mary Clarke

DIANA

Nie spełnione sny

Przekład Anna Bartkowicz



Warszawa 1998

Tytuł oryginału

DIANA. ONCE UPON A TIME

Copyright © by MARY CLARKE

Exclusively represented by

SINGER MEDIA CORPORATION & QUELLE PRESSE

Polish edition copyright © by MARBA CROWN LTD.

Polish translation copyright © by Anna Bartkowicz

Zdjęcie na okładce copyright © BULLS

Wkładka zdjęciowa copyright © by Press Association

Redakcja

Hanna Grajewska-Rychlik

Projekt graficzny okładki

Andrzej Kosiński

ISBN 83-85467-83-1

Wydanie II

Wydawnictwo MARBA CROWN LTD.

02-685 Warszawa, ul. O. Langego 2 m. 15

Skład „Polico-Art”, Warszawa

Printed in Poland

Druk: Zakłady Graficzne ATEXT S.A.

Gdańsk, ul. Trzy Lipy 3

tel. (0-58) 302-57-69, (0-58) 302-64-41

Moim rodzicom, którzy mnie ukształtowali

*Moim przyjaciołom, którzy mnie kochają
i których ja kocham*

Benowi, mojemu ukochanemu synowi

*i Davidowi, partnerowi i niezwykle
bliskiemu przyjacielowi, który ani na
chwilę we mnie nie zwątpił, wspierając
mnie duchowo.*

Dziękuję wam wszystkim.

Przedmowa

Mój pomarańczowy citroën diane przemykał się ruchliwą londyńską ulicą w stronę Ludgate Circus.

Był rok 1981, wspaniały lipcowy dzień. Na chodnikach zalanych porannym słońcem kłębiły się tłumy. Londyn jest miastem ruchliwym i o tej porze dnia mnóstwo ludzi pędzi tu zwykle do pracy, po zakupy albo na zwiedzanie miasta. Na ich twarzach przypominających szare maski maluje się determinacja i napięcie. Tego dnia jednak było inaczej. Twarze były uśmiechnięte, naokoło słyszało się głośny śmiech. Panowała powszechna radość, ludzie czuli, że dobrze jest żyć i brać udział w tym, co się właśnie dzieje. Nawet policjantka, która odkryła, że nie zapłaciłam podatku drogowego, z uśmiechem dała mi znak, żebym jechała dalej, upominając łagodnie:

- Kiedy minie dzisiejszy dzień, musi to pani uregulować.

No tak, „dzisiejszy dzień”, dzień, w którym pewna dziewczyna - moja podopieczna sprzed dziesięciu lat - wychodzi za mąż i w którym ja jadę na jej ślub. Ta dziewczyna, którą znałam przed laty i z którą pozostawałam w kontakcie, spotykając się z nią od czasu do czasu, nie miała nigdy wygórowanych życiowych ambicji. Podobnie jak wiele innych dziewcząt, marzyła o jednym - chciała skończyć szkołę, zakochać się, wyjść za mąż i mieć dzieci - kilkoro, co najmniej troje albo czworo - i żyć w licznej, szczęśliwej rodzinie. Teraz jej marzenia zaczynały się spełniać: zakochała się i miała wyjść za mąż. Jednak między nią a jej rówieśnicami była pewna istotna różnica. Otóż dziewczyna, o której mowa, Diana, zakochała się w Karolu, księciu Walii, i miała stać się księżniczką z bajki, za którą tęsknił naród, inspiracją dla tych, którzy mieli odwagę marzyć, i dowodem na to, że bajki czasami naprawdę się urzeczywistniają. Dzięki niej ludzie - przynajmniej tego jednego dnia - mogli uciec od ponurej monotonii codziennego życia. Tego dnia nawet zwolennicy republiki i opozycjoniści byli zadowoleni, bo mogli twierdzić, że jej ślub z księciem Karolem jest przedsięwzięciem propagandowym mającym odwrócić uwagę narodu od spotykających go „nieszczęść”.

Kiedy dostałam zaproszenie, wpadłam w zachwyt. Przedtem moja rodzina była bardzo ciekawa, czy je otrzymam. Ja sama poświęcałam temu zagadnieniu niewiele uwagi, bo wiedziałam, że - choć na ślubie mają być setki osób - Dianie pozwolono na wystosowanie tylko kilku osobistych zaproszeń. Rok wcześniej zostałam, co prawda, zaproszona na ślub jej starszej siostry Sary, kiedy ta wychodziła za mąż w Althorp, jednak mimo to nie wiedziałam, czego się spodziewać, aż do chwili gdy zaproszenie na ślub Diany, nadane listem poleconym, dotarło do moich rąk.

Wbrew temu, co o mnie pisano na podstawie błędnych informacji z drugiej ręki, nie byłam jedną z wielu nianiek. Zostałam zatrudniona, by pomagać ojcu Diany w opiece nad dziećmi po odejściu poprzednich wykwalifikowanych i doświadczonych niań. Miałam pozostać w rodzinie do chwili, gdy najmłodsze z dzieci, syn lorda Althorpa, Charles, pójdzie do szkoły przygotowawczej Maidwell. To do mnie, po moim odejściu, lord Althorp napisał: *Sprawila pani, że dzieci były szczęśliwsze niż kiedykolwiek przedtem.* Przyjęłam zaproszenie na ślub z ogromną przyjemnością.

Mieliśmy wtedy dwa samochody. Podatek drogowy za Citroëna Diane nie został opłacony, więc nie powinniśmy się byli wraz z moim ówczesnym mężem spodziewać, że przejeździemy nim przez okolicę, w której skoncentrowała się większość londyńskich sił policyjnych. Jednak spróbowaliśmy tego dokonać, gdyż nasz drugi samochód - jabłkowiezowy Citroën 2 CV, którego papiery były w porządku - nie pasował kolorem do mojego szmaragdowego jedwabnego kostiumu. Jabłkowiezowy i szmaragdowy po prostu się gryzły! Postanowiliśmy zatem zdać się na wielkoduszność policjantów. Mieliśmy do wyboru kilka miejsc, w których mogliśmy zjechać na wydzieloną trasę. Chciałam wykorzystać swoje pięć minut do maksimum, dlatego zjechaliśmy w miejscu najbardziej oddalonym od katedry Świętego Pawła. Mój mały samochodzik wzbudził entuzjazm tłumu, ludzie wiwatowali. Byli w tak radosnym nastroju, że robili to na cześć wszystkiego, co przejeżdżało - od śmieciarek poprzez policjantów na koniach aż do pojazdów rodziny królewskiej. Znalazłszy się w katedrze, zajęłam wyznaczone miejsce w głównej nawie, skąd miałam wspaniały widok i, usadowiwszy się wygodnie, zaczęłam obserwować przybywających gości oraz zainstalowane w świątyni ekrany telewizyjne, na których widać było lady Dianę Spencer opuszczającą Clarence

House i wyruszającą w drogę, u kresu której miała stać się Jej Królewską Wysokością księżną Walii, a potem, w przyszłości, jak wtedy sądziliśmy, królową Anglii. Czekając tak i słuchając co chwila ryku tłumów witających kolejne znane osobistości, miałam czas, aby przypomnieć sobie własną drogę - drogę, którą przebyłam od chwili gdy zaczęłam się starać o pracę w Park House w Sandringham w hrabstwie Norfolk, do momentu gdy przyleciałam z Hawajów, aby zająć miejsce w katedrze Świętego Pawła.

Wstęp

Diana przewracała się w wielkim łóżu. Była sama. Sama w łóżku, sama w domu, którym był pałac Kensington, sama i osamotniona w życiu - tak bardzo różniącym się od tego, o jakim marzyła będąc dziewczynką. Sen stanowił tylko chwilową ucieczkę od napięć, stresów i smutku, jakie przeżywała. Instynktownie szukała w nim wytchnienia, gdyż była teraz ciągle zmęczona. Jednak każdej nocy okazywało się, że wytchnienie jest krótkotrwałe, ponieważ głębokie uśpienie szybko przechodzi w lekki sen, charakterystyczny dla tych, których umysł jest udreńczony.

Czy ten sen powróci i dziś w nocy? - zastanawiała się przed pójściem spać, zmywając twarz płynem do demakijażu, tak jakby pod wpływem tej czynności jej serce mogło pozbyć się

niepokoję. Teraz natomiast kręciła się nerwowo w łóżku, słyszała muzykę - fanfary - i wiwatowanie tłumów. Zobaczyła, że ludzie machają rękami, że są uszczęśliwieni, tak samo jak ona w chwili gdy tuż przed ślubem - patrząc na swoje własne odbicie - widziała w lustrze księżniczkę z bajki. Ci ludzie darzyli ją serdecznymi uczuciami - to było pewne, tak samo jak to, że w tamten cudowny dzień słońce ogrzewało wszystkich swoimi ciepłymi promieniami. Diana jak przez mgłę przypomniła sobie tamtą młodą dziewczynę, tak bardzo zakochaną w swoim księciu. Przypomniła też sobie, z jaką dumą ojciec wkraczał wraz z nią w tę bajkę, którą stworzyła dla siebie i dla narodu.

Sen stał się mniej wyraźny. Diana zobaczyła swego syna, Wilhelma, który był teraz wysokim, przystojnym młodzieńcem, ubranym w koronacyjne szaty i z dumą noszącym koronę. Sama też poczuła dumę, a także ulgę na myśl, że spełniła obowiązek wobec kraju i że jej ambicje związane z synem tego dnia się spełniły. Inne radosne dni dawno przeminęły. Dawno przeminął czas, kiedy miała przy sobie czterech ukochanych mężczyzn swego życia. Teraz zostali jej tylko dwaj synowie. Jej ojciec nie żył. Umierał, nie mając jej u swego boku. A jej mąż, prawie od samego początku, zaledwie tolerował jej obecność, myśląc o innej kobiecie. Straciła miłość obu tych mężczyzn, chociaż co do męża, to, jeżeli wierzyć temu, co mówił publicznie, nigdy jej nie kochał. Wciąż jednak miała synów. Wilhelm, pod jej kierunkiem, podbił już serca narodu, podobnie jak ona ileś lat temu, kiedy oczarowała ludzi swoją młodością, nadzieją i wizją przyszłości.

Gdybyż ten sen na tym się kończył, ale nie, on trwał dalej. Diana widziała wyraźnie ogromnego, groźnego pająka o złych, migoczących oczach. Pełzał on w stronę katedry Westminsterkiej, gdzie właśnie koronowano jej syna. Był to ten sam pająk, który tak często w jej snach osnuwał swoją pajęczyną katedrę

Świętego Pawła, w której ona - szczęśliwa i pełna nadziei - brała właśnie ślub. W tamtych snach - po wyjściu z katedry - zostawała schwytna w sieć tej pajęczyny. Jej walka o uwolnienie się z sieci oszustwa i królewskiego establishmentu drogo ją kosztowała, jednak ona, dzięki swej sile wewnętrznej, odniosła zwycięstwo. Teraz, w tym dzisiejszym śnie, krzyczała coś, chcąc ostrzec syna, próbowała odgonić pajaka, nie dopuścić do tego, by omotał swą siecią kolejną ofiarę. Ale było za późno. Diana mogła się jedynie modlić o to, by syn odziedziczył przymioty jej charakteru. Mogła jedynie prosić Boga, żeby chłopiec okazał siłę woli, nie dał zrobić z siebie marionetki i panował w sposób godny króla.

Sen skończył się tak nagle, jak skończyło się jej szczęście, pozostawiając po sobie ciemność i pustkę. Diana obudziła się z bijącym sercem i wyciągnęła rękę. Czy zrobiła to w nadziei, że mąż jest tuż obok? Czy też poczuła ulgę na myśl, że nie ma go już w pobliżu? Była sama. No tak, ale czy samotność nie była jej udziałem niemal od początku? Tak naprawdę to nic się nie zmieniło. Zawsze była mężatką jedynie z nazwy. Karol nigdy jej nie kochał - wiedział o tym cały świat. Jej życie małżeńskie było grą pozorów, ale ta gra już się skończyła.

Świat wiedział już, że są w separacji. Ludzie poznali prawdę ukrytą dotychczas za fasadą fikcji. Sztuka, w której ona, Diana, odmówiła dalszej gry, skończyła się. Ponadto w swojej mowie, którą media nazwały mową „o czasie i przestrzeni”, powiedziała światu, że wycofuje się z życia publicznego, zostawiając scenę mężowi. Z czasem wróci do tego życia, ale nie wróci do swych królewskich obowiązków.

Podczas cichych, pustych godzin wczesnego poranka, w chwili gdy nie ma ucieczki od rzeczywistości i prawdy, Diana przyznawała się do wątpliwości, które istniały zawsze. Bo miała wątpliwości nawet w związku z własną suknią ślubną, gdyż ta wydawała jej się zbyt wspaniała. Wątpiła też, czy będzie zdolna

poradzić sobie z nowym życiem i czy w ogóle jest w stanie odnieść jakikolwiek sukces. (Ta ostatnia wątpliwość nękała ją od dzieciństwa.) A najgorsze było to, że wątpiła, czy jej księżę naprawdę ją kocha. Jej wątpliwości teraz zniknęły. Bo Diana poznała swoje możliwości, dojrzała, a także nabrała poczucia własnej godności i wiary we własne siły. Jej praca przynosiła sukcesy, w jej małżeństwie wszystko - poza synami - okazało się klęską. Tak, była sama, ale jaka to ulga być samą z wyboru, a nie dlatego, że mąż woli inną kobietę i nie czuje już potrzeby dzielenia łóża z własną żoną.

Codziennie rano, po przebudzeniu, Diana z wdzięcznością myślała o każdej imprezie dobroczynnej, w jakiej miała wziąć udział, o każdej wizycie, jaką miała złożyć potrzebującym. Zająęcia te nadawały sens jej dniom, które przy ich braku upływałyby jedynie na gimnastyce, pływaniu i w ogóle dbaniu o siebie. Przypominała sobie, jak w dzieciństwie każdego dnia po śniadaniu ojciec, patrząc na nią z miłością, pytał: „Co będziesz dzisiaj robiła?”. A ona zawsze wiedziała, co ma zamiar robić, bo czekały na nią zwierzęta, kryjówka w zaroślach, koleżanki oraz spacer i wycieczki z siostrami i z Mary. W szkole wszystko było zaplanowane. O tym, co się będzie robiło, decydowały dzwonki i rozkłady zajęć. Podczas wakacji i ferii panowała natomiast swoboda. W domu było mało zakazów, a mnóstwo radości i śmiechu. Diana lubiła spędzać jak najwięcej czasu na świeżym powietrzu. A teraz czuła się najszczęśliwsza z synami, w chwilach gdy się bawili, a ona cieszyła się ich radością.

Diana czyta swój rozkład zajęć na ten dzień tylko pobieżnie; jej myśli zajęte są nie tym, co ją czeka w najbliższym czasie, a tym, co będzie w przyszłości. Moi przyjaciele mieli rację, kiedy mnie namawiali, abym - wygłaszając swoją mowę - pozostawiła sobie możliwość powrotu do publicznego życia, abym nie

schodziła definitywnie ze sceny - myśli. Teraz, gdy ma trochę czasu dla siebie, widzi wyraźnie, w jakiej pułapce znalazłaby się, uczyniwszy taki radykalny krok. Nie mogłaby kontynuować pracy nadającej jej życiu sens i sprawiającej jej przyjemność. W chwili gdy przyszło jej wygłosić mowę, miała tak wszystkiego dosyć, była tak wyczerpana wydarzeniami poprzedniego roku, tak zestresowana i znękana, że nie dbała o to, czy jeszcze kiedyś w życiu wystąpi publicznie. Ci, którzy ją znali, widzieli wyraźnie, że musi się zdarzyć coś dramatycznego. Od czasu separacji Diana usiłowała nadal wykonywać swoje królewskie obowiązki, próbowała być taką matką dla synów, jaka była im potrzebna, ale - wśród tłumów i ogólnego uwielbienia - czuła się coraz bardziej samotna. Była wiecznie zajęta, nie miała czasu, żeby pomyśleć, żeby znaleźć drogę ucieczki z kręgu tej samotności, która mogła ją przecież z łatwością pochłonąć i zniszczyć. Znalazła się w pułapce, była jak mucha w pajęczej sieci - skomplikowanej sieci oszustwa i intryg panujących wśród królewskiego establishmentu.

Teraz, po kilku zaledwie tygodniach, zdała sobie sprawę z tego, że jest stanowczo zbyt młoda, by całkowicie zniknąć ze sceny. Uświadomiła sobie, że bardzo lubi czuć się potrzebna i uwielbiana przez ludzi. Lubiała także zainteresowanie prasy swoją osobą. Nie znosiła tylko tych okropnych paparazzich, ludzi pozbawionych wszelkich zasad. No i wyprowadziły ją z równowagi te okropne zdjęcia z siłowni. Co za pogwałcenie prywatności! Chociaż, z drugiej strony, „prywatność” była słowem, które zniknęło z jej słownika w chwili gdy wstąpiła do „Firmy”. Diana przyznała sama przed sobą, że wie, iż ci, którzy są w jakiś sposób z nią związani, mają pokusę, aby robić na tym pieniądze. Sama nigdy nie interesowała się pieniędzmi; nigdy nie doświadczała napięć związanych z nadejściem codziennej poczty zawierającej rachunki, których płatności nie można uniknąć. Jednak przy okazji swojej pracy poznała tyłu

ludzi, że zdała sobie sprawę, iż należy pod tym względem do niewielkiej garstki szczęśliwców.

Wszelkie jej wątpliwości związane z decyzją o wycofaniu się z życia publicznego znikły wraz z opublikowaniem tych „okropnych zdjęć”. Rozmawiała o nich z lordem Mischonem, swoim prawnikiem.

- Jak oni mogli opublikować zdjęcia zrobione podczas gimnastyki! Nie uszanowali mojego prawa do prywatności. Tego nie można puścić płazem!

Diana po zastanowieniu doszła do wniosku, że chcąc mieć pewność, iż taka rzecz nigdy się nie powtórzy, musi wnieść do sądu sprawę o naruszenie prywatności.

- Hmm, to będzie pierwszy taki przypadek w historii monarchii. Dotychczas nikt z rodziny królewskiej nigdy nie zeznawał w sądzie jako świadek.

Diana miała nadzieję, że sobie poradzi. Wiedziała, że sprytny obrońca będzie umiał chytrze żonglować faktami. Uświadomiła sobie teraz, przez co przeszli jej rodzice, którzy walczyli przed sądem o prawo do opieki nad dziećmi, o czym wtedy, przed laty, nic nie wiedziała. Jej i Karolowi to przynajmniej będzie oszczędzone, gdyż zgodzili się co do jednego - postanowili, że należy zadbać o to, by dzieci jak najmniej cierpiały w związku z ich rozstaniem. Jakie to dziwne, że teraz, w niektóre poranki, tak często wracała myślami do swego dzieciństwa: Być może to w dzieciństwie była po raz ostatni naprawdę, szczęśliwa.

Mimo to jednak, myślała dalej, wiedząc, że zaraz będzie musiała wstać i udać się na gimnastykę - tym razem do innego klubu, nie tego, w którym zrobiono jej zdjęcia - mimo to jednak uporządkuję swoje życie, zapewnię sobie codzienną pracę, nadam swojej egzystencji jakiś sens. Wygłaszając swoją mowę „o czasie i przestrzeni”, Diana wiedziała, że monarchia znajduje się pod wieloraką presją. Krytykowano związane z nią

ogromne wydatki, a ponadto od pewnego czasu rozważano ponownie zależności istniejące między Kościołem, koroną i państwem oraz porównywano rodzinę królewską z innymi, skromniej żyjącymi rodzinami królewskimi Europy, co nie zawsze wypadło na korzyść Windsorów. Diana musiała wystąpić ze swoją mową właśnie w tym momencie, bo gdyby jeszcze odrobinę dłużej żyła w takim napięciu, ucierpiałoby jej zdrowie, uniemożliwiając normalne funkcjonowanie. Kiedyś zbyt często płakała w miejscach publicznych. Nie chciała, żeby to się powtórzyło. Ludzie przyszli, żeby ją zobaczyć, mając z góry powzięte wyobrażenie na jej temat, a ona nie miała zamiaru ich rozczarować, tym bardziej że przeżyli już jedno rozczarowanie - kiedy bajkowa rzeczywistość jej małżeństwa zniknęła jak bańka mydlana.

Rozdział pierwszy

Pewnego dnia, w początkach lutego roku 1971, siedziałam w poczekalni u dentysty i leniwie przeglądałam czasopismo „Lady”. Wróciłam właśnie z Paryża, gdzie spędziłam trochę czasu z przyjaciółmi, i zdawałam sobie sprawę, że powinnam znaleźć pracę. Nie zachwycała mnie myśl o uwiązaniu się w jakimś biurze, co byłoby zgodne z moim wykształceniem w zakresie prawa handlowego i księgowości. Spojrzałam na ogłoszenia o pracy. Jedno z nich, wyróżnione, w ramce, rzuciło mi się w oczy: *...jazda konna, pływanie i umiejętność prowadzenia samochodu będą dużym atutem*. Uwielbiałam jazdę konną. Nie tak dawno, za z trudem zarobione pieniądze, kupiłam nawet własnego konia. I oto pojawiła się możliwość wykorzystania mojego ulubionego zajęcia w pracy, za którą by mi

placono. W pierwszej części ogłoszenia pisano, na czym ta praca miałaby polegać; poszukiwano mianowicie osoby, która byłaby opiekunką sześciolatniego chłopca i dziewięcioletniej dziewczynki oraz osobą towarzyszącą dla ich dwóch starszych sióstr. Nie miałam doświadczenia w opiece nad dziećmi, ale nie zraziło mnie to. Kończyłam niedługo dwadzieścia jeden lat, świat ścielił się u moich stóp i cechowała mnie niezłomna wiara w siebie. Zapamiętałam numer telefonu i postanowiłam dać sobie kilka dni do namysłu. Mieszkałam w pobliżu Great Yarmouth, na wschodnim wybrzeżu Anglii. Sandringham, gdzie znajdowało się moje ewentualne miejsce pracy, leżało w północno-wschodniej części hrabstwa Norfolk, a ja tak naprawdę nie odpowiadałam podanym w ogłoszeniu warunkom. To, że uczyłam kilkoro dzieci jazdy konnej, nie oznaczało, że mam *doświadczenie w opiece nad dziećmi lub stosowne kwalifikacje*. Pomyślałam, że zanim umówię się na rozmowę z pracodawcą i pofatyguję się do Sandringham (co wiązałoby się z półtoragodzinną podróżą samochodem), muszę się nad tym zastanowić.

Zepchnęłam całą sprawę w podświadomość, jednak nie byłam w stanie całkowicie o niej zapomnieć. Numer telefonu przypominał mi się co jakiś czas, ponaglając mnie jakby, że-bym zadzwoniła. Po kilku dniach poddałam się i, po konnej przejażdżce, poszłam do budki telefonicznej. Było prawdopodobne, że sprawa jest już nieaktualna albo że to praca nie dla mnie. Cała rzecz wydawała mi się patykiem na wodzie pisana. Dlatego nie wspomniałam o ogłoszeniu rodzicom, z którymi wtedy przez krótki czas mieszkałam, i postanowiłam zadzwonić z publicznego telefonu. Natychmiast otrzymałam połączenie. Okazało się, że mówię z lordem Althorpem. Miałam kilka monet. Za każdym razem, na dźwięk sygnalizujący, że trzeba wrzucić jedną z nich, lord Althorp pytał, co to takiego. Oczywiście było, że w swoim życiu odbył niewiele rozmów z ludźmi

dzwoniącymi z automatu. Powiedział, że zakończył w Londynie rozmowy z kandydatkami z ogłoszenia, ale nie podjął jeszcze decyzji. Dowiedziawszy się, że mieszkam w Norfolk, zaproponował, abym przyjechała na rozmowę do Park House. Ustaliliśmy termin: wtorek o szóstej trzydzieści wieczorem. Nie miałam wówczas własnego samochodu, ale pewien znajomy zgodził się mnie zawieźć. Tak więc w ciemne lutowe popołudnie ruszyliśmy w podróż do Sandringham. Była to podróż, która miała wyrzucić wpływ na resztę mojego życia. W jej wyniku podjęłam pracę, która, choć krótkotrwała, pociągnęła za sobą długotrwałe reperkusje.

W Hillington skręciliśmy z drogi prowadzącej z Fakenham do Kings Lynn w drogę podrzędną; po obu stronach ciągnęły się pola. Ich urodę w znacznym stopniu skrywały ciemności. Mimo to jednak zauważyłam, że krajobraz zmienił się, kiedy pola ustąpiły królewskim terenom parkowym. Gdy zwolniliśmy, poczuliśmy na sobie wzrok jakichś stworzeń. To danielle obserwowały samochód przejeżdżający przez ich terytorium, czujne i gotowe do ucieczki przy najbliższych oznakach niebezpieczeństwa. Króliki, zahipnotyzowane światłem reflektorów, zastępowały nam drogę, aby zaraz potem uciekać trasą godną kamikadze. Kiedy zbliżyliśmy się do wejścia na tereny przylegające do Sandringham House, rezydencji królowej, w światłach naszych reflektorów, po obu stronach drogi, pojawiły się szerokie pasy ziemi porośniętej trawą, na których w przyszłości miałam wraz z Sarą i Dianą zażywać ruchu na świeżym powietrzu. Dalej, za tymi zielonymi pasami, rosły wspaniałe drzewa: dęby, buki i jodły. Przypominały milczących wartowników, których mijaliśmy, zbliżając się do celu naszej podróży. Minęliśmy królewską bramę i pojechaliśmy dalej, tam gdzie drzewa cofały się, a pas trawy, zamieniał się w ogromną łąkę. Tutaj było wejście do kościoła, a tuż obok plebania. Po przeciwnej

stronie łąki, ukryta za drzewami, znajdowała się brama i droga prowadząca do rezydencji Park House w Sandringham.

Dom stał przy końcu zataczającego wielki łuk, żwirowanego podjazdu. Był zbudowany z cegły i obłożony bazaltem alkalicznym z Norfolk. Na pierwszy rzut oka - z powodu szorstkości faktury kamienia - wydawał się ponury, mimo że otaczające go trawniki, drzewa i krzewy miały działać na przybysza kojąco. Został wzniesiony w dziewiętnastym wieku przez Edwarda VII, który był w owym czasie księciem Walii. Księżę przeznaczył dom dla swego personelu i przyjaciół odwiedzających go w Sandringham - posiadłości ziemskiej zakupionej w roku 1861. Dom został przeznaczony na siedzibę rodzinną, a ponuremu wrażeniu, jakie robił z zewnątrz, zaprzeczały ciepło i przytulność jego wnętrza.

Dom, w którym mieszkali moi rodzice, zbudowano również w dziewiętnastym wieku. Miał on jednak tylko trzy sypialnie, podczas gdy Park House, mimo że mały jak na rezydencję tego typu, miał ich aż dziesięć. Moi rodzice szli z duchem czasu, modernizując nasz stary dom tak, jak pozwalały im finanse, a mimo to między nim a rezydencją, która ukazała się teraz moim oczom, istniała przepaść nie do przekroczenia. Widok tej rezydencji nie zaszokował mnie jednak, gdyż nie spodziewałam się, że lord będzie mieszkał w domu podobnym do domu moich rodziców. Między tymi domami istniało wszakże pewne podobieństwo - w obu panowała ciepła i przyjemna rodzinna atmosfera.

Podjazd rozgałęział się. Domyśliłam się, że po lewej stronie znajduje się dziedziniec i tylne wejście, poinstruowałam więc mojego przyjaciela, żeby skręcił w prawo, gdyż nie miałam zamiaru, pojawiając się tu po raz pierwszy, wchodzić wejściem dla dostawców. Nie uważałam się za służącą i nie chciałam, żeby mnie traktowano jak kogoś ze służby. Podjechalśmy do frontowego wejścia. Mój znajomy został w samochodzie, żeby

na mnie poczekać, a ja głośno zapukałam. Drzwi otworzył natychmiast mężczyzna w smokingu, którego wzięłam za kamerdynera. Szybko jednak zorientowałam się, że to sam lord Althorp, który w tym czasie nie miał kamerdynera, gdyż jeden odszedł, a drugi nie został jeszcze zatrudniony. Moją pierwszą myślą było: No dobrze, ale przecież na rozmowę ze mną nie musiał się tak uroczyście ubierać. Wkrótce jednak okazało się, że lord Althorp nie włożył stroju wieczorowego na moją cześć. Miał na sobie smoking, ponieważ po rozmowie ze mną wybierał się na kolację.

Przywitał mnie ciepło i podziękował, że przyjechałam, sprawiając, że natychmiast poczułam się swobodnie. Zrobił na mnie wrażenie człowieka dobrego, współczującego i troskliwego. To pierwsze wrażenie wkrótce się potwierdziło. Poszłam za nim do jadalni, mijając znajdujący się po prawej stronie gabinet - duży pokój, w którym stało piękne, stare biurko. Nie miałam wówczas pojęcia, że za parę miesięcy w tym właśnie pokoju lord Althorp poinformuje mnie, że będę musiała złożyć oświadczenie i postarać się udowodnić, że moja obecność w Sandringham jest potrzebna i że nadaję się do pracy, którą wykonuję. Tymczasem jednak chłonęłam po prostu wzrokiem wszystko, co mnie otaczało. Okna w głównych pokojach sięgały od podłogi do sufitu, a widok z nich, jak się później przekonałam, był przepiękny, wychodziły bowiem na boisko do krykieta i na tereny parkowe. Weszłam za lordem Althorpem do salonu. Na kominku, po którego obu stronach stały sofy, płonął ogień. Miejsce w rogu zajmował fortepian, który w tym ogromnym pokoju wydawał się mały. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające sceny z Norfolku i dawnej Anglii - wiele z nich pędzła sławnych artystów. Na fortepianie i na małych, niskich stolikach stojących tu i ówdzie, porozstawiane były fotografie dzieci lorda Althorpa w ślicznych srebrnych ramkach. Wystarczyło

zamienić z lordem parę słów, żeby wiedzieć, że jest z tych dzieci bardzo dumny.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy kominku. Kierowana próżnością, zdjęłam okulary (nie nosiłam jeszcze wtedy szkieł kontaktowych), nie widziałam więc zbyt wyraźnie rysów twarzy lorda Althorpa, ale byłam bardziej świadoma jego głosu i sposobu zachowania. Kiedy jeden ze zmysłów jest przytępiony, pozostałe stają się doskonalsze. Lord Althorp opowiedział mi o swojej rodzinie. Wyjaśnił też, jakie to okoliczności skłoniły go do poszukiwania opiekunki dla dzieci poprzez ogłoszenie w prasie. Okazało się, że od rozwodu z matką dzieci starał się znaleźć osobę, która pomoże mu zajmować się nimi i sprawi, że ich życie będzie ustabilizowane i szczęśliwe. Jego najstarsza córka Sarah miała piętnaście lat. Druga z kolei, Jane - trzynastcie, a syn, Charles, był chłopcem sześciolatkiem. Lord Althorp powiedział, że Charles jest tak mały, że nie odczuł zbyt negatywnego wpływu rozwodu. Dodał jednak, że to dziecko nieśmiałe i zamknięte w sobie. Za dwadzieścia miesięcy Charles miał pójść do szkoły przygotowawczej - przygotowującej do nauki w prywatnej szkole średniej. Dlatego lord Althorp, mimo że nie wymagał żadnych gwarancji w tej sprawie, pragnął, żeby osoba, która obejmie posadę, nie porzuciła jej do tego czasu, gdyż jej odejście spowodowałoby zerwanie kolejnych więzów. Mój gospodarz zapewnił mnie, że Charles jest dzieckiem, którym łatwo jest się opiekować, informując równocześnie, że chciałby, by pod wpływem opiekunki chłopiec wyszedł ze swojej skorupy i stał się trochę bardziej otwarty, gdyż to ułatwi mu przystosowanie się do życia w szkole z internatem.

Natomiast trzecia córka lorda, dziewięcioletnia Diana, przeciwnie, wcale nie była zamknięta w sobie. Lord Althorp powiedział mi, że aż do zeszłych wakacji uczęszczała ona do Silfield, szkoły dziennej znajdującej się w wiosce Gayton, położonej niedaleko Kings Lynn, czyli do tej samej szkoły, do

której chodzi teraz jej brat. Diana jednak okazała się dziewczynką zbyt żywą jak na tę szkołę. Jej ojcu powiedziano, że szkoła z internatem byłaby dla niej bardziej odpowiednia, radząc mu, żeby ją posłał do Riddlesworth, szkoły przygotowawczej dla dziewcząt znajdującej się w pobliżu Diss w hrabstwie Norfolk, oddalonej o godzinę jazdy samochodem od Park House. Z powodu jej wieku, rozwód rodziców dotknął Dianę bardziej niż pozostałe dzieci. Dowiedziałam się jednak, że mimo to zdążyła się już dobrze przystosować do życia w Riddlesworth, a ojciec chciał, żeby wakacje, spędzane przez nią częściowo z nim, a częściowo z matką, były czasem szczęścia i bez troski. Lord Althorp, nie robiąc z tego większej sprawy, powiedział mi też, że z powodu niesforności Diany odeszło kilka nian i okresowych pomocnic do dzieci, z których jedną Diana podobno zamknęła w łazience. Mój przyszły pracodawca był świadom, że nasza umowa opiewa na nie więcej niż dwa lata, jednak zwrócił moją uwagę na to, że lata te są kluczowe w rozwoju dziecka w wieku Diany. A ponadto dla Charlesa przejście ze spokojnej szkoły dziennej do kipiącej życiem szkoły przygotowawczej z internatem miało być ogromnym krokiem i - w razie braku uprzedniego przygotowania - mogło stać się doświadczeniem traumatycznym. Widać było wyraźnie, że lord Althorp zdaje sobie sprawę z wpływu, jaki nowo zatrudniona osoba będzie miała na dzieci. Prawdopodobnie z tego to właśnie powodu, przeprowadziwszy rozmowy w Londynie, nie spieszył się z decyzją. Postanowił bowiem, że w ciągu tych dwóch lat dzieci będą szczęśliwe i wychowywane w spokojnym, stabilnym domu.

Diana - powiedział - od chwili gdy rozpadło się nasze małżeństwo, jest zagubiona. Ma zmienne nastroje; raz jest ożywiona i szczęśliwa, a raz wyciszona i smutna. Słuchałam, co mówi, i stawało się dla mnie jasne, że uwielbia swoje dzieci.

Widziałam, że bardzo pragnie zrobić dla nich wszystko, co w jego mocy, mimo że nie ma całkowitej pewności, jak należy się z nimi obchodzić. W trakcie tej rozmowy, podczas której okazywał tak wiele troski, bardzo szybko poczułam, że nie mogę sprawić mu zawodu. Zapragnęłam pozbawić go niektórych zmartwień, miałam ochotę zapewnić, że wszystko będzie dobrze. W tamtym momencie nie mogłam oczywiście tego zrobić - nasza rozmowa wciąż przecież trwała, a on jeszcze nie zaproponował mi posady.

Dzieciństwo Diany było często opisywane jako staromodne, ale pełne radości i śmiechu. Zdarzało mi się też czytać, że Diana nieraz leżała przerażona w łóżku, słysząc płacz brata i nie mając odwagi pójść do niego. Być może to prawda, jednak za moich czasów nic takiego się nie zdarzyło. Za moich czasów Diana nie bała się niczego, robiła, co chciała. Ustanowiłam pewne zasady, których dzieci musiały przestrzegać, a one zwykle to robiły. Podstawowe normy zachowania zostały ustanowione już dawno przez ich rodziców i poprzednią nianię imieniem Sally. Sally poinformowała mnie, że w tym domu zwracano uwagę na to, by dzieci zachowywały się poprawnie i zgodnie z zasadami dobrego wychowania, bez względu na okoliczności i bez względu na to, z kim miały do czynienia. Ja oczywiście także pilnowałam przestrzegania tej reguły i muszę powiedzieć, że dzieci - wbrew największym pokusom - nie zawiodły pod tym względem siebie nawzajem ani dorosłych i nigdy nie zachowywały się niekulturalnie. Nauczono je, że mają być delikatne w obęjściu z ludźmi, zarówno publicznie jak i prywatnie. Publicznie odstępstwo od tej zasady nie zdarzało im się nigdy, a prywatnie zdarzało się rzadko. Do tej zasady ogólnej dodałam kilka własnych zasad praktycznych. Wymagałam od dzieci, żeby utrzymywały porządek we własnych pokojach. Dianie nigdy nie musiałam o tym przypominać. Przeciwnie,

zdarzało się, że - posprzątawszy u siebie - pomagała bratu w porządkowaniu jego pokoju. Powiedziałam dzieciom, że skoro posiłki odbywają się o określonych porach, powinny liczyć się z tymi, którzy je przygotowują, doceniać ich pracę i zjawiać się przy stole na czas bez ciągłego przypominania. W końcu pouczyłam je, że należy szanować cudzą prywatność i dlatego powinny pukać do drzwi mojej sypialni, zanim do niej wejdą. Ja ze swej strony traktowałam je z takim samym szacunkiem. Już podczas rozmowy z lordem Althorpem postanowiłam, że jeżeli dostanę tę pracę, pozostawię dzieciom swobodę wypowiedzenia się oraz dopilnuję, żeby mogły się śmiać, zwierzać i żeby wiedziały, że są traktowane z szacunkiem, żeby nabierały pewności siebie i miały zapewnione poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo pragnął dla nich ojciec.

Lord Althorp opowiedział mi także o dwóch starszych dziewczynkach, z których jedna miała na imię Jane, a druga Sarah i którym wolno było spędzać czas, z kim chciały. Obie uczęszczały do szkoły prywatnej West Heath w hrabstwie Kent. Jane, chyba najspokojniejsza z rodzeństwa, zgodnie ze swoim pragnieniem, spędzała większość czasu z matką, chociaż przez część wakacji i ferii przebywała z ojcem. Sarah, która miała w Sandringham swobodę, spędzała prawie cały czas z ojcem. Rudowłosa, zapalczywa, porywcza, swawolna Sarah była złym duchem Diany. Podjdziała siostrę, żeby robiła rzeczy zakazane. Diana ją uwielbiała. Sarah była zaledwie o pięć lat młodsza ode mnie. Doskonała pianistka i amazonka, miała w Park House wszystko, czego potrzebowała. Jej najbliższe przyjaciółki, Isabel i Ali-ba mieszkaly w pobliżu, a ona sama mogła spędzać dnie, jak chciała. Trzeba przyznać, że mimo całej tej swobody, którą cieszyła się będąc nastolatką, w późniejszych latach postępowała w sposób w wysokim stopniu konserwatywny i nie zawiodła zaufania, jakie w niej pokładano.

Opowiedziawszy mi o swojej rodzinie, lord Althorp zapytał mnie o środowisko, z którego pochodzę. Chciał także wiedzieć, jakie były moje dotychczasowe życiowe osiągnięcia oraz gdzie do tej pory pracowałam. Wyjaśniłam, że poza lekcjami jazdy konnej, których udzielałam kilkorgu dzieciom, nie miałam żadnych innych doświadczeń z dziećmi, dodając, że zdaję sobie sprawę, iż nie jestem żadnym autorytetem w zakresie opieki nad nimi. Przez chwilę rozmawialiśmy o różnych hipotetycznych sytuacjach i postawach możliwych do przyjęcia w związku z tymi sytuacjami. Opowiedziałam lordowi Althorpowi o swoim własnym życiu rodzinnym, informując go, że pochodzę z troskliwej, żyjącej rodziny, która zapewniła mi poczucie bezpieczeństwa i bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Wspomniałam też o swoich ideałach oraz o przeczytanych książkach mówiących o dzieciństwie, takich jak powieści Henry'ego Williamsona. Lord Althorp powiedział, że prawdopodobnie najtrudniejszym moim zadaniem będzie zawożenie dzieci do ich matki do Londynu i odbieranie ich od niej. Ja natomiast w swojej naiwności nie mogłam sobie wyobrazić trudności, jakich mogłaby nastęrczyć zwyczajna podróż koleją. Nie przewidziałam, że w takich momentach dzieci, przechodząc od jednego z rodziców do drugiego, mogły doznawać emocjonalnych wstrząsów. Zapewniłam lorda Althorpa, że jeżeli dostanę tę posadę, zrobię wszystko, żeby nie zerwać umowy przed ustalonym terminem, gdyż wiem, że dzieci potrzebują poczucia stabilności.

Tego lutowego dnia w domu był tylko Charles. Pod koniec naszej rozmowy lord Althorp posłał po chłopca, prosząc, żeby zszedł na dół i przedstawił mi się. Charles pojawił się z nianią o imieniu Sally. Cóż za przerażająca sytuacja: być przedstawionym komuś, kto ma się człowiekiem opiekować! Chłopiec stanął przede mną, podał mi grzecznie rękę, wymamrotał słowa powitania, a ja - równie poprawna jak on - zadałam mu parę

banalnych pytań, po czym wyraziłam przypuszczenie, że pewnie niezbyt przyjemnie jest odrywać się od zabawy i powiedziałam, że jeżeli chce, to może wrócić do siebie. Ta sugestia spotkała się oczywiście z jego aprobatą. Charles - patrząc z ukosa na ojca i starając się zorientować, co ten myśli o tak niezwyklej propozycji ze strony osoby dorosłej - z wdzięcznością przystał na nią i opuścił pokój wraz z Sally. Nie widziałam powodu, żeby go zmuszać do przebywania z nami dłużej, niż to było konieczne. Naokoło byli sami dorośli, a to moim zdaniem nie sprzyja zawarciu przez dziecko znajomości z kimkolwiek. Poza tym uważałam, że jeżeli dostanę tę pracę, to będę miała mnóstwo czasu na bliższe poznanie Charlesa, i to w o wiele bardziej naturalnych okolicznościach.

Rozmowa dobiegała końca. Lord Althorp, jakby chcąc się upewnić, że zdaję sobie sprawę, co mnie w tej pracy czeka, dodał parę uwag na temat niesforności Diany, nadmieniając jednak, że w głębi serca dziewczynka jest dzieckiem dobrym i skłonnym do pomocy, że potrzebuje po prostu łagodności i zrozumienia. Usiłował jak najdokładniej poinformować mnie o tym, czego mogę się spodziewać, starając się równocześnie, żebym się nie przeraziła. Ja tymczasem zdecydowałam się już: jeżeli lord Althorp zaproponuje mi tę posadę, przyjmę ją. Byłam pewna, że dziewięcioletnie dziecko nie może stwarzać jakichś nadzwyczajnych problemów. Rozmowa była zakończona. Zostałam poproszona o podanie numeru telefonu. Ponieważ nie powiedziałam o całej sprawie rodzicom i nie miałam zamiaru tego zrobić, dopóki się nie dowiem, że dostałam pracę, zaproponowałam, że zadzwonię do lorda Althorpa sama - pod koniec tygodnia, powiedzmy w piątek, a on do tego czasu podejmie decyzję. Cała rozmowa trwała jakąś godzinę. Pożegnaliśmy się, po czym ja wsiadłam do samochodu znajomego i odjechałam w noc, a lord Althorp udał się na przyjęcie.

Wspominałam rozmowę z nim z przyjemnością, ale do jej wyniku byłam nastawiona filozoficznie. Ta rozmowa - myślałam - była wycieczką w inny świat, jeżeli jednak nie dostanę tej pracy, to cóż, poszukam czegoś zgodnego z moim wykształceniem. W Park House miałam opiekować się dziećmi, a poza tym przyjmować na siebie pełną odpowiedzialność za nie podczas częstych nieobecności ojca oraz dbać o czystość i porządek w ich pokojach. Takie miały być moje obowiązki, a oprócz nich miałabym sporo wolnego czasu i bardzo długie wakacje, gdyż nie musiałabym pracować podczas pobytu dzieci u matki. Ponadto miałabym do dyspozycji samochód. Woziłabym nim dzieci - z domu do szkoły i ze szkoły do domu oraz wszędzie tam, gdzie trzeba by było je zawieźć, a poza tym służyłby mi on do mojego osobistego użytku. Wszystko to brzmiało atrakcyjnie, jednak nie była to praca dla każdego. Osoba, która by ją podjęła, musiałaby być psychicznie samowystarczalna, gdyż posiadłość, aczkolwiek piękna, leżała z dala od ludzi i jej mieszkańcom mogła dokuczać samotność. W ciągu dnia miałam być często wolna, jednak wieczorami miałam przeważnie pracować. Myśl o tym nie zniechęcała mnie, gdyż lubiłam samotność i na wsi czułam się lepiej niż w mieście. Byłam pewna, że mogąc jeździć konno i chodzić na spacer z psami, nie będę się nudziła. Teraz musiałam tylko poczekać i przekonać się, czy lord Althorp będzie potrzebował moich usług. Później dowiedziałam się, że odbył on rozmowy z sześćdziesięcioma czterema osobami. Gdybym wtedy o tym wiedziała, pomyślałabym, że nie mam właściwie szans. Cóż, ignorancja jest błogosławieństwem. Tymczasem potraktowałam ten wieczór w Park House jako jeszcze jedno doświadczenie i przestałam o nim myśleć.

W trzy dni później, w piątek, kiedy wróciłam z farmy, na której trzymałam swojego konia, wezwał mnie ojciec. Ojciec prowadził wiejski sklepik, który był równocześnie pocztą i

stoiskiem z gazetami, a poza tym działał we wsi jako doradca prawny-amator i taka Marje Proops* w spodniach. W oczach mieszkańców wioski był cudzoziemcem, gdyż przyjechał tu z Nowej Funlandii podczas wojny. Poznał matkę, która była jedynaczką, ożenił się z nią i kupił firmę od dziadka, bo nie chciał być nic nikomu dłużny. Wkrótce, dzięki otwartości swego charakteru, dzięki swojej życzliwości i zdolności do ciężkiej pracy, został zaakceptowany we wsi. Mimo że miałam już dwadzieścia jeden lat, na dźwięk słów ojca: - Mary, chcę z tobą pomówić - poczułam, że serce bije mi jak młotem i zaczęłam się zastanawiać, co przeskrobałam. Wiedziałam, że moje przezwinięcie nie może być poważne, jednak moja definicja tego, co jest poważne, nie zawsze zgadzała się z definicją moich rodziców. W tamtych czasach mój brat bliźniak i ja nie byliśmy wyjątkami wśród rówieśników. Szanowaliśmy bardzo rodziców; tak zostaliśmy wychowani. W głębi duszy mogliśmy się trochę buntować, ale był to bunt milczący.

* Marje Proops udziela porad w sprawach sercowych na łamach magazynów kobiecych (przyp. tłum.).

Poszłam więc za ojcem do sklepu, gorączkowo rozważając wszystkie możliwości i nie mogąc się skupić na żadnej z nich. Nie przyszło mi do głowy, że może tu chodzić o trzymaną w tajemnicy rozmowę z lordem Althorpem. W końcu powiedziałam przecież lordowi, że to ja zadzwonię do niego. Ojciec mówił dalej:

- Dziś rano, kiedy cię nie było w domu, miałem dziwny telefon. Chodziło o posadę w Sandringham.

Okazało się, że ojciec myślał, że staram się o posadę w Hotelu Sandringham w Great Yarmouth. Oświeciłam go, o co chodzi, a on, oszołomiony takimi rewelacjami, wyjaśnił, że mój przyszły pracodawca ma za godzinę przyjechać do nas do domu, gdyż odwiedza przyjaciół w pobliskim Wroxham i najwyraźniej doszedł do wniosku, że przed zaferowaniem mi pracy

dobrze będzie przekonać się, skąd pochodzę. Mój ojciec ze swej strony zdążył już porozumieć się z miejscową biblioteką i poprosić jej pracowników, żeby wyszukali nazwisko lorda Althorpa w *Who's Who*. Zrobił to z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby potwierdzić autentyczność osoby, a po drugie, żeby dzięki uzyskanej informacji wiedzieć, czego się spodziewać od człowieka, który wkrótce miał pojawić się w naszym domu.

Matka w każdy piątek rano jeździła do Yarmouth. Tego dnia wyjechała, nie mając pojęcia o tym, co się ma zdarzyć, gdyż ojciec jej o niczym nie powiedział. Rodzice zwykle działali wspólnie, jednak tym razem ojciec postąpił w ten sposób, kierując się rozsądkiem, bo zdawał sobie sprawę, że wieść o tym, iż jakiś lord ma zawitać w jej progi, spowoduje, że matka wpadnie w szal sprzątania. Wiedział, że odkurzacz i ścierka pójdą w ruch na zawrotnych obrotach, a cały ten trud będzie próżny, gdyż w naszym domu panowały zawsze idealna czystość i porządek. Trzeba dodać, że matka, dowiedziawszy się później o całej historii, nie była zachwycona tym, iż pozbawiono ją możliwości podjęcia decyzji w sprawie sprzątania. Tak więc matka pojechała do Yarmouth.

W chwilę po mojej rozmowie z ojcem przed domem pojawił się jaguar. Ponieważ żaden z klientów ojca nie jeździł takim samochodem, domyśliliśmy się natychmiast, że przyjechał mój prawdopodobny przyszły pracodawca. Obaj z ojcem zniknęli w saloniku (który był najlepszym pokojem w domu, w przeciwieństwie do naszej bawialni służącej tylko rodzinie), a ja poszłam pilnować sklepu. Byłam zawsze niezwykle dumna z ojca i teraz nie wątpiłam, że poradzi sobie z tą sytuacją bardzo dobrze. W tym stadium sprawy miałam prawie niezmaconą pewność, że dostanę posadę u lorda Althorpa i że ta jego wizyta to tylko formalność. Dlatego w pół godziny później, kiedy ojciec

wyszedł i potwierdził moje przypuszczenia, nie zdziwiłam się. No i byłam bardzo zadowolona.

Poszłam do saloniku, gdzie lord Althorp oficjalnie zaproponował mi posadę opiekunki swoich dzieci. Miałam nią być aż do chwili, gdy Charles pójdzie do szkoły z internatem. Przyjęłam skwapliwie tę propozycję, zauważając, że w ogłoszeniu znajdowało się wymaganie, by opiekunka miała co najmniej dwadzieścia jeden lat i informując mojego rozmówcę, że za dwa tygodnie osiągnę ten wiek oraz oświadczając mu, że jestem gotowa podjąć pracę zaraz po urodzinach, pod warunkiem że będę mogła przywieźć ze sobą konia. Lord Althorp był zaskoczony, gdyż przedtem nie było mowy o czymś takim, ale nie zniechęciło go to. Poprzednio nie wspomniałam o koniu, ponieważ uważałam, że nie mogę stawiać warunków, nie mając pewności, że jest zapotrzebowanie na moje usługi. Lord Althorp zgodził się na konia, po czym potwierdził datę rozpoczęcia pracy. Podaliśmy sobie ręce, żeby przypieczętować umowę, podziękowaliśmy sobie i pożegnaliśmy się - do następnego spotkania w ostatnim tygodniu lutego roku 1971.

Rozdział drugi

Po urodzinach zaczęłam się przygotowywać do przeprowadzki do Sandringham. Pewien znajomy zaproponował, że zawiezie mnie tam furgonem do przewozu koni. Załadowaliśmy Vulcana, mojego mierzącego 15.3 dłoni* stalowoszarego wałacha, i ruszyliśmy w drogę. Mój bagaż podróżował w przedziale dla stajennego. Tym razem odbywaliśmy podróż w dzień, dzięki czemu mogłam dostrzec piękno okolic, w których miałam zamieszkać - widoczne wyraźnie, mimo że nie nadeszła jeszcze wiosna. Zbliżwszy się do rezydencji, skręciliśmy w lewo, minęliśmy dziedziniec z mieszkaniami dla służby i podjechaliliśmy do stajni ukrytych z tyłu za drzewami.

* Dłoń (jednostka miary) = 4 cale (przyp. tłum.).

Przywitał mnie tam Smith, ogrodnik i majster do wszystkiego, który wraz z żoną od lat pracował w Park House. Smith był mężczyzną po sześćdziesiątce, aktywnym i żwawym, o cerze ogorzałej od słońca i wiatrów Norfolk, które potrafią być bardzo zimne. Zajmował się ogrodem, wykonywał wszystkie drobne naprawy, a ponadto opiekował się psami - czarną suką aportującą należącą do lorda Althorpa, labradorką o imieniu Bray oraz Jill, bardzo sympatyczną springer spanielką, która też miała być suką aportującą, ale nie dała się do tej roli wdroyć. Smith widział w swoim życiu różne osoby, które przychodziły do pracy w Park House i odchodziły z niej, a ja, wprowadzając konia do stajni, zdawałam sobie doskonale sprawę, że mierzy mnie taksującym spojrzeniem. W owym czasie nie miałam pojęcia, jakie intrygi mogą się zdarzać wśród personelu zatrudnionego w takim domu. Teraz wiem, że pomiędzy dawnymi domownikami a młodym personelem istnieją liczne ukryte antagonizmy. Przekonałam się, że dawni domownicy, aczkolwiek z pozoru mili i przyjaźnie nastawieni, mają skłonność do doszukiwania się błędów w postępowaniu młodych. Podczas mojego pobytu w Park House przyzwyczaiałam się do tego i nauczyłam się to ignorować.

Niania zajmuje pozycję gdzieś „w połowie drogi”. Nie jest ani członkinią personelu pracującego na dole ani też nie należy do rodziny. Musiałam sobie znaleźć własną „niszę” w tym domu. Lord Althorp, przedstawiając mnie komuś, zawsze mówił:

- To jest Mary, która pomaga mi przy dzieciach.

Byłam mu wdzięczna za to, że nie muszę znosić określenia „niania”, z którym trudno by mi się było pogodzić.

Zostało ustalone, że Sally, niania, której miejsce miałam zajmując, zostanie ze mną przez kilka dni i pomoże mi zadomowić się i przywyknąć do zwyczajów panujących w domu. Różniłyśmy

się bardzo. Sally - choć niewiele starsza ode mnie - zdecydowanie reprezentowała starą szkołę. Jednak doszliśmy do porozumienia i moja poprzedniczka bardzo mi pomogła w zorientowaniu się we wszystkim. Wyładowałam swój bagaż, pomachałam na pożegnanie znajomemu, który mnie przywiózł, i weszłam wraz z Sally do domu wejściem od dziedzińca. Vulcan szybko zadomowił się w stajni, jednak jego pobyt w Park House miał się okazać krótki. Mój rumak nie chciał bowiem pogodzić się z innymi końmi, w związku z czym zmuszona byłam sprzedać go wkrótce pewnym dobrym ludziom mieszkającym w niezbyt oddalonym Downham Market.

Za drzwiami prowadzącymi do domu z dziedzińca zobaczyłam ciemny korytarz. Po jego lewej stronie znajdowała się piękna, duża, wiejska kuchnia z wielkim piecem. Na środku kuchni stał dokładnie wyszorowany drewniany stół. Kuchnia była przytulnym pomieszczeniem, w którym Diana i ja spędzałyśmy czas na gotowaniu i pieczeniu chleba w dni, kiedy kucharka miała wychodne, gdyż jedynie w takie dni mogłyśmy tu robić, co nam się podobało. Sarah ciągle się tu kręciła - wiecznie przygotowywała sobie coś do jedzenia, wchodząc wszyskim w drogę. Jedną z kucharek - zatrudnioną niedługo po mnie - pracowała w Park House bardzo krótko, gdyż okazało się, że jest osobą w najwyższym stopniu nieodpowiednią. Nie mogła bowiem przyzwyczać się do tego, że dzieci miały w tym domu całkowitą swobodę i wchodziły do wszystkich pomieszczeń, a w tym i do kuchni, którą ona uważała za swoje własne królestwo. Jedynym wyjątkiem pod tym względem był pokój myśliwski, który znajdował się po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko kuchni. Był zawsze zamknięty na klucz, ja jednak pamiętam, że czasami udawało mi się tam wejść i zobaczyć broń oraz jej ofiary - bażanty wiszące na ścianach. Lord Althorp był zapalonym myśliwym i często zapraszano go na królewskie polowania na ptactwo, a mały Charles miał własną

niewielką strzelbę zrobioną specjalnie dla niego, mimo że w wieku lat sześciu za bardzo kochał zwierzęta, aby myśleć o ich zabijaniu. Był w tym podobny do Diany, która od dzieciństwa uwielbiała zwierzęta i nie lubiła polowań.

Obok kuchni znajdowało się pomieszczenie, w którym trzymano całą czystą bieliznę. Tutaj królowała niepodzielnie pani Smith. Pani Smith była gospodynią, ale zajmowała się też gotowaniem - kiedy kucharka miała wychodne, a ponadto grała rolę pośredniczki - osoby, która przekazywała plotki z „drugiej części” domu znajdującej się za podwójnymi, wahadłowymi drzwiami. Pani Smith była zażywną kobietą o obfitym biuście i gęstych, falujących włosach - istnym ucieleśnieniem wyobrażenia o tym, jak powinna wyglądać matrona i gospodyni.

Tylne schody prowadzące do tego, co miało stać się moim mieszkaniem, znajdowały się naprzeciwko pomieszczenia z czystą bielizną, obok pomieszczenia gospodarczego, w którym stała pralka i w którym rozciągnięte były sznury. Na tych sznurach rozwieszano pranie, gdy na zewnątrz padało. Schody były wąskie i kręte i wchodziło się po nich na górny korytarz. Sarah, za podszeptem Diany, zmusiła raz małego kucyka szetlandzkiego, żeby wszedł po nich na piętro. Diana chciała zapleść kucykowi grzywę i oczyścić go, a ponieważ na dworze było zimno, doszła do wniosku, że będzie mu przyjemniej w ciepłym pokoju dziecinnym niż na padoku. Dziewczynki, wiedząc, że pokojówka sprząta właśnie salon, wprowadziły kucyka ukradkiem przez tylne drzwi, po czym skłoniły go, żeby wszedł na górę. Chcąc wymusić na nim posłuszeństwo, Sarah popychała go lekko z tyłu, a Diana wabiła z przodu przysłowiową marchewką. Kiedy dobiegły mnie chichoty i słowa „stój spokojnie!”, wypowiedziane rozkazującym tonem, pomyślałam, że dzieje się coś niestosownego. Otworzyłam drzwi i moim oczom

przedstawił się niezwykle widok: na środku pokoju, zamiast znajdujących się tam zwykle żołnierzyków Charlesa, stał kucyk-kasztanek. Widząc komiczny wyraz jego pyska, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Widziałam wyraźnie, że kucyk tak naprawdę nie ma nic przeciwko panującemu na zewnątrz chładowi.

- Co wy wyrabiacie! - krzyknęłam i kazałam dziewczynkom natychmiast wyprowadzić go na dwór.

Na szczęście kucyk nie „ochrzcił” podłogi. Jestem też pewna, że czuł do mnie dozgonną wdzięczność za to, że kazałam go wyprowadzić na bardziej zielone pastwiska. Zszedł na dół sam - nie trzeba go było do tego zachęcać marchewką!

W późniejszych latach Diana, już jako nastolatka, spędzała część wakacji u matki w Szkocji i pomagała matce przygotowywać kucyki szetlandzkie na wystawę. Być może wprowadzając kasztanka do pokoju dziecinnego, chciała zdobyć praktykę. Opowiedziałam o tym incydencie pani Smith, a ona poinformowała mnie, że pewnego razu, przed moim pojawieniem się w Park House, gniady kucyk imieniem Romany został zachęcany do wejścia po głównych schodach. Sarah, zapytana o to wydarzenie, powiedziała, że Diana i ona zaczerpnęły pomysł z wierszyka *The Grand Old Duke of York*. Chciały sprawdzić, czy kucyki potrafią, tak jak żołnierze piechoty, chodzić pod górę. Incydenty takie nie powtórzyły się więcej. Dziewczynki dostały ostrą reprimendę, a dochodząca pokojówka, pani Pertwee, zagroziła, że odejdzie z pracy, jeżeli coś takiego zdarzy się jeszcze raz.

Na górze, podobnie jak na dole, znajdowały się drzwi wahałdowe oddzielające naszą część domu od części głównej. Nasza część domu była jasna i przestronna. Znajdowała się tu moja sypialnia. Była duża i umeblowana w sposób niewyszukany, ale wygodnie. Na łóżku leżał śliczny materac z pierza. Tuż obok znajdowała się sypialnia Diany - spory pokój, w

którym pełno było wypchanych zwierzątek, gier i książek. Na ścianach wisiały obrazki przedstawiające zwierzęta, a na stoliku nocnym i jednej z półek stały fotografie rodzinne w ramach. Wśród tych fotografii znajdowało się zdjęcie Diany z ukochaną świnką morską. Ubrania Diany wisiały w szafie. Diana wolała chodzić w spodniach i starych swetrach niż w sukienkach czy spódnicach. W wieku dziewięciu lat nie interesowała się wcale modą, a jej garderoba składała się raczej z rzeczy niemodnych i praktycznych niż z modnych ciuchów, z jakich mogłaby być dumna młoda dziewczyna. Większość ubrań kupowała jej matka, jednak później i ja jeździłam z Dianą po zakupy do Kings Lynn. Reszta jej garderoby leżała porządnie poskładana w szufladach. Żadne z dzieci nie było przesadnie strojone i żadne nie miało nadmiernie wielu ubrań. Te ubrania, które już się dla nich nie nadawały, były odkładane, a później oddawane i sprzedawane na wentach dobroczynnych.

Dzieci miały obowiązek same - chociaż pod moją kontrolą - dbać o porządek w swoich pokojach. Dianie żadna kontrola nie była potrzebna, gdyż była ona zawsze bardzo czysta i porządna. Była małą praktyczną osóbką, zawsze gotową pomagać mi w pracach domowych. Do moich obowiązków należało sprzątanie pokoi w skrzydle dziecięcym. Przez całe życie lubiłam porządek, ale sprzątanie nigdy nie szło mi za dobrze. Pewnego razu zdarzyło się, że lord Althorp ukradkiem przejechał palcem po ramce obrazka w pokoju dziecinnym i przekonał się, że jest zakurzona. Nigdy tego nie skomentował, gdyż wiedział, że dzieciom jest ze mną dobrze, że są szczęśliwe, a to przecież było jego głównym celem. Powiedziałam Dianie, że jej ojciec mnie przyłapał, a ona, nie chcąc, żeby to się powtórzyło, od tej pory sama sprzątała pokój dzieciny.

Takie praktyczne podejście cechowała Dianę nawet po jej zamążpójściu. W styczniu roku 1982 napisała do mnie:

Denerwuje mnie, że nie mogę sama prac i prasować. Wiem, że moja siostra Sarah byłaby tym zachwycona! Jane, podobnie jak Diana, miała zamiłowanie do czystości i porządku, natomiast Sarah była dla pani Smith ogromnym utrapieniem. Jej pokój - już w kilka minut po jej wejściu - wyglądał jak po wybuchu bomby. Sarah uważała, że nie ma sensu sprzątać, bo i tak zaraz zrobi się bałagan. Co do Charlesa, to pomagałam mu porządkować jego pokój, jednak chłopiec był tak przyzwyczajony do odkładania zabawek na miejsce, że miałam z tym niewiele kłopotu.

Pokój Charlesa - mniejszy niż pokój Diany - znajdował się po drugiej stronie korytarza. Było w nim pełno książek, zabawek i żołnierzyków. Łazienka, z której korzystaliśmy wszyscy troje - Charles, Diana i ja - znajdowała się tuż obok pokoju Charlesa. Po przeciwnej stronie był pokój dziecienny - duży, z oknami wychodzącymi na faliste tereny parkowe. W jednym jego końcu stał stół, przy którym jadaliśmy śniadania i podwieczorki, a w drugim znajdował się kominek, na którym w zimie rozpalaliśmy ogień; wtedy pokój stawał się przytulny. W całym domu było centralne ogrzewanie - ogromne, grube kaloryfery grzały dobrze, jednak ogień wprowadzał tu życie.

Mam takie ulubione wspomnienie z dzieciństwa: jest ciemny, zimowy wieczór, przyjeżdżam do domu po długim dniu spędzonym w szkole, zmarznięta po podróży autobusem, otwieram drzwi i wita mnie ogień płonący jasno w kuchni. Podczas pobytu w Park House, zimą, chętnie stwarzałam podobną atmosferę: zaciągałam zasłony, przysuwałam kanapę i fotele do kominka, po czym sadowiłam się tam z dziećmi. Czytaliśmy sobie i graliśmy w różne gry. Często zdarzało się, że dwie starsze dziewczynki przyłączały się do nas, podobnie jak ojciec, któremu przyjemniej było tutaj, w tym nie za wielkim pokoju, niż w salonie na dole. W pokoju dzieciennym było dość

miejsca na różne gry, w które dzieci grały wtedy, kiedy z powodu brzydkiej pogody nie mogły wyjść na powietrze.

Zdarzało się nawet, że Charlesa trzeba było wyganiać na dwór, bo tak pochłaniały go zabawy żołnierzkami. Diana natomiast uwielbiała spędzać czas na świeżym powietrzu, bez względu na porę roku czy pogodę, a ja nieraz - po zmroku - musiałam jej szukać i przekonywać ją, że powinna już wrócić do domu. Jak większość dzieci, Diana zawsze chciała pobyc na dworze „jeszcze chwileczkę”.

- Już znaczy już, Diano. Nie dodawaj mi roboty właśnie teraz, kiedy przygotowuję podwieczorek - mówiłam, a ona była zawsze posłuszna.

Od samego początku nie mogłam się nadziwić, że dzieci są takie pogodne i samodzielne i że zawsze same znajdują sobie jakieś interesujące zajęcia.

Oprowadzając mnie po domu, Sally przedstawiła mi panującą w nim zwyczaję, mówiąc, że sama zadecyduje, czy zmienię niektóre z nich, czy też może coś do nich dodam. Rzeczą rozsądną było oczywiście zachować te podstawowe, tak by dzieci miały poczucie ciągłości. A poza tym pomyślałam sobie, że nie powinnam nic zmieniać, dopóki nie poznam bliżej wszystkich dzieci i nie przekonam się, co by wołały i co byłoby dla nich najważniejsze.

Tego pierwszego dnia miałam szczęście, gdyż dzięki temu, że Charles był w szkole dziennej, mogłam spędzić kilka godzin sam na sam z Sally, wypytać ją o dzieci i dom, a także zapoznać się z całym otoczeniem. Najbardziej utkwiły mi w pamięci słowa Sally, że dwoje młodszych dzieci rzadko przechodzi przez wahadłowe drzwi i wchodzi do „drugiej części” domu. Oboje tak zostali wychowani i nie spodziewają się niczego innego. To rodzice odwiedzali ich zawsze w ich skrzydle domu. W głębi duszy pomyślałam, że mógł to być dobry zwyczaj, dopóki dzieci

były małe. Zapobiegało to bowiem zniszczeniom, jakim mogłyby ulec skarby ozdabiające pokoje w „drugiej części” domu, i związanym z nimi napięciami. Jednak równocześnie postanowiłam, że postaram się jak najszybciej dokonać tu pewnej zasadniczej zmiany, a mianowicie spróbuję doprowadzić do większego zintegrowania rodziny. Taka zmiana była naprawdę potrzebna, zwłaszcza że Jane i Sarah miały pokoje po drugiej stronie drzwi wahadłowych. Tego pierwszego dnia nie miałam pojęcia, na jaki natrafię opór - nie ze strony lorda Althorpa, ale ze strony niektórych członków domowego personelu będących zdania, że się wywyższam i usiłuję wznieść się ponad należne mi miejsce w hierarchii. Zdawałam sobie oczywiście sprawę z tego, że w społeczeństwie istnieją różniące się między sobą klasy, uważałam jednak, że żadna z nich nie jest lepsza od pozostałych. Oznaczało to tylko tyle, że w przyszłości musiałam się sporo nauczyć o podziałach społecznych. Po drugiej stronie wahadłowych drzwi - zarówno na dole jak i na górze - znajdował się inny świat. Na dole kamienne podłogi ustępowały tam dywanowi. Pierwsze drzwi na prawo były drzwiami pokoju kredensowego, w którym pod ścianami stały kredensy i półki. Trzymano tutaj wózek, na którym kamerdyner przewoził gorące dania, trzymano też srebro, porcelanę i szkło używane w jadalni. Wstęp do pokoju kredensowego miał w zasadzie tylko kamerdyner. Inne osoby wchodziły tu bardzo rzadko. Po przeciwnej stronie były drzwi jadalni. Pokój kredensowy, podobnie jak myśliwski, miał małe okna, gdyż znajdował się w chłodnej północnej części domu. Pokój dziecienny znajdował się nad pomieszczeniem, w którym przechowywano czystą bieliznę, a widok z niego był taki sam jak z jadalni. Okna w jadalni, podobnie jak w salonie, sięgały od podłogi do sufitu. Jadalnia utrzymana była w bladej tonacji morskiej zieleni, a obrazy wiszące na jej ścianach, z których każdy miał oddzielne

oświetlenie, przedstawiały brzeg morza. Był to cichy pokój, w którym człowiek czuł się odprężony i spokojny.

Niestety, nie istniała gwarancja, że zawsze będzie tu panował spokój. Podczas mojego pobytu w Park House jadalnia kilkakrotnie stała się widownią scen, które jedynie z wielkim trudem można by opisać jako spokojne. Pierwszy posiłek, jaki dzieci jadły z ówczesną lady Dartmouth, która później została ich macochą, odbył się właśnie w tej jadalni. Uczestnicząc w nim, miałam wrażenie, że czułabym się bardziej odprężona, gdybym siedziała na środku pola minowego. Jednak pierwszego dnia nie byłam w stanie wyobrazić sobie takiej sytuacji. Od chwili gdy Sally pokazała mi jadalnię, byłam tym pokojem zachwycona. Piękne obrazy harmonizowały tu z urodą krajobrazu za oknami. Widok na trawniki, boisko do krykieta i tereny parkowe z cudownymi starymi angielskimi drzewami miał w sobie coś ponadczasowego. Wydaje mi się, że patrząc po raz pierwszy na ten pokój, uświadomiłam sobie, iż życie w tym domu będzie się całkowicie różniło od wszystkiego, co znałam dotychczas, że jest to życie, które, z powodu „postępu”, wkrótce będzie udziałem jedynie niewielu. Dzieci i ja mieliśmy w tym pokoju spędzać cudowne, szczęśliwe chwile - razem z ojcem, a także pod jego nieobecność. Miał się tu rozlegać śmiech, miało być wesoło, często kosztem kamerdynera o surowej twarzy nazwiskiem Betts, który wraz z żoną rządzącą w kuchni pojawił się w Park House wkrótce po mnie.

Idąc dalej korytarzem, minawszy jadalnię, wchodziło się do głównego holu. To właśnie tutaj znalazłam się, kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg tego domu. Po mojej prawej stronie były główne drzwi, a naprzeciwko inne, prowadzące do ogrodu. Tych drugich używano wtedy, kiedy w domu byli goście - żeby oszczędzić chodzenia naokoło tym z nich, którzy

chcieli wyjść do ogrodu. Z holu prowadziły na górę duże, kręte schody, idealne dla kogoś, kto chciałby mieć dramatyczne wejście. Mnie co prawda nigdy nie nadarzyła się okazja do takiego wejścia, ale robiłam tu coś, o czym zawsze marzyłam - zjeżdżałam - ze sporą szybkością - po poręczach schodów! Podobnie zresztą jak Sarah i Diana. Diana i Charles, którzy wieczorami spędzali czas z ojcem w salonie, wracali tędy do siebie. Do dziś pamiętam ich drobne postacie wspinające się po ogromnych schodach.

Z holu wchodziło się do salonu, obok którego znajdował się gabinet. Znalazłszy się w salonie za dnia, mogłam docenić widoki z jego okien. Po stronie południowej widok jest taki sam jak z jadalni i pokoju dziecinnego, natomiast po stronie zachodniej - podobny do widoku z gabinetu wychodzącego na kort tenisowy i znajdujący się dalej las. Oprócz sof, na których siedzieliśmy podczas mojego pierwszego spotkania z lordem Althorpem, w pokoju stały małe stoliki i fotele. Na stolikach i fortepianie poustawiane były fotografie rodzinne, którym mogłam się teraz dokładniej przyjrzeć. Przedstawiały dzieci w różnym wieku i świadczyły niezbicie, że lord Althorp jest bardzo dumny ze swojego potomstwa. Tu i ówdzie porozkładane były książki i czasopisma mówiące o życiu na wsi, mające zachęcić gościa, żeby się odprężył i poczuł w tym miłym otoczeniu jak u siebie w domu.

Głównym meblem w gabinecie, do którego się prawie nigdy nie wchodziło, było duże biurko, przy którym lord Althorp siadywał tyłem do okna, pisząc swoje cotygodniowe listy do dziewczynek przebywających w internacie. Zza tego biurka zarządzał też sprawami klubów chłopców, nad którymi sprawował patronat, i administrował majątkiem. Ja byłam w tym gabinecie tylko raz - wtedy, kiedy lord Althorp wezwał mnie, żeby mi powiedzieć, że mam być głównym świadkiem zeznającym przed Wysokim Trybunałem w Londynie, do którego

matka dzieci wniosła sprawę o przyznanie jej prawa do opieki nad nimi. Oglądając gabinet wraz z Sally, nie przeczuwałam, jaki się w nim kiedyś rozegra dramat. Weszłyśmy na górę tylnymi schodami. W tamtych czasach było nie do pomyślenia, żebyśmy poszły głównymi, jednak ja - później - zdołałam szybko zmienić staromodne podejście do tej sprawy. Przeszłyśmy przez drzwi wahadłowe i poszłyśmy do pokoiów, w których mieszkały Sarah i Jane. W tej części domu znajdowały się też dwa pokoje gościnne - jeden niebieski, a drugi różowy, każdy z oddzielną łazienką - a także pokój lorda Althorpa. Pomyślałam, że to bardzo smutne, że rodzina mieszkająca w tak pięknym domu nie jest zbyt szczęśliwa. Jeżeli wziąć po uwagę standard, do jakiego byliśmy przyzwyczajeni ja i moi znajomi, dom był duży, ale nie olbrzymi. Dzięki swym rozmiarom był przytulny, a równocześnie nie brakowało w nim przestrzeni. W pokoju Jane utrzymywano czystość i porządek, ale Jane spędzała w Norfolk niewiele czasu. Woląла przebywać z matką w Londynie lub w Sussex. Pokój, tak rzadko używany, był jednak porządnie wietrzony i nie czuło się w nim atmosfery zaniedbania, dzięki czemu wracał do życia wkrótce po przyjeździe właścicielki. Natomiast pokój Sary sprawiał wrażenie zamieszkanego już w chwili, gdy dziewczyna pojawiała się w domu. Ciężki trud pani Pertwee szedł na marne w ciągu kilku minut. Nigdy nie zazdrościłam pani Pertwee jej zajęcia. Pogoda ducha tej wesołej kobiety, pochodzącej z pobliskiej wsi zwanej West Newton, okazała się bezcenna, gdyż pani Pertwee z wielką determinacją starała się utrzymać swoją posadę. A nie było to łatwe, bo oprócz zwykłych, codziennych zajęć miewała nieraz dodatkowe - spowodowane różnymi niespodziewanymi incydentami. Bo przecież zdarzało się, że do wnętrza domu zostawał wprowadzony koń albo że uciekła świnka morska. A pewnego razu wuj dzieci, lord Fermoy, przyleciał helikopterem i wylądował na

trawniku za domem, wskutek czego płatki róż zerwane podmuchem wpadły przez okna i ogrodowe drzwi do wnętrza.

Na zakończenie naszego obchodu Sally pokazała mi wejście do piwnicy z winami. Drzwi prowadzące do niej z tylnego korytarza były - podobnie jak drzwi do pokoju myśliwskiego - zawsze zamknięte na klucz, nad którym pieczę miał kamerdyner. Pewnej niedzieli - przy okazji niespodziewanej wizyty księżniczki Anny, która przybyła do nas po nabożeństwie w pobliskim kościele całkiem niezapowiedziana - okazało się, że może to być niezbyt wygodne. W domu lorda Althorpa piło się bardzo mało alkoholu, w związku z czym nie trzymano go w pokojach. Dlatego za każdym razem, kiedy pojawiał się jakiś gość, a kamerdyner miał przy tym wychodne - co właśnie miało miejsce, kiedy odwiedziła nas księżniczka - gospodarz z zażenowaniem stwierdzał, że nie ma gościa czym poczęstować.

Poznałam już wnętrze domu, wyszliśmy więc na zewnątrz. Co prawda orientowałam się z grubsza w terenie, ale chciałam się jeszcze rozejrzeć. Niedaleko domu żwirowany podjazd rozgałęział się. Jego lewe odgałęzienie prowadziło na dziedziniec, do mieszkań służby, do garaży, do stajni i do wejścia dla dostawców, a prawe - do wejścia frontowego, przed którym było tyle miejsca, że samochody mogły zawracać. Miejsce to okalały duże krzewy, za którymi zaczynał się las. Podjazd był zasłonięty od strony drogi i niewidoczny dla ciekawskich, którzy uwielbiali przyjeżdżać w te okolice na pikniki. Zresztą kto by im się dziwił? Trudno jest przecież znaleźć piękniejsze miejsce na jednodniową wycieczkę, a poza tym w Sandringham znajduje się zimowa rezydencja królowej, co także przyciąga turystów. Jednak mieszkańcy Park House potrzebowali prywatności, a gęste krzewy o bujnych liściach przyczyniały się do jej zapewnienia. Na prawo od domu był trawnik, a dalej kort tenisowy.

Trawnik ciągnął się aż za dom, gdzie przechodził w spory ogród, oddzielony niskim drucianym płotem od terenów parkowych i od boiska do krykieta. Do obowiązków pana Smitha należało strzyżenie trawnika. Pan Smith spełniał ten obowiązek z wielką dumą, siedząc sztywno na siodelku kosiarki. Przy drugim końcu domu, naprzeciwko parku, niedaleko mieszkań dla służby znajdował się odkryty basen. W tamtych czasach prywatne baseny były rzadkością, nasz więc stał się wielką atrakcją dla dzieci oraz ich przyjaciół. To przede wszystkim ze względu na dzieci lord Althorp kazał go zbudować. Koło basenu była zjeżdżalnia, która służyła także jako trampolina. Dzieci, a zwłaszcza Diana i Sarah, robiły wspaniały użytek ze wszystkich urządzeń, które zapewnił im ojciec. Wszystkim im wolno było zapraszać przyjaciół - na dłuższe pobyty czy też na krótsze wizyty. Dzieci były chowane w atmosferze wolności i nieskrępowane zbyt wieloma zakazami; spędzały dzieciństwo w środowisku sprzyjającym wykształceniu niezależnego charakteru. Żadne z nich nie nadużyło tej wolności, ale ich rówieśnicy mogli im bardzo zazdrościć takiego stylu życia.

Za basenem ciągnęły się następne trawniki, a dalej padoki. Kiedy Sarah przebywała w szkole, ja zajmowałam się końmi. Poza kucykiem szetlandzkim i drugim kucykiem zwanym Romany, Sarah miała jeszcze czystej krwi klacz rasy connemara o imieniu Peppermint, na której jeździłam podczas jej nieobecności. Później sprzedałam tę klacz wspaniałym ludziom mieszkającym w pobliżu moich rodziców. U tych nowych właścicieli klacz dożyła trzydziestki. Jak na konia, to wiek naprawdę sędziwy. Na jej miejsce przyszedł większy od niej kasztan, na którym Sarah jeździła na polowania.

Sally zakończyła oprowadzanie. Trzeba już było jechać do Gayton po Charlesa, który był w szkole. Pojechałyśmy niebieską simką 1100. Szkoła znajdowała się w odległości siedmiu

mil od Park House. Jechaliśmy przez posiadłość Sandringham w stronę Wolferton, a potem skręciliśmy na główną drogę prowadzącą do Kings Lynn. Przejazdka była bardzo przyjemna. W Wolferton znajdowała się kiedyś stacja, na którą pociągiem z Kings Lynn przybywała rodzina królewska. Obecnie ta stacja jest nieczynna, a budynek stacyjny zamieniono na prywatny dom. Wzdłuż drogi biegnącej z Sandringham do Wolferton rosną rododendrony, w czerwcu obsypane kwiatami. W Wolferton znajduje się mały prywatny dom królowej zwany Wood Farm. To tutaj właśnie książę Filip trzymał swoje koniki do gry w polo, a w pobliżu jest stadnina ogierów. Członkowie rodziny królewskiej często zatrzymują się w tym domu, zwłaszcza że dzięki temu nie trzeba otwierać dużej rezydencji.

Sally przedstawiła mnie dyrektorce szkoły i poinformowała ją, że to ja będę się w przyszłości opiekowała Charlesem. W drodze powrotnej Charles siedział na, tylnym siedzeniu i grzecznie odpowiadał na moje pytania dotyczące szkoły. Nie naciskałam go zbyt mocno, wiedząc, że z czasem, przebywając we dwoje, stopniowo się porozumiemy. Chłopiec z pewnością czuł się zdezorientowany widząc, że znowu ktoś opuszcza dom i pojawia się ktoś nowy.

Lord Althorp, składając wizytę w domu moich rodziców, wyczuł, że rodzice są ludźmi serdecznymi, którzy potrafili stworzyć stabilną rodzinę, że moje dzieciństwo upłynęło na wsi, w otoczeniu dającym poczucie bezpieczeństwa i że ja z kolei mogę zapewnić poczucie bezpieczeństwa Dianie i Charlesowi. A ja rzeczywiście pragnęłam dać im to poczucie, z którego człowiek czerpie długo, nawet w życiu dorosłym. W Park House łatwo było stworzyć bezpieczną atmosferę. Pokoje tej rezydencji są duże, ale wygodne i przytulne. Szybko zorientowałam się, że dzieci wychowywano w sposób staroświecki, że w ich domu dbano o to, aby ideały były jasno określone, a różnica między dobrem i złem całkiem jasna. Dużą wagę przywiązywano

do dobrych manier, ale miłość, życzliwość, wielkoduszność i dyscyplina były najważniejsze. Nie chciałam tego zmieniać, pragnęłam jednak dać dzieciom więcej swobody, zachęcić je, by postępowały odpowiedzialnie nie dlatego, że tego się od nich wymaga, ale dlatego, że tego chcą. List lorda Althorpa napisany do mnie po moim odejściu dowodzi, że to osiągnęłam. Lord Althorp napisał bowiem: *Sprawiała pani, że dzieci były szczęśliwsze niż kiedykolwiek przedtem*. Po swoich zaręczynach Diana podobno powiedziała, że po raz pierwszy w życiu czuje się bezpieczna, ja jednak sądzę, że była to *licentia poetica* spowodowana jej wielką miłością do księcia Karola. Diana miała szczęśliwe dzieciństwo upływające w poczuciu bezpieczeństwa. Od chwili gdy ją poznałam, widziałam, że jest dziewczynką skorą do pomocy i śmiechu, wylewną i kochaną przez oboje rodziców. Ojciec uważał ją za swoje oczko w głowie. To wszystko nie wskazuje na brak poczucia bezpieczeństwa. W ciągu tych kluczowych dla jej rozwoju lat służyłam jej za przewodniczkę, zachęcając do zwierzeń. Chciałam, żeby powierzała mi swoje myśli, lęki i nadzieje, służyłam jej wsparciem psychicznym oraz - mam nadzieję - rozsądnymi radami. Te dzieci chowały się w domu mającym prawie wszystkie cechy domu stabilnego, zapewniającego poczucie bezpieczeństwa i pełnego miłości. Kiedy rodzice się rozeszli, nie było tu krzyków, podniesionych głosów ani gniewnych słów (nie twierdzą przy tym, że takie rzeczy miały miejsce kiedykolwiek przedtem, bo przecież mnie tam wtedy nie było), życie płynęło regularnie, panowały łagodne obyczaje i kontrolowana swoboda. Lord Althorp nigdy nie powiedział dzieciom złego słowa o matce. To, co w głębi duszy mógł o niej myśleć, zachowywał dla siebie. Dzieci miały swobodę wyrażania własnego zdania bez poczucia, że są nielojalne czy też że muszą się kryć ze swoimi uczuciami czy poglądami.

Zadecydowałyśmy z Sally, że pozostałą część pierwszego dnia będę miała wolną, co da mi czas na rozpakowanie się i zadomowienie, a nazajutrz będę pracowała z nią razem, wciągając się w zwykły porządek dnia, tak żeby moje pojawienie się spowodowało jak najmniej zamieszania.

Rozdział trzeci

Miałam to szczęście, że poznawałam dzieci jedno po drugim, dzięki czemu nie musiałam z punktu uczyć się dawania sobie rady z całą czwórką. Kiedy zaczęłam pracować w Park House, Charles miał sześć lat - dwudziestego maja kończył siedem. Zarówno z wyglądu jak i z charakteru przypominał ojca. Był dzieckiem spokojnym i poważnym. Między nim i portretem młodego lorda Marlborough istniało uderzające podobieństwo. Jak na ironię, on, chłopiec, miał piękne złotoblond włosy - rude, jak mówiła Sarah lubiąca dokuczać rodzeństwu - podczas gdy Diana musiała zadowolić się mysim kolorem swoich.

Charles był chłopcem bystrym i dobrze wychowanym. Umiał się poprawnie wysłowić, jednak w towarzystwie ogarniała go nieśmiałość. Zamykał się wtedy w sobie, chociaż w

rozmowach z siostrami umiał dzielnie bronić swego stanowiska. Siostry miały do niego stosunek opiekuńczy, ale czasami nie mogły się powstrzymać od dokuczania mu. Bardzo szybko go polubiłam. Charles był kochającym dzieckiem, które nigdy nie stwarzało żadnych problemów. Podczas ostatnich trudnych lat małżeństwa rodziców był oczywiście bardzo mały i dlatego dokładano wszelkich starań, by żadne gorzkie słowa nie dotarły do jego uszu. Uwielbiałam spędzać z nim wieczory. Leżał wtedy w swoim małym łóżeczku albo siedzieliśmy sobie razem, czytając i rozmawiając. Lord Althorp, kiedy był w domu, przychodził przeczytać mu bajkę na dobranoc. Znajdował zawsze czas dla dzieci, bez względu na nawal zajęć. Dzieci były dla niego najważniejsze. To właśnie w tych latach coraz lepiej zaznajamiali się z historią. Opowiadania ojca o dawnych czasach były tak fascynujące, że nigdy im się nie nudziły. Charles studiował później historię w Oksfordzie. Kiedy lorda Althorpa nie było w domu, ja czytałam Charlesowi klasykę w formie uproszczonej - *Robinsona Crusoe*, *Rodzinę szwajcarskiego Robinsona* czy inne przemawiające do wyobraźni historie. Bajki Ezopa, mity greckie i szkolne historie Enid Blyton pojawiły się, gdy dołączyła do nas Diana. Jednak jej zdolność koncentracji nie dorównywała zdolności brata. Diana lubiła działać. Czuła się wtedy o wiele lepiej niż wtedy, kiedy przez pewien czas musiała siedzieć beczynnym.

W pokoju dziecięcym panował zawsze błogi spokój. Z zewnątrz dolatywał tylko śpiew ptaków, a my, bezpieczni wśród naszych czterech ścian, przeżywaliśmy wspólnie przygody w wyimaginowanych krainach. Byliśmy szczęśliwi wśród tych nieznanymi światów, do których wprowadzały nas książki. Diana uwielbiała Nibylandię z *Piotrusia Pana*, a także Wendy i czworonożną niańkę dzieci. Książki to źródło wiedzy, a także

marzeń i eskapistycznych rojeń. Charles, chociaż jeszcze taki mały, potrafił dobrze czytać, jednak, jak każde dziecko, lubił, kiedy ktoś mu czytał głośno i przeżywał z nim czytane historie. Czasami czytałam mu ja, a czasami czynił to ojciec, jednak to ja byłam zawsze osobą, która słuchała, jak chłopiec się modli. Diana i Charles odmawiali te same modlitwy: *Ojciec Nasz* oraz osobistą modlitwę za wszystkich, których każde z nich znało. Diana wymieniała wtedy wszystkie swoje zwierzęta, zarówno te, które miała kiedyś, jak i te, które należały do niej obecnie. Bezsenne noce były czymś nieznanym. Życie, które pędziliśmy w Sandringham, było życiem aktywnym i sprzyjającym zdrowiu. Żyliśmy jego pełnią, a choroba, stres i przymus nie psuły jego harmonii. Większość chorób wieku dziecięcego rodzeństwo przebyło przed moim pojawieniem się w Park House.

Byłam zawsze rannym ptaszkiem. Lubiałam się przygotowywać do zajęć czekających mnie w ciągu dnia. A poza tym rozkoszowałam się zawsze spokojem, jaki miałam przez ten krótki czas przed przebudzeniem dzieci. Charles wstawał o wpół do ósmej i mył się szybko, gdyż kąpiel pod moim nadzorem brał zawsze przed pójściem spać. Ubierał się następnie w szkolne ubranie, które ja poprzedniego wieczora wykladałam na krzesło obok jego łóżka, hołdując zasadzie mówiącej, że organizacja idzie w parze ze spokojem i zapobiegając w ten sposób porannemu pośpiechowi. Poprzedniego wieczora nakrywałam też do śniadania stół w pokoju dziecinnym, tak że rano musiałam tylko odebrać śniadanie z kuchni. Sama przygotowywałam posiłki jedynie wtedy, kiedy kucharka miała wychodne. Różnego rodzaju płatki śniadaniowe i dżemy trzymało się w kredensie w pokoju dziecinnym. Kiedy przybyłam do Park House, lord Althorp jadał śniadania sam w jadalni, gdzie podczas wakacji przyłączały się do niego starsze dzieci i gdzie wkrótce, po wprowadzeniu przeze mnie pewnych zmian, zaczęliśmy jadać i my troje. Początkowo jednak jadał sam i przychodził na górę

tuż przed wyjazdem Charlesa do szkoły. Przed ósmą trzydzieści siedzieliśmy już w samochodzie i jechaliśmy do Silfield. Charles w swoim mundurku wyglądał bardzo elegancko. Uwielbiał szkołę i nigdy nie mówił, że nie chce do niej chodzić. Nie przychodziło mu to po prostu do głowy. W samochodzie powtarzaliśmy tabliczkę mnożenia i pisownię różnych wyrazów, tak żeby Charles był dobrze przygotowany do sprawdzianów. Było to ćwiczenie, które wiele lat później powtarzałam ze swoim własnym złotowłosym synkiem Benem. Z perspektywy czasu widzę, jak podobni byli obaj chłopcy - zarówno pod względem charakteru jak i koloru włosów i cery. Czasami wydawało mi się, że mając do czynienia z własnym dzieckiem, powtarzam coś, co już raz przeżyłam.

Sally wyjechała na drugi dzień po moim przybyciu do Park House. Tego dnia, o wpół do czwartej, sama odbierałam Charlesa ze szkoły. Rodzice innych dzieci byli dla mnie bardzo uprzejmi i mili, a matki bliższych kolegów Charlesa przedstawiały mi się i proponowały, żeby ustalić, kiedy chłopcy spędzą razem wolny czas. W domu Charles, jak każde dziecko w tym wieku, nie mówił o tym, co działo się w przeszłości ani też o tym, co nastąpi w przyszłości. Mówił o tym, co wydarzyło się tego dnia. Zawsze starałam się, żeby Diana i Charles jak najwcześniej wiedzieli, gdzie spędzą wakacje. Dzięki temu mogli snuć plany i cieszyć się z góry na to, co ich podczas tych wakacji czeka.

Oboje z Charlesem zaczęliśmy żyć regularnym, zwykłym życiem. Trzymaliśmy się razem, a moje kontakty z domowym personelem ograniczały się do wymiany pozdrowień. Zaczęłam pracować w Park House na początku roku, późne popołudnia były jeszcze wtedy zimne, więc zawsze pilnowałam, żeby na kominku w pokoju dziecięcym płonął wesoło ogień. Ten ogień witał Charlesa po powrocie ze szkoły. Takie powitanie - przy

zasłonach zaciągniętych i oddzielających nas od ciemności - było bardzo przyjemne. Po wyjeździe Sally byłam przez kilka dni sama z Charlesem i udało mi się od razu nawiązać z nim dobry kontakt. A potem nasze stosunki nie zmieniły się aż do mojego odejścia z Park House. Lord Althorp wrócił w pewne sobotnie popołudnie, kiedy bawiliśmy się w ogrodzie w chowanego. Ja, chcąc się ukryć przed chłopcem, weszłam na drzewo i siedziałam tam w momencie gdy lord Althorp wszedł do ogrodu, żeby nas poszukać. Nie było to miejsce najodpowiedniejsze. Zeszłam więc niezdarne i zawołałam do Charlesa, że ma przestać mnie szukać. Lord Althorp powiedział nam, że w najbliższy weekend przyjedzie Diana, bo zaczynają się ferie wielkanocne. Zaproponował też, żebym po nią pojechała i przywiozła ją ze szkoły. Dodał, że da mi to okazję do pobycia z nią sam na sam i stwierdził, że podczas podróży samochodem można porozmawiać i poczynić pierwsze kroki w celu nawiązania bliższego kontaktu.

Uważałam, że to dobra myśl, ale równocześnie bałam się trochę tego spotkania. Kiedy pojechałam pierwszy raz po Charlesa, była ze mną Sally, a teraz miałam udać się do nieznanej mi szkoły, uczestniczyć tam w czynnościach związanych z zakończeniem trymestru i spotkać się z dziewięciolatką, o której wyczynach personel domowy napomykał, jak mi się zdawało, z lubością. Dawano mi do zrozumienia, że moja poprzedniczka odeszła przede wszystkim w powodu wesołych figlów Diany. Kiedy spytałam, co opowiadający mają na myśli, dowiedziałam się o dwóch incydentach, które w porównaniu z niemożliwym do przyjęcia okropnym zachowaniem dzisiejszych dzieci były całkiem niewinne. Pewnego razu, o czym wspomniałam już wcześniej, Diana, która nie chciała iść jeszcze spać, uznała, że doskonałym żartem będzie zamknięcie niani w łazience. Niania siedziała tam, wściekła, dopóki lord Althorp nie przyszedł na

górze, żeby powiedzieć dzieciom dobranoc. Do drugiego incydentu doprowadziło to, że opiekunka zabroniła Dianie wychodzić na dwór z powodu brzydkiej pogody. Żeby się na niej odegrać, Diana poszła do jej pokoju - a już samo to było zabronione - wzięła kilka części jej bielizny i wrzuciła je na dach, gdzie leżały, dopóki Smith ich nie zdjął. Diana i Charles wyszli na dwór, żeby popatrzeć, a także, jak sądzę, żeby się porządnie uśmieć. W ten sposób Diana osiągnęła swój cel. Miałam co do Diany pewne zastrzeżenia, jednak nie dopuściłam do tego, żeby personel domowy miał satysfakcję, widząc, że się niepokoję.

Miałam zamiar dobrze wykorzystać podróż samochodem i z punktu nawiązać z Dianą kontakt. Byłam pewna, że jeżeli tak się stanie, porozumiem się z nią i nasze stosunki będą później doskonale. Wydawało mi się oczywiste, że władczy despotyzmem nie można z nią wiele wskórać. A poza tym miałam nadzieję, że dziewczynka uzna mnie za przyjaciółkę i powiernicę - w końcu miała przecież matkę, której ja nie zamierzałam zastępować. Chciałam po prostu być kimś, kogo Diana mogłaby uważać za bliską sobie osobę. Miałam nadzieję, że podstawą naszych dobrych stosunków staną się miłość i szacunek i że ja będę jej służyła pomocą i radą, dzięki czemu Diana nie będzie miała powodu, żeby się buntować czy powtarzać owe dziecinne figle. Oczywiście nie miałam ochoty być ofiarą takich figlów czy innych wyskoków, o których myśl mogłaby podsunąć jej żywa wyobraźnia. Mówiono mi, że Diana jest dzieckiem energicznym, otwartym i lubiącym psoty. Kiedy jej ojciec opowiadał mi o tym, miałam wrażenie, że posługuje się typowo angielskim niedopowiedzeniem. Zastanawiałam się, w jakim stopniu ta skłonność do psot odbije się na mnie. Nie chciałam oczywiście zbyt Diana temperować, pragnęłam raczej skierować nadmiar jej energii na bardziej pozytywne tory. A co najważniejsze, miałam nadzieję, że Diana nie będzie wywierała złego

wpływu na Charlesa (miałam się dopiero przekonać, że trudno jest wywrzeć na niego jakikolwiek wpływ) i że czas spokoju, w jakim żyliśmy do tej pory, nie skończy się gwałtownie.

Nadeszła sobota. Budząc się, pomyślałam od razu, że dzisiaj mam poznać swoją drugą podopieczną, że mam się z nią spotkać po raz pierwszy, i to sama. Ubrałam się starannie, chociaż czułam się dziwnie, wkładając eleganckie rzeczy, gdyż zwykle chodziłam w dżinsach i swetrach. Mimo to było mi z tego powodu przyjemnie, a poza tym nie chciałam zrobić Dianie wstydu przed koleżankami. Tak naprawdę to nie miałam podstaw do niepokoju. Wierzyłam niezłomnie w swoje zdolności, a także w to, że nasze stosunki ułożą się dobrze, jednak nie mogłam powstrzymać się od refleksji, że inne osoby przede mną z początku czuły się tak samo, a w końcu musiały odejść. Obiecałam lordowi Althorpowi, że nie odejdę przed pójściem Charlesa do szkoły przygotowawczej i oczywiście nie chciałam go zawieść. Za każdym razem, kiedy lord Althorp mówił o Dianie, widać było, że bardzo ją kocha. Domyślałam się więc, że pragnie, żeby dziewczynka miała miłe wakacje i żeby czuła się w domu szczęśliwa, a to w znacznym stopniu zależało od jej stosunków ze mną. Dlatego wyruszałam do Riddlesworth z mieszanymi uczuciami. Zdawałam sobie sprawę, że nie chodzi tu po prostu o przywiezienie Diany ze szkoły, lecz o to, jakie zrobimy na sobie wrażenie, gdyż od tego pierwszego wrażenia będzie zależała przyszłość mojej posady.

Trafiłam na miejsce bez trudu. Z Sandringham do szkołyjechało się tylko godzinę. Wjechałam za innymi samochodami na długi podjazd i znalazłam miejsce do zaparkowania. Diana wiedziała od ojca, że to ja po nią przyjadę. Zastanawiałam się, jak ją znaleźć, ale okazało się, że nie muszę jej szukać, bo ona na mnie czeka. Podeszła do mnie i bardzo grzecznie podała mi rękę. Jej skromne zachowanie zadawało kłam wszelkim opowieściom, jakie o niej słyszałam. Trudno było sobie wyobrazić,

że ta dziewięcioletka z włosami opadającymi na ramiona - bo zdążyła je rozpuścić, zaznaczając w ten sposób, że zaczyna się czas wakacyjnej swobody - o ślicznych rumianych policzkach i ze spuszczoneymi oczami była zdolna do takich psot, o jakich słyszałam. W późniejszych czasach, we wczesnych latach jej małżeństwa, te same spuszczone oczy i skromność zachowania miały wprowadzić w błąd wielu ludzi, którzy nie uświadamiali sobie, jak silny kryją charakter.

Od razu poczułam pewną ulgę. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że mało jest prawdopodobne, by z Dianą były jakieś kłopoty. Z drugiej jednak strony wiedziałam bardzo dobrze, że poprawne maniere wpojone dziecku bardzo wcześnie mogą okazać się mylące. Przez długie lata Diana spuszczała oczy za każdym razem, kiedy poznawała kogoś nowego. Zarówno Charles jak i ona mieli trudności z patrzeniem ludziom w oczy podczas rozmowy. Był to nawyk, od którego nigdy nie udało mi się do końca odzwycząić Dianę. Chociaż po pewnym czasie zrobiła pewne postępy. Sądzę, że Diana traktowała spuszczone oczy jak tarczę, za którą skrywała uczucia. Wrażliwa, a równocześnie obdarzona silną wolą, była naprawdę nieśmiała, a ludzie dopiero po dłuższym czasie odkrywali tę prawdę o niej.

Po pierwszych powitaniach rzuciłyśmy się w wir zwykłej w takich razach aktywności. Zapakowałyśmy do samochodu kuferek, pudełko, do którego Diana, jak każde dziecko, jadąc do szkoły, wkładała przysmaki i świnikę morską, a pakując, zapomniałyśmy o zakłopotaniu. W Riddlesworth wolno było uczniom trzymać zwierzęta, gdyż zmniejszało to stres związany z przebywaniem poza domem rodzinnym, a także dostarczało dziewczynkom zajęcia w czasie wolnym i okazji do wykazania się poczuciem odpowiedzialności. Diana opiekowała się swoją świniką morską o imieniu Peanuts troskliwie i z miłością. Zdobyła nawet nagrodę za najbardziej zadbane zwierzątko. W końcu

załadowaliśmy wszystko do simki i wyruszyliśmy w podróż powrotną.

Teraz, kiedy całe zamieszanie minęło, a Diana siedziała obok mnie w samochodzie, nadeszła prawdziwa chwila próby. Zaczęłam rozmowę o szkole, a ona, podobnie jak Charles, nie wspomniała ani słowem o Sally i poprzednich niańkach, a także o przyczynach ich odejścia. Wydawało się, że oboje przechodzili nad takimi zmianami do porządku i że zmiany te nie zakłócały ich spokoju. Rzeczy najważniejsze - ich dom oraz troska i miłość, jaką okazywali im rodzice - pozostawały stałe. Diana opowiedziała mi o szkole, o tym, jak się zadowoliła w internacie i o koleżankach, wśród których była Alexandra Loyd, córka Juliana Loyda, zarządcy majątku królowej w Sandringham. Państwo Loydowie mieszkali w domu otoczonym parkiem w pobliżu West Newton. Mimo że dziewczynek nie łączyła wielka przyjaźń (Alexandra była o wiele pilniejszą uczennicą niż Diana), to jednak nieraz spędzały wspólnie część wakacji. Zapytałam Dianę o inne koleżanki - te, które chciałaby zaprosić do siebie podczas ferii. Okazało się, że najbardziej lubi Annabel Fox, której rodzina mieszkała wtedy w Amner Hall. Później Amner Hall stał się rezydencją księstwa Kentu.

Opowiedziałam Dianie o tym, co porabialiśmy z Charlesem, powiedziała jej też, że Charles bardzo się cieszy z jej przyjazdu. Nie chciałam robić z naszych zajęć z chłopcem zbyt wielkiej sprawy, żeby Diana nie poczuła się jak intruz. Przypuszczam jednak, że trochę przesadzałam. Moja ostrożność spowodowana była tym, że bardzo pragnęłam, aby Diana poczuła się od razu dobrze. Park House był jedynym domem, jaki знаła - nawet się tam urodziła - więc myśl, że mogłaby się tam okazać intruzem, nie przyszła jej nawet do głowy.

Jak przystało na siostrę, Diana skrzywiła się, słysząc, że Charles cieszy się z jej przyjazdu do domu. Nikt przecież nie

przyzna, że chce spędzać czas z młodszym bratem, ale tak naprawdę Diana bardzo kochała Charlesa i nie było między nimi żadnego antagonizmu. Ich skrajnie różne osobowości uzupełniały się. Nie istniała obawa, że zaczną ze sobą rywalizować. Dianie - wylewnej i otwartej, gadatliwej i bez przerwy coś organizującej - nie zagrażał spokojny, skłonny do zadumy brat, który co prawda wiedział, czego chce, ale w stosunkach z nią szedł zawsze po linii najmniejszego oporu. Diana zapytała, kiedy przyjadą jej siostry, a ja poinformowałam ją, że Sarah będzie w domu niedługo, ale Jane spotka się z nią dopiero u matki. Diana powiedziała, że nie może się doczekać, kiedy stanie się taka dorosła jak Sarah, bo wtedy będzie mogła robić, co jej się żywnie spodoba. Od początku stało się dla mnie jasne, że uwielbia najstarszą siostrę, którą ja miałam dopiero poznać. Słyszając, co Diana o niej mówi, doszłam do wniosku, że pod wpływem najstarszej siostry - a wpływ ten był albo zły albo dobry, co do tego nie miałam jeszcze pewności - moje stosunki z nią mogą się pogorszyć. Miałam jednak nadzieję, że tak się nie stanie. Postanowiłam zmienić temat rozmowy, przechodząc na bezpieczniejszy grunt. Zapytałam więc Dianę, jakie przedmioty szkolne lubi. Uwielbiała wychowanie fizyczne i balet. Chciała zostać baletnicą, ale wiedziała już, że będzie za wysoka. Powiedziała też, że myśli o zostaniu pielęgniarką, najlepiej taką, która zajmuje się dziećmi. Dianę zawsze pociągały istoty bezbronne, czy to zwierzęta czy ludzie. Zapytałam, jakie jeszcze lubi przedmioty, a wtedy ona, z figlarnym błyskiem w oku - co było odstępstwem od postawy grzecznej, skromnej dziewczynki, jaką dotychczas demonstrowała - powiedziała, że bardzo lubi lekcje biologii. Na to ja, naturalną kolejną rzeczy, spytałam, co jej się w nich tak bardzo podoba, a ona wyjaśniła, że to, że uczą się na nich o rozmnażaniu królików. Przypuszczałam, że tak naprawdę Diana nie jest zainteresowana rozmnażaniem

królików, a mówi o nim tylko dlatego, że chce skierować rozmowę na coś, co jest dla niej o wiele ciekawsze, a mianowicie na małżeństwo i posiadanie dzieci. Diana z całą pewnością bardzo przeżywała rozwód rodziców. Ten rozwód miał też wpływ na jej myśli o małżeństwie. Powiedziała mi, że jej jedyną ambicją jest zakochać się, wyjść za mąż i mieć dużo dzieci. Zaraz też, mając w pamięci rozwód i całe cierpienie, jakie za sobą pociągał - dodała, że wyjdzie za mąż pod warunkiem, że się naprawdę, ale to naprawdę zakocha. Nie miało dla niej znaczenia, kim będzie ukochany, stanowczo jednak twierdziła, że nie zaryzykuje małżeństwa, jeżeli nie będzie pewna swoich uczuć, bo kiedy człowiek nie jest naprawdę pewny, że kogoś kocha, to może się rozwieść.

- A ja nie chcę się rozwieść, za nic - powiedziała.

Z całej czwórki rodzeństwa Diana, ze względu na swój wiek, najbardziej ucierpiała z powodu rozstania rodziców. Mimo że zawsze zachowywała się tak, jakby niczym się nie przejmowała, to jednak, odznaczając się dużą wrażliwością, zdawała sobie sprawę, że oboje rodzice cierpieli.

Zanim pojawiłam się w Park House, wszystko tam wróciło do równowagi, zapanowała dobra, spokojna atmosfera zapewniająca poczucie bezpieczeństwa. Podobnie jak inne dzieci, których rodzice się rozeszli, Diana lubiła, żeby wszystko było jasne. Według niej rodzina powinna być rodziną - składać się z matki, ojca, brata i siostr, którzy żyją razem pod jednym dachem. Tłumaczyłam jej, że jest to obraz idealny, taki jaki przedstawiają bajki, a w prawdziwym życiu nie zawsze się wszystko dobrze układa i czasami ludziom jest lepiej, kiedy się rozstaną. Powiedziałam jej, że prawie wszyscy pobierając się myślą, że są zakochani, jednak potem mogą się zmienić, zwłaszcza gdy zawarli małżeństwo jako młodzi ludzie, bo z biegiem czasu dojrzewają, a ich uczucia ulegają zmianie. Twierdziłam, że człowiek tak naprawdę nie zna drugiej osoby,

dopóki z nią nie zamieszka na stałe, w związku z czym nie istnieją żadne gwarancje. Radziłam jej też, żeby nie spieszyła się z małżeństwem. Będąc osobą młodą, powinna cieszyć się życiem, poczekać trochę i przekonać się, co jej przyniesie przyszłość.

Diana dopytywała się o moich rodziców, chciała też wiedzieć, czy mam rodzeństwo. Interesowały ją idealne rodziny. Zapytała mnie, czy może kiedyś odwiedzić moich rodziców. Obiecałam jej, że pojedziemy do nich latem, ponieważ podczas ferii wielkanocnych nie będzie na to czasu.

Kiedy przyjechaliśmy do Park House, pomyślałam, że podróż upłynęła nam lepiej, niż się spodziewałam. Pierwsze lody zostały przełamane, szybko zaczęłyśmy rozmawiać o tym, co było najbliższe sercu Diany i nasza pogawędka okazała się całkiem sensowna. Nie spodziewałam się, że podczas pierwszego spotkania nasz kontakt będzie tak bezpośredni, a rozmowa tak bardzo „dorosła”. Cieszyłam się, że się tak szybko porozumiałyśmy i że wygląda na to, iż nie będzie między nami tematów tabu. Rozmawiałam z Dianą jak z osobą równą sobie, a nie jak z dzieckiem, a jej najwyraźniej spodobało się takie podejście.

Diana wyskoczyła z samochodu i pobiegła, chcąc jak najszybciej zobaczyć się z psami i końmi oraz przywitać się z państwem Smith. Pan Smith pomógł mi wyjąć jej bagaż z samochodu, a jej ukochana świnka morska została umieszczona w klatce.

Ojciec Diany, który usłyszał, że przyjechaliśmy, przyszedł, żeby nas powitać. Kochali się bardzo z Dianą, ale przy pierwszym kontakcie po rozstaniu byli zawsze skřępowani. Zauważyłam to wtedy i dziwiłam się. Ale teraz, kiedy mój własny syn przebywa w szkole z internatem, wiem, jak trudne jest dla dziecka przestawienie się z życia szkolnego na domowe. Dzieci przez długie tygodnie żyją w świecie niemającym nic wspólnego

z rodzicami. A później, w ciągu paru godzin po podróży, następuje ogromna zmiana, do której obie strony muszą się przystosować. Nieraz w swoim życiu widziałam rodziców i dzieci, którzy - aczkolwiek zachwyceni, że się ponownie widzą - z trudem dostosowywali się do siebie. W Park House okazało się ponadto - ku mojemu zdumieniu - że nawet podczas wakacji i ferii młodsze dzieci nie jadają posiłków razem z ojcem. Nie podobało mi się to. Uważałam, że wszystkim im wyszłoby na dobre, gdyby się częściej widywali. Posiłki były doskonałą okazją do swobodnych rozmów w naturalnej sytuacji, w których nic by nie przeszkadzało. Postanowiłam poczekać, aż wróci Sarah, i wtedy zaproponować zmianę. Ojciec Diany był prawdziwym dżentelmenem. Nie pysznił się ani nie wywyższał. Byłam pewna, że spodoba mu się każdy pomysł, dzięki któremu w rodzinie zapanuje większa harmonia.

Sarah przyjechała następnego dnia. Tego ranka pokojówka sprzątała jej pokój i ścieliła łóżko, mruczając pod nosem, że jest ciekawa, jak długo będzie tu panował porządek. Widoczne jednak było, że cały personel, mimo wszystkich swoich utyskiwań, uwielbiał mieć Sarę w domu. Wkrótce przekonałam się, dlaczego tak jest. Dom, pełen teraz dzieci, ożywił się nagle, a Sarah była najenergiczniejsza spośród rodzeństwa. Mając piętnaście lat, zdawała już sobie sprawę, że ojciec zrobi dla niej wszystko, nie nadużywała jednak swoich przywilejów, chociaż wykorzystywała je do maksimum. W jej pokoju grała głośno muzyka. Po domu niesło się echo, gdy ona, tupiąc, biegła z góry na dół i z powrotem po głównych schodach. Jak większość nastolatków, była skupiona na sobie, ale równocześnie tak sympatyczna, że wszystko jej uchodziło na sucho. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego Diana tak ją uwielbia. Sarah, podobnie jak Diana, kochała zwierzęta, grę w tenisa i pływanie, a poza tym - w odróżnieniu od Diany - była świetną, nieustraszoną amazonką.

To właśnie ze względu na nasze wspólne zamiłowanie do koni zaprzyjaźniłyśmy się bardzo. Lady Fermoy, babka dzieci ze strony matki, była znaną pianistką. Poznała swojego męża, dwadzieścia sześć lat od niej starszego Maurice'a Fermoya, będąc studentką paryskiego konserwatorium, gdzie uważano ją za utalentowaną, znakomitą artystkę. Sarah w czasie mojego pobytu w Park House także była już dobrą pianistką i sprawiała słuchaczom dużą przyjemność za każdym razem, kiedy siadała do fortepianu i grała - przeważnie z pamięci, bo nuty jej się zawsze gdzieś zapodziewały. Diana jeszcze wtedy nie zaczęła nauki i upłynęło parę lat, zanim dorównała siostrze.

Pojawiwszy się w domu, Sarah przywitała się ze mną uprzejmie, rzuciła parę przekornych uwag bratu i siostrze i zaraz zajęła się organizowaniem własnych ferii. Kontaktowała się z koleżankami i starała się zapewnić sobie jak najwięcej atrakcji. Z całą pewnością nie była dziewczyną, która spędza czas na bezczynnym siedzeniu w domu.

Jane poznałam dopiero później i okazało się, że jest ona najspokojniejsza i najbardziej milcząca ze wszystkich trzech siostr. Jane wolała więcej czasu spędzać z matką, z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, mimo że bardzo kochała ojca, życie na wsi nie było dla niej tak atrakcyjne jak życie w Londynie, gdzie mieszkała matka. Jane, w odróżnieniu od Sary i Diany, nie lubiła przebywać na świeżym powietrzu. Wolała czytać, odwiedzać londyńskie galerie i muzea, a także chodzić do sklepów. Drugim, mniej ważnym powodem było to, że Jane, kierując się poczuciem sprawiedliwości, uważała, że - ponieważ Sarah przebywa więcej z ojcem - ona powinna, dla równowagi, mieszkać u matki. W Park House mieszkała przeważnie latem, gdyż wtedy mogła wraz z bratem i siostrami oddawać się swemu ulubionemu sportowi - pływaniu. Dla Charlesa Jane była tym, czym Sarah była dla Diany. Sarah, Jane i Charles byli

bardzo zdolni, uczyli się bardzo dobrze, podczas gdy Diana odznaczała się raczej skłonnością do rzeczy praktycznych. Między dziećmi panowały doskonale stosunki, a ich kłótnie rzadko psuły atmosferę. Być może to, że mieszkały tylko z jednym z rodziców, powodowało, iż czuły się odpowiedzialne za siebie nawzajem. Sarah lubiła namawiać Dianę do robienia rzeczy zabronionych. Wiedziała przy tym doskonale, że skłonność Diany do psot w połączeniu z chęcią przypodobania się starszej siostrze doprowadzi zawsze do tego, iż Diana będzie posłuszna zgubnym podszeptom. To cudowne, że po latach Sarah jest tą damą dworu, z którą Diana czuje się najlepiej.

Bardzo mi się podobało, że istnieje taki kontrast między ożywioną atmosferą panującą w domu podczas wakacji i ferii a spokojem ogarniającym tu wszystko podczas pobytu dziewcząt w internacie, kiedy Charles i ja jesteśmy przeważnie sami. Wszyscy moi przyjaciele, którym opowiadałam o swojej pracy, uważali, że taka odmiana to coś fantastycznego. I mieli rację. Kiedy wspominam te czasy, przypominam sobie kolejne wspaniałe dni. Przypuszczam, że niekiedy musiał padać deszcz, ja tego jednak nie pamiętam. Byliśmy szczęśliwi i samowystarczalni. Wiem, że nie każdemu odpowiadałaby taka praca. Ale ja ceniłam to, że jestem sama sobie szefem, a także to, że lord Althorp, przekonawszy się, iż daję sobie radę, zostawia mi wolną rękę i traktuje mnie z szacunkiem. Miałam wspaniałe wakacje, mnóstwo wolnego czasu i samochód do dyspozycji. Mogłam także uprawiać ulubione sporty: jeździć konno, grać w tenisa i pływać. Dzieci nie stwarzały problemów, a przebywanie z nimi sprawiało mi przyjemność. To prawda, że mieszkaliśmy w wiejskiej posiadłości, z dala od ludzi. Jednak ja byłam psychicznie samowystarczalna, a poza tym lubiłam wieczorami czytać i pisać. Ponieważ lord Althorp nierzadko bywał nieobecny, nie mogłam często wychodzić z domu. Wolno mi było

jednak przyjmować przyjaciół. Mimo to wiele osób uznałoby z pewnością, że pędziłam tu samotne życie. Była to w pewnym sensie prawda. I właśnie dlatego tak bardzo lubiłam odmianę, jaką przynosiły ferie i wakacje.

Personel domowy był bardzo przywiązany do dzieci. Jego członkowie uważali Jane za dziewczynkę niezwykle rozsądną i uprzejmą, a Charlesa za miłe, łatwe do wychowywania dziecko. Natomiast Sarah była przez nich uwielbiana. A przy tym narzekanie na jej zachowanie i na to, że mają z jej powodu dodatkową pracę, sprawiało im sporą przyjemność. Było to zresztą narzekanie pełne czułości, bo nikt tak naprawdę nie chciał, żeby Sarah była inna. Dianę też bardzo lubili. Uwielbiali opowiadać o jej figlach i bez przerwy czekali, co znowu spoci. Diana ich rozśmieszała, a poza tym nigdy nie zapomniała zapytać o ich własne rodziny. Na swój dziecięcy sposób naprawdę się o nich troszczyła. Diana miała mnóstwo przyjaciół. Była z natury wielkoduszna, otwarta, serdeczna i nigdy nie zadzierała nosa. Mając przy sobie dzieci, lord Althorp wyglądał na człowieka szczęśliwszego niż zwykle. Wychowywał je tak, żeby nie przyszło im do głowy, że różnią się od innych dzieci. Jest to chyba jedna z przyczyn, dla których Diana z taką łatwością potrafi się wczuwać w sytuację innych ludzi i współodczuwać z nimi.

Widząc jak szczęśliwy jest lord Althorp w towarzystwie swojej gromadki, postanowiłam na początku ferii wielkanocnych zasugerować, że dobrze by było, gdyby teraz, kiedy Diana i Charles nie są już tacy mali, wszyscy zasiadali razem w jadalni do wspólnego lunchu. Uważałam, że podczas pobytu starszych dziewczynek w domu wspólne powinno być także śniadanie, chociaż w czasie ich nieobecności Charlesowi i Dianie wygodniej będzie jeść je w pokoju dzieciennym. Skoro raz ustaliliśmy, że lunch będzie wspólny, zostało już tak na zawsze. Stwarzało to okazję do częstszych kontaktów ojca i dzieci i spowodowało,

że życie rodzinne stało się normalniejsze, a mnie właśnie o to chodziło. Uważałam, że czas skończyć z podziałem domu na „górze” i „dół”. Lord Althorp przyznał, że rzeczywiście będzie mu o wiele przyjemniej mieć dzieci przy sobie i zgodził się ze mną, kiedy powiedziałam, że dzięki tym wspólnym posiłkom piękna jadalnia będzie bardziej wykorzystana.

Członkowie domowego personelu reprezentujący starą szkołę, a także Betts, nowy, niedawno zatrudniony kamerdyner, byli zdumieni moim pomysłem i tylko pani Smith z wielką przyjemnością obserwowała, z jakim wahaniem Betts powitał moją innowację. Była zdania, że Bettowski, który uważał się za Bóg wie co, przytrze się w ten sposób trochę nosa. Kamerdyner nie był oczywiście zachwycony perspektywą obsługiwanie dzieci. Później, kiedy się okazało, że musi je obsługiwać także pod nieobecność lorda Althorpa, był jeszcze bardziej skonsternowany. Sarah, Diana i ja miałyśmy czerpać z tych posiłków wiele przyjemności. Pomysł, przyjęty pozytywnie i zaaprobowany, został natychmiast wprowadzony w życie i okazało się, że jego skutki są bardzo dobre, gdyż wspólne posiłki przyczyniły się do pokonania barier istniejących między ojcem a dziećmi. Ponieważ częściej się widywali, łatwiej im się było porozumieć, a ich stosunki stały się bardziej swobodne. Zanim lunch przy wspólnym stole stał się codziennym zwyczajem, dzieci jadały w jadalni tylko wtedy, kiedy byli goście. Dlatego bardzo często czuły się skrepowane. W tamtym okresie lord Althorp przychodził jedynie czasami na podwieczorek do pokoju dziecinnego. Podczas takich podwieczorków panowało napięcie, a nienaturalna, sztuczna rozmowa polegała na tym, że ojciec zadawał pytania, a dzieci odpowiadały uprzejmymi monosylabami. Postanowiłam jak najszybciej położyć temu kres, a napięcie panujące przy takich okazjach spowodowało, że wystąpiłam z moją propozycją wcześniej, niż zamierzałam. Po wprowadzeniu

mojego pomysłu w życie lord Althorp nadal przychodził na podwieczorki, podczas których rozmowy toczyły się już swobodniej, gdyż dzieci były przyzwyczajone do jedzenia z ojcem.

Jak mówiłam, podczas ferii dom był przeważnie pełen krzyku i śmiechu. Dla dzieci ferie stanowiły złoty okres, przynajmniej za mojej bytności w Park House, kiedy od rozvodu upłynęło już sporo czasu. W ogóle można powiedzieć, że cała czwórka rodzeństwa była w dzieciństwie kochana i nieskrępowana zakazami dotyczącymi spraw błahych i mało ważnych. Niejedno dziecko mogło im pozazdrościć. Często zdarza się, że z czasem, w miarę dorastania, dziecko słucha coraz to innych opowieści, nie zawsze dokładnie pamięta, co rzeczywiście miało miejsce, myli prawdę z fikcją i nadaje psychologiczne znaczenie sytuacjom, które nie zaistniały. Tak, to prawda, małżeństwo rodziców tej czwórki się rozpadło, ale nie rozpadł się dom. Dom był zawsze pełen ludzi, wśród których znajdował się oczywiście ojciec darzący dzieci prawdziwą miłością i troszczący się o ich dobro. Cała czwórka żyła jakby w kokonie chroniącym ją przed realiami tego świata i miała możliwość cieszyć się dzieciństwem wolnym od trosk, jakich nieraz doświadczają dzieci, których rodzice się nie rozstali. Nie miała pojęcia o troskach materialnych leżących u źródła wielu współczesnych problemów społecznych.

Zaczęliśmy się więc na dobre cieszyć feriami wielkanocnymi. A ja byłam całkowicie nieświadoma, że nad moją głową powstaje chmura mająca pod koniec szkolnych ferii spowodować burzę i zakłócić ten spokój, który tak szybko znalazłam w Sandringham. Dzieci miały pozostać nieświadome całej sprawy, natomiast ja miałam zapamiętać do końca życia to, czego doświadczyłam. Było to doświadczenie nie lada: zostałam bowiem wezwana przed Wysoki Trybunał i musiałam odegrać

rolę głównego pionka w rozgrywce rodziców o prawo do opieki nad całą czwórką. W trakcie tej rozgrywki stare rany zostały rozdrapane, a ja byłam zmuszona do tłumaczenia się ze swojego postępowania. Musiałam też udowodnić, że dobrze wykonuję swoją pracę i że się do niej nadaję.

Ale najpierw o feriach wielkanocnych.

Rozdział czwarty

Był pierwszy dzień wielkanocnych ferii. Już rano, po obudzeniu, czuło się, że atmosfera jest jakaś inna. Rodzina była w domu, co wprawiało wszystkich w stan lekkiego podniecenia. Od razu też okazało się, że mogę się pożegnać ze swoimi rozkosznymi samotnymi porankami, gdyż Diana - będąca całkowitym przeciwieństwem brata, który lubił leżeć w łóżku i drzemać, dopóki nie kazałam mu wstać - zerwała się o świcie i zaaferowana rzuciła się w wir zajęć, które sama sobie wyznaczyła. Diana lubiła ruch i była zdecydowana nie zmarnować ani chwili drogocennego, wolnego od szkoły czasu. Dlatego nie wylegiwała się w łóżku.

Po szybkim myciu i ubraniu się w jakieś stare rzeczy (bo w tym czasie w najmniejszym stopniu nie interesowała się tym, co ma na sobie; przeciwnie, uważała, że im rzeczy są starsze,

tym lepiej nadają się do zajęć na świeżym powietrzu, które na nią czekają) była gotowa rozpocząć dzień. Przede wszystkim musiała zajrzeć do świnki morskiej, przekonać się, że ta przeżyła zmianę otoczenia i nie zdradza jakichś niepokojących objawów z powodu braku szkolnego dzwonka ogłaszającego, że jej młoda właścicielka jest wolna i może się nią zająć, nakarmić ją i zrobić przy niej wszystko, co trzeba. Poszłam do pokoju Diany, żeby powiedzieć jej dzień dobry i zapytać, jak długo potrważą te jej poranne obowiązkowe czynności. Pamiętam, że pilnowałam się bardzo, pragnąc, żeby nasza rozmowa wypadła jak najnaturalniej. Chciałam, żebyśmy rozmawiały jak osoby, które od miesięcy odbywają pogawędki, i żeby ten pierwszy dzień okazał się dniem jak najzwyczajnym. Pragnęłam stworzyć swobodną atmosferę, w której nie byłoby miejsca na napięcia czy nieporozumienia. Park House był przecież domem rodzinnym Diany, a ja wiedziałam, że Diana nie pragnie zmian i ma nadzieję, że wszystko będzie tu szło tak samo jak przedtem, bez zbędnego zamieszania. Miałam też zamiar udowodnić jej natychmiast, że tak właśnie będzie. Zamierzałam jednak wprowadzić pewne innowacje natury praktycznej i powiedziałam jej, że tylko pierwszego ranka będziemy jeść śniadanie w pokoju dzieciennym, a potem przeniesiemy się do jadalni. Diana wypytywała mnie o to, mając pewne wątpliwości, czy jest to zmiana na lepsze. Pamiętała bowiem nieco sztywne posiedzenia przy podwieczorkach w pokoju dzieciennym i bała się, że tak samo będzie przy śniadaniu. Uspokoila się jednak, kiedy jej powiedziałam, że im częściej rodzina będzie jadła razem, tym swobodniej będzie się czuła. Diana z właściwą sobie przewrotnością znalazła pozytywną stronę całej sytuacji, ciesząc się na myśl, że kucharka preferująca bardziej tradycyjne rozwiązania nie zachwyci się tą zmianą. Powiedziałam jej, że to, czy

wyprowadzimy z równowagi kucharkę czy nie, nie ma żadnego znaczenia, bo nie o to tutaj chodzi; chodzi natomiast o to, żeby dzieci więcej przebywały z ojcem. Chciałam, żeby w domu panowała atmosfera bez troski i żeby dzieci swobodnie żartowały, jednak nie czymś kosztem.

Podczas tej wymiany zdań Diana starała się być grzeczna i usiłowała stać spokojnie, ale dla mnie jasne było, że myślami jest już gdzie indziej. Dałam jej pół godziny na obsłużenie świnki morskiej i powiedziałam, że chciałabym, żeby potem pomogła mi przenieść śniadanie z kuchni do pokoju dzieciennego. Diana lubiła pomagać, a ja uważałam, że dobrze będzie, jeżeli od początku włączy się do zajęć domowych. Kiedy pozwoliłam jej odejść, pobiegła korytarzem, zbiegła tylnymi schodami i wybiegła na dwór, zatrzasnąwszy w pośpiechu drzwi prowadzące na dziedziniec. Pierwsze dwa tygodnie ferii miała spędzić u ojca, a następne dwa - przed powrotem do szkoły - u matki. Diana nigdy nie opowiadała o swoich pobytach u matki.

Poszłam sprawdzić, co się dzieje z końmi. Wszystko tam było w porządku. Podeszłam więc do klatek, żeby się dowiedzieć, jak się powodzi śwince morskiej. Świnka stanowiła piękny okaz, a jej wygląd odzwierciedlał całą troskę, jaką ją obdarzano. Diana powiedziała, że może mi już pomóc, więc poleciłam jej, żeby pobiegła i sprawdziła, czy Charles już wstał. Gdyby tak nie było, miała mu powiedzieć, żeby się pospieszył, bo śniadanie będzie za parę minut gotowe. Na wieść, że ma okazję wydać polecenie bratu, Diana puściła się biegiem, a ja zdążyłam jeszcze krzyknąć, że spotkamy się w kuchni. Diana zawsze była chętna do pomocy. Nigdy się nie buntowała ani nie stawiała oporu.

W kuchni opowiadała mi o swoich planach na całe ferie, a ja zapytałam, czy będąc u matki, spędza czas podobnie jak w Park House. Chciałam, żeby wiedziała, że nie istnieją tematy tabu.

Powiedziałam jej, że skontaktuję się z jej koleżankami, które będą mogły ją odwiedzić. Ona natomiast na pewno zostanie zaproszona do nich. Diana wolała, żeby koleżanki przyszły do niej, bo pewniej się czuła w znanym sobie otoczeniu. W naszym domu zakazów było mało i dzieci miały dużą swobodę, której nigdy nie nadużywały i która przyczyniała się do kształtowania ich charakterów. Diana kochała dom, a także hrabstwo Norfolk. W swoim liście do mnie, pisanym w grudniu 1978 roku, na długo po tym, jak przestałam pracować u lorda Althorpa, a także po przeprowadzce rodziny do Althorp Hall, stwierdziła: *Wszyscy bardzo tęsknimy za Norfolkkiem; to tam są nasze korzenie...* Nawet w trzy lata później, w innym liście, pisanym kiedy już była księżną Walii i wróciła do Norfolku na zimowy pobyt w Sandringham House, Diana wyraziła swą miłość do tych okolic. *Tak ci zazdroszczę, że mieszkasz znowu w Norfolkku, gdzie my spędziliśmy dwa tygodnie.* Pisała też, że smutno jej się robi, gdy pomyśli, że dom jej dzieciństwa stoi pusty i opuszczony. To cudowne, że teraz jest wykorzystywany jako Cheshire Home, dom wypoczynkowy dla ludzi niepełnosprawnych, dostarczając im, mam nadzieję, tyle radości, ile dostarczał nam, gdy w nim mieszkaliśmy.

Kucharka zatrudniona czasowo - drobna, schludna, siwowłosa kobieta - wręczyła nam tace ze śniadaniem. Dzieci zadowolily się płatkami śniadaniowymi i grzankami posmarowanymi masłem i dżemem albo jakąś pastą. Posiłek nie trwał długo, gdyż wszyscy chcieliśmy iść do swoich zajęć. Omówiliśmy ogólny rozkład dnia mający obowiązywać podczas ferii. Lunch mieliśmy jeść w jadalni o wpół do pierwszej, a podwieczorek w pokoju dziecinnym o piątej. Powiedziałam Dianie i Charlesowi, że spać będą chodzili o ósmej. Diana zaoponowała, mówiąc, że jako starsza powinna chodzić spać później. Zgodziłam się, żeby - ze względu na swój wiek - paliła światło jeszcze przez pół godziny. Zresztą dzieci były tak aktywne przez cały

dzień, że nigdy nie protestowały, kiedy trzeba było iść spać. Powiedziałam im, że mają utrzymywać porządek w swoich pokojach i w pokoju dziecinnym. Obiecałam też, że jeżeli będą mi pomagały, postaram się spełniać ich życzenia, bo dzięki ich pomocy będę miała więcej czasu. Zgodne działanie wszystkim nam wyjdzie na dobre - zapewniłam. Ponieważ pani Smith miała zrobić przegląd kufra, zostawiliśmy kufer w pomieszczeniu z czystą bielizną. Pani Smith robiła także pranie i prasowała. Do mnie należało tylko zbieranie wszystkich brudnych ubrań i zostawianie ich w pomieszczeniu gospodarczym. Powiedziałam Dianie, że kiedyś będziemy musiały przygotować spis ubrań, z których już wyrosła, ale nie musimy się z tym śpieszyć, bo lepiej będzie, jeżeli pani Smith najpierw wszystko wypierze.

Pierwszego dnia ferii rano zadzwoniła pani Loyd, żeby zaprosić Dianę i Charlesa na podwieczorek. Ja też zostałam zaproszona, gdyż pani Loyd chciała, żebym poznała dziewczynę, która pomagała przy j e j dzieciach i która oprócz tego wykonywała pewne inne prace w domu. Opiekunki dzieci rzadko miały takie szczęście jak ja. Przeważnie nie tylko zajmowały się dziećmi, ale także miały inne, dodatkowe obowiązki. Im dłużej byłam w Park House i im więcej osób poznawałam, tym bardziej doceniałam to, że mam takie szczęście. Moja praca była też łatwiejsza z tego powodu, że byłam jedyną kobietą zajmującą się dziećmi podczas ich pobytów w Park House. Moje słowo było prawem. Nie musiałam konsultować się z matką i mogłam zawsze kierować się własnym rozeznanie, wskutek czego nie istniało ryzyko niezgodności poglądów. Lord Althorp zaufał mi na tyle, że powierzył mi tę pracę, był też przekonany, że jestem w stanie wykonywać ją dobrze. Wierzył w moje zdolności pedagogiczne i zostawiał mi wolną rękę, choć - jestem tego pewna - czuwał nad wszystkim z daleka. Uznałam chęć poznania

mnie z kimś w moim wieku za miły gest ze strony pani Loyd i ochocho przyjąłam zaproszenie.

Po sprzątnięciu ze stołu powiedziałam dzieciom, że mogą teraz robić, co chcą. Pragnęłam, żeby przyzwyczyły się zarówno do siebie nawzajem, jak i do mnie. Nie chciałam, żeby myślały, że mam zamiar nimi bez przerwy dyrygować. Jednak w razie potrzeby byłam zawsze w pobliżu. Diana miała ochotę pobyć z Sarą. Zdarzało się to często, jednak różnica wieku powodowała, że każda z dziewczynek miała inne zainteresowania. W rezultacie Diana, mimo swego uwielbienia dla siostry, nie spędzała z nią zbyt wiele czasu, dzięki czemu Sarah nie wywarła wpływu na jej charakter. Sarah nie podjudzała Diany do robienia mi złośliwych psikusów, gdyż wiedziała, że ojciec jest ze mnie zadowolony, a Charles mnie lubi. Wkrótce Sarah i ja poznałyśmy się bliżej i dziewczynka polubiła moje towarzystwo. Zresztą z wzajemnością. Naszym dobrym stosunkom sprzyjało bardzo to, że obie kochałyśmy konie.

Dzieci poszły na dwór, a ja wkrótce podążyłam za nimi. Podobnie jak Diana, wolałam spędzać czas na powietrzu niż w domu. Dzieci przyglądały się figlom świnki morskiej, którą Diana wypuściła z klatki. Na zwierzątko trzeba było jednak bardzo uważać, gdyż duży rudy kot imieniem Marmaduke krążył w pobliżu, spodziewając się łatwego łupu i smacznej przekąski. Powiedziałam dzieciom, że idę na spacer z psami, a one chciały iść ze mną. Ucieszyło mnie to. Stwierdziłam, że ten spacer będzie doskonałą okazją, aby poszukać miejsca na kryjówkę. Taka kryjówka to rzecz nieodzowna podczas wakacji, gdyż można się w niej chować i bawić. Charles i Diana uznali mój pomysł za doskonały. Charles uważał, że kryjówka będzie świetnym miejscem na wojskowe obozowisko, a Diana natomiast doszła do wniosku, że będzie ona idealnym drugim domem i zaczęła się zastanawiać, co tam przyniesie i jak ten

dom urządzi. Ruszyliśmy więc na poszukiwanie. Ja przypomniałam jeszcze Dianie, że jeżeli chce wziąć coś z kuchni, to musi poprosić o pozwolenie kucharkę.

Kucharka, która nam dotąd gotowała, odeszła mniej więcej w tym czasie, w związku z czym przez parę kolejnych dni zastępowała ją w kuchni pani Smith, która gotowała także wtedy, kiedy kucharka miała wychodne. Lord Althorp starał się jak najbardziej ułatwić jej zadanie i często jadł kolację poza domem. Pamiętam dobrze gzyms kominka w salonie, na którym stało mnóstwo zaproszeń. Kiedy je po raz pierwszy zobaczyłam, nie mogłam uwierzyć, że jedna osoba może ich dostawać aż tyle - drukowanych i wykonanych techniką rytowniczą. Przypuszczałam bowiem, że takie zaproszenia wysyła się tylko z okazji ślubów i, być może, chrztów. W moim świecie zapraszało się gości telefonicznie albo pisało się do nich krótki liścik. Oczywiście było, że lord Althorp jest bardzo popularny i wiele osób pragnie go przyjmować u siebie na kolacji. Miał wielu lojalnych przyjaciół, którzy go nie opuścili po odejściu żony.

Diana i ja postanowiłyśmy pomagać pani Smith i pewnego ranka porwałyśmy się na eksperyment z pieczeniem chleba. Wielki piec kuchenny bardzo się do tego nadawał, gdyż można w nim było regulować temperaturę. To, co wytworzyłyśmy, nie mogło konkurować z produktami miejscowej piekarni, ale lord Althorp zjadł kilka kromek, twierdząc, że „jak na pierwszy raz, pieczywo jest doskonałe”. Nie znam rodziców, którzy lepiej niż on potrafiliby dodawać dzieciom odwagi i budzić ich wiarę w siebie.

Po kilku dniach przybyła nowa kucharka, pani Betts, wraz z mężem, przyszłym kamerdynerem. Do obowiązków kamerdynera należała troska o ubrania lorda Althorpa. Nigdy dotąd nie znałam żadnego kamerdynera i trudno mi było uwierzyć, że ktoś w dzisiejszych czasach może spędzać życie na usługiwaniu

innym. Mimo to Betts pasował do mojego wyobrażenia o tym, jaki powinien być kamerdyner. A to wyobrażenie było ukształtowane na podstawie lektury książek i sztuk napisanych na przełomie wieków. Betts przypominał mi Jeevesa*.

* Jeeves - wszechwiedzący i zaradny służący występujący w komicznych utworach P.G. Wodehouse'a (przyp. tłum.).

Był tak napuszony, że stał się idealnym celem kpin Diany. Ba-
wiły mnie uwagi dziewczynki pod jego adresem, jednak stara-
łam się dać jej do zrozumienia, że ich nie pochwalam. Tego
pierwszego ranka musieliśmy włożyć kalosze, gdyż chcieliśmy
przejsić się po lesie i po terenach parkowych, gdzie podszycie
było bardzo mokre, bo po pierwsze nie wysuszyło go wiosenne
słońce, przed którym zasłaniały je gęste już liście drzew, a po
drugie te liście nie były w stanie ochronić go przed częstymi
ulewami. Dlatego, chodząc po wysokiej trawie w parku, bardzo
się zamoczyliśmy. Zawołaliśmy psy, które nosiły imiona Bray,
Jill oraz Suski, przy czym ten ostatni był starą suką holender-
skiej rasy keeshond, i wysłuchawszy pouczeń Smitha, że psom
nie wolno polować na bażanty i kuropatwy, ruszyliśmy w dro-
gę. Minęliśmy kort tenisowy z obwisłą, odwinietą siatką, na
którym kielkowały beczelnie krzepkie chwasty. Tenis, podob-
nie jak pływanie, był tutaj letnią rozrywką. Zimne wiatry Nor-
folku skutecznie studziły przedwczesną ochotę na jego upra-
wianie. A potem weszliśmy w leśny mrok. Diana bez przerwy
mówiła; jej gadatliwość dorównywała milkliwości Charlesa.
Suski dreptała za nami, a Diana z pozostałymi dwoma psami
biegała w tę i z powrotem, szukając wśród liści dzikiej zwierz-
ny. Spokój panujący w lesie zakłócały tylko myszy i inne małe
stworzonka uciekające szybko do swoich kryjówek, do czego
skłaniał je hałas wzniesany przez Dianę i psy. Powiedziałam, że
lepiej chyba będzie urządzić kryjówkę nie w głębi lasu, a gdzieś
bliżej domu - może w wielkich krzakach na skraju lasu, tak

żeby było z niej blisko i do lasu i do domu, skąd dzięki temu będzie łatwiej przynieść różne rzeczy. Znaleźliśmy norę borsuka i kilka ptasich gniazd. Ostrzegłam dzieci, żeby nie dotykały jajeczek, bo inaczej ptasia matka opuści gniazdo.

Podczas tego spaceru opowiadałam Charlesowi i Dianie o swoim własnym dzieciństwie spędzonym na wsi, o tym, jak wyglądały wakacje moje i mojego brata-bliźniaka, kiedy byliśmy w ich wieku. W pobliżu naszego domu nie było lasu, ale mieliśmy sad odgrodzony żywopłotem od drogi prowadzącej do sklepu. Opowiedziałam dzieciom, jak jedno z nas wchodziło na drzewo, żeby obserwować okolicę, podczas gdy drugie czołowało się za żywopłotem z plastikową butelką pełną wody i na dany znak oblewało tą wodą biednych, nic nie podejrzewających klientów idących do sklepu. Diana miała komiks zatytułowany „Bunty and Judy”, który ja uwielbiałam w dzieciństwie. Powiedziałam jej, że bardzo lubiłam historię o czterech Marych, które były w szkole z internatem. Diana wiedziała, o co mi chodzi, bo jej wersja komiksu również zawierała tę historię. Pewnego razu jej bohaterki zaczęły wszędzie wypisywać słowa: „Strzeż się mścicieli”. Opowiedziałam o tym bratu. Nie wiedzieliśmy, co znaczy „mściciel”, a na szukanie tego słowa w słowniku szkoda nam było czasu. Naśladując dziewczynki z komiksu, zrobiliśmy taki sam napis - kredą, na podłodze garażu, który sąsiad wynajmował od naszych rodziców. Po czym zapomnieliśmy o całej sprawie, a w parę dni później do stodoły, w której się właśnie bawiliśmy, wszedł policjant i zapytał, czy wiemy, kim mogą być „mściciele”.

- Tak - odpowiedzieliśmy. - Mściciele to my.

Musieliśmy pójść z nim do domu, a tam o sprawie dowiedzieli się rodzice. Dostaliśmy tak ostrą reprimendę, że nigdy więcej nie przyszło nam do głowy, żeby zrobić coś podobnego. Tak wyglądają niewinne opowieści o dzieciństwie przeżywanym

w czasach, gdy miejscowy „Bobby”^{*} patrolował okolicę na rowerze i nikomu się nawet nie śniło o przemocy i przestępczości na skalę spotykaną dzisiaj. A tak na marginesie: myślę, że człowiek, który widząc nasz napis wezwał policję, musiał mieć nieczyste sumienie! Dzieciom podobały się bardzo moje opowieści, zwłaszcza Dianie, która lubiła psoty i potrafiła wczuć się w nasze role.

^{*} „Bobby” to przyjazna nazwa policjanta angielskiego (przyp. tłum.).

Diana zapytała, do jakich szkół chodziłam, więc opowiedziałam im o małej wiejskiej szkółce, w której dzieci od lat pięciu do jedenastu siedziały w jednej klasie, a także o tym, jak zimą zbieraliśmy się przy ogniu, aby w jego ciepłe odrabiać lekcje.

- Czy ta szkoła jeszcze istnieje? - zapytała Diana.

- Nie - odpowiedziałam.

Podobnie jak wiele innych szkół znajdujących się we wsiach, w których spadła liczba mieszkańców, została zamknięta, sprzedana i zamieniona na prywatny dom. Diana wspomniała o Silfield, ale mówiła niewiele na temat tej szkoły, która kojarzyła jej się z najgorszym okresem życia, kiedy stosunki między rodzicami nie były dobre. Dzieci są wrażliwe na atmosferę i wyczuwają, że dzieje się coś złego nawet wtedy, kiedy rodzice bardzo starają się ukryć swoje zatargi. Po przeniesieniu się do Riddlesworth i przystosowaniu się do tej szkoły, Diana wolała nie myśleć o tamtych czasach. Wskrzeszenie przeszłości przyniosłoby niewielki pożytek. Silfield było małą szkołą, w której panowała rodzinna atmosfera i w której uczono w sposób podobny do sposobu, w jaki Dianę uczyła przedtem jej guwernantka Gertruda Allen zwana Ally. Gertruda Allen była domową nauczycielką dzieci rodziny Fermoyów mieszkającej w Park House, czyli matki Diany oraz jej rodzeństwa: brata i siostry.

W tamtych czasach nazywano ją „Gert”. Natomiast za czasów następnego pokolenia, pokolenia, do którego należały Diana i jej dwie siostry, a także dziesięcioro czy dwanaścioro młodszych dzieci, wśród których znajdował się syn miejscowego lekarza - była znana jako „Ally”. Ally mieszkała w małym domku w Dersingham, w odległości dwóch mil od Park House. W dni powszednie zjawiała się w Park House rano i udzielała dziewczynkom lekcji w pokoju znajdującym się na parterze między kuchnią a salonem i pełniącym funkcję klasy. Każde dziecko pracowało we własnym tempie. Było to konieczne z powodu różnic wieku. Każdy dzień zaczynał się od odczytania listy obecności. To właśnie tutaj, w klasie w Park House, Diana odbyła pierwsze swoje lekcje historii, podczas których słuchała opowieści o królach i królowych. W Silfield dzieci uczyły się pisać, czytać i liczyć. Uczyły się też dyscypliny oraz brały udział w zajęciach ruchowych na świeżym powietrzu - uprawiały gry zespołowe, grały w siatkówkę i palanta. Mówiono mi, że Diana, kiedy się już przyzwyczaiła do przebywania wśród dzieci, dobrze się z nimi czuła, była wesoła i ruchliwa i nie widać było po niej tego, że w jej życiu rodzinnym zaszła zmiana. W Riddleworth kładziono nacisk na te same zasady co w Silfield, z tym że ta szkoła była większa i, jako szkoła z internatem, zapewniała przez całą dobę rodzinną atmosferę.

Kiedy weszliśmy głębiej w las, powiedziałam dzieciom, że nie wolno im tu przychodzić bez opieki. W lesie nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, ale ja wyobraziłam sobie, jak trudno byłoby mi je znaleźć. Widzieliśmy szare wiewiórki skaczące z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, a bezgłośnie drżenie liści zdradzało, że między gałęziami kryją się inni jeszcze mieszkańcy lasu. Opowiedziałam dzieciom o lesie, w którym bawiliśmy się z bratem podczas niedzielnych wycieczek, na jakie zabierali nas rodzice. W tym lesie, na polanie, kryła się podobno wróżka,

a spotkanie z nią przynosiło szczęście. Diana zapytała mnie, czy wierzę we wróżki i czy spotkałam kiedyś tę, która kryła się w lesie. Była w wieku, w którym człowiek wciąż z przyjemnością słucha opowieści przeznaczonych dla dzieci, ciesząc się równocześnie z tego, że potrafi myśleć jak dorosły. Znajdowała się na owym dziwnym moście między dzieciństwem a dorosłością. Coraz lepiej wiedziała, jak myślą starsi, a jej wnikliwy umysł próbował przeniknąć tajemnice kobiecości. Odpowiadając na pytanie o wróżki, opisałam jej wizję, jaką miałam w dzieciństwie. Otóż pewnego razu, leżąc w łóżku, zobaczyłam korowód wróżek, które tańczyły na podeście schodów przed moją sypialnią. Byłam pewna, że to nie sen i że wróżki tańczą przede mną naprawdę.

Moje opowieści działały na wyobraźnię Diany. Charles natomiast słuchał, ale zadawał niewiele pytań, ustępując pola siostrze - jakby wiedząc, że ma mnie dla siebie, kiedy Diana jest w szkole, świadomie usuwał się w cień. Diana, robiąc cokolwiek, oddawała się temu całym sercem. Obserwując ją, dochodziłam do wniosku, że będzie w przyszłości doskonałą matką, bo jako osoba dorosła będzie na pewno pamiętała, co dzieci myślą i co im sprawia przyjemność.

Wyszliśmy z lasu na tereny parkowe - rozległe, faliste i porośnięte trawą, na których gdzieniegdzie rosły dęby i buki. Te tereny ciągnęły się od Sandringham do West Newton i do drogi prowadzącej do Wolferton. Obejrzeliśmy się i zobaczyliśmy Park House, boisko do krykieta i padoki dla koni. Po prawej stała plebania, a obok niej kościół, który przyciągał tylu gości, zwłaszcza w styczniu, kiedy modliła się w nim rodzina królewska. Jeszcze dalej na prawo znajdował się pałac Sandringham House ze swoimi wspaniale rozplanowanymi ogrodami, doskonale utrzymanymi trawnikami, ogrodami skalnymi i dużym jeziorem. Latem, kiedy pałac można było zwiedzać, przyjeżdżało tu mnóstwo turystów.

Diana pokazała mi położony bliżej West Newton dom państwa Loydów, w którym tego dnia mieliśmy jeść podwieczorek. Zawróciliśmy i poszliśmy przez park do domu. W pewnej odległości od nas pasły się na swoich padokach konie. Charles powiedział, że ojciec pragnie, żeby się nauczył jeździć konno. Chłopiec bardzo chciał się uczyć. Natomiast Diana, która przecież tak bardzo kochała zwierzęta, stwierdziła, że jej to nie interesuje, bo jest zbyt nerwowa. Odpowiedziałam, że skoro tak, to nie ma sensu, żeby się do tego zmuszała. Jest przecież mnóstwo innych rzeczy, którymi może się zajmować. A poza tym nie warto ryzykować, bo nawet najspokojniejszy koń jest w stanie wyczuć, że ktoś się boi, i zachować się w sposób nieprzewidywalny. Później okazało się, że Diana chce jednak spróbować, mimo że ja nie zachęcałam jej do tego, a raczej przeciwnie, radziłam jej, żeby dała sobie spokój. Chciała spróbować, bo Sarah i ja tak bardzo lubiliśmy jazdę konną. Ileż to dzieci zachowuje się w ten sposób: kiedy się ich do czegoś nie zmusza, chcą tego czegoś spróbować - z własnej woli. Diana nie była pod tym względem wyjątkiem.

Wczesną wiosną park był bardzo piękny - zielony i bujny. Znad ziemi wzlatywały skowronki, szybując ze śpiewem w niebo. Bażanty i kuropatwy, chowające się dotąd w trawie, uciekały nam spod nóg, jednak nie pod wpływem zachęty ze strony psów, które - zgodnie z zaleceniami Smitha - trzymaliśmy pod kontrolą. Na widok ptaków psy wpadały co prawda w szal z podniecenia, my jednak uspokajaliśmy je, gdyż był to okres lęgu, a niepokojenie ptaków w tym okresie jest uważane za ciężki grzech. Wiosną należało ptaki oszczędzać, tak aby w zimie można je było zabijać! Powiedziałam Charlesowi i Dianie, że mojego brata i mnie nauczono w dzieciństwie posługiwać się wiatrówką, ale tylko po to, żebyśmy mogli ćwiczyć się w celowaniu, strzelając do puszek umieszczonych na murku.

Diana poinformowała mnie, że ojciec kazał zrobić strzelbę dla Charlesa, Charles jednak nie powiedział na ten temat ani słowa. Oczywiście było, że strzelanie do puszek to rzecz dopuszczalna, ale strzelanie do ptaków to całkiem inna sprawa. Jednak polowanie na ptaki jest częścią życia wiejskiego w Anglii. Charles wiedział już, że będzie musiał nauczyć się strzelać, gdyż takie są w stosunku do niego oczekiwania, jednak, podobnie jak Diana, miał wstręt do niepotrzebnego zabijania.

Zbliżyliśmy się do domu i zobaczyliśmy jaskółki, które porzuciwszy na chwilę budowanie gniazd pod okapami, latały nisko nad basenem, zaspokajając pragnienie, a potem - odświeżone - powracały do pracy. Byliśmy już prawie w domu. Ten spacer dostarczył nam rozrywki i był przyjemny, mimo że nie osiągnęliśmy naszego głównego celu, którym było znalezienie miejsca na kryjówkę. Postanowiliśmy odłożyć to do następnego dnia. Tymczasem byliśmy głodni i nadeszła pora lunchu.

Ten lunch - pierwszy lunch podczas wielkanocnych ferii - miał stworzyć precedens na przyszłość, gdyż w związku z nim przenieśliśmy się z pokoju dzieciennego do jadalni, robiąc krok z dzieciństwa w dorosłość. Wszystko poszło świetnie. Sarah przyłączyła się do nas, a lord Althorp był wprost zachwycony, mając przy sobie rodzinę. Z pewnością nie żałował, że nie będzie już więcej jadał lunchu w samotności. Bettsa jeszcze wtedy nie było, więc pani Smith umieściła potrawy na podgrzewanym wózku, a my częstowaliśmy się sami. Nastrój był bardzo pogodny, co się nigdy nie zdarzało podczas popołudniowych wizyt lorda Althorpa w pokoju dzieciennym. Lord Althorp był postawnym, dobrze zbudowanym mężczyzną i dlatego zawsze wydawało się, że przy stole w pokoju dzieciennym jest nie na swoim miejscu. A tutaj znajdował się w naturalnym dla siebie otoczeniu. Posiłek - podczas którego Sarah mówiła, co zamierza robić, a Diana i Charles opowiadali o tym, co działo się

tego ranka - upłynął bardzo przyjemnie.

Po lunchu zaproponowałam, żeby dzieci pobyły trochę w domu, i przypomniałam im, że przed podwieczorkiem u państwa Loydów muszą się przebrać. Oboje bardzo chcieli pobawić się sami, w związku z czym nie musiałam ich przez cały czas pilnować. Jednak skorzystałam z okazji, by wraz z Dianą przejrzeć jej garderobę i odłożyć rzeczy, z których wyrosła i które miały być sprzedane podczas wenty dobroczynnej. Kiedy z tym skończyłyśmy, Diana postanowiła dokonać różnych zmian w swoim pokoju, tak żeby nabrał wyglądu „wakacyjnego”. Charlesa zastałam w pokoju dzieciennym. Chłopiec naprawdę lubił bawić się sam. Tym razem był zajęty zabawą małymi żołnierzami, którzy prowadzili wojnę. Dzięki temu ja mogłam usiąść i poczytać.

Koło czwartej pojechaliśmy do West Newton, do domu państwa Loydów. Dzieci poszły się bawić, a ja poznałam nianię, Australijkę, z którą się natychmiast zaprzyjaźniłam. Pomagała ona w opiece nad dziećmi, ale wykonywała też inne prace w domu. Musiała sama na siebie zarabiać i była bardzo zadowolona z pracy w tak pięknym otoczeniu. Kiedy wróci do Australii, będzie miała o czym opowiadać! Podwieczorek, złożony z kanapek i ciasta, zjedliśmy w pokoju dzieciennym.

Podział na „nas” i „onych” stanowił coś, do czego nigdy nie mogłam się przyzwycząć. Byłam więc bardzo zadowolona, że w Park House osiągnęliśmy kompromis. Jedną z rzeczy, których nauczyłam się podczas pobytu w Sandringham, było to, że ludzie ze „starymi” pieniędzmi są o wiele naturalniejsi niż nowobogacy. To nowobogacy są snobami, a nie stara utytułowana szlachta. Drugą rewelację, będącą dla mnie nie lada niespodzianką, stanowiło to, że pieniądze z pewnością nie muszą dawać szczęścia. Podczas pobytu w Park House nie spotkałam ani jednej osoby dorosłej, która byłaby naprawdę szczęśliwa.

Może zresztą ktoś z tych ludzi był szczęśliwy, ale jeżeli był, to na to nie wyglądał. Ci, którzy nie mają pieniędzy, powiedzą pewnie: „Dajcie mi szansę, a pokażę wam, jak być szczęśliwym”. Jednak pieniądze same w sobie też powodują kłopoty. Dla dziewczyny w moim wieku, która zawsze uważała, że pieniądze rozwiązują wszystkie problemy, uświadomienie sobie tego było nie lada szokiem. Bo tak naprawdę pieniądze nie rozwiązują niektórych problemów i, co więcej, powodują inne. Oczywiście cudownie jest nie musieć się ciągle martwić o to, skąd wziąć następnego szylinga. Mieszkańcy Park House i innych domów, w których bywałam w ciągu tych miesięcy, z pewnością nie mieli takich zmartwień.

Byliśmy u państwa Loydów tylko dwie godziny - tyle, ile było potrzeba, aby dzieci się pobawiły i zjadły podwieczorek. Syn państwa Loydów, Charles, był starszy od brata Diany. Miał on trzyletnią siostrę, no i oczywiście drugą siostrę - Alexandrę. Diana i Alexandra - poza tym, że chodziły do tej samej szkoły i mieszkały blisko siebie - miały niewiele wspólnego, Diana była więc zawsze zadowolona wracając do własnego domu. Umówiliśmy się, że Alexandra z nianią odwiedzą nas w przyszłym tygodniu. Nie wyjeżdżałyśmy zbyt często z domu, bo dwa tygodnie to niedługi okres, a poza tym Diana wolała mieć wolny czas dla siebie, wolała przebywać w domu niż składać wizyty i mieć jakieś zaplanowane zajęcia. Usiłowała namówić ojca, żeby poprosił Smitha, aby ten przygotował basen. Było jednak zdecydowanie za zimno i lord Althorp powiedział jej, że musi poczekać do letnich wakacji.

Pierwszy dzień minął i poczynione zostały plany na ferie. Ustaliliśmy też, co jest najważniejsze. Na pierwszej pozycji na liście priorytetów znalazło się szukanie miejsca na kryjówkę. Powiedziałam Charlesowi i Dianie, żeby znaleźli dwa miejsca nadające się do tego celu, i obiecałam, że kiedy to zrobią,

pomogę im dokonać ostatecznego wyboru. W ten sposób zaczęły się poszukiwania kryjówki, w której Diana mogłaby urządzić dom. Okazało się, że odpowiednich miejsc znalazło się aż za dużo. Oboje, Diana i Charles, szukali najlepszego z wielką determinacją i entuzjazmem, i wkrótce przyszli zasięgnąć mojej rady. Najlepsza okazała się grupa dużych, wybujałych krzewów z polanką w środku. Nad tą polanką utworzył się naturalny dach z gałęzi. Polanka była zamknięta ze wszystkich stron i otoczona czymś w rodzaju ściany, która osłaniała przed szpiegującymi oczami wrogów i wścibstwem dorosłych. Była idealną kryjówką, stanowiła sanktuarium, w którym dzieci mogły odgrywać dowolne role. zaproponowałam, żeby oczyściły podłogę, które miało być podłogą, po czym poszłam zatelefonować do matki Annabel Fox i zapytać, czy Annabel będzie chciała przyjść do nas na drugi dzień. Postanowiłam też zaprosić Gilesa, jednego z kolegów Charlesa. Jasne było, że dziewczynki będą się dobrze bawiły, urządzając kryjówkę, a Charlesowi ta kryjówka będzie mogła posłużyć jako obóz-baza.

Umówiłam Annabel i Gilesa na wizytę, a Charlesa i Dianę na rewizytę u nich w przyszłym tygodniu. Po wyjeździe dzieci do matki miałam mieć dwa tygodnie urlopu, dlatego teraz, w pierwszej połowie ferii, nie brałam wolnego. Kiedy dzieci spędzały dzień u przyjaciół, miałam trochę odpoczynku. W innych wypadkach wypoczywałam podczas godzinnej przejażdżki konnej, ale tylko wtedy, kiedy lord Althorp był w Park House, bo kiedy go nie było, nigdy nie oddalałam się od domu. Czasami Charles i Diana odwiedzali kogoś, a czasami mieli gości u siebie. Co do mnie, to wołałam zawozić ich do przyjaciół. Moim obowiązkiem było też zakończenie wizyty i odwiezienie do domu ich małych gości w wypadku gdyby ci byli już zmęczeni. W rzeczywistości to się nigdy nie zdarzało. Na takim naturalnym terenie do zabaw jedynie bardzo trudne dzieci nie byłyby

w stanie bawić się przez kilka godzin.

Diana, choćby nie wiem jak zajęta, nigdy nie zaniedbywała swojej świnki morskiej imieniem Peanuts. Niewiele czasu spędzała na zabawie martwymi zabawkami, na przykład lalkami, gdyż wolała żywe istoty, które reagowały na to, co robi. Była pewna, że świnkę morską należy przenieść do domu, ja jednak nie zgadzałam się z nią. Charles miał chomika, który był znacznie mniejszy od świnki i który mieszkał w domu w swojej klatce. Diana uważała, że chomik jest wyróżniany, że ma protekcję. Wy tłumaczyłam jej, że świnka morska, która w szkole żyje na powietrzu, jest do takiego życia przyzwyczajona. Przenosząc ją do domu, zmieniłoby się jej środowisko i bardzo utrudniło ponowne przystosowanie się do warunków, jakie miała w szkole. Wydawało się, że ten argument zamyka sprawę. Lubiłam zwierzęta, ale byłam zdania, że powinny przebywać tam, gdzie ich miejsce, a w tym wypadku tym miejscem była klatka. Wkrótce okazało się, że Diana się ze mną nie zgadza, ponieważ niedługo po tej rozmowie, w momencie gdy byłam czymś zajęta, świnka morska pojawiła się w pokoju dzieciennym.

- To po to, żeby miała jakąś odmianę - powiedziała Diana.
- Bo ona się nudzi na dworze.

Czy świnka morska może się nudzić? - zadałam sobie pytanie i poleciłam ją natychmiast wynieść. Świnka nie była co prawda przyzwyczajona do porządku, ale chyba zrozumiała moje polecenie, bo skwapliwie wykorzystwała to, że drzwi pokoju dzieciennego są otwarte, uciekła przez nie i pobiegła korytarzem w stronę wyjścia. Powiedziałam Dianie, że musi uważać, bo świnka może zginąć gdzieś na dworze. Lęk przed utratą ukochanej Peanuts spowodował, że Diana mnie posłuchała i zamknęła świnkę w klatce.

Była typowa angielska wiosna. Pogoda bez przerwy się zmieniała. Staraliśmy się jak najwięcej przebywać na świeżym

powietrzu. Czasami, kiedy zabierałam psy na spacer, dzieci szły ze mną. Te spacery były doskonałą okazją do rozmów. Diana nigdy nie miała dosyć opowieści z mojego dzieciństwa. Powiedziała jej, że w czasie letnich wakacji zawsze mieliśmy z bratem jakąś ulubioną zabawę, a niektóre dzieci wiejskie przyłączyły się do nas. Najbardziej lubiłam opowiadać o wakacjach, podczas których bawiliśmy się w cyrk. Charles stwierdził, że lubi kłownów, a Dianę fascynowali artyści ćwiczący na trapezie. Diana była ciekawa, jak przedstawiały się moje stosunki z rodzicami, chciała też wiedzieć, czy będąc dzieckiem często broiłam. Powiedziałam jej, że mój brat i ja lubiliśmy pomagać w żniwach. Każdego lata pracowaliśmy na polach należących do rodziców i ciągnących się za naszym domem. Na tych samych polach puszczaaliśmy latawce. Była to jedna z naszych ulubionych rozrywek. Ja bardzo pragnęłam latać w powietrzu, jak mój latawiec - taki zwykły latawiec, taki jakie rysują dzieci, a nie żaden tam wyszukany z dwoma sznureczkami. Ogon takiego latawca robiłam zwykle z pasków papieru gazetowego i kawałków sznurka. Diana chciała usłyszeć historię o tym, jak z powodu latawca naraziłam się na gniew rodziców. Pewnego dnia, kiedy wiał wiatr, puszczałam go na polu, na którym rosło nie zżęte jeszcze zboże. Rodzice tak bardzo rozgniewali się na mnie za to, że je podeptałam, że posłali mnie do mojego pokoju. W ten sposób karano dzieci w latach pięćdziesiątych. No cóż, czasy się zmieniają.

Rozmawiałyśmy też o snach. Diana zwierzyła mi się, że zaraz po odejściu matki miała bardzo niedobre, pełne niepokoju noce. Ale nie pamiętała snów, pamiętała tylko, że była smutna. Jednak, ponieważ dom był pełen ludzi, jej głęboki smutek wkrótce minął, a kiedy sprawy ułożyły się tak, że mogła się widywać i z matką i z ojcem, wróciła do równowagi. Diana chciała wiedzieć, jakie ja miewałam sny, ale jej powiedziałam, że większość z nich zapomniałam. Jedynym snem, który

pamiętałam - dlatego, że często się powtarzał - był sen, który miał miejsce na tym samym polu, na którym puszczałam latawcę. W tym śnie coś mnie zmuszało do biegu. Biegłam bardzo długo, biegłam, dopóki moje stopy nie oderwały się od ziemi i dopóki nie zaczęłam się wznosić w powietrze. Leciałam w górę, w niebo, ponad chmury. A potem sfruwałam nisko, nad ziemię i ponownie wznosiłam się wysoko. Diana nigdy nie miała takich snów - chociaż są one podobno częste. Zapytała mnie, czy zdarza mi się śnić go jeszcze teraz. Odpowiedziałam, że od kilku lat już nie. Wiele lat później, w roku 1990, napisałam do niej i przypomniałam jej ten sen o lataniu. Poinformowałam ją, że właśnie wróciłam z podróży do Kaszmiru, gdzie podczas pobytu z synem w Himalajach ten sen się powtórzył, choć nie był identyczny, gdyż tym razem znajdowałam się w nim w innym otoczeniu. Byłam nim tak zdziwiona, że - po obudzeniu się - zapisałam go, przypominając sobie rozmowę, którą prowadziliśmy przed laty. Możliwe, że Diana nie pamiętała tej rozmowy. W tym czasie tak bardzo pochłaniały ją jej poważne małżeńskie problemy, że z pewnością nie miała głowy do snów i rozmów z odległej epoki dzieciństwa.

Diana bardzo lubiła mówić o tym, co będzie robiła, kiedy dorośnie. Pytała mnie, czy w jej wieku miałam jakieś plany na przyszłość. Kiedy mnie poinformowała, że chciałaby zajmować się dziećmi - jako pielęgniarka albo jako nauczycielka - gdyż baletnicą nie zostanie, bo będzie za wysoka, powiedziałam, że moja matka byłaby zachwycona, gdybym ja miała takie ambicje. Czasami doprowadzałam Dianę do rozpacz, bo kiedy jej koleżanki pytały mnie, co w ich wieku chciałam robić, kiedy dorosnę, odpowiadałam, że pragnęłam zostać Cyganką albo woltyżerką w cyrku. Wybierałam takie „zawody” jedynie dlatego, że uważałam, iż wykonując je będę mogła podróżować. Dianę interesowało, dlaczego tak bardzo chciałam opuścić dom rodzinny.

- Czy byłaś tam nieszczęśliwa? - pytała.

Odpowiadałam, że nie, bo dom moich rodziców zapewniał mi poczucie bezpieczeństwa i szczęśliwe dzieciństwo, i mówiłam, że po prostu chciałam być wolna. Diana, która we wczesnym dzieciństwie doświadczyła braku poczucia bezpieczeństwa, nie mogła tego zrozumieć. Uważała, że moje dzieciństwo, spędzone w bardzo żywej rodzinie, było idealne.

Jak większość dzieci, Diana bardzo lubiła współzawodnictwo. Grywaliśmy na dziedzińcu w klasy. Często przyłączała się do nas Sarah i wtedy grze towarzyszyło mnóstwo śmiechu. Wysoka jak na swój wiek, ale szybka i zwinna Diana była bardzo w tej grze sprawna. Jej siostrze trudno było z nią wygrać. W tamtych czasach było tyle przyjemnych gier, w które dzisiaj dzieci grywają tak rzadko. Co się z nimi stało? Być może zniknęły dlatego, że nie są skomputeryzowane! Tak więc odbywaliśmy spacerów, podczas których prowadziliśmy pogodne rozmowy i podczas których opowiadałam dzieciom różne historie, grywaliśmy w klasy, organizowaliśmy zawody w hula-hoop, skakaliśmy przez skakankę. Brukowany dziedziniec był bardzo dobrym miejscem do tych zabaw.

Oczywiście czasami padało, a wtedy byliśmy uwięzieni w domu. Na kominku płonął ogień, a my patrzyliśmy przez okno na park moknący w deszczu. Zapominaliśmy wtedy o słońcu i spacerach i czuliśmy się bezpieczni w ciepłym świetle, który starałam się dzieciom stworzyć. W taką pogodę mogliśmy się oddawać zajęciom, które Diana uwielbiała: mogliśmy odgrywać scenki, tańczyć i śpiewać. Ja jako dziecko również bardzo lubiłam odgrywać różne role i śpiewać, ale byłam zbyt nieśmiała, żeby robić to przed rodzicami. Pamiętając o tym, zachęcałam Dianę, żeby grała. Opowiedziałam jej, jak pewnego razu byłam na farmie u kuzynki i jak obie odgrywałyśmy w starej, krytej strzechą stodole scenki wynikające z treści piosenek.

Naszą sceną były ułożone jedne na drugich sześciany ściętej słomy i każda z nas miała tę drugą za całą publiczność. Publiczność Diany - jej brat - była tylko trochę starsza niż moja i dość obojętna. Diana wolała śpiewać i tańczyć, ale odgrywaniu ról także oddawała się bez reszty.

Powiedziałam dzieciom, że w domu na farmie u mojej kuzynki był duch. Diana i Charles nie bardzo wiedzieli, czy wierzą w duchy. Diana uważała, że duchy prawdopodobnie istnieją, ale tylko w starych domach, i twierdziła, że „umarłaby”, gdyby zobaczyła jednego z nich. Charles natomiast twierdził, że „to wszystko bzdury”, być może dlatego, że chciał pokazać, iż jest innego zdania niż siostra. Diana była ciekawa, czy moja kuzynka kiedykolwiek widziała ducha. Wyjaśniłam im, na czym polega egzorcyzmy, i opowiedziałam, jak ten duch z farmy został zamknięty w kredensie. Później przez wiele lat się nie pokazywał, aż do czasu, gdy pewnego dnia ktoś niechcący otworzył kredens i go wypuścił. Wkrótce potem moja kuzynka zobaczyła go w nogach swojego łóżka. Oskarżona przez ojca o to, że ma zbyt bujną wyobraźnię, upierała się, że naprawdę widziała ducha. Namówiła też ojca, żeby posiedział w nocy w jej sypialni. Dzieci z zapartym tchem czekały na zakończenie tej historii i były zdumione, kiedy im powiedziałam, że ojciec też zobaczył ducha. Obawiałam się potem trochę, że Diana i Charles będą się w nocy bali, więc szybko powiedziałam, że w Park House nie ma duchów, bo duchy nie zjawiają się tak po prostu. Dodałam też, że gdyby duchy tam były, to wszyscy by o nich wiedzieli.

Bardzo kochałam poezję i starałam się wpoić tę miłość Charlesowi i Dianie, w nadziei, że piękne słowa i wyczarowane przez nie obrazy rozpalą wyobraźnię i pomogą wprowadzić ich w świat znajdujący się poza ich bezpiecznym kokonem. Oboje mieli sporo okazji do zapoznania się z tym światem. Ojciec,

wychowując ich, robił wszystko, żeby byli podobni do innych dzieci. Zostali nauczeni, że powinni doceniać to, iż prowadzą życie wolne od trosk materialnych. Mieli wszystko, co im było niezbędne, ale nie uważali, że ten stan rzeczy jest czymś naturalnym. Zdawali sobie dobrze sprawę, że ich życie różni się bardzo od życia wielu ludzi, których główną troską jest jak przeżyć z dnia na dzień. Lord Althorp w żadnym razie ich nie psuł nadmiarem dóbr materialnych.

Między rodziną Spencerów a rodziną królewską istniały bliskie związki, ale dzieci nie należały do królewskiej rodziny. Dlatego miały swobodę, mogły kontaktować się z różnymi ludźmi i odebrały stosunkowo normalne wychowanie. Dianie bardzo się to przydało, gdyż już jako księżna Walii potrafiła dzięki temu wykazać się zdolnością instynktownego porozumiewania się ze wszystkimi. Diana ma tę zdolność, bo rozumie ludzi, rozumie ich nadzieje i lęki oraz ciągnęła presję codziennego życia. Dzięki swemu szczęśliwemu dzieciństwu - szczęśliwemu mimo szoku, jaki spowodowało rozstanie rodziców - oraz wskutek rozpadu jej własnego małżeństwa, doświadczyła emocji będących udziałem tak wielu. Diana - dzięki swym osobistym doświadczeniom, a także dzięki instynktownemu współczuciu dla zwykłych ludzi - jest bardzo ciepła i szczerą, wykonując swoje królewskie obowiązki. Swemu naturalnemu, otwartemu sposobowi bycia zawdzięcza to, że ludzie z łatwością nawiązują z nią kontakt. Trudno sobie wyobrazić lepszą matkę dla przyszłego króla Anglii. Nikt nie ukształtuje go lepiej niż Diana, która jest obdarzona naturalną zdolnością rozumienia ludzi, nabytą w latach jej własnego dzieciństwa.

Charles nie brał udziału w śpiewach i odgrywaniu scenek. Mówił, że Diana się popisuje, i miał poniekąd rację. Diana uwielbiała grać przed publicznością, ale przeważnie musiała się zadowolić widownią składającą się z raczej obojętnego brata i mnie. W wielu sferach Diana nie miała nadzwyczajnych

osiągnięć. Uczyła się nie najlepiej, więc - całkiem rozsądnie - opowiadała o swoich osiągnięciach w nauce nieco koloryzując i skupiała się na tym, w czym czuła się pewniej. A pewniej czuła się w zajęciach praktycznych i sportach, na przykład w pływaniu. W tych dziedzinach ujawniały się jej talenty. Instynkt podpowiadał jej zawsze, kiedy może sobie pozwolić na figle, a kiedy powinna raczej wycofać się w cień. Nikt nigdy nie udawał, że Diana odznacza się wybitnymi zdolnościami intelektualnymi, jednak jej rozbrajająca szczerość i zdolność do śmiania się z samej siebie i własnych błędów zaprzeczają opinii tych, którzy szydzą z jej braku inteligencji. Jej zdrowy rozsądek, którego ma naprawdę pod dostatkiem i który jest pod wieloma względami o wiele więcej wart niż inne kwalifikacje, przydał jej się wiele razy i w dzieciństwie, i w życiu dorosłym.

Wieczorami, przed pójściem spać, siadywaliśmy przy kominku, czytając i rozmawiając. W Riddlesworth Diana nauczyła się sztuki robienia „kocich kołysek” polegającej na tworzeniu skomplikowanych wzorów z nitki nałożonej na palce. Pokazałam jej kilka zapamiętanych z własnego dzieciństwa. Cóż, są rzeczy, które się nigdy nie zmieniają. Grywaliśmy też w gry planszowe. Diana wolała warcaby od szachów, w które grał jej brat. Uważała, że szachy są zbyt powolne i nużące, a poza tym za dużo trzeba było przy nich myśleć, jeżeli się chciało grać porządnie. Bardzo rzadko oglądaliśmy telewizję. Wydawało nam się, że zawsze jest mnóstwo bardziej interesujących zajęć.

Na drugi dzień po znalezieniu miejsca na kryjówkę Diana wstała o zwykłej wczesnej porze, podniecona perspektywą wizyty Annabel, która miała spędzić z nią cały dzień. Nie widziała się z przyjaciółką od poprzednich ferii, miały więc sobie mnóstwo do powiedzenia. Annabel przywieziono o jedenastej. Prawie równocześnie przyjechał Giles, kolega Charlesa.

Powiedziałam dzieciom, że mogą robić, co chcą, pod warunkiem że o pierwszej zjawią się na lunch - czyści i z umyтыми rękami. Diana natychmiast zaprowadziła Annabel do kryjówki, a Charles i Giles podążyli za nimi. Chłopcy - bardzo rozsądnie - uznali, że wyposażanie kryjówki to zajęcie dla dziewczynek. Za tą opinią kryło się niewyrażone słowami przekonanie, że skala sukcesów Diany w staraniach o potrzebne do tego celu rzeczy będzie zdecydowanie większa. Diana potrafiła bowiem prosić w ten sposób, że osoba, do której się zwracała, czuła się tak, jakby dziewczynka prosząc oddawała jej przysługę. Chłopcy poszli się bawić, zadowoleni, że są zdani na własne towarzystwo, gdyż Diana przy gościach zdradzała skłonności do „dyrygowania”. Kryjówka, mimo że miała być wspólną własnością Diany i Charlesa, natychmiast stała się terytorium Diany, która - uznawszy, że tu rządzi - zaczęła wydawać polecenia. Mówiła, gdzie co ma leżeć. Wysyłała też innych po różne rzeczy, a sama urzędowała wszystko tak, jak chciała, zadowolona, że może rozkazywać.

- Idź do kuchni i poproś kucharkę o jeszcze jeden talerz - mówiła do brata.

Na co ten natychmiast odpowiadał:

- Idź sobie sama.

Ich goście, zbyt uprzejmi, aby odmówić, woleli zdobyć się na odwagę i stanąć twarzą w twarz z kucharką niż sprawić zawód swojej gospodyni. Charles i Giles mieli mundury wojskowe, bawili się więc w komandosów, a pień ściętego drzewa koło basenu służył im jako wieża obserwacyjna.

Diana i Annabel, ustalwszy, co jest potrzebne do urządzenia kryjówki, poszły szukać pani Smith, pewne, że ta pomoże im zdobyć te rzeczy. Pani Smith okazała się tak chętna do pomocy, jak się spodziewały, i spełniła ich życzenia. Prawdopodobnie uważała, że dzięki temu dziewczynki, zajęte w swojej kryjówce, nie będą przeszkadzały ani psociły w domu. Dostały

więc stary dywan, filiżanki, sztuce, wazonik na polne kwiaty, które miały ozdobić ich „dom”, oraz jakieś talerze i pobiegły „do siebie”. Podczas lunchu przedstawiły lordowi Althorpowi swoje plany i poprosiły go, żeby przyszedł i zobaczył kryjówkę, która była już gotowa. Zapytałam je, skąd mają zamiar wziąć kwiaty i, wiedząc, że wazonik jest mały, zaproponowałam, żebyśmy poszły nazrywać pierwiosnków. W lesie były miejsca, w których rosło mnóstwo kwiatów w różnych kolorach, zależnie od pory roku. Były tam przebiśniegi, krokusy, zawilce. W maju i w czerwcu ziemię pokrywały całe dywany z błękitnych dzwonek, a w marcu i kwietniu - kiedy poruszane wiatrem żonkile tańczyły radośnie pod drzewami - ogromne połacie parku żółciły się już z daleka. Powiedziałam dziewczynkom, że pierwiosnków najlepiej szukać wzdłuż brzegów i pod żywopłotami w parku. Uwielbiałam wiosnę. Była to moja ulubiona pora roku, zawsze taka pełna nadziei. Cudownie było widzieć, że wszystko się zieleni i że skończyła się już ponura, szara zima. Po lunchu chłopcy nie chcieli iść z nami i wrócili do swojej zabawy. A my włożyłyśmy kalosze, bo trawa w parku była mokra, i ruszyłyśmy na poszukiwanie żółtych twarzyczek wiosny - pierwiosnków. Miałyśmy szczęście i wkrótce znalazłyśmy kępkę kwiatów. Część z nich była ukryta w podszyciu, które po niedawnych deszczach wybijało tak, jakby pragnęło zaćmić całe ich piękno. Dostępu do innych broniły pokrzywy. Nie zbliżałyśmy się do nich, uważając, że jest mnóstwo takich, które rosną w miejscach mniej niebezpiecznych. Powiedziałam dziewczynkom, żeby zrywały pierwiosniki na jak najdłuższych łądkach i żeby układały małe bukietki z kwiatów otoczonych szerokimi, zielonymi liśćmi. Bukietik przeznaczony do kryjówki został wkrótce zrobiony, ale Diana uważała, że pani Smith ucieszy się, jeżeli zbiorą też kwiatki na bukietik dla niej. Był to miły,

spontaniczny gest - bardzo typowy dla Diany-dziecka i Diany-dorosłej kobiety. Annabel postanowiła zrobić bukiet dla swojej matki. Kiedy wszystkie bukietki były już gotowe, powiedziałam dziewczynkom, żeby nie zrywały więcej kwiatów, żeby im pozwoliły rosnąć swobodnie w ich naturalnym środowisku, gdyż dzikie kwiaty po zerwaniu nie trzymają się długo.

Po powrocie do domu pozwoliłam dzieciom bawić się w co chca, a sama zajęłam się przygotowaniami do podwieczorku, który mieliśmy jeść w pokoju dzieciennym. Dzień był udany, a dzieci zmęczone, ale zadowolone. Takie wizyty jak ta odbywały się podczas każdych wakacji i ferii, sprawiając dzieciom dodatkową przyjemność. Muszę powiedzieć, że przez wszystkie te lata, które upłynęły od mojego pobytu w Sandringham, wspominał życie w Park House przede wszystkim jako życie, z którego dzieci i ja czerpaliśmy przyjemność i zadowolenie. Podobnie jest z pogodą. W moich wspomnieniach z Park House pogoda jest zawsze piękna. Chociaż oczywiście musiało padać. W rzeczywistości różne zapiski dowodzą, że padało często. Musiały też być dni, kiedy nie wszystko szło gładko i kiedy nie dopisywały humory, ale rzeczy te miały tak małe znaczenie, że ich nie zapamiętałam.

Rozdział piąty

Dni miały spokojnie. Jedynym problemem był stosunek niektórych członków personelu domowego do mnie. Większość tych ludzi była starymi domownikami, do których wyobrażeń o tym, jaka powinna być „niańka”, zupełnie nie pasowałam. Zajmowałam się dziećmi, nie mając prawie żadnych dodatkowych obowiązków, i czułam się swobodnie zarówno w górnej, jak i w dolnej części domu.

Kamerdyner, który pojawił się wkrótce po rozpoczęciu ferii wielkanocnych, niezbyt mnie lubił, gdyż nie mógł się pogodzić z tym, że byłam w takich a nie innych stosunkach z ludźmi „na górze”. Lord Althorp polecił mu obsługiwać nas podczas posiłków w jadalni zawsze tak samo - bez względu na to, czy sam jadł z nami czy był nieobecny. To, że nasze posiłki były proste,

także nie mogło mieć wpływu na to, w jaki sposób kamerdyner nas obsługuje. Sarah i Diana z wielką satysfakcją obserwowały Bettsa, widząc z jaką przykrością spełnia on polecenia lorda Althorpa i jaki jest oburzony, musząc obsługiwać „dzieci i niańkę”. Jedyne świadomość, że ma bardzo dobrą pracę, której nie chce stracić, powstrzymywała go od powiedzenia lordowi Althorpowi, co na ten temat myśli. Betts był na tyle inteligentny, że zdawał sobie sprawę, iż jakikolwiek objaw wrogości w stosunku do dzieci może spowodować szybką utratę posady. Wyjątkiem mogłaby być tylko sytuacja, w której dzieci zasłużyłyby na coś takiego. Lord Althorp był bowiem człowiekiem bardzo sprawiedliwym i w takim wypadku z pewnością okazałby zrozumienie. Dziewczynki nie przepuściły żadnej okazji, by zachować się wobec Bettsa władczo. Gdyby Betts był dla mnie miłszy, z pewnością współczułabym mu, gdyż połączone siły sióstr stanowiły coś, z czym naprawdę należało się liczyć. Ponieważ jednak rzeczy miały się tak jak się miały, ograniczałam się do zwracania dziewczynkom uwagi, że nie jest to właściwe zachowanie, przy czym czyniłam to niezbyt zdecydowanie, ponieważ właściwie byłam po ich stronie i uważałam, że aroganckiemu Bettsowi należy przytrzeć nosa. Reszta personelu podśmiewała się z niego po kryjomu, ale także krytkowała mnie - za to, co uważała za zbyt dużą pobłażliwość w stosunku do dziewczynek. Ja jednak bardzo prędko nauczyłam się ignorować tę krytykę. Byliśmy tak szczęśliwi i mieliśmy tyle zajęć, że nie przejmowaliśmy się całą sytuacją. Pragnęliśmy jednak, żeby podczas lunchu panowała atmosfera beztrudnej wesołości.

Co do żony Bettsa, to gotowała ona smaczne, zdrowe posiłki, które wszyscy doceniali i zjadali z apetytem. Dzieci jadły wszystko, co się im podało. W ich domu nie aprobowano grymasów, ale nie zmuszano ich także do jedzenia tego, czego nie

lubili. Posiłki stwarzały okazję do pobycia razem i do opowiedzenia sobie o tym, co się wydarzyło, a nie do przewlekłych dyskusji na temat konieczności zjadania tej czy innej potrawy. W Park House pito bardzo mało alkoholu. Wszyscy, nie wyłączając lorda Althorpa, piliśmy przy posiłkach wodę, którą podawano w dużych szklanych dzbankach.

Jedną z głównych wycieczek, jakie odbyliśmy podczas tych ferii, była wycieczka na miejscowy jarmark i wentę dobroczynną w wiejskim domu zebrań. To na tę właśnie wentę Diana oddała wszystkie swoje stare ubrania. Pojechaliliśmy simką - lord Althorp, Charles, Diana i ja. Rzadko jeździliśmy jaguarem lorda Althorpa. Lord Althorp używał go podczas dłuższych podróży - kiedy jechał do Londynu albo do Althorp Hall, w odwiedziny do swoich rodziców. Nie bardzo interesowały go samochody, a już z pewnością nie chciał swoim pojazdem „robić wrażenia”. O wiele bardziej interesowała go możliwość łatwego parkowania, a poza tym simca była ekonomiczniejsza. Cieszyłam się, że mam okazję ubrać się w coś elegantszego. Zdołałam też namówić Dianę, żeby włożyła spódnicę i sweter, a nie swoje ulubione spodnie. Charles, ubrany we flanelową koszulę w kratkę, sztruksowe spodnie i sweter, był uderzająco podobny do ojca.

Na jarmarku, jak to zwykle bywa, znajdowały się różne stragany. Na jednym sprzedawano domowe ciasta, ciasteczka i chleb (my nie dostarczyliśmy swoich wypieków), na innym miejscowe owoce i warzywa, na jeszcze innym przetwory i domowe wina, wśród których - według słów sprzedawców - te zrobione z mleczka i pokrzywy przewyższały smakiem wszystko, co potrafią wyprodukować Francuzi! Mijaliśmy też stragany, przy których można było się zabawić - rzucić strzałką albo monetą i wygrać jakąś zabawkę-przytulankę. Widzieliśmy także kram, na którym sprzedawano świecidełka i ozdóbki oraz

„śmieszne rzeczy” - takie, jakie można znaleźć w sklepikach w miejscowościach nadmorskich. Panowała beztraska, pogodna atmosfera. Nikt nie szczędził wysiłku, wszyscy chcieli jak najbardziej zasilić wioskowy fundusz. Pękate, wesołe kobiety w fartuchach ochraniających ubranie podawały dzieciom herbatę, kawę i sok pomarańczowy, a także różne ciastka i kanapki. Lord Althorp pozwolił Charlesowi i Dianie chodzić gdzie chcą i oglądać wszystko. Oboje mieli przy sobie swoje kieszonkowe i szukali prezentów dla matki, u której mieli spędzić drugą połowę ferii. Diana nie mogła się powstrzymać i kupiła sobie kolejną zabawkę-przytulankę do swojej kolekcji.

Zanim lord Althorp pozwolił dzieciom odejść, chodziliśmy po sali razem. Lord Althorp, wysoki, postawny mężczyzna, górował nad tłumem oglądających i kupujących, z których większość była świadoma jego obecności. Bardzo lubiany i popularny, znał wiele osób z nazwiska. Pierwsze piętnaście minut upłynęło nam na powitaniach, a także na poznawaniu nowych ludzi. Z wielką ulgą przyjąłem to, że lord Althorp, przedstawiając mnie, nieodmiennie mówił:

- To jest Mary, która pomaga mi opiekować się dziećmi.

Przy czym ani razu nie padło słowo „niania”, czego się tak obawiałam. Było to określenie, z którym nie mogłabym się pogodzić i z którym nie musiałam się godzić dzięki talentowi dyplomatycznemu lorda Althorpa. Moją niechęć do tego, aby nazywano mnie „nianią”, wprost trudno opisać. To słowo przywołuje wyobrażenie osoby, która bycie niańką uważa za swój zawód, co - choć samo w sobie godne szacunku - nie było zgodne z prawdą w moim przypadku. Dokonawszy takiego życiowego wyboru, prawdziwa niańka idzie do college'u i zostaje wykwalifikowaną niańką, która później przez wiele lat zdobywa doświadczenie na wybranym polu. Traktuje się ją często

jak osobę drugiego gatunku - pracującą dla rodziny, ale nigdy do niej nienależącą. Pozwala jej się mieć władzę w pokoju dzieciennym, a jej pracodawca prawdopodobnie bardzo ją szanuje, ale nigdy nie uważa za kogoś równego sobie. W ciągu dwudziestu lat ten obraz bardzo się zmienił i dzisiaj większość nianiek jest taka jak ja w tamtych czasach. Moja niechęć spowodowana była tym, co miało miejsce wiele lat temu.

Kiedy po obejrzeniu straganów na własną rękę wróciłam do lorda Althorpa, Charlesa i Diany, lord Althorp rozmawiał z jakimś starszym dżentelmenem, któremu najwyraźniej przedstawił już dzieci. Zobaczywszy mnie stojącą obok, ten pan powiedział:

- A to pewnie jest ich siostra.

Lord Althorp potwierdził to z roztargnieniem. Diana zachichotała i zaraz spoważniała. Byłam nieco zakłopotana i miałam nadzieję, że nie powie nic na ten temat, kiedy starszy pan odejdzie. Jednak ta nadzieja okazała się płonna. Diana opowiedziała wszystko ojcu. Nigdy nie przepuściła okazji, aby zażartować sobie z kogoś, chociaż nie robiła tego złośliwie. Lord Althorp zapytał tylko:

- Ojej, naprawdę tak powiedziałem?

I w ten sposób ją zgasił.

Dzieci, kiedy się je przedstawiało, grzecznie podawały rękę, ale wciąż miały skłonność do spuszczenia oczu. U Charlesa, z którym spędziłam więcej czasu, nastąpiła pod tym względem znaczna poprawa. Chłopiec przeważnie podnosił wzrok, kiedy mu się o tym przypominało, jednak Diana, choć usiłowała robić tak, jak jej się mówiło, wciąż miała trudności z pozbyciem się dawnego nawyku. W końcu wyszliśmy i wróciliśmy do Park House - tego naszego zacisza, w którym w ciągu paru minut poczuliśmy, że ogarnia nas spokój i pogodny nastrój. Dzisiaj Diana zapewne czuje to samo, kiedy po dniu wypełnionym

królewskimi obowiązkami wraca do własnego domu, który - dzięki temu, że jest jej tak dobrze znany - działa na nią kojąco.

Dzieci nie chciały wyjeżdżać codziennie. Niepotrzebne im też były codzienne rozrywki. Każde z nich czuło się dobrze w samotności i w towarzystwie tego drugiego. Ponieważ w szkole były przez cały czas wśród ludzi, rozkoszowały się spokojem, jaki zapewniał im dom. Do Park House rzadko przyjeżdżali goście, którzy zatrzymywali się na noc. Lord Althorp często bywał na kolacjach u przyjaciół, a rzadziej przyjmował ich u siebie. Jednak podczas tych ferii spodziewaliśmy się przyjaciół z Danii, którzy mieli spędzić w Park House weekend.

W sobotę wszyscy wraz z gośćmi jedliśmy lunch w jadalni. Atmosfera była o wiele swobodniejsza niż dawniej, kiedy dzieci nie jadały co dzień na dole. Jadalnia nie kojarzyła się już nikomu z napięciem i zakłopotaniem. Lunch w jadalni był teraz czymś codziennym, jedyną rzeczą niezwykłą stanowiła tego dnia obecność duńskich gości, ludzi bardzo bezpośrednich, którzy włączyli dzieci do rozmowy. Sarah opowiadała im o koniach, zwłaszcza o Peppermint, a oni uprzejmie wyrazili chęć obejrzenia klaczy. Po skończonym lunchu Sarah zapytała, czy może już wstać od stołu, pójść po nią i ją przyprowadzić. Diana chciała pójść z siostrą. Byłam tym nieco zdziwiona, gdyż Diana rzadko spędzała czas z końmi. Przypuszczałam, że chciała znaleźć pretekst do wstania od stołu.

Dziewczynki wyszły, a my przeszliśmy do salonu. Zwykle w tym momencie dzieci i ja zostawialiśmy lorda Althorpa z gośćmi, ale tym razem Charles i ja postanowiliśmy poczekać, aż Sarah przyprowadzi Peppermint. Nagle w holu rozległ się straszny rumor i do salonu - tego pięknego pokoju, który mógłby być ozdobą okładki każdego magazynu - weszła Sarah, prowadząc podkutego konia. Na twarzach gości i lorda Althorpa odmalowało się bezgraniczne zdumienie. To zdumienie

przeszło w śmiech, gdy lord Althorp łagodnie upomniął swoją zwariowaną najstarszą córkę, mówiąc:

- Ależ, dziecko, ja powiedziałem: Przyprawdź ją pod dom, a nie do domu.

Powiedzmy, posługując się typowo angielskim niedopowiedzeniem, że Duńczycy byli nieco zaskoczeni. Po powrocie do domu napisali list z podziękowaniem za gościnę, w którym stwierdzali, że z tej swojej wizyty w Anglii najlepiej zapamiętają widok dużego, siwego konia wkraczającego do salonu. Później okazało się, że tym razem to Diana - która zwykle ulegała namowom siostry - nie mogła się powstrzymać i, chcąc ożywić nastrój, skłoniła Sarę, żeby ta weszła z koniem do salonu. A Sarah, która wcale nie musiała się na to zgodzić, podjęła wyzwanie, bo nie chciała dopuścić do tego, żeby młodsza siostra była górą. Muszę stwierdzić, że takie wybryki nie zdarzały się często i że taki incydent nigdy się nie powtórzył. Dzieci szanowały dom i doceniały wysiłek domowego personelu, który o niego dbał.

Alexandra wraz z nianią Barbarą - zaproszone w zeszłym tygodniu - przyjechały, żeby spędzić dzień w Park House. Charles też miał gościa - kolegę imieniem John. Chłopcy i dziewczynki bawili się przez cały dzień oddzielnie. Natomiast lunch i podwieczorek zjedli wszyscy razem. Lorda Althorpa nie było tego dnia w domu, a kucharka miała wychodne. Barbara i ja przygotowałyśmy lunch i postanowiłyśmy, że zjemy go w pokoju dzieciennym, ponieważ Sarah, która pojechała odwiedzić przyjaciół, też była nieobecna. Diana natychmiast po przyjeździe Alexandry zaprowadziła ją do kryjówki, którą w zeszłym tygodniu urządziła wraz z Annabel. W ciągu tygodnia, który od tego czasu upłynął, Diana i Charles spędzali tam czas na różnych zabawach, jednak nie na takiej zabawie, w jaką teraz miały się bawić Diana z Alexandra. Ta zabawa była zabawą w dom. Pochłonęła ona dziewczynki całkowicie - natychmiast

po tym jak Alexandra wyraziła uznanie dla domku „z krzaków”. Już podczas naszej pierwszej podróży, kiedy wiozłam Dianę ze szkoły do domu, tematy, jakie poruszała, świadczyły o tym, że myśląc o swoim życiu dorosłym, skupia się przede wszystkim na miłości i małżeństwie. Przekonałam się później, że jedno się u niej nigdy nie zmieniało: Diana zawsze miała niezachwianą dziecięcą pewność, że bez tej pierwszej nie może być tego drugiego.

To właśnie ze względu na pamięć o dziewczęcych ideałach Diany - ze względu na to, że wiedziałam, iż wszystkie jej marzenia były marzeniami o szczęśliwym małżeństwie, a jej życiowym celem było mieć kochającego i kochanego męża oraz dużo dzieci - z takim smutkiem i gniewem przyjąłem niezawinioną przez nią klęskę jej małżeństwa. Marzenie Diany o czymś bardzo prostym - o szczęśliwym życiu rodzinnym - nie spełniło się. Trzeba jej zapisać na plus, że - po klęsce swego małżeństwa - wykazała się niezwykle silną wolą i mocą charakteru. Cechy te odziedziczyła po matce, Frances, której rodzice i dziadkowie, zwłaszcza ze strony ojca, byli znani z silnych i dominujących osobowości. Byli oni pełnymi życia i niezwykle stanowczymi indywidualistami. Babka Diany ze strony matki, Ruth Fermoy, z domu Gili, pochodziła z rodziny wojskowej i była osobą tak samo zdecydowaną jak jej mąż. Ich córka, Frances, odziedziczyła po obojgu rodzicach tę cechę, a po niej odziedziczyła ją z kolei jej najmłodsza córka, Diana.

Diana posłużyła się swoją wewnętrzną siłą, aby pokonać rozczarowanie spowodowane klęską małżeństwa, tym dotkliwsze, że była przecież osobą o tak wysokiej pozycji na scenie światowej, a także aby pokrzyżować szyki dworzanom, którzy chcieli usunąć ją w cień. Posługując się zdrowym rozsądkiem, demonstrując swoją prawość i siłę woli, dowiodła, że nic - nawet zniszczenie jej dziecięcych marzeń - nie jest w stanie jej pokonać. W dzieciństwie było z nią tak samo: im trudniejsze

stało przed nią wyzwanie, tym lepiej sobie z nim radziła. Bywały chwile - zwłaszcza przed wyjazdem do matki czy powrotem do szkoły - gdy czuła, że nie zdąży zrobić wszystkiego tego, co zrobić powinna. Żadna z rzeczy, które miała zrobić, nie była w rzeczywistości tak strasznie ważna, ale ona widziała to inaczej. Kiedy napięcie rosło do tego stopnia, że zaczynała wpadać w panikę, mówiłam jej, żeby pokonywała jedną trudność naraz, dodając, że nie ma na świecie rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Mówiłam też, że należy wyraźnie widzieć swoje cele i zdecydowanie do nich dążyć. Tłumaczyłam, że nie powinna myśleć o wszystkim naraz, bo wtedy zadanie wyda jej się nie do wykonania. Radziłam jej działać stanowczo i skupiać uwagę na tym, co robi w danej chwili. Prosiłam, żeby pamiętała, że żaden człowiek nie jest lepszy ani gorszy od innych, że ludzie po prostu różnią się między sobą. Wszyscy mają swoje mocne i słabe strony. Kiedy mi powiedziała, że rozmawiając z ludźmi ma trudności z patrzeniem im w oczy, poradziłam jej, żeby nie dała im się onieśmielić, żeby nie dopuszczała do siebie myśli, że działają na nią onieśmielająco i żeby patrzyła im prosto w twarz, mówiąc sobie w duchu: „Nie ma znaczenia, kim ty jesteś, ja jestem Diana”. Powiedziłam jej, że jeżeli będzie zawsze tak myślała, to zadziwiająco szybko przekona się, iż patrzenie ludziom w oczy stało się jej naturalnym sposobem zachowania. Chciałam, żeby pamiętała, że bez względu na tytuły i pozycję ludzie są tylko ludźmi i wszyscy mają swoje nadzieje i lęki, swoje zalety i wady.

Po południu zabrałam chłopców na przejażdżkę kucykiem, a Diana zaprowadziła Alexandrę tam, gdzie zbierałyśmy pierwiosnki, bo chciała, żeby Alexandra mogła zrobić bukiet dla mamy. Podczas podwieczorku, kiedy Alexandra mówiła o szkole, zauważyłam, że Diana, która przecież w szkole czuła się dobrze, zdecydowanie nie chce mówić na ten temat. Diana nie

chciała myśleć o szkole podczas ferii. Ten dzień zakończył się koło szóstej po południu. Zwykle tak bywało, kiedy dzieci miały gości. Po ich odjeździe każde z nich mogło - przed pójściem spać - spędzić trochę czasu w samotności i spokoju. Sarah wróciła do domu z przyjaciółką imieniem Isabel. Diana zawsze chciała przebywać w towarzystwie siostry i jej przyjaciółki. Miała nadzieję, że dzięki temu zyska więcej płynących z samego źródła informacji o tym „jak to jest, kiedy człowiek jest dorosły”. Sarah odnosiła się do młodszej siostry z dużą tolerancją i zwykle pozwalała jej przebywać w towarzystwie swoim i swoich koleżanek, ale zawsze bez wahania mówiła jej, żeby sobie poszła, kiedy miała jej już dosyć albo kiedy - jak przystało na nastolatkę - chciała z przyjaciółką prowadzić bardziej prywatne „dziewczyńskie rozmowy”. Rozwścieczało to Dianę, która uważała, że właśnie w takich rozmowach powinna uczestniczyć. Bo tylko wtedy mogła zdobyć te skrawki informacji, którymi potem szeptem dzieliła się z innymi dziewczynkami w szkolnej sypialni po zgaszeniu świateł. Kiedy Sarah ją odpędziła, przychodziła do mnie z dziecinnyim okrzykiem: „To niesprawiedliwe!”. Odpowiadałam, że życie młodszej siostry jest trudne. Pocieszałam ją też mówiąc, że przecież szybko urosnie, i tłumaczyłam, że Sarah musi mieć czas na przebywanie ze swoimi przyjaciółkami tak samo jak ona, Diana, na zabawy ze swoimi.

Na dwa dni przed wyjazdem do Londynu, gdzie dzieci miały spędzić drugą połowę ferii, zaprosiła nas na herbatę lady Fermoy - babka dzieci ze strony matki. Ja co prawda chciałam, żeby te dwa ostatnie dni były wolne i żeby można je było poświęcić na przygotowania do wyjazdu. Jednak stało się inaczej. Lady Fermoy mieszkała niedaleko, w Hillington. Pojechaliśmy tam z lordem Althorpem, który utrzymywał z teściową bliskie kontakty. Po rozwodzie z jej córką te kontakty chyba się nawet zacieśniły. Dom lady Fermoy był piękny i urządzony z wielkim

smakiem, a sama lady Fermoy przyjaźniła się z królową matką, która była matką chrzestną Sary. Lady Fermoy kochała muzykę i sztukę i bardzo się udzielała podczas dorocznego Festiwalu w Kings Lynn, którego fundatorami byli ona sama i jej nieżyjący już mąż. Królowa matka często w czasie Festiwalu przebywała w Sandringham, służąc przyjaciółce wsparciem.

Lady Fermoy była kobietą dystygowaną i elegancką, a ja z zadowoleniem patrzyłam na dzieci, które w jej towarzystwie zachowywały się grzecznie i swobodnie. Kiedy lord Althorp rozwiódł się z żoną, lady Fermoy udzielała mu wskazówek w sprawie wychowania dzieci. To ona zachęciła go, żeby posłał Dianę do Riddlesworth - szkoły, którą mu poleciła również pewna inna przyjaciółka. Lord Althorp wahał się, zastanawiał się, czy Diana nie jest za mała. Miał wątpliwości, czy należy ją już posłać do szkoły z internatem, zwłaszcza po rozpadzie małżeństwa rodziców. Ale został przekonany, że dziewczynce potrzebna jest zmiana otoczenia. Lady Fermoy opowiedziała mi o tym wszystkim podczas swojej wizyty w Park House. Lord Althorp wyjaśnił Dianie, że jedynym powodem, dla którego idzie do szkoły z internatem, jest jej własne dobro. Nie mają racji ci, którzy zinterpretowali tę sytuację w duchu psychoanalizy, twierdząc, że rodzina dopuściła do tego, by Diana poczuła się niechciana. Bardzo łatwo jest rozpatrywać takie sprawy w oderwaniu od kontekstu. Łatwo jest też - poszukując sensacji - wyciągać błędne wnioski. Trudno byłoby znaleźć dziecko, któremu dawano by więcej dowodów na to, że jest chciane. Oboje rodzice poświęcali Dianie mnóstwo czasu. Nigdy jej nie odpędzono, mówiąc: „Nie mam teraz czasu, jestem zbyt zajęty (zajęta)”. Diana podobnie, jest bardzo wrażliwa na to, co czują jej synowie. Robi wszystko, żeby chłopcy korzystali z najcenniejszej rzeczy, jaką może dziecku dać rodzic. A tą rzeczą jest czas.

Diana wiedziała, że powinna pójść do Riddlesworth. Nie mogła uczyć się w domu - była na to za duża, a poza tym to by oznaczało izolację. Silfield, szkoła dzienna, nie nadawało się już dla niej, więc Diana zgodziła się z ojcem, który ją przekonywał, że najlepsze będzie Riddlesworth - szkoła znajdująca się niedaleko domu, zwłaszcza że uczyły się tam niektóre jej koleżanki. Traktowano ją w tej szkole dobrze, Diana szybko przystosowała się do panujących w niej stosunków i była szczęśliwa. Nauczycielki dokładały wszelkich starań, żeby rozumieć swoje uczennice. Diana i lord Althorp opowiedzieli mi, w jaki sposób została podjęta decyzja, a dla mnie jest oczywiste, że Diana nie cierpiała z powodu poczucia odrzucenia doznawanego w dzieciństwie.

Od chwili gdy przybyłam do Park House, udzielałam Charlesowi lekcji konnej jazdy. Lekcje miały miejsce mniej więcej dwa razy w tygodniu, a Charles jeździł na szetlandzkim kucyku. Wszystko odbywało się spokojnie. Charles posuwał się stępą, a ja tylko czasami - wtedy, kiedy kucyk miał ochotę puścić się klusem - musiałam za nim biec. Odbywałam też konne przejażdżki z Sarą. Jeździliśmy po parku, przeskakując przez przeszkody, a czasami zapuszczałyśmy się dalej, w tę część posiadłości, która leżała za drogą biegnącą naprzeciwko rezydencji. Często jeździliśmy szerokimi pasami zieleni, na których ludzie urządzali pikniki. Dni stawały się coraz dłuższe, więc - wtedy, kiedy lord Althorp był w domu - zaczęłam jeździć wczesnym wieczorem oraz wcześniej rano. Nigdy nie jeździłam w ciągu dnia, kiedy musiałam zajmować się dziećmi. Było tak aż do chwili, gdy pewnego dnia, pod koniec ferii, zrobiliśmy wyjątek. Sarah zaproponowała przejażdżkę po parku, a Diana stwierdziła, że też chciałaby w niej uczestniczyć. Byłam tym nieco zaskoczona.

Charles także postanowił pojechać z nami, a więc zanosilo się na spokojną jazdę. Ja, jadąc na swoim koniu, prowadziłam Charlesa, a Diana jechała na kucyku z New Forest imieniem

Romany. Z powodu nerwowości Diany nie jechaliśmy ani przez chwilę szybciej niż kłusem. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego Diana zdecydowała się wtedy jechać z nami. Domyślałam się, że chciała naśladować starszą siostrę albo miała nadzieję, że pokona swój lęk przed konną jazdą. Jej kucyk, który poprzednio należał do Sary, był bardzo spokojny. Przejazdźka była bardzo przyjemna - jechaliśmy śmiejąc się i żartując. Sarah od czasu do czasu proponowała Dianie, żeby zrobiła coś niemożliwego do wykonania: na przykład przeskoczyła przez rów. Byłam zadowolona, widząc, że Diana spokojnie i pewnie radzi sobie z koniem.

Przed nami ukazał się Park House. I wtedy nastąpiła katastrofa. Kucyk Diany potknął się, zaczepiwszy kopytem o króliczą norę. Natychmiast odzyskał równowagę, ale Diana, która siedziała na jego grzbiecie niezbyt pewnie, spadła. Na szczęście kucyk szedł wolno, więc upadek nie był niebezpieczny. Zdennerwowana i trochę przestraszona Diana od razu wstała. Ponieważ nic jej się nie stało, poradziłam jej, żeby wsiadła na kuczka i dojechała na nim do domu, do którego było już niedaleko. Dzięki temu w przyszłości nie będzie się bała. Ale Diana nie chciała wsiąść. Miałam zamiar nalegać, gdyż nic jej się nie stało, a także ponieważ uważałam, że nie trzeba robić dramatu z tego, że spadła.

Jestem pewna, że gdybym nalegała, Diana ustąpiłaby i zrobiła jak mówię, a ja poszłabym pieszo obok niej. Ale Sarah poradziła mi, żebym się nie upierała. Dzieci miały wkrótce pojechać do matki, a Sarah wiedziała z doświadczenia, że Diana w takich razach - po prostu dla efektu i dla zwrócenia na siebie uwagi - potrafi zrobić z igły widły. (Im więcej czasu spędzałam z Dianą w Park House, tym mniejsze zdradzała skłonności do takiego dziecinnego zachowania, aż w końcu całkiem z tego wyrosła. Te skłonności zanikały u niej w miarę jak rosła jej wiara w siebie.) Poszłam za radą Sary. Zaprowadziliśmy kuczka

do domu. Od tej pory Diana nie jeździła konno aż do czasu gdy, już jako mężatka, pobierała lekcje jazdy u kapitana Hewitta. Wtedy nie pamiętała już prawie o tym upadku.

Wielka szkoda, że ten incydent zepsuł nam przejażdżkę. Był to incydent drobny, o którym wkrótce zapomniałam. Po powrocie do domu powiedziałam o nim jednak lordowi Althorpowi, a on, wiedząc, że musi być ostrożny, bo inaczej mogą powstać problemy, postanowił zawieźć Dianę do lekarza. Chciał, żeby lekarz ją zbadał i sprawdził, czy nic jej się nie stało. Zrobił to także po to, żeby nie można było nam zarzucić żadnego zaniedbania. Lekarz stwierdził, że Dianie nic nie jest. Była trochę posiniaczona i przestraszona, co niestety odebrało jej całą niedawno zdobytą wiarę w siebie. Upajała się oczywiście dramatyzmem sytuacji i była rozczarowana, kiedy się dowiedziała, że niepotrzebny jest temblak. Wróciliśmy do domu zadowoleni, że nic złego się nie stało. Diana oświadczyła, że nigdy więcej nie będzie jeździła konno. Powiedziałam jej, że robi wokół całej sprawy zbyt wiele szumu i dodałam, że jeżeli nie chce jeździć konno, to oczywiście nie musi. Przypomniałam jej porzekadło mówiące, że aby zostać jeźdźcem trzeba spaść siedem razy, i zażartowałam, że sama nie zniosłabym napięcia związanego z jej kolejnym upadkiem.

Tak więc nasza część ferii wielkanocnych zakończyła się dość dramatycznie. Myśleliśmy wtedy, że nie spowoduje to jakichś złych skutków. Ostatni dzień spędziliśmy na pakowaniu i robieniu porządków. Ponieważ dzieci miały swoje ubrania u matki, nie musiały zabierać zbyt wiele bagażu, ale oczywiście chciały zabrać różne swoje ulubione rzeczy. Kryjówka została posprzątana. Zrobiliśmy w niej też prowizoryczne „drzwi”, dla ochrony przed nieproszonymi gośćmi. Dzieci pożegnały się ze wszystkimi, Smith otrzymał szczegółowe instrukcje dotyczące

opieki nad świnką morską, a ja przygotowałam się do pierwszego w tej pracy urlopu.

Wczesnym rankiem następnego dnia lord Althorp zawiózł nas na stację w Kings Lynn, skąd mieliśmy pojechać pociągiem do Londynu. Mogę jedynie zgadywać, jakie myśli musiały go wtedy nękać, jaki czuł smutek i jaką gorycz, żegnając się z dziećmi jadącymi do matki, którą kiedyś tak bardzo kochał i która go porzuciła. Ukrywał te uczucia i w obecności dzieci z jego ust nie padło nigdy ani jedno słowo przeciw żonie. Jego zachowanie było absolutnie poprawne. Charles i Diana nigdy nie byli świadkami kłótni między rodzicami i nigdy nie czuli się jak pionki w grze, w której każde z rodziców chciałoby być górą.

W ostatniej chwili dzieci ogarnęła nieśmiałość, wskutek czego pożegnania były pośpieszne i towarzyszyło im zakłopotanie. Dzieci były małe i niewiele w swoim życiu przeżyły pożegnań. Musiały się jeszcze nauczyć, jak walczyć z zażenowaniem towarzyszącym publicznemu okazywaniu uczuć. A szkoda, gdyż ich sztywne zachowanie nie odzwierciedlało głębi uczuć, jakie żywiły dla ojca. Chociaż z drugiej strony może ta ich nieśmiałość odzwierciedlała je na swój sposób. Tymczasem jednak miały przed sobą ekscytującą podróż pociągiem, u której kresu czekało na nich inne otoczenie. W tym innym otoczeniu miały przebywać przez najbliższe dwa tygodnie. Matka postanowiła zabrać je na narty, a one, jak wszystkie dzieci obdarzone wrodzoną zdolnością dostosowywania się do zmieniających się sytuacji, zapomniały już o Park House i były ciekawe, co je teraz spotka.

Podróż pociągiem okazała się bardzo przyjemna. Dla mnie stanowiła nowe doświadczenie, gdyż jechaliśmy pierwszą klasą i jedliśmy w wagonie restauracyjnym. Dzieci czytały komiksy kupione na stacji i rozmawiały o czekającym je wyjeździe na narty. Mówiły też ze mną o dwóch tygodniach spędzonych w

Park House. Powiedziały mi, że bardzo lubią swobodę, którą tam mają. Zapytałam, czy są zadowolone z tego, że jadają teraz z ojcem w jadalni, a one stwierdziły, że tak jest o wiele lepiej, bo czują prawdziwie rodzinną atmosferę.

Wiedziałam, że ich matka ma spotkać się ze mną przy barierce na stacji Kings Cross. Miało to być nasze pierwsze spotkanie. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, dzieci - z jednej strony podekscytowane, a z drugiej trochę onieśmielone - popędzały mnie, chcąc jak najszybciej przedstawić mnie matce. Gdyby mi jej nie pokazały, i tak bym ją rozpoznała - tak była podobna do swojej matki, lady Fermoy. Uśmiechała się uprzejmie, ale tylko ustami. Jej oczy pozostały bowiem zimne, kiedy sztywno podała mi rękę. Nie byłam rozczarowana, gdyż takiego powitania się spodziewałam. Nastąpiły krótkie formalności i dzieci zostały przekazane. Potwierdziłyśmy jeszcze datę i godzinę naszego spotkania przed powrotem dzieci do Norfolku, po czym pocałowałam moich podopiecznych na do widzenia i odeszłam. Poczułam się dziwnie bez nich i bez żadnych obowiązków. Wiedziałam też, że z radością spotkam się z nimi ponownie pod koniec ferii.

Dwa tygodnie upłynęły bardzo szybko. Kiedy czekałam na dzieci na Liverpool Street Station, wydawało mi się, że rozstałam się z nimi przed chwilą. Czułam się tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy pojechałam po Dianę do szkoły - trochę przestraszona i podniecona czekałam na reakcję dzieci powracających z ferii u matki. Miałam nadzieję, że będą zadowolone z tego, że mnie znowu widzą.

Przyjechały z matką punktualnie. Ku swemu zdziwieniu, zobaczyłam, że Diana ma rękę na temblaku. Matka stwierdziła, że Diana przyjechała do Londynu ze złamaną ręką, którą w Park House nikt się nie zajął. Wiedziałam, że po upadku z konia Diana została zbadana przez lekarza i że posługiwała się ręką zupełnie normalnie, co nie byłoby możliwe w wypadku,

gdyby ręka była złamana. Nie chciałam jednak wdawać się w nieprzyjemną dyskusję, wiedząc, że dzieciom będzie przykro. Diana stała, wpatrując się we własne stopy, a ja zdenerwowałam się tym, że ona i Charles muszą słuchać takich rzeczy. Chcąc skrócić rozmowę, przyjąłm do wiadomości to, co miałam przekazać lordowi Althorpowi, po czym dzieci pożegnały się z matką, zadowolone, że mogą już wsiąść do pociągu.

Szczerze mogę powiedzieć, że tego rodzaju chwile były w mojej pracy najtrudniejsze. Podróże pociągiem do Londynu nie były takie złe, ale podczas spotkań z matką zawsze panowało napięcie. W podróży powrotnej natomiast dzieci nigdy nie czuły się odprężone, gdyż przygotowywały się na kolejną zmianę. Jeżeli podróż do Norfolku oznaczała początek wakacji w Park House, to przebiegała w miłej atmosferze, jeżeli natomiast oznaczała koniec wakacji i początek szkoły, to okazywała się czymś trudnym. Podczas tej pierwszej podróży powrotnej pociągiem Diana powiedziała mi, że upadła podczas jazdy na nartach i że to właśnie po tym upadku odkryto złamanie. Postanowiłam powiedzieć o tym lordowi Althorpowi, ale z dziećmi nie rozmawiałam więcej na ten temat. Rozmawialiśmy natomiast o feriach.

Podczas takich podróży Diana nie była sobą. Emocje związane ze zmianą powodowały, że stawała się zamknięta w sobie i smutna, a jej myśli najwyraźniej krążyły wokół tego z rodziców, z którym się rozstała. Usiłowała sprawdzić moją lojalność, wygłaszając dramatyczne uwagi, ale ja byłam zawsze bardzo ostrożna i dyplomatycznie uważałam, co mówię, licząc się z tym, że moje słowa zostaną powtórzone. Za każdym razem po przyjeździe do Park House przypominałam Dianie, żeby zadzwoniła do matki, a potem zostawiałam ją samą. Diana bardzo szybko wracała do równowagi i stawała się jak dawniej szczęśliwą dziewczynką. Miała bardzo pogodne usposobienie, jej dobry nastrój zawsze powracał w ciągu bardzo krótkiego

czasu, pod warunkiem że nie wywierało się na nią presji. Charles natomiast nigdy nie reagował na te przeżycia jakimiś zmianami nastroju. Oboje byli zawsze zadowoleni, że mnie widzą, ale Charles nigdy nie uprawiał takich gier jak Diana. Diana natomiast posługiwała się wszystkimi kobiecymi fortelami, zwłaszcza w stosunku do swego biednego ojca, i doprowadzała do tego, że nie była jedyną osobą, która czuła się wyprowadzona z równowagi. Ojciec po przywitaniu się z dziećmi przeważnie wycofywał się do gabinetu, pragnąc, żebym to ja przywróciła równowagę w domu. Przywrócenie tej równowagi nie zajmowało nigdy wiele czasu, bo Diana działała zwykle dla efektu, co przy braku publiczności okazywało się bezcelowe.

Do odjazdu Diany do szkoły zostały tylko dwa dni. Spędziliśmy je spokojnie, sprawdzając, czy wszystko zostało zapakowane do kufra i przyszywając ostatnie naszywki z imieniem i nazwiskiem. Peanuts przetrwała pod opieką Smitha i została już z wielką sumiennością przygotowana do powrotu do szkoły. Diana spędzała teraz czas na spacerach z psami, porządkowaniu sypialni i wybieraniu przytulank, które miały towarzyszyć jej do internatu. W miarę jak zbliżało się rozstanie, stawała się coraz cichsza, ale równocześnie widać było, że nie może się doczekać spotkania z koleżankami, którym pokaże swoją złamaną rękę. Do szkoły odwiózł ją lord Althorp. Dlatego pożegnaliśmy się w Park House. Ferie bardzo się udały. Dopasowaliśmy się do siebie i, co najważniejsze, stworzyliśmy doskonałą podstawę dla naszej przyjaźni. Wiedziałam, że przed następnym powrotem Diany do Park House żadna z nas nie będzie odczuwała strachu.

Charles i ja zaczęliśmy nasze spokojne bytowanie. Sarah już wyjechała i nagle Park House okazał się ogromny, my jednak byliśmy samowystarczalni i z łatwością wróciliśmy do naszego dawnego życia - życia, jakie wiedliśmy przed przyjazdem dziewczynek.

Lord Althorp, po powrocie z Riddlesworth, poprosił mnie do gabinetu. Nigdy dotąd mnie tam nie wzywał, więc domyśliłam się, że chodzi o coś ważnego. Lord Althorp wyglądał na przygnębionego. Poprosił mnie, żebym usiadła. Powiedział, że matka dzieci ma zamiar ubiegać się ponownie o przyznanie prawa do opieki nad nimi, a potem, bardzo zmieszany, dodał, że wysuwa swoje żądania opierając się na twierdzeniu, że ja nie nadaję się na opiekunkę dzieci. Natychmiast też zapewnił mnie, że jest to pogląd, którego on nie podziela. Dodał, że jest bardzo zadowolony widząc, jakie są moje stosunki z dziećmi. Poinformował mnie, że sprawę ma rozpatrywać Wysoki Trybunał w Londynie w początkach lipca. Przedtem jednak odbędzie rozmowę z jego adwokatami i będę musiała złożyć oświadczenie.

Stwierdziłam, że cieszę się, iż sprawa nie ma charakteru osobistego. Nie byłam zdenerwowana i miałam pewność, że problem da się rozwiązać. To, że lord Althorp był taki zmieszany z mojego powodu, sprawiało mi przykrość, więc starałam się traktować sprawę jak najlżej. Zastanawiałam się, co będzie z moją posadą, ale postanowiłam skorzystać z rady, jaką dałam Dianie, i pokonywać jedną trudność naraz.

Rozdział szósty

Po powrocie dzieci do szkoły dom wydawał się bardzo cichy. W ciągu dnia Charles był w Silfield, a ja spędzałam czas w samotności. Lord Althorp, po odwiezieniu Diany do szkoły i po poinformowaniu mnie o grożącym nam procesie, pojechał na kilka dni do Londynu. Między innymi po to, żeby się skontaktować z prawnikami. Ja zajęłam się porządkami, uprzątnęłam bałagan, który zostawiły dzieci, poukładałam wszystko i zrobiłam solidne wiosenne sprzątanie. Odłożyłam niepotrzebne ubrania, książki i zabawki, które tylko zajmowały miejsce. Kiedy poprzednio usiłowałam to zrobić razem z Dianą, ona upierała się, że różne rzeczy mogą się jej jeszcze przydać, więc nie należy się ich pozbywać. Ja jednak, usunąwszy je, wiedziałam, że do czasu letnich wakacji Diana o nich zapomni.

Zadziwiające, jak szybko - po feriach tak pełnych wrażeń - Charles i ja powróciliśmy do dawnego trybu życia. Ponowne przyzwyczajenie się do szkolnej rutyny zabrało nam niewiele czasu. Charles był zdolny i nie miał trudności w szkole. Po wysprzątaniu dziecinnego skrzydła domu poczułam, że brakuje mi wakacyjnego harmidru - zwłaszcza wtedy, kiedy Charles jest w szkole. Zajął się więc końmi. Doszłam do wniosku, że skoro mogę codziennie jeździć na Peppermint, to czas sprzedać Vulcana. Dałam ogłoszenie i wkrótce znalazłam dla niego odpowiednich ludzi, a sama zaczęłam zwiedzać okolicę na godnej zaufania, raczej i łagodnej klaczy Sary.

Pisywałam regularnie do Diany. Opowiadałam jej w listach o figlach psów, a także przekazywałam inne wieści z Park House. Za trzy tygodnie Diana miała przyjechać na swój pierwszy „exeat”, czyli wolny od szkoły weekend. Wiedziałam, że powinnam nacieszyć się spokojem, gdyż ona będzie chciała w ciągu weekendu rzucić się w wir działania, wprowadzając gorączkowe zamieszanie. Jeździłam więc konno, a poza tym chodziłam na spacer z psami, czerpiąc ogromną przyjemność z obcowania z przepiękną przyrodą. Wśród psów była młoda suka imieniem Bray. Wymagała szkolenia, ponieważ lord Althorp nie chciał się za nią wstydzić w sezonie myśliwskim. Dlatego często zdarzało się, że na spacer z psami chodził Smith, który - być może nie bez racji - narzekał na swego chlebowcę, twierdząc, że powinien on mieć młodą sukę zawsze przy sobie, nawet w domu. Tymczasem lord Althorp w lecie rzadko z nią przebywał, a jesienią i zimą spodziewał się po niej bezwzględnego posłuszeństwa podczas polowań. Ponieważ lubiłam spacerować codziennie, a nie zawsze mogłam zabierać ze sobą psy, postanowiłam zapytać lorda Althorpa, czy mogłabym mieć własnego. Nie miałam już konia, wobec czego spodziewałam się, że lord Althorp przystanie na moją prośbę. Kiedy się do niego zwróciłam, zgodził się natychmiast. Powiedział, że

kupi mi szczeniaka, skoro tylko znajdę sobie odpowiedniego. Chciał, żebym się w Park House czuła jak najlepiej, wiedząc, że będzie to z pożytkiem dla dzieci.

W kolejnym liście poinformowałam Dianę, że jej ojciec obiecał kupić mi szczeniaka, a ona odpisała, prosząc, żebym wzięła też psa - rasy keeshond - dla niej, bo Suski się starzeje i wkrótce umrze. Narodziny i śmierć to wydarzenia, które dzieci przyjmują z pewnego rodzaju fascynacją, częstokroć bardzo emocjonalnie, z tym że szybko o swoich emocjach zapominają. Przekazałam lordowi Althorpowi prośbę Diany. Przed podjęciem pracy w Park House nie słyszałam nigdy o tej rasie, nigdy też takiego psa nie widziałam. Dopiero później przekonałam się, jakie są łagodne, lojalne, sympatyczne i posłuszne. Wtedy jednak nie przyszło mi do głowy, żeby wziąć sobie psa tej rasy. Podjęłam już decyzję: chciałam mieć charta afgańskiego. Zaczęłam przeglądać ogłoszenia w lokalnej prasie. Potrzebny mi był tylko pies-przyjaciel, nie zależało mi więc na rodowodzie. Lord Althorp, wiedząc już, jakiego psa chciałaby Diana, uświadomił sobie, że w maju są urodziny Charlesa, i doszedł do wniosku, że szczeniak rasy keeshond będzie doskonałym prezentem. W rodzinie od lat były psy tej rasy, a Suski, jak słusznie zauważyła Diana, robiła się coraz starsza. Zamiast więc szukać jednego szczeniaka, zaczęliśmy się rozglądać za dwoma. Ja pierwsza znalazłam swojego we wsi położonej w pobliżu Kings Lynn. Szczeniak był dwunastotygodniową czarną suką. Nazwałam ją Aminą i przywiozłam do domu. Ułożyłam ją w koszyku w pokoju dziecinnym i przez całą pierwszą noc słuchałam, jak ujada, z trudem powstrzymując się od zagłędania do niej. Rezultat był taki, że już nigdy więcej nie ujadała.

Była pełnia wiosny. Park House wyglądał przepięknie. Wszędzie krzewiła się bujna roślinność, która swoją jasną, świeżą zielenią zapowiadała nowe życie. Była to zieleń inna niż

ta - zmęczona i zakurzona - którą widuje się późnym latem, gdy przyroda przygotowuje się na przyjście jesieni. Powietrze odświeżały krótkotrwałe ulewy, a słońce ogrzewało nam twarze, kiedy chowaliśmy się w miejscach osłoniętych od wiatru. Wydawało się, że Smith nieustannie dosiada kosiarki, usiłując nie dopuścić do tego, żeby trawa wyrosła wyżej niż cal nad ziemię. A kiedy kosiarka przestawała na chwilę ryczeć, widziało się go, jak z kosą w rękach zwalcza chwasty i pokrzywy, które rosły z zadziwiającą szybkością. Kwiaty i krzewy przegrywały we współzawodnictwie z nimi.

Po powrocie Charlesa ze szkoły wychodziliśmy na dwór i bawiliśmy się na trawniku z Aminą. Zaczęliśmy ją też trochę szkolić. Długonoga i niezgrabna Amina bardzo protestowała przeciwko smyczy. Stanowczo wołała biegać za nami, skacząc i figlując. Za każdym razem kiedy ustawiłam ją na czterech łapach, dwie z nich uginały się pod nią. Postawiona po raz drugi, Amina zginała dwie pozostałe łapy. W końcu męczyła ją ta zabawa, a ja, trzymając jedną ręką smycz, a drugą popychając Aminę od tyłu, zmuszałam ją do chodzenia przy nodze. Mogło to wyglądać na dziwną metodę szkolenia, jednak osiągałam w ten sposób pożądane rezultaty. Amina w końcu skapitulowała i uznała, że lepiej będzie iść przy nodze bez takiej zachęty. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy przekonała mnie prawie, że jest głucha. Im dłużej na nią wołałam czy gwizdałam, tym bardziej mnie ignorowała. A co gorsza, często puszczała się biegiem w przeciwnym kierunku. Charles szybko zmęczył się rolą mojego asystenta. Nie chciał uczestniczyć w niewdzięcznych zmaganiach mających doprowadzić przypuszczalnie głuchego i nieposłusznego psa do tego, by uznawał podstawową dyscyplinę.

Diana, podczas pierwszego wolnego od szkoły weekendu, wykazała się większą cierpliwością, kiedy, stojąc o kilka jardów od siebie, usiłowałyśmy skłonić Aminę, żeby podbiegła do

którejś z nas. Amina, chociaż młoda, szybko zorientowała się, że Diana ma słabość do bezbronnych zwierząt. Przewracała się na grzbiet, przebierając w powietrzu wszystkimi czterema łapami i, skomląc głośno, usiłowała nas zawstydzić. Przekonywała wszystkich, którzy znajdowali się w zasięgu głosu, że jest nieszczęsną ofiarą złego traktowania. W takich chwilach naprawdę cieszyłam się, że mieszkamy na odludziu. Diana łagodnie usiłowała przekonać Aminę, żeby wstała, ale zwykle nie szło jej to lepiej niż mnie. Z czasem jednak zrobiliśmy ogromne postępy, doprowadzając Aminę do poziomu średnio zaawansowanego w zakresie posłuszeństwa. Zaskoczyło to nawet instruktorkę, której poprzedni uczniowie tej samej rasy nie osiągnęli nigdy poziomu wyższego niż poziom początkujących!

Lordowi Althorpowi udało się znaleźć miot szczeniąt rasy keeshond z dobrym rodowodem. Pojechaliśmy więc we trójkę - lord Althorp, Charles i ja - po Gitsie. Gitsie okazała się rozkosznym kłębkim puchu i wkrótce stała się tak bliska mojemu sercu jak Amina. Byłam zadowolona, że Diana zaproponowała, żeby kupić psa tej rasy. Gitsie należała do Charlesa, który dzielił się nią z Dianą. Ponieważ jednak zarówno Charles jak i Diana spędzali większość czasu w szkole, przywiązała się do mnie. Zresztą nawet wtedy, kiedy oboje byli w domu, nie zajmowali się nią bez przerwy. Mieli irine zajęcia, a poza tym, jak to dzieci, stracili z czasem nieco entuzjazmu i zainteresowania, gdyż pies podrośł i przestał być rozkosznym szczeniakiem. Amina wykazywała się niezależnością charakteru. Lubiła klapnąć leniwie na kupę piasku leżącą na dziedzińcu. Natomiast Gitsie chodziła za mną jak cień. Chodziła wszędzie, łamiąc wszelkie zasady i upierając się, żeby być przy mnie bez przerwy, nawet w domu. Kiedy zostawiałam ją na dworze, rzucała się na tylne drzwi z taką zajadłością, że nie było wyjścia - trzeba było ją wpuścić.

Kiedy odeszłam już z pracy w Park House, lord Althorp napisał do mnie, że wkrótce - w podziękowaniu za mój trud - otrzymam prezent. Miałam nadzieję, że tym prezentem okaże się Gitsie. Wkrótce jednak otrzymałam śliczną złotą bransoletkę z pięcioma złotymi wisiorkami w kształcie krążków. Na czterech z nich wyryte były imiona dzieci, a na piątym, największym - nazwa „Park House” i dwie daty: mojego przyjscia do pracy i odejscia z tego domu. Była to oczywiście o wiele praktyczniejsza pamiątka, no i taka, która miała przetrwać długo. Byłam naturalnie bardzo wdzięczna za ten prezent, jednak do dziś pamiętam uczucie rozczarowania, które mnie wtedy ogarnęło. Wiedziałam zresztą, że nie mogę dostać Gitsie, bo Gitsie należała do Charlesa. Suski w tym czasie już nie żyła i Gitsie była jedynym psem rasy keeshond żyjącym w Park House.

A poza tym miałam przecież swoją niesforną, niezależną Aminę, którą zdążyłam pokochać. Osiągnęłyśmy do tego czasu pewien stopień porozumienia i Amina okazywała mi niejaki szacunek - pod warunkiem, że jej uwaga nie była zaprzątnięta figlami królika znajdującego się o dwie mile od nas! Amina przez całe swoje życie gardziła istotami ludzkimi, które nie były mną. Kiedy zdarzyło się, że jakiś obcy próbował pogłaskać ją po czarnej jedwabistej głowie, mierzyła go aroganckim spojrzeniem, wstawiała i chowała się za mną. Jeździła ze mną wszędzie. Mieszkała ze mną nawet w Stambule, skąd w końcu wróciła do Anglii, gdzie poddana została kwarantannie, a potem zamieszkała ze mną w Norfolk. Tutaj zdechła przed moją przeprowadzką do Londynu - tak jakby, będąc miłośniczką swobody i otwartych przestrzeni, wiedziała, że życie w mieście jest nie dla niej.

Gitsie natomiast została w Park House, aby potem, po śmierci hrabiego Spencera, dziadka dzieci, przeprowadzić się wraz z całą rodziną do Althorp Hall. To właśnie z Althorp Hall, w 1978 roku, Charles napisał do mnie, że trzeba ją było uspić,

bo miała raka. A Sarah, wkrótce po swoim ślubie, przysłała mi list i kilka fotografii, wśród których było zdjęcie jej keeshonda wabiącego się Digby. Ucieszyłam się, że rodzina pozostała wierna tej rasie.

Lord Althorp odbył rozmowę ze Smithem i przekonał go, żeby przestał zajmować się trawnikami i przed przyjazdem Diany na weekend przygotował basen. Klimat w północno-zachodniej części hrabstwa Norfolk jest dość ostry, a o tej porze roku wciąż jeszcze wiały późnowiosenne zimne wiatry. Nie mogłam sobie wyobrazić, że można w tych warunkach pływać, jednak Diana prosiła, żeby basen był gotowy, a ojciec obiecał jej, że będzie. Smith usunął więc płachtę chroniącą basen przed zimowymi opadami, brudem i liśćmi. Aż jęknął na widok dodatkowej roboty, która go czekała. No bo czyż nie miał dość zajęć i bez niej? Na dodatek było bardzo prawdopodobne, że przez cały weekend będzie padało. A wtedy on zmarnuje tylko czas. Czy nie wystarczy, że trawa nie wie, kiedy przestać rosnąć? Czy nie należy mu się odpoczynek? Tak narzekał, ale były to narzekania dobroduszne. On i pani Smith znali Dianę od urodzenia i bardzo lubili widzieć ją wesołą i szczęśliwą. Byli zadowoleni, że smutek, panujący w Park House od czasu gdy małżeństwo lorda Althorpa zaczęło się rozpadać, zniknął, a jego miejsce zajęły śmiech i bez troska. Państwo Smith pragnęli z całego serca przyczynić się do utrzymania tej atmosfery, a jeżeli to miałyby oznaczać, że on ma zostawić trawniki w spokoju i zająć się basenem, mimo że wciąż wieje zimny wiatr, no to cóż, niech tak będzie. Diana była najbardziej ożywiona i rozradowana wtedy, kiedy mogła pływać i nurkować. Przy takich okazjach cieszyła się tak bardzo, że wszyscy, patrząc na nią, też czuli się uszczęśliwieni.

W ostatnim liście, jaki napisałam do Diany przed jej wolnym weekendem, poinformowałam ją, że zostały zakupione dwa szczeniaki: mój chart afgański i mały keeshond, o którego

prosiła. Opisałam ich wyczyny i stwierdziłam, że nie mogę się jej doczekać, bo mam nadzieję, że pomoże mi je szkolić. Poinformowałam ją też, że basen jest gotowy. Jeżeli ma tak źle w głowie, że chce w nim pływać, to proszę bardzo, może to zrobić. Ja natomiast ograniczę się do obserwowania jej wyczynów, bo nie odważę się wskoczyć do wody o tej porze roku. Nigdy nie reagowałam na jej zakłęcia („No, chodź, Mary, wejdz, woda jest naprawdę ciepła”), bo po pierwsze, nie wierzyłam w to, co mówi - mając zresztą całkowitą rację, gdyż ona, zapewniając mnie, że jest jej ciepło, nieraz robiła się dosłownie sina - a po drugie, wiedziałam, że ona zdaje sobie sprawę, że w wodzie ma nade mną przewagę. Umiąłem oczywiście pływać, ale gorzej niż Diana i jej siostry, a poza tym nigdy nie byłam pewna, jakich figłów mam się po niej spodziewać. Dlatego dawałam jej się namówić i wchodziłam do basenu tylko w lecie, kiedy było ciepło, a i wtedy jedynie pod warunkiem, że mi obiecała nie robić żadnych „numerów”. Otrzymałszy mój list, Diana spodziewała się udanego weekendu i ostatnie dni szkoły upłynęły jej dość szybko.

Lord Althorp wrócił z jednej ze swoich licznych podróży na kilka dni przed tym weekendem. Po jego powrocie w domu panował ruch, gdyż przyjechał adwokat, który miał przyjąć oświadczenia od osób mających występować jako świadkowie w sprawie o opiekę nad dziećmi. Ten ruch panował we frontowej części domu, nam jednak to nie przeszkadzało. Jeżeli chodzi o Charlesa, to i tak spędzał on większą część dnia w szkole. Ja natomiast - nie będąc jeszcze bezpośrednio zainteresowana sprawą - nie zwracałam na to wszystko uwagi. Adwokat odwiedzał też niektóre osoby w ich własnych domach, chcąc uzyskać jak najwięcej zeznań, w świetle których lord Althorp nadawał się na opiekuna dzieci. W tym duchu zeznawali przyjaciele

rodziny, którzy byli gotowi ręczyć, że dzieci - pod opieką lorda Althorpa i moją - są szczęśliwe.

Tuż przed przyjazdem Diany i ja zostałam poproszona do salonu, gdzie czekał na mnie adwokat, który wyjaśnił mi ponownie, o co chodzi w sprawie i jaka będzie moja w niej rola. Poinformował mnie, że musi mi zadać wiele pytań i że na podstawie moich odpowiedzi napisze oświadczenie, które przedstawi mi potem do zaaprobowania i podpisu. Jest prawdopodobne, powiedział, że będę musiała złożyć kolejne oświadczenie, którego treść będzie zależała od tego, jakie uwagi będzie miała matka dzieci, ale na to przyjdzie czas później.

Lord Althorp zostawił mnie w salonie z adwokatem i jego asystentem. To wstępne spotkanie nie wywarło na mnie wrażenia, gdyż wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy ze znaczenia tego wszystkiego. Potraktowałam tę rozmowę tak, jak się traktuje rozmowę wstępną w wypadku starań o pracę, i udzielałam zwięzłych, szczerych i jasnych odpowiedzi. Tego samego dnia, trochę później, zostałam ponownie wezwana do salonu, gdzie adwokat pokazał mi moje, spisane już, oświadczenie, które podpisałam. Pamiętałam, że podczas naszej rozmowy w gabinecie lord Althorp ostrzegł mnie, że wiosną i na początku lata nasze życie zostanie zakłócone przez tego rodzaju zdarzenia. A więc zrobiłam, co do mnie należało, najlepiej jak potrafiłam, a potem szybko zapomniałam o rozmowie z adwokatem.

Na dzień przed weekendem przyjechała Sarah i w naszym spokojnym, uporządkowanym życiu zapanował znowu zorganizowany chaos. Zapomniawszy na chwilę o koniecznych, lecz stresujących i nieprzyjemnych spotkaniach, które miały miejsce w ostatnich dniach, lord Althorp pojechał po Dianę. Ja natomiast udałam się po Charlesa. Cieszyłam się na ten weekend. Byliśmy zadowoleni, że jadamy teraz posiłki w jadalni, jednak stół, przy którym zasiadaliśmy we troje - lord Althorp

u szczytu, a my z Charlesem po bokach - wydawał nam się ogromny. Kiedy zostawaliśmy z Charlesem we dwoje, sprawiał wrażenie jeszcze większego. W takich chwilach myślałam, że nie byłoby tak źle jeść lunch w pokoju dzieciennym. Jednak doprowadziwszy do realizacji pomysłu, by jadać na dole, nie chciałam, żebyśmy powracali do dawnych zwyczajów.

Bez względu na to, ile osób zasiadało do posiłku, stół w jadalni był zawsze nienagannie nakryty. Pojawiały się na nim srebra, szkło i lniane serwetki. Do dzisiaj uważam lniane serwetki za najbardziej wymowny szczegół nakrycia. Za pomocą papierowych nigdy nie osiągnie się tego samego efektu. Naturalnie w Park House był przeważnie ktoś, kto je prał i prasował. Czasami też pani Smith wkładała je do worka z brudnymi rzeczami, które zabierano do prania co tydzień i zwracano - nieskalane - w ciągu siedmiu dni. Oczywiście o wiele łatwiej jest się posługiwać serwetkami papierowymi, jednak jaka to różnica!

Do każdego posiłku używano srebrnych sztućców, a dzieci bardzo wcześnie nauczyły się, którego noża i widelca używać do którego dania. Żona Bettsa, kucharka, zawsze starała się gotować to, co dzieci lubią, robiła też wspaniałe desery. Duszone jabłka ze śmietaną i truskawki z bezami należały do najbardziej ulubionych. Ponadto pani Betts podawała mnóstwo świeżych owoców - różnych, w zależności od pory roku. Zawsze pytała dzieci - zwłaszcza Dianę, kiedy ta przyjeżdżała na dwa czy trzy dni - co by chciały zjeść. Dianę, podobnie jak jej rodzeństwo, łatwo było zadowolić, gdyż zjadała ona wszystko, co zostało podane. Korzystając z tego, że Diana i Sarah są w domu, oraz z tego, że Charles ma tygodniowe wakacje, a lord Althorp zakończył pierwsze przygotowania do procesu, postanowiliśmy nie stracić ani minuty i cieszyć się każdą daną nam chwilą.

Prognoza pogody na sobotę była dobra, więc postanowiliśmy w nią uwierzyć i zaplanowaliśmy, że zainaugurujemy

sezon i popływamy wraz z przyjaciółmi w basenie, doceniając oczywiście wysiłki Smitha. Wbrew temu, co się często zdarza - gdyż synoptycy zwykle się mylą - nasz optymizm został wynagrodzony. Prognoza okazała się mylna, z korzyścią dla nas. Sobota była bowiem wspaniałym, ciepłym, późnowiosennym dniem, jednym z tych, które zdają się obiecywać długie, gorące lato. W takie dni pastelowe barwy angielskiej przyrody prezentują się najpiękniej. Błękit i zieleń nigdy nie przybierają w Anglii odcieni charakterystycznych dla strefy śródziemnomorskiej, odcieni jak z filmu w technicolorze. W taki piękny, wiosenny dzień - kiedy nawet skowronki wzlatują wyżej niż zwykle, kiedy piosenka kosów jest słodsza niż w inne dni, kiedy drozdy rozbijają ślimaki o kamienie, aby nakarmić swoje małe, kiedy nawet rudzik próbuje udawać, że nie jest jedynie naszym zimowym towarzyszem - nie ma wspanialszego miejsca na ziemi niż Anglia.

Po długiej podróży z Afryki przybyły jaskółki. Chcąc uczcić to, że wróciły bezpiecznie, że uniknęły kul myśliwych, którzy czyhają na nie w tych częściach Europy, gdzie mięso tych pięknych ptaków uważane jest za przysmak, latały nisko nad basenem, podniecone, że nagle w samym środku ogrodu i w pobliżu okapu, pod którym mieszczą się ich gniazda, znajdują taką masę wody. Latały nisko i łapały owady, które wbrew usiłowaniom Smitha, pragnącego, żeby basen był nieskazitelnie czysty, znajdowały się w wodzie. Jaskółki były więc cennymi sprzymierzeńcami, którym należało wybaczyć, że tak brudzą w pobliżu gniazd znajdujących się przeważnie pod okapem, nad mieszkaniem Smitha.

Dla dopełnienia obrazu, trzeba powiedzieć, że była też kukulka, na której pierwsze wołanie czeka się niecierpliwie co roku - gdyż wołanie to oznacza nadejście prawdziwej wiosny - i której nikt nie chce widzieć, gdyż to przynosi pecha. Przerywana piosenka kukulki przechodziła w radosne ku-kuu, ku-kuu.

- Posłuchaj - powiedziałam do Diany - posłuchaj kukułki.

A potem, razem, wyrecytowałyśmy wierszyk, którego uczy się każde angielskie dziecko, skoro tylko dowie się, że ten ptak istnieje.

*W kwietniu kukułka przybywa,
W maju śpiewa jak dzień długi,
W czerwcu zmienia swą melodię,
W lipcu szykuje się do drogi.
A w sierpniu odlecieć musi.*

Diana i Charles licytowali się, które pierwsze usłyszało w tym roku kukułkę. Diana słyszała kukanie w lesie niedaleko internatu zaraz po powrocie do szkoły, a Charles twierdził, że słyszał je w lesie koło domu jeszcze przed jej wyjazdem. Diana, która zawsze chciała być pierwsza, powiedziała, że to niemożliwe. Wtrąciłam się i zażegnałam nieczęstą u nich sprzeczkę, mówiąc, że ważne jest to, iż oboje słyszeli kukanie, a nie kiedy to się stało.

W taki dzień Anglia jest cudowną krainą. W naszej części tej krainy były zadbane, zielone trawniki i ogrody, a także boisko do krykieta i pawilon przywodzący na myśl mężczyzn w białych flanelowych ubraniach, którzy w przerwie meczu w gorące letnie popołudnie piją herbatę i jedzą ciastka z kremem przy akompaniamencie bzykania niewidocznych owadów. Były tu też faliste tereny parkowe ze starymi drzewami, które przez długie lata stanowiły ozdobę krajobrazu i oddawały milcząco hołd rodzinie królewskiej oraz innym rodzinom szlacheckim. Dalej ciągnęły się ciemne lasy skrywające w sobie życie swoich mieszkańców i stanowiące schronienie dla łagodnych danieli o wielkich, smutnych i pełnych lęku oczach, które kryły się w cieniu, napięte i czujne, gotowe do ucieczki w razie najmniejszego niebezpieczeństwa (musiał nimi kierować instynkt, gdyż w posiadłości Sandringham żadne niebezpieczeństwo im nie groziło). A nad tym wszystkim górował prawdziwy angielski

wiejski dom o ścianach z bazaltu wtapiających się w otoczenie, piękny i symbolizujący ciągłość i bezpieczeństwo. Ta wiktoriańska rezydencja ma drzwi w kolorze „sandringhamskiego błękitu”, co oznacza, że jest własnością królewską. Taka była nasza Anglia, Anglia pogodna i ponadczasowa, wieczna, niezniszczalna, nieulegająca zmianom. Taki obraz Anglii przedstawiają książki i filmy. Dzięki książkom i filmom ten obraz dostępny jest wielu, jednak bardzo nieliczni żyją w tym świecie naprawdę. Cieszę się i zawsze będę się cieszyła, że dane mi było uczestniczyć w ich życiu. Trwało to co prawda krótko, ale nigdy, przenigdy nie zatrze się w mojej pamięci.

W sobotę rano Diana - która nie chciała zmarnować ani jednej cennej chwili - wstała tak wcześnie, jak się spodziewałam. Ponieważ jednak zbliżał się najdłuższy dzień w roku, słońce ją uprzedziło i rozpoczęło już swoją wędrówkę. W miarę jak posuwało się w górę po niebie, na dworze robiło się coraz cieplej. Przed śniadaniem Diana odwiedziła kryjówkę, chcąc się przekonać, czy podczas jej nieobecności nie zdarzyło się tam nic niepożądanego. Otworzyła kryjówkę i uporządkowała ją, tak żeby towarzystwo mogło się w niej schronić, kiedy zmęczy się pływaniem. Poprzedniego wieczora zatelefonowałam do matek przyjaciół Diany i Charlesa i zaprosiłam tych przyjaciół do nas na wczesne popołudnie. Sarah też już zdążyła umówić się z koleżankami. Pod względem wieku grupa miała więc być zróżnicowana, ale miejsca było dosyć dla wszystkich. Lord Althorp musiał się tego dnia udać na jakieś nabożeństwo żałobne, ale zaplanowaliśmy, że jeżeli pogoda się utrzyma, to później zje z nami podwieczorek na powietrzu.

Po śniadaniu Diana rozmawiała przez pewien czas z państwem Smith, którzy byli bardzo ciekawi, jak jej upłynęły pierwsze tygodnie nowego trymestru. Ponieważ w tym trymestrze dziewczynki w szkole pływały, sprawozdanie wypadło bardzo dobrze. Diana, kierująca się zawsze poczuciem

sprawiedliwości i gotowa do pomocy, zdając sobie sprawę, że przed popołudniową zabawą będzie sporo przygotowań, pomogła mi w porządkowaniu pokoi dzieciennych i ścieleniu łóżek. Trzeba bowiem powiedzieć, że po sprzątaniu, jakie tu zrobiłam po wyjeździe Diany do szkoły, nie było śladu. Zastanawiałam się nawet, po co w ogóle zadałam sobie tyle trudu. Dla Diany porządki nie były pracą, gdyż miała ona naturalne zamiłowanie do zajęć domowych.

Zjedliśmy - wraz z lordem Althorpem, w jadalni - wczesny, lekki lunch. A potem wyszliśmy, żeby Betts mógł w spokoju sprzątnąć ze stołu. Lord Althorp wyjechał na nabożeństwo, a ja poleciłam dzieciom, żeby przez pół godziny odpoczęły w swoich pokojach. Chciałam, żeby przetrwały lunch i skorzystały z chwili spokoju przed przyjazdem przyjaciół. Charles natychmiast zastosował się do tego polecenia. Kiedy był w domu w weekendy, zawsze odpoczywaliśmy po lunchu i oboje cieszyliśmy się, że możemy przez pół godziny poczytać. Diana natomiast, nie mogąc się już doczekać, kiedy włoży kostium kąpielowy, przyjęła tę zwłokę niechętnie. Ja jednak byłam stanowcza i powiedziałam jej, że jeżeli wejdzie do basenu od razu, to po pierwsze będzie to dla niej niezdrowe, gdyż nie pływa się zaraz po posiłku, a po drugie będzie to oznaczało koniec jej pływania na ten dzień - po przyjściu gości będzie jej wolno tylko siedzieć na brzegu i patrzeć, jak inni bawią się w wodzie. Rzadko bywałam zmuszona mówić w ten sposób do Diany. Tym razem jednak Diana była bardzo podniecona tym, że w basenie można już pływać, a także tym, że będzie miała publiczność.

Roześmiana, wesola Diana natychmiast stała się naburmuszoną dziewczynką, która, marszcząc się i mrużąc coś pod nosem, poszła do swojego pokoju. Podążyłam za nią. Nie chciałam, żeby to popołudnie zostało zepsute z powodu dzieciennych

humorów, chociaż przy-puszczalam, że te humory nie będą trwały długo, bo po przyjeździe koleżanek Diana się rozchmurzy. Wiedziałam, że Diana ma pogodne usposobienie (pisałam o tym już wcześniej) i nigdy długo nie chowa urazy. Przypomniałam jej łagodnie, że rzadko ustanawiam prawa i że czynię to tylko wtedy, kiedy istnieją po temu poważne powody i kiedy chcę, żeby zastosowała się do moich życzeń. Powiedziałam jej też, że bardzo się cieszę z jej obecności w domu, a także że doceniam jej pomoc, dodając, iż są chwile, w których to ja wiem najlepiej, co trzeba robić. Stwierdziłam, że teraz nadeszła właśnie jedna z takich chwil i powiedziałam:

- Więc uszanuj pracę, jaką włożyłam w przygotowania, i nie psuj innym zabawy swoimi humorami.

Powiedziałam tak celowo, składając na nią cały ciężar winy, bo wiedziałam, że Diana nie lubi czuć się jak ktoś, kto obraził czy zdenerwował drugą osobę. Ta metoda dawała zawsze dobre rezultaty, choć muszę przyznać, że posłużyłam się nią zaledwie kilka razy.

W pół godziny później, znalazłszy się na dworze, Diana nie pamiętała już o dąsach, gdyż przyzywał ją do siebie basen ogrzewany ciepłym popołudniowym słońcem. Wszyscy przywieźli ze sobą nie tylko kostiumy kąpielowe i ręczniki, ale także różne rzeczy niezbędne do zabawy w wodzie. Uzupełniły one zestaw przeznaczonych do tego samego celu zabawek, jaki mieliśmy w domu. Większość gości nie miała zamiaru „tak na poważnie” pływać, bo to robiło się na lekcjach w szkole. Odbывały się natomiast różne zawody, inicjowane przeważnie przez Dianę, która wiedziała, że ma szansę wygrać ze wszystkimi z wyjątkiem Sary, gdyż ta, jako starsza, miała nad nią przewagę. Kto potrafi najlepiej skakać do wody? Kto zanurkuje najdalej? Kto potrafi najdalej przepłynąć pod wodą, stanąć na rękach i zrobić fikołka w tył? Charles i jego koledzy przeważnie nie brali udziału w tych zawodach, bo wiedzieli, że mają nikłe szanse

na wygraną, ale przyjaciółki Diany, odgrywające idealnych gości, podejmowały wyzwanie po to tylko, żeby przegrać. Przyjmowały przegraną z wdziękiem, wiedząc, że i tak było to przesądzone.

Sarah, chcąc rozzłościć młodszą siostrę i przy trzeciej nosa, rzucała od czasu do czasu wyzwanie, którego Diana nie mogła nie przyjąć bez utraty twarzy, po czym obie, przy hałaśliwym dopingu ze strony gości, wykonywały kilka prawie idealnych skoków do wody, a my, odgrywając rolę sędziów, ocenialiśmy je. Czasami Diana miała więcej szczęścia niż siostra, ale przeważnie wygrywała Sarah. Nie chcąc dać się pokonać, Diana wykonywała następnie swój popisowy numer: wchodziła na samą górę na zjeżdżalnię, ustawiała się tam na moment - jej szczupła sylwetka w przepisowym czarnym szkolnym kostiumie kąpielowym odcinała się przy tym na tle lazuruwego letniego nieba - a potem z wdziękiem wykonywała skok do wody. Właściwie ojciec zabraniał jej skakać, ale ona wykorzystywała jego wielką słabość, gdyż wiedziała, że jest z niej bardzo dumny, kiedy widzi, jak śmiga w dół i zanurza się w wodzie, na której powierzchni nie pojawiają się prawie żadne zmarszczki.

Położyłam się obok basenu, chcąc jak najlepiej wykorzystać tę okazję: odpocząć i poopalać się. Byłam fanatyczką słońca. Kiedy tylko robiło się ciepło, przy pierwszej sposobności wychodziłam na powietrze i wystawiałam twarz na jego promienie, pozwalając, aby napełniły mnie uczuciem błogości. Było to w czasach, kiedy ludzie nie bali się jeszcze raka skóry. Dzisiaj, będąc starsza i mądrzejsza, nie narażałabym się na takie niebezpieczeństwo. Leżałam więc na słońcu - odprężona, ale czujna. Wiedziałam bowiem, że mam pod opieką kilkoro dzieci i że nie mogę lekceważyć swoich obowiązków i dopuścić do jakiegokolwiek wypadku. Mimo to jednak odczuwałam ogromną przyjemność, wygrzewając się i słuchając śmiechu bawiących się i żartujących dzieci. Dwa szczeniaki, Gitsie i Amina, brykały

koło mojego leżaka i na brzegu basenu, podczas gdy Diana na próżno starała się zwiabić je do wody.

Nagle uświadomiłam sobie, że słyszę dobiegające z oddali brzęczenie, które nie miało nic wspólnego z pszczołami. To brzęczenie wzmagало się. Otworzyłam oczy i dostrzegłam latający nad nami helikopter. Zaczęłam go w duchu przeklinać zato, że zakłóca spokój tak pięknego popołudnia. Zauważyłam, że nie przeleciał nad nami i nie poleciał dalej, tylko unosił się nad naszymi głowami jak jakiś wielki drapieżny ptak czyhający na ofiarę. A poza tym, co mnie bardzo drażniło, zasłaniał słońce! Popatrzyłam w stronę dzieci, które zbyt były zajęte zabawą, by zwrócić uwagę na coś tak mało ważnego jak helikopter. Zaraz potem uświadomiłam sobie, że ryk maszyny zrobił się ogłuszający, a sama maszyna nagle opadła na trawnik za domem. Podmuch od jej wirującego śmigła dotarł aż do nas i spowodował, że tysiące płatków z pnących róż ozdabiających tylne ściany rezydencji wpadły przez otwarte okna i oszklone drzwi do jej wnętrza, osiadając na podłogach, meblach i schodach, z ogromną pieczołowitością wyczyszczonych przez panią Pertwee.

W tym momencie dzieci przerwały zabawę i, zdumione, starały się zorientować, kto pojawił się w tak nieoczekiwany sposób. Lądowanie helikoptera na trawniku za domem nie było wydarzeniem codziennym, wywołało więc pewne zainteresowanie. Sarah natychmiast położyła kres domysłom, oświadczając, że przyleciał wujek, lord Fermoy.

Ponieważ lord Althorp jeszcze nie wrócił, musiałam sama przywitać naszego gościa. Ubrana w górę od bikini i szorty, ruszyłam w stronę helikoptera, gdy tymczasem lord Fermoy pojawił się w jego otwartych drzwiach. Widok był równie niezwykły dla mnie jak dla dzieci. Nic takiego nie przydarzyło mi się nigdy przedtem. Kiedy przechodziłam przez trawnik,

podchodząc do lorda Fermoya, śmigło helikoptera wciąż się kręciło, choć coraz wolniej. Zmniejszył się też hałas. Poczułam się tak, jakbym grała w scenie z filmu o Jamesie Bondzie. Jednak znalazłam się przy helikopterze, zanim moja wyobraźnia zaczęła pracować na dobre. Nie byłam przecież heroiną Iana Fleminga, a lord Fermoy z całą pewnością nie był Bondem! Przedstawiłam się, wyjaśniając, czym się tu zajmuję, i dodając, że lorda Althorpa nie ma w domu. Lord Fermoy wyglądał na nieco zaskoczonego. Pomyślałam, że to dlatego, iż spodziewał się zastać lorda Althorpa. W jakiś czas później okazało się, że to mój widok wywołał jego zdziwienie. Sądził bowiem, że jestem gościem, i nie mógł uwierzyć, że opiekuję się dziećmi. Jak powiedział później lordowi Althorpowi, zaczął zazdrościć dzieciom takiej „niani”, bo „za jego czasów nianie były zupełnie inne”. Sarah wyjaśniła mi, że miał na myśli to, iż większość z nich nosiła uniformy, a nie bikini i szorty.

Po przedstawieniu się sobie i po moich wyjaśnieniach ruszyliśmy w stronę basenu. Na spotkanie wyszli nam Sarah, Diana i Charles, którzy, pamiętając o dobrych manierach, zostawili na chwilę przyjaciół i przyszli przywitać się z wujem. Pożartowawszy przez chwilę, wróciliśmy na brzeg. Zapropnowałam lordowi Fermoyowi, żeby się czegoś napił. Posłałam Dianę i Charlesa do kucharki po zimne napoje. Po jakichś piętnastu minutach lord Fermoy zaczął się żegnać, przypomniawszy nam, żebyśmy powiedzieli lordowi Althorpowi, że nas odwiedził. Zrobił to całkiem niepotrzebnie, gdyż o takim wydarzeniu niełatwo jest zapomnieć. Wraz z dziećmi odprowadziłam go do helikoptera. Kiedy się już pożegnaliśmy, maszyna ożyła, jeszcze raz rozdzierając swym rykiem popołudniową ciszę i siejąc spustoszenie wśród róż. Śmigło zaczęło się obracać, ciężkie metalowe cielsko dźwignęło się i wzleciało w niebo. Całe wydarzenie dostarczyło dzieciom dodatkowej rozrywki.

Lord Althorp wrócił do domu w porze podwieczorku, który zjedliśmy wspólnie. A po podwieczorku goście odjechali, żegnani przez młodych gospodarzy i przez ich ojca. Diana niepotrzebnie przygotowała tego ranka kryjówkę, gdyż okazało się, że zabawy w wodzie pochłonęły wszystkich bez reszty. Lord Althorp z rozbawieniem wysłuchał opowieści o wizycie lorda Fermoya. Nie był jednak nią zdziwiony i powiedział, że lord Fermoy często działa spontanicznie, kierując się nagłym impulsem.

Niedziela upłynęła spokojnie. Diana była trochę przygaszona. Sobotnia zabawa i towarzyszące jej emocje zmęczyły ją bowiem, a poza tym wiedziała, że wieczorem będzie musiała wrócić do szkoły. Bawiła się więc spokojnie z Charlesem, przygotowała też rzeczy, które chciała zabrać ze sobą do internatu. Powiedziałam jej, że cokolwiek robi, powinna starać się robić to jak najlepiej. Nie ma znaczenia, jakie będzie miała stopnie, ważne jest, żeby się do wszystkiego jak najbardziej przykładła, nie tylko do tych przedmiotów, które lubi, lecz także do tych mniej przez nią lubianych; to jest najważniejsze. Trudno było uzyskać od Diany stwierdzenie, że lubi którykolwiek z przedmiotów poza pływaniem i sportami. O innych, takich jak biologia czy angielski, mówiła, że „ujdą”.

Nasze następne spotkanie miało mieć miejsce w dzień sportów w szkole Charlesa. W tamtą niedzielę, przed wyjazdem Diany do RiddlesWorth, zaproponowałam, żeby Diana poćwiczyła trochę z bratem, który ma wziąć udział w wyścigach. W Silfield, które było szkołą dla młodszych dzieci, urządzano wyścigi w workach, z jajkiem na łyżce i „na trzech nogach”. Prawdziwe biegi, z mierzeniem czasu i biciem własnych rekordów, odbywają się dopiero w szkołach przygotowawczych. Wtedy to gorące dyskusje na temat wad i zalet umieszczania stóp w rogu worka bądź w jego środku zostają zastąpione przez rozmowy o wynikach mierzonych w minutach i sekundach.

Diana uważała, że wyrosła już z takich zabaw. Chciała jednak pomóc bratu udoskonalić technikę. Posługując się jakimś starym paskiem, związałam im nogi i na moje „do biegu gotowi, start” oboje ruszyli przez trawnik, tworząc koślawą parę, gdyż Diana była znacznie wyższa od Charlesa. Szczeniaki uznały to za znakomitą zabawę i puściły się biegiem za nimi, usiłując schwytać wolny koniec paska. Jill, spanielka, przywabiona hałasem, zapomniała, że jest dorosła i odpowiedzialna, i też rzuciła się w wir zabawy, powodując nagłe zakończenie treningu, gdyż dzieci przewróciły się o nią na ziemię, machając rękami i fikając nogami. Do ogólnej kotłowaniny dołączyły miotające się szczeniaki.

To, że Diana dostała ataku śmiechu, nie poprawiło sytuacji, bo chichocząc nie była w stanie wyplątać się z paska, a jej biedny brat musiał pozostać z nią złączony aż do chwili, gdy jej wreszcie przeszło. Psy, nieposiadające się z zachwytu, skakały po dzieciach i lizały je po rękach i nogach. Im bardziej na nie krzyczeliśmy, próbując je odpędzić, tym bardziej stawały się podniecone. Po pewnym czasie udało mi się rozplatać pasek, co nie było łatwe, bo węzeł zaciskał się coraz mocniej. W końcu Charles, wdzięczny mi za oswobodzenie, wstał, a Diana dostała następnego ataku śmiechu. Cała ta nieudana próba udoskonalenia techniki doprowadziła Charlesa do wniosku, że w pozostałych wyścigach poradzi sobie bez pomocy siostry.

Diana wróciła do szkoły po bardzo udanym weekendzie. Przykro jej było wyjeżdżać z domu, ale z drugiej strony bardzo czekała na chwilę spotkania z Peanuts, której - jestem tego pewna - brakowało opieki oddanej młodej właścicielki. Złożyło się tak, że Diana nie mogła uczestniczyć w dniu sportów w Silfield, gdyż nie miała wtedy wolnego. Charles spał się dobrze, jednak należy wątpić, czy tamten niedzielny trening z

Diana przyczynił się do tego. Na dzień sportów do szkoły Charlesa przyjechaliśmy we dwoje - lord Althorp i ja. Po niebie przelatywały chmury, ale zagrażający nam deszcz się nie zmaterializował. Elegancko ubrani rodzice (wiele kobiet przyjechało w kapeluszach) obserwowali, jak ich pociechy dokładają wszelkich starań, aby wygrać. Wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi. Nikt nie traktował mnie z góry. Było to popołudnie pełne radości i śmiechu, ale żaden z wyścigów nie mógł się równać ze zwariowanym treningiem, który odbył się niedawno w Park House.

Rozdział siódmy

Podczas trimestru lord Althorp był często nieobecny w domu, ale podczas tej części szkolnych wakacji, którą dzieci spędzały w Park House, przeważnie tak organizował sobie czas, by móc przebywać z nimi. W czasie jego nieobecności nie mogłam wieczorami wychodzić z domu. Lord Althorp zdawał sobie sprawę, że czuję się osamotniona, gdyż dom stoi na odludziu. A poza tym bardzo chciał, żebym była zadowolona i szczęśliwa. Dlatego uważał, że powinnam czasami widywać się z przyjaciółmi - przebywać w towarzystwie ludzi w swoim wieku. W dni wolne od pracy i w wolne weekendy miałam do dyspozycji samochód, przy czym za benzynę płacił mój pracodawca. Jednak mimo to bywały długie okresy, podczas których nie mogłam opuścić Park House.

Lord Althorp powiedział, że mogę przyjmować przyjaciół, kiedy tylko zechcę, pod warunkiem że ich wizyty nie będą mi przeszkadzały w wypełnianiu obowiązków. Byłam z tego bardzo zadowolona i robiłam wszystko, żeby nie nadużywać tej swobody. Większość z moich znajomych mieszkała w Norwich - więc, chcąc ich odwiedzić, musiałam dość długo jechać samochodem. Było to kłopotliwe, jeżeli chciało się dojechać na miejsce i wrócić w ciągu jednego dnia. Mimo to kilka razy odbyłam taką podróż. Co do tych, którzy przyjeżdżali z wizytami do Park House, to nigdy nie miałam pewności, czy robią to dlatego, że chcą zobaczyć się ze mną, czy dlatego, że są ciekawi, jak wygląda moje życie i praca w Park House. Kiedy Sarah była w domu, a lord Althorp był nieobecny, Sarah jadła z nami kolację w jadalni. Na nic się oczywiście nie zda udawanie, że nie byłam zadowolona, mogąc zaimponować znajomym. Z satysfakcją też stwierdzałam, że są zdumieni, zasiadając do posiłku w tak wspaniałym otoczeniu i widząc, że na dodatek obsługuje ich kamerdyner. Nie można powiedzieć, że Betts był zachwycony tym kolejnym naruszeniem zasad rządzących właściwymi stosunkami między „górami i dołami domu”.

Moi przyjaciele, oszołomieni, wracali do domu, zmieniawszy kompletnie zdanie na temat mojej pracy. Starłam się jednak nie przeciągać struny. Kiedy więc zdarzało się, że znajomi odwiedzili mnie pod nieobecność Sary, nie stawiałam Bettsa w okropnej sytuacji i nie zmuszałam go do usługiwania „zwykłym plebejuszom”. Byłoby to dla niego za wiele, a zresztą i ja nie pragnęłam takiego traktowania. W takich razach przysuwałam stół w pokoju dziecinnym do kominka, zaciągałam zasłony i zapalałam świece, tworząc przytulną atmosferę we wnętrzu, które przypominało zwykły pokój - pokój, jakich pełno w niezliczonych angielskich domach. Muszę przyznać, że moi znajomi, kiedy ich zapraszałam, nigdy nie pytali, czy będzie

z nami Sarah. Tak więc należy przypuszczać, że przyjeżdżali do Park House ze względu na mnie! Gdy jedliśmy w jadalni, gotowała nam kucharka, jednak kiedy nasza kolacja odbywała się na górze, przygotowywałam ją sama, tak jakbyśmy byli u mnie w domu. Czułam się w Park House bardzo swobodnie i przez cały czas swojego w nim pobytu traktowałam go jak własny dom. Kiedy przestałam już pracować, lord Althorp powiedział, że mogę tam wracać kiedykolwiek i z kimkolwiek będę chciała. I rzeczywiście w rok po opuszczeniu posady przyjechałam tam w piękny letni dzień wraz z pewnym znajomym. Wszystkie dzieci były tego dnia w domu i spędziliśmy razem cudowne popołudnie, pływając w basenie, rozmawiając i opowiadając sobie, co się w ciągu tego roku wydarzyło w naszym życiu.

Zbliżały się pierwsze letnie wakacje, które miałam spędzić z dziećmi. Diana, która w miarę upływu czasu czuła się w moim towarzystwie coraz swobodniej i do której pisywałam regularnie o tym, co dzieje się w domu, a także o wizytach swoich przyjaciół, bardzo chciała wiedzieć, czy mam „chłopaka”. Sarah - według informacji Diany - nie należała jeszcze do elitarnej ligi dziewcząt mających „chłopaków”, a poza tym nie zdradzała swoich sekretów. A ponieważ ja byłam o parę lat starsza od Sary, Diana miała nadzieję, że uzupełnię jej wiedzę na temat „dorosłości”. Zasypywała mnie pytaniami o przyjaciół. Czy byłam kiedyś zakochana? Jak to jest, kiedy się człowiek zakocha? Co było potem? Dlaczego to się skończyło? Czy wyjdę kiedyś za mąż? Czy boję się, że nie wyjdę?

- No, bo przecież ty się starzejesz.

Tą ostatnią uwagą uświadomiła mi, gdzie moje miejsce.

Miałam dwadzieścia jeden lat i nie czułam się stara, jednak matka Diany wyszła za mąż w wieku lat osiemnastu, a Dianie, która miała lat dziesięć, mogłam wydawać się wiekowa. Zerwałam

niedawno zaręczyny i uważałam, że jeszcze przez dobrych parę lat nie muszę się wiązać. Kiedy Diana zadawała mi tego rodzaju pytania, zawsze odpowiadałam ogólnikowo, szczerze, ale bez ujawniania spraw prywatnych. Uważałam, że jej pytania zasługują na uczciwą odpowiedź, równocześnie jednak byłam zdania, że rozmawiając z dziewczynką w tym wieku, nie należy się zbyt na ten temat rozwodzić. Tego lata Diana poznała kilka moich koleżanek, które były nawet starsze ode mnie. Uważała je z pewnością za starszki i pożegnała się z myślą, że mnie może jeszcze spotkać coś romantycznego. (Osiem lat później, kiedy w końcu wyszłam za mąż, wszystkie dzieci przysłały mi pisemne gratulacje.)

Podczas letniego trymestru, gdy dzieci były w szkole, a ja zajmowałam się swoją pracą, za kulisami obracały się bezlitośnie tryby prawa, w wyniku czego w początkach lipca (na szczęście przed końcem trymestru) miała odbyć się rozprawa w sądzie. W czerwcu adwokaci jeszcze raz odwiedzili Park House. Tego dnia wieczorem, kiedy Charles był już w łóżku, lord Althorp wezwał mnie do gabinetu. Był jeszcze bardziej zmieszany niż wtedy, kiedy informował mnie, na co się zanoszą, i powiedział, że matka dzieci złożyła oświadczenie, które odnosi się przede wszystkim do mnie. Naprawdę zdenerwowany stwierdził, że jest ono niezmiernie krzywdzące i, chcąc mnie uspokoić, zaczął prosić, żebym zrozumiała, że się z nim w najmniejszym stopniu nie zgadza i że zostało ono napisane przez matkę, która walczy o dzieci.

Prosił, żebym nie brała sobie tego zbyt do serca, żebym nie traktowała sprawy osobiście, tylko wzięła pod uwagę, w jakich okolicznościach oświadczenie zostało napisane. Stwierdził też, że muszę się nad nim przez parę dni zastanowić i że później razem napiszemy odpowiedź. Przeczytał mi oświadczenie na głos, co chwila przerywając i starając się usprawiedliwić byłą żonę. Byłam dość zaskoczona tym atakiem. Matka

dzieci kwestionowała ustawicznie moje kompetencje i dowodziła, że nie jestem w stanie zapewnić dzieciom należytej opieki. Mimo że rozumiałam, iż chcąc wygrać sprawę, nie miała wyboru i musiała tak postąpić (gdyż byłam w tej sprawie jednym z głównych ogniw, które trzeba było skruszyć), nie miałam zamiaru pozostawić jej uwag bez pisemnego komentarza. Kiedy lord Althorp skończył czytać, poprosiłam go, by pozwolił mi przeczytać oświadczenie jeszcze raz po cichu, gdyż chciałam z niego jak najwięcej zapamiętać. Zgodziłam się na jego propozycję i powiedziałam, że zastanowię się przez parę dni, a potem razem napiszemy odpowiedź.

Wyszłam z gabinetu z mieszanymi uczuciami. Wiedziałam, że mnie skrzywdzono i wykorzystano, wiedziałam, że przekrecono moje wypowiedzi, a równocześnie ze smutkiem i współczuciem myślałam o kobiecie, która - co całkiem naturalne - pragnęła mieć prawo do opieki nad własnymi dziećmi. To prawda, opuściła je, jednak ja zawsze żywiłam głębokie przekonanie, że każda sprawa ma dwie strony, a ponieważ jej odejście z Park House miało miejsce przed moim pojawieniem się tam, starałam się jej nie osądzać. Byłam w stanie ją zrozumieć. Wkroczyłam w życie dzieci i dzieci czuły się ze mną szczęśliwie. Nie próbowałam zastąpić im matki, ale dzięki mojej obecności skończyły się ciągle zmiany nianieek i dziewcząt pomagających przy dzieciach. Już po upływie krótkiego czasu stało się oczywiste, że dzieci mnie polubiły i że najprawdopodobniej zostaną z nimi do końca umówionego okresu.

Zatrudniłam się po prostu u lorda Althorpa. Gdybym tego nie zrobiła, na moim miejscu znalazłby się ktoś inny. Czy ta osoba stanęłaby w obliczu sytuacji, w której teraz ja się znalazłam? Najprawdopodobniej tak. Nie sądziłam, żeby atak skierowany przeciwko mnie miał podłoże osobiste. Po prostu złożyło się tak, że to ja byłam

opiekunką dzieci w chwili gdy ich matka wносиła sprawę do sądu. Nie miałam pojęcia, że zostanę wplątana w taką sprawę i czytając oświadczenie, które mnie dotyczyło, byłam bardzo zdenerwowana.

Tej nocy nie mogłam spać. W mojej głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Nie mogłam czekać. Musiałam przelać je na papier. Nie miałam zamiaru deliberować nad tym wszystkim przez kilka dni. Odpowiedź należało napisać od razu, teraz, kiedy miałam całą sprawę na świeżo w głowie. Wiedziałam, że dopóki tego nie zrobię, nie będę mogła skupić się na niczym innym. Za niecałe dwanaście godzin będę musiała wyprawić Charlesa do szkoły - nie chciałam robić tego z roztargnieniem. Nie chciałam, żeby ta sprawa dotknęła chłopca w najmniejszym stopniu. Kiedy wróciłam na górę, panował tam absolutny spokój. Zajrzałam do Charlesa, który smacznie spał. Jakie niewinne i anielskie wydają się dzieci, kiedy odpłyną w krainę snu. Na widok jego spokojnej buzi utwierdziłam się w postanowieniu, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby nie dopuścić do zakłócenia naszej ustabilizowanej egzystencji. To prawda, że prawo do opieki miał ojciec, ale wakacje dzieci były podzielone równo, a poza tym sądziłam, że otwierając stare rany, niewiele można osiągnąć.

Przysunęłam sobie krzesło do elektrycznego kominka. Zimą, kiedy na prawdziwym kominku płonął ogień, a dzieci były już w łózkach, bardzo lubiłam czytać oraz pisać listy, eseje i wiersze. Pisząc zawsze czułam się odprężona, słowa płynęły mi gładko. Teraz, w czerwcowy wieczór, kiedy na dworze było jeszcze jasno, niepotrzebny był mi prawdziwy ogień, wystarczył zainstalowany czasowo grzejnik elektryczny. Wieczór był co prawda ciepły, ale mnie zrobiło się chłodno. Włączyłam więc grzejnik. Wstrząs, jakiego doznałam, zdenerwowanie i niedowierzanie wywarły na mnie swój wpływ. Wzięłam pióro i papier i zaczęłam pisać. To, co pisałam,

różniło się bardzo od tego, co pisywałam zwykle, przeskakując swobodnie z tematu na temat. Różniło się, bo sprawa była poważna. Emocje i adrenalina przyszły mi z pomocą, kiedy tak zapisywałam stronę po stronie, odpowiadając na skierowane przeciwko mnie potępiające sądy i oskarżenia. Światło dzienne ustąpiło zmierzchowi, a ten ciemności, a ja wciąż pisałam, nie pamiętając, która jest godzina, świadoma tylko jednego: że muszę przelać na papier wszystkie swoje myśli i w ten sposób uwolnić się i zdystansować od tej nieprzyjemnej sprawy. Wreszcie skończyłam, odpowiedziałam na wszystko, punkt po punkcie. To, co napisałam, czytało się płynnie, jedynie mój charakter pisma był niezbyt czytelny, trzeba więc było wszystko przepisać. Zrobiłam to, nie wprowadzając prawie żadnych poprawek.

Kiedy skończyłam, krótka noc ustąpiła pięknemu wschodowi słońca. Był już nowy dzień. Wyczerpana, ale zadowolona z tego, że wykonałam zadanie, położyłam się na dwie godziny do łóżka. Byłam zbyt zmęczona, aby spać, w głowie wciąż jeszcze kłębiły mi się myśli. W końcu zdrzemnęłam się. Obudził mnie Charles, mówiąc, że jestem spóźniona. Na godzinę zapomniałam o wszystkim i zajęłam się wyprawianiem go do szkoły. Kiedy go już odwiozłam i wróciłam do domu, wzięłam to, co napisałam, i poszłam do lorda Althorpa, którego zastałam w gabinecie. Powiedziałam mu, co zrobiłam, wyjaśniłam, dlaczego musiałam napisać odpowiedź od razu, i wręczyłam mu papiery. Nie skomentował tego, podziękował mi tylko i wyraził zadowolenie, że to nieprzyjemne zadanie zostało wykonane i że myśl o nim nie będzie nam ciążyła przez następnych kilka dni.

Pojechałam na długą przejażdżkę konną przez las aż do Wolferton. Po drodze minęłam rododendrony stojące teraz w pełnej glorii i stanowiące przepiękną ozdobę królewskiej posiadłości. Uroda otoczenia podziałała na mnie uspokajająco. Wróciłam odprężona i z mocnym postanowieniem, że nie

będę myślała o procesie aż do chwili, gdy dostanę wezwanie na rozprawę.

Czas mijał bardzo szybko i nagle okazało się, że jest początek lipca. Na szczęście wszystkie dzieci, z wyjątkiem Charlesa, który chodził do szkoły dziennej, były jeszcze w internatach. Rozprawa się zbliżała, a w domu przestano mówić o czymkolwiek innym, gdyż cały personel odbył rozmowy z adwokatami. Nie wszyscy jego członkowie mieli występować w sądzie, ale wszyscy oświadczyli, że dzieci są w Park House bardzo szczęśliwe. Personel był zadowolony, że może pomóc swemu pracodawcy, tym bardziej że każdy z jego członków żywił szczere przekonanie, że dzieciom jest lepiej w Park House i że ponowne zakłócenie ich trybu życia może im tylko zaszkodzić. Mimo to jednak był to okres trudny, gdyż żadne z nas nigdy przedtem nie występowało w takiej sprawie.

Dołożyłam wszelkich starań, żeby Charles nie zorientował się, że w domu panuje atmosfera niepokoju. Moje wysiłki dały pozytywny rezultat również dzięki temu, że wszyscy pilnowali się bardzo i nie mówili o sprawie w jego obecności. Po powrocie ze szkoły chłopiec pływał w basenie, jeżeli pogoda była ładna, albo bawił się w domu w skrzydle dziecięcym, gdzie nigdy nam nie przeszkadzano. Co do mnie, to bez trudu powstrzymywałam się od myślenia o zbliżającej się rozprawie. Nie udało mi się to tylko wtedy, kiedy znalazłam się w towarzystwie innych członków personelu. Nie zakładałam z góry, co się wydarzy podczas tej rozprawy. Cała moja wiedza o procesach sądowych pochodziła z telewizyjnych programów o prawniku Per-rym Masonie, a ponieważ on występował wyłącznie w procesach o morderstwo, uważałam, że między tym, co się w tych programach pokazuje, a naszą rozprawą nie będzie żadnego podobieństwa.

W końcu nadszedł dzień rozprawy. Poprzedniego dnia lord Althorp, w ponurym nastroju, pojechał do Londynu. Przed

wyjazdem poprosił mnie do gabinetu. Doskonale się orientował, jakie w najbliższych dniach czekają mnie stresy, a równocześnie, nie znając mnie zbyt dobrze, nie miał pojęcia, jak zniosę krzyżowy ogień pytań doświadczonego pełnomocnika jego byłej żony. Ja tymczasem w swojej naiwności - gdyż byłam naprawdę doskonałą egzemplifikacją porzekadła mówiącego, że „ignorancja to szczęście” - spodziewałam się, że będę musiała jedynie - szczerze i zgodnie z prawdą - odpowiedzieć na pewną liczbę pytań. Nie miałam pojęcia, że wytrawni prawnicy potrafią zręcznie manipulować ludźmi. Nie wiedziałam też, że umieją tak zonglować słowami, że dobro wydaje się złem i na odwrót. Byłam tak naiwna, że uważałam, iż skoro w Park House nie istnieją problemy z dziećmi, to - bez względu na to, co mówią nasi przeciwnicy - da się to udowodnić, w wyniku czego wszystko pozostanie bez zmian. Uważałam całą tę sprawę za kosztowną, bezcelową zabawę. Lord Althorp wyjaśnił mi, że najpierw będę pytana o rzeczy wynikające z moich oświadczeń, a następnie będę musiała odpowiedzieć na pytania przeciwnej strony. Nie zmartwiłam się tym wcale i zapewniłam go, że dam sobie radę. Lord Althorp poradził mi, żebym się nie spieszyła podczas udzielania odpowiedzi i żebym się nie dała wyprowadzić z równowagi. Usiłował jak najlepiej przygotować mnie na to, co się miało zdarzyć, starając się równocześnie nie dopuścić do tego, żebym wpadła w panikę. Powiedziałam mu, żeby się nie martwił, gdyż jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze.

Zgodnie z oczekiwaniami, sprawa toczyła się przez pięć dni. Państwo Smith i ja mieliśmy zostać zawiadomieni, kiedy mamy się stawić i w odpowiednim czasie pojechać do Londynu. Kamerondyner i jego żona nie zeznawali. Mieszkali w Park House tak krótko, że ich ocena sytuacji nie mogła być miarodajna, a poza tym mieli bardzo mało do czynienia z dziećmi.

O całej tej historii powiedziałam oczywiście swoim rodzicom, a oni prawie całkowicie powstrzymali się od komentarzy. Jednak lepiej niż ja zdawali sobie sprawę zarówno z ewentualnych skutków mojego wystąpienia w sądzie, jak i z tego, że będzie mu towarzyszył duży stres. Później powiedzieli mi, że w tym czasie myśleli o mnie bez przerwy, zastanawiając się, jak sobie poradzę. Moja rodzina, przyjaciele i znajomi nie uczestniczyli w procesach rozwodowych, w których występowali najlepsi adwokaci obdarzeni honorowym tytułem Queen's Counsel (adwokat królewski). Rozwody nie były w tamtych czasach tak częste jak dzisiaj. Kosztowne i zwykle bardzo nieprzyjemne dla obu walczących stron, były uważane za „rozrywkę” tak zwanych wyższych warstw społecznych. Stanowiły coś, o czym ludzie naszego pokroju czytali w kronikach towarzyskich w prasie bulwarowej. Nie wiem, czy to dobrze czy to źle, ale większość moich rówieśników starała się utrzymać swoje małżeństwa i widzieć ich pozytywne strony. W tamtych czasach znałam tylko jedną rozwódkę. Była ona o parę lat starsza ode mnie i patrzono na nią ze zgrozą - dlatego, że osiągnęła tak niezwykle status, a równocześnie żałowano jej, bo nie udało jej się małżeństwo. Widać z tego wszystkiego, jak źle byłam przygotowana na to, co miało nastąpić.

Lord Althorp wyjechał, a my zostaliśmy w Park House i niecierpliwie oczekiwaliśmy wieści z Londynu. Byliśmy bardzo ciekawi, jak przebiega sprawa. Wypełnialiśmy jak zwykle swoje obowiązki, ale myśleliśmy tylko o niej. Lord Althorp telefował co wieczór, ale nie był w stanie powiedzieć, na czyją korzyść przechyliła się szala. Trzeciego dnia wieczorem powiedział nam, że nazajutrz musimy stawić się w sądzie. W tym celu powinniśmy przyjechać rannym pociągiem z Kings Lynn do Londynu, a tam złapać taksówkę i przyjechać do gmachu sądów zwanego Queen's Buildings. Lord Althorp rozmawiał

najpierw z państwem Smith, a później ze mną. Poinformował mnie, że matka dzieci kładzie ogromny nacisk na to, że ja nie nadaję się na ich opiekunę. Według niej nie mam ani doświadczenia, ani potrzebnych kwalifikacji, jestem niewiele starsza od Sary, zachowuję się jak rówieśnica dzieci, a nie jak ktoś, kto jest dla nich autorytetem. A poza tym jej zdaniem wypadek Diany podczas jazdy konnej został spowodowany wyłącznie moim brakiem odpowiedzialności.

Nie przejęłam się tym wszystkim. Zdawałam sobie sprawę, że matka wybrała najpewniejszą drogę prowadzącą do uzyskania prawa do opieki nad dziećmi. Stara się mianowicie udowodnić, że lord Althorp zatrudnia niekompetentne opiekunki. A ponieważ tak się zdarzyło, że opiekunką jestem ja, wybrała atak na mnie jako najpewniejszy sposób udowodnienia tej tezy. Nie należało się spodziewać, że dostrzeże we mnie cokolwiek pozytywnego, bo gdyby tak było, nie byłoby sprawy. Uważałam, że muszę przedstawić sądowi całą prawdę i wykazać, że jej oskarżenia są bezpodstawne. Lord Althorp powiedział, że powinienam włożyć na siebie coś spokojnego i nierzucającego się w oczy, gdyż krytykowany jest nawet mój sposób ubierania się jako niestosowny dla „niańki”. (Zwykle nosiłam coś praktycznego, na przykład dżinsy i sweter.) Poinformował nas, że - gdy przyjdziemy do sądu - ktoś wyjdzie nam na spotkanie. Natomiast on sam będzie wtedy w środku, na sali rozpraw. Życzył mi, żebym sobie dobrze dała radę.

Na drugi dzień, wczesnym rankiem, pojechaliśmy we troje do Kings Lynn. Samochód prowadził Smith. Ponieważ nie byliśmy pewni, o której godzinie wrócimy, Charles miał po szkole pojechać do przyjaciół. Podczas podróży pociągami ja przeważnie czytałam, a państwo Smith wspominali sprawę rozwodową. Najlepszy ciemny garnitur pana Smitha został wywietrzony, tak żeby nie pachniał kulkami na mole. Pani Smith, ze

świeżo ufryzowanymi, układającymi się w fale siwymi włosami, wyglądała elegancko w swoim lekkim letnim kostiumie. Ja natomiast miałam na sobie coś, co uważałam za strój stosowny i w dobrym guście: bluzkę, spódnicę i lekki żakiet. Większą część podróży spędziliśmy w milczeniu, pogrążeni w myślach.

Po przyjeździe do Londynu wzięliśmy taksówkę - tak jak radził nam lord Althorp. W letni dzień żadne miasto nie jest przyjemne. O ileż milej jest być wtedy na wsi. Tamtego lipcowego dnia w Londynie było już bardzo ciepło. Niezwykle czyste, błękitne niebo zapowiadało upał. W dziesięć lat później, również w lipcu i również w upalny dzień, miałam znaleźć się w Londynie i być świadkiem ślubu Diany z Karolem, księciem Walii. Ale wtedy nie przyszło mi nawet do głowy, że ta mała dziewczynka, w sądowych zmaganiach o którą właśnie uczestniczyłam, zostanie w dziesięć lat później księżną i że jej pieszczotliwe przezwisko „the Duchess”, jakie jej w dzieciństwie nadał drugi mąż jej matki, zostanie zastąpione jeszcze wspólniejszym tytułem.*

* „Duchess” znaczy „księżna” - żona księcia określanego tytułem „duke”. „Princess” - to księżniczka - córka lub wnuczka (będąca dzieckiem syna) króla lub królowej albo małżonka księcia określanego tytułem „prince” czyli syna lub wnuka (będącego dzieckiem syna) króla lub królowej. Tytuł księżnej Walii po angielsku brzmi „the Princess of Wales” (przyp. tłum.).

Weszliśmy do imponującego budynku i zapytaliśmy, w której sali odbywa się nasza rozprawa. Mężczyźni i kobiety w ciemnych ubraniach, niektórzy z wypchanymi teczkami, inni pochłonięci czytaniem akt, podążali zdecydowanie w różne strony. Kierując się otrzymanymi wskazówkami, dotarliśmy przed właściwą salą. Wyszedł nam na spotkanie jakiś człowiek z nieodzownymi papierami i potwierdził naszą tożsamość. Po odnotowaniu, że jesteśmy obecni, poproszono nas, żebyśmy zajęli miejsca na drewnianych krzesłach przed salą rozpraw i

po czekali na wezwanie. Nawet to było dla mnie niespodzianką, bo myślałam, że będziemy siedzieli w sali, przysłuchując się rozprawie, a potem, wzywani kolejno, złożymy nasze zeznania - tak przecież wszystko przebiegało w telewizji! Nie czekaliśmy jednak długo, wkrótce bowiem wezwano pana Smitha. Niedługo po nim weszła do sali jego żona, a ja zostałam sama. Ponieważ pani Smith została wezwana wkrótce po mężu, spodziewałam się, że i ja wejdę za parę minut. Ale tak się nie stało. Czekalam bardzo długo, przez cały czas myśląc, że lada moment drzwi się otworzą, a ja zostaną wprowadzona do środka. Czas mijał bardzo powoli. Nikt się nie zjawiał. Nie miałam pojęcia, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami, ani jak długo jeszcze będę musiała czekać.

Nastąpiła przerwa na lunch, podczas której nie zobaczyłam się z nikim, gdyż nie wolno nam się było kontaktować. Siedziałam i czytałam książkę. Nie byłam wcale głodna, pragnęłam tylko, żeby popołudniowe posiedzenie już się zaczęło. Zastanawiałam się, czy będę mogła wrócić do domu z państwem Smith, czy też będę zmuszona przenocować w Londynie. Omawialiśmy taką możliwość i zaplanowaliśmy, że w takim wypadku pani Smith zaopiekuje się Charlesem. Co prawda ze szkoły mieli go odebrać przyjaciele, jednak Charles nie miał u nich nocować, bo uważaliśmy, że lepiej będzie, jeżeli przenocuje w domu. Po ogłoszeniu przerwy na lunch woźny poinformował mnie, że najprawdopodobniej po jej zakończeniu zostaną wezwani na salę.

W końcu wezwano mnie. Weszłam na salę rozpraw. W drugim jej końcu, naprzeciwko mnie siedział sędzia. Przeszłam środkowym przejściem i podeszłam do miejsca dla świadków składających zeznania. Było to drewniane podwyższenie przypominające ambonę i znajdujące się w prawej przedniej części sali. Po obu stronach przejścia siedzieli zwaśnieni eksmałżonkowie wraz ze swoimi prawnikami, sekretarkami i tymi

świadkami, którzy już zeznawali. Jedno z miejsc z przodu zajmowała matka dzieci, a po drugiej stronie, za przejściem, siedział ich ojciec, mój pracodawca. Zająłem miejsce dla świadka, po czym podszedł do mnie mężczyzna z Biblią. Złożyłem przysięgę. Jak do tej pory, wszystko było jak w programach z Perym Masonem.

Podano mi szklanę wody. Już później, po rozprawie, zastanawiałam się, kiedy właściwie miałam tę wodę wypić. W ogniu pytań - gdy w ustach coraz bardziej mi zasychało i gdy usiłowałam odpowiadać zwięźle i precyzyjnie, dobierając słowa tak, żeby nie dało się ich mylnie zinterpretować - nie mogłam nawet marzyć o zrobieniu przerwy i przelknięciu odrobiny płynu. Nie mogłam, bo to by mnie zdekoncentrowało. Sędzia, zwracając się do mnie łagodnym tonem, powiedział, że jeżeli chcę, to mogę usiąść. Nie chciałam, gdyż uważałam, że stojąc będę lepiej panowała nad sytuacją. Do tego czasu na sali zrobiło się tak ciepło, że sędzia pozwolił mężczyznom zdjąć marynarki.

Zaczęło się przesłuchanie. Adwokat lorda Althorpa zadał mi kilka pytań odnoszących się do tego, co napisałam w swoich oświadczeniach. Chciał uzyskać potwierdzenie jednych rzeczy oraz uwypuklić inne, wzmacniając w ten sposób pozycję swego klienta. Nie mieliśmy z tym żadnych problemów, bo byliśmy po tej samej stronie. Jego pytania nie były podchwytliwe, a on nie był nastawiony do mnie wrogo. Ale potem przyszła kolej na naszych przeciwników. Pytania posypały się na mnie w zawrotnym tempie. Nie zdążyłam jeszcze odpowiedzieć na jedno, a już padało drugie. Zanim odpowiedziałam na to drugie, adwokat wyrzucał z siebie następne. Sędzia odnosił się do mnie ze zrozumieniem, kiedy usiłowałam udzielać dokładnych odpowiedzi na każde z nich. Mój mózg pracował całą parą. Musiałam być w pełni skoncentrowana i zachować jasność myślenia. Miałam przed sobą przeciwnika, który był zdecydowany

wygrać sprawę, podważając moje słowa - słowa dziewczyny stojącej na miejscu dla świadków. Nie dałam się zmusić do odpowiadania w tempie narzuconym przez tego człowieka. Odpowiadałam z namysłem, zachowując jasność myśli i uważając, żeby nie powiedzieć czegoś, co można by było obrócić przeciwko mnie.

Dokładnie wiedziałam, co zawierały oba moje oświadczenia. Zapamiętanie ich treści nie było trudne, bo napisałam w nich tylko prawdę. Ciskano we mnie zniekształconymi zdaniami, zmieniając ich znaczenie. Przedstawałam ich właściwą interpretację. Odpowiadałam jasno, patrząc przeciwnikowi prosto w oczy. Głowę trzymałam wysoko, zachowując szacunek dla siebie i dodając sobie w ten sposób odwagi. Wykorzystałam to, że stoję na podwyższeniu, i patrzyłam prosto na tych, którzy mnie otaczali, nie tracąc pewności siebie. Jednak stopniowo coraz bardziej zasychało mi w ustach. W sali robiło się coraz goręcej. W głowie czułam coraz większy ucisk. Tymczasem pytania sypały się na mnie w nieskończoność. Twarze ludzi siedzących przede mną zaczęły zlewać się w jedno. Już ich nie rozróżniałam. Skupiłam całą uwagę na człowieku, który zadawał mi pytania, zdecydowana nie dopuścić do tego, żeby mnie pokonał albo zdobył nade mną przewagę.

Przerwałam na moment i przez sekundę widziałam wyraźnie tylko jedną jedyną twarz, twarz matki, która siedziała nieczuła na wszystko, słuchając moich zeznań i zastanawiając się, jaką szkodę mogą one wyrządzić jej sprawie. W tej chwili głos mi zdrzął. Odpowiadając na kolejne zadane ostrym tonem pytanie, usłyszałam, że się niemal łamie. Oczy napełniły mi się łzami, ale się nie rozplakałam. Wyciągnęłam rękę i przytrzymałam się barierki, żeby się nie zachwiać. Sędzia przerwał mi, pytając czy nie chcę się napić wody lub zrobić kilkuminutowego odpoczynku. Odpowiedziałam, że nie, ale wykorzystałam tę

chwilę na wzięcie kilku głębokich oddechów, po czym zwilżyłam wargi językiem i odzyskałam panowanie nad własnymi emocjami.

To widok matki tak mnie wyprowadził z równowagi. Bo oto stałam przed nią ja, dziewczyna mająca przed sobą życie, która w swojej naiwności, chcąc mieć jakąś odmianę, przyjęła posadę niańki. To, że znajdę się w sądzie i będę pomagała ojcu w walce o dzieci, było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam. Nie miałam żadnych argumentów przeciwko matce tych dzieci. Bo cóż bardziej naturalnego ze strony matki niż chęć posiadania prawa do opieki nad własnymi dziećmi? Ogarnął mnie nagły smutek na myśl, że tych dwoje ludzi, tak się kiedyś kochających i mających czworo żyjących dzieci, znalazło się przed sądem i walczy ze sobą tak zajadle. I na dodatek ja byłam jedną z najważniejszych osób wplątanych w ich walkę. Oboje rodzice mieli prawo do dzieci, ja jednak musiałam oczywiście być lojalna wobec ojca, a poza tym musiałam bronić swojej pozycji i swoich umiejętności.

Słowa „i wreszcie ostatnie pytanie” sprawiły, że nagle drgnęłam. Całą swoją świadomością, skoncentrowaną dotychczas na tym człowieku, który bombardował mnie pytaniami, przenieśliśmy się w inną sferę. Prawie nie wierzyłam, że ten dramat, który od tygodni narastał w moim umyśle, już się kończy. Jeszcze jedna odpowiedź i było po wszystkim. Sędzia podziękował mi i powiedział, że mogę opuścić miejsce dla świadków.

Moje nogi, na których dotychczas stałam tak pewnie, zrobiły się nagle jak galareta. Zaczęłam się zastanawiać, czy zdołam dojść do przeznaczonego dla mnie siedzenia. Wiedziałam, gdzie ono jest, gdyż lord Althorp wstał i podszedł do mnie, żeby wskazać mi miejsce za sobą i szepnąć „Świetnie!”. Jak w transie minęłam dwie osoby siedzące w moim rzędzie - być może byli to państwo Smith, a być może ktoś inny, gdyż państwo Smith skończyli zeznawać przed przerwą na lunch i w tym

czasie dotarli już prawdopodobnie do domu - i z ulgą opadłam na krzesło.

Teraz, kiedy już było po wszystkim, poczułam odpływ zarówno adrenaliny jak i tej wewnętrznej siły, której człowiek ma tak dużo w trudnych chwilach. Rozprawa została odroczonego do następnego dnia. Jacyś nieznajomi składali mi gratulacje. Lord Althorp i jego adwokat mówili, że im bardzo zaimponowałam. Ale czym? Prawie nie słyszałam ich słów, bo patrzyłam na matkę dzieci, która, otoczona ludźmi, a jednak samotna, wychodziła pospiesznie z sali. Nie zrobiłam nic specjalnego, powiedziałam tylko to, co należało powiedzieć i co było zgodne z prawdą. Właściwie to nie chciałam mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Nie chciałam uczestniczyć w rozpaczy matki ani w radości ojca, mimo że moim zdaniem ojciec sobie na tę radość zasłużył. Chciałam tylko zachować posadę i wykonywać moją pracę dobrze i w spokoju. Adwokat lorda Althorpa poinformował mnie, że dzięki mojemu zeznaniu ojciec prawie na pewno wygra sprawę. Okazało się, że podczas mojego długiego oczekiwania za zamkniętymi drzwiami, wezwano matkę na miejsce dla świadków i odczytano jej moje drugie oświadczenie, akapit po akapicie, prosząc ją o komentarz. To przesądziło sprawę i zdecydowało o zwycięstwie ojca. Nie czułam się triumfatorką. Byłam niewinnym pionkiem w tej przykrej rozgrywce. W tej chwili pragnęłam tylko spojrzeć na to wszystko z dystansu, powrócić do normalnego świata i do domu w Sandringham.

Do odjazdu pociągu miałam trochę czasu, poszłam więc na Oxford Street, weszłam do pierwszego napotkanego sklepu i kupiłam sobie ciekawą letnią sukienkę. Wepchnęłam ubranie, w którym występowałam w sądzie, do torby, tak jakby sama ta czynność mogła przyczynić się do wymazania z mojej pamięci wszystkiego, co tego dnia zaszło, i wyszłam ze sklepu na zalaną słońcem ulicę z mocnym postanowieniem, że wrócę do Park

House i przestanę myśleć o całej tej okropnej sprawie. Wyglądało na to, że mam w dalszym ciągu pracę, a moja najbliższa przyszłość jest pewna.

Następnego dnia zapadł wyrok. Zgodnie z przewidywaniami, lord Althorp zachował prawo do opieki nad dziećmi. Trzeba wspomnieć, że mimo całej euforii, jaka go musiała ogarnąć, kiedy sobie uświadomił, że wygrał, lord Althorp nie zapomniał o tym, że i ja mam rodziców, którzy muszą się o mnie niepokoić. Przeprósiwszy na chwilę przyjaciół, zatelefonował do mojego ojca, żeby mu opowiedzieć, jak dobrze sobie poradziłam, i poinformować go, że bardzo jest ze mnie dumny. Taka delikatność była czymś dla niego typowym i trzeba stwierdzić, że przekazał on tę cechę wszystkim swoim dzieciom. Tymczasem ja wsiadłam do pociągu i dojechałam do Kings Lynn, gdzie czekał na mnie Smith. Wróciliśmy do Park House, gdzie wkrótce zaczęliśmy się przygotowywać do letnich wakacji, na które wszyscy czekali z utęsknieniem.

Rozdział ósmy

Przed letnimi wakacjami Charles i ja mieliśmy przez kilka dni być w Park House sami. Charles chodził jeszcze do szkoły, więc w ciągu dnia miało go nie być w domu. Cieszyłam się na te chwile wytchnienia mające nastąpić po wszystkich napięciach, jakie przyniósł poprzedni tydzień. Charles i ja często bywaliśmy sami, a ja bardzo lubiłam ciche, długie dni upływające w miejscu, do którego rzeczywistość normalnego świata zdawała się nie mieć wstępu. Spokój panujący w tym miejscu ogarnął mnie zaskakująco szybko. Pod jego wpływem zapomniałam o przykrościach i niepokojach, jakie spowodował proces.

Diana przyjechała na wakacje pierwsza. Przez te kilka dni, które dzieliły nas od przyjazdu jej siostr, miałam zamiar

zorientować się, czy domyśla się ona, co zaszło podczas jej pobytu w szkole, i ewentualnie pomóc jej dojść do równowagi. Właściwie to nie miałam się czego obawiać. Rodzice, bez względu na to, jakie były ich wzajemne uczucia, robili wszystko, żeby to, co się między nimi działo, nie miało wpływu na dzieci. Urządzali wszystko tak, żeby na szkolne imprezy przychodziło zawsze tylko jedno z nich, a nigdy oboje. Dzięki temu Diana nie miała pojęcia, jakie są ich wzajemne stosunki. Z jednakowym zadowoleniem witała obecność każdego z rodziców. Oboje byli obecni jedynie na jej confirmacji w West Heath. Była to bardzo ważna okazja. Następną, przy której się spotkali, był oczywiście jej ślub, ale ten miał miejsce w dalekiej przyszłości.

Teraz natomiast powitałam Dianę w domu i zaczęłam ją obserwować. Jednak, o ile mi wiadomo, żadne z dzieci nie miało pojęcia o procesie. Szczęśliwa po powrocie do miejsca, które tak bardzo kochała, i mająca przed sobą długie tygodnie wspaniałych wakacji, Diana była w szczytowej formie. Ukończyła pierwszy rok nauki w Riddlesworth, i to w świetnym stylu. Bardzo podekscytowana powiedziała mi, że zdobyła „Puchar Legattów” przyznawany tym uczennicom, które były chętne do pomocy i na ochotnika wykonywały w szkole różne prace. Wcałe mnie to nie zdziwiło, bo Diana zawsze pragnęła czuć, że się do czegoś przydaje. Byłam bardzo zadowolona słysząc, że zdobyła tę nagrodę, a ojciec był z niej niezwykle dumny. Nauczycielki bardzo ją lubiły za uczynność i dobre maniery. Zawsze gotowa do współpracy, chętnie wykonywała powierzone sobie zadania. Jej zachowanie zostało ocenione na celujący i Diana zasługiwała na nagrodę.

Diana miała to szczęście, że idąc do nowej szkoły знаła już niektóre uczące się tam koleżanki. Jednak mimo to zmiana szkoły - przejście z małej szkoły dziennej, jaką było Silfield, do Riddlesworth - stanowiła w jej życiu doniosłe wydarzenie.

Lady Wake-Walker, ciotka Diany oraz jej matka chrzestna - Sarah Pratt, które doradziły lordowi Althorpowi to mądre posunięcie uważając, że Dianie należy wypełnić długie wolne godziny, jakie każde dziecko spędza w domu po powrocie ze szkoły dziennej, miały córki w Riddlesworth. A poza tym równocześnie z Dianą zaczęła do tej szkoły chodzić Alexandra Loyd. Od czasu gdy poznałam Dianę, imponowała mi ona zawsze tym, że z podziwu godną łatwością przystosowywała się do zmian. Przyzwyczajona do obecności matki w domu, przestała się na życie bez niej, od życia w szkole dziennej przeszła do życia w szkole z internatem i wreszcie ona, zwykła dziewczyna, stała się księżną. A zdecydowanie i silna wola cechujące ją od wczesnego dzieciństwa nigdy jej nie opuściły.

Diana była inteligentną, zdolną do adaptacji dziewczynką. Po krótkim okresie tęsknoty za domem, przystosowała się dobrze do warunków panujących w Riddlesworth. Uważano tam, że szkoła z internatem powinna zapewnić dzieciom rodzinną atmosferę i poczucie bezpieczeństwa, tak żeby rozwijały się one w sposób naturalny i czuły się szczęśliwe. Szkoła miała być dla nich, w miarę możliwości, domem z dala od domu. Jej dyrektorka, panna Ridsdale (czyli Ridzy, jak nazywały ją dziewczynki) dostrzegała w każdej uczennicy jej indywidualne zalety. Zalety, które posiadała Diana - praktyczność i dobre serce - zostały szybko zauważone. Panna Ridsdale dostarczała Dianie wielu okazji do wykazania się nimi, co przyczyniało się do umacniania jej wiary w siebie.

Wakacje się zaczęły, Diana była już w domu i wszyscy troje z łatwością przestawiliśmy się ze szkolnego trybu życia na wakacyjny. Życie w Park House toczyło się zawsze tak gładko. Odnosiłam się do tego z podziwem, bo w tym domu nie było przecież matki, a lord Althorp był często nieobecny. Byłam zadowolona, że przez parę dni będę miała Dianę dla siebie.

Diana wróciła ze szkoły obładowana bagażami. Przywiozła kufer, pudełko na przysmaki, no i oczywiście swoją ukochaną świnkę morską. W ciągu roku szkolnego bardzo wyrosła, więc trzeba jej było sprawić sporo nowych rzeczy. Zajmowała się tym jej matka, kupując ubrania u Harrodsa, gdzie sprzedawano szkolne mundurki. Jak wiele matek, lubiła też kupować Dianie rzeczy na co dzień. Diana miała je przywieźć ze sobą po wakacjach, których drugą część spędzała u niej.

Tak jak na początku ferii wielkanocnych, zostawiłam Dianę samą, żeby się zadomowiła i „pozbiarała” po przyjeździe. Nie trwało to długo. Charles jeszcze chodził do szkoły, a Diana spędzała czas ze mną i zdawała się robić to z taką samą przyjemnością, z jaką ja przebywałam z nią. Ze zdziwieniem zauważyła, że nasze szczeniaki bardzo urosły. Szczeniaki chodziły z nami na spacer, na które zabierałam też Suski, mając nadzieję, że będą brały z niej przykład i zachowywały się tak dobrze jak ona. Aminie niepotrzebna była zachęta ze strony springer spanielki Jill, gdyż i bez niej znikwała wśród zarośli. Staralam się skupić na sobie jej uwagę, tak żeby nie zginęła. Suski miała wywierać pozytywny wpływ na jej godne jakiegoś narwańca zachowanie.

W okresie między Wielkanocą a letnimi wakacjami Diana bardzo wydorosła. Znałyśmy się teraz lepiej i czułyśmy się swobodniej w swoim towarzystwie. Zdobyte nagrody dodało Dianie pewności siebie. Fakt, że wszyscy - ojciec, personel domowy, Charles i ja - cieszą się z jej przyjazdu do domu, musiał także utwierdzić ją w przekonaniu, że jest kimś oczekiwanym i akceptowanym. Diana bardzo kochała młodszego brata, a od czasu gdy matka opuściła dom rodzinny, czuła się za niego odpowiedzialna. Nie przeszkadzało to jej traktować go z wyższością - chodziła już przecież do szkoły z internatem, co zrównywało ją ze starszymi siostrami, a Charles wciąż był uczniem szkoły dziennej.

Chodziłyśmy dwa razy dziennie na spacer z psami. Będąc razem w domu, rozmawiałyśmy oczywiście, ale zajmując się równocześnie innymi rzeczami. Natomiast podczas spacerów mogłyśmy skupić całą uwagę na rozmowie. Najpierw mówiłyśmy o szkole. Silfield było doskonałym stadium pośrednim między Ally - guwernantką, która uczyła w Park House i która nie chciała tam zostać po odejściu matki - a Riddlesworth. Jednak Silfield nie mogło się równać z nową szkołą Diany, gdzie było mnóstwo różnych zajęć. Diana z entuzjazmem opowiadała mi o nich.

Powiedziała mi, że w szkole, na obowiązkowych zajęciach, uczono tańców szkockich i naturalnego ruchu tanecznego, ale jej pozwolono również uczęszczać na lekcje baletu. Do zajęć dodatkowych należała też jazda konna. Zażartowałam, mówiąc, że to dziwne, iż nie zapisała się na nią, podobnie jak na balet. Diana nie zorientowała się, że nie mówię poważnie, i wyjaśniła mi, że - ponieważ w balecie trzeba trzymać nogi prosto, a podczas jazdy konnej zgięte - nie warto próbować jednego i drugiego.

Diana, będąc dzieckiem, nastolatką i osobą dorosłą, niezmiennie kochała taniec i śpiew. Osiemnaście miesięcy przed ślubem napisała do mnie w liście, że są one miłością jej życia. Krytycznie nastawiona do siebie, mawiała, że ma „okropny głos” i że „kiedy tańczy, przypomina słonia, więc nikt nie chce na nią patrzeć”. Prawda o jej umiejętnościach jest zupełnie inna. Zademonstrowała je bowiem na scenie, tańcząc ze słynnym tancerzem Wayneem Sleepem.

Roześmiałam się i powiedziałam, że pozycja nóg nie ma nic wspólnego z jej niechęcią do jazdy konnej. Diana, która potrafiła żartować z siebie, przyjęła moją uwagę z humorem. Dodałam, że nie ma oczywiście potrzeby, żeby jeździła konno, bo

uprawia przecież inne sporty, i zapytałam, dlaczego nie przyzna, że upadek z konia pozbawił ją entuzjazmu. Diana zbiła mój argument, przypominając mi, że upadła także podczas jazdy na nartach, a nie przestała lubić tego sportu. Rzeczywiście, jeździła na nartach chętnie, a opuściwszy szkołę średnią w Szwajcarii napisała do mnie, że *okropne w niej było wszystko z wyjątkiem nart*.

Tak więc podczas naszych wędrówek przekomarzałyśmy się, co dowodziło, że stosunki między nami są bardzo swobodne. Często spotykałyśmy Ally, której odejście spowodowało, że dzieci szybciej zaznały się z życiem szkolnym. Ally dyplomatycznie przyjaźniła się nadal z obojgiem ich rodziców. Kiedy Diana mnie z nią poznała, nie byłam zdziwiona jej dyplomatyczną postawą. Ally była bowiem pełną godności, dystyngowaną damą, elokwentną, uprzejmą i kierującą się, jak przypuszczałam, ściśle określonymi zasadami postępowania, które to zasady wpajała dzieciom łagodnie i spokojnie, ale bardzo autorytatywnie. Ona także miała psa rasy keeshond, z którym teraz, po przejściu na emeryturę, często spacerowała po lesie. Jeżeli szłyśmy w tym samym kierunku, przyłączałyśmy się do niej. Diana nigdy nie zapomniała tego, co Ally wpoila jej we wczesnym dzieciństwie, pamiętała też dobroć swojej starej guwernantki. Zaprosiła ją na swój ślub, jednak Ally zmarła na miesiąc przed tym doniosłym wydarzeniem.

Spacerując ze szczeniakami i z Suski, miałyśmy okazję obserwować życie w lesie. Obie uwielbiałyśmy daniela, które wyglądały tak pięknie. Dzikie i płochliwe, znikwały w lesie, skoro tylko nas zauważyły. Staraliśmy się zachowywać jak najciszej, ale nigdy nie zdołałyśmy ich przekonać, że nic im z naszej strony nie grozi. Czasami był wśród nich samiec noszący wysoko rog. Wyglądał tak szlachetnie, był taki dumny i prawie tak wspaniały jak jego więksi kuzynowie żyjący w Szkocji. Diana

kochała daniela tak mocno jak inne zwierzęta. Jestem pewna, że jednym z powodów, dla których bardzo lubiła opowieść o Indianinie imieniem Hiawatha, było to, że tego Indianina łączyło pokrewieństwo ze wszystkimi stworzeniami. Nigdy nie uwierzę, że we wczesnym okresie swego małżeństwa chętnie uczestniczyła w polowaniach na jelenie. Zastanawiałam się wtedy, czy pamięta daniela, które tak często śledziły nas podczas naszych spacerów. Diana czuła wstręt do zabijania i do zadawania niepotrzebnego bólu bezbronnym zwierzętom - tak po prostu, dla przyjemności. Nie była to postawa łatwa do utrzymania w kręgach, w których się później musiała obracać.

Po rozmowach o szkole nastąpiły rozmowy o planach na długie letnie wakacje. Tego dnia miała przyjechać Sarah, wakacje w szkole Charlesa zaczynały się za dwa dni, a w następnym tygodniu spodziewaliśmy się Jane, która pierwsze dni po zakończeniu zajęć spędzała z matką. Kiedy Jane pojawiła się wreszcie w Sandringham, przekonałam się, że jest dziewczynką bardzo delikatną i łagodnego usposobienia. Wszędzie czuła się dobrze, nie było z nią żadnych problemów, a co więcej, działała relaksująco na ojca. Zauważyłam, że Sarah jest czasami delikatna i życzliwa, a czasami całkowicie skoncentrowana na sobie. Obie dziewczynki miały silne charaktery, ale Sarah - z powodu swej zmienności - była tą, na którą się bardziej zwracało uwagę. Nieraz musiałam ją ostrzegać:

- Nie zachęcaj Diany, nie podjudzaj jej.

A do Jane nigdy nie trzeba było zwracać się w ten sposób.

Podczas tych wakacji mieliśmy obejrzeć doroczną Wystawę Kwiatów i słuchać koncertów festiwalowych w Kings Lynn, a poza tym planowaliśmy, że będziemy spędzać całe dnie na plaży, grać w tenisa, no i oczywiście korzystać jak najwięcej z basenu. Oczekiwaliśmy też licznych wizyt przyjaciół. Myśląc o

rychłym przyjeździe siostry, Diana powiedziała mi, co Sarah pisała do niej z West Heath: że dyrektorka jest tam bardzo sroga i że dziewczęta przyłapane na paleniu lub picciu wyrzuca się ze szkoły. Odparłam, że pochwalam te zasady i że palenia i picia należy unikać nawet kiedy jest się dorosłym. Diana nie potrzebowała tej rady. Zawsze interesowała się sportami i chciała być zdrowa, nigdy więc nie ulegała takim pokusom. Lubiała za to słodczyce, największą pokusą były dla niej czekoladki. Kucharka, która o tym wiedziała, zawsze podczas pobytu Diany w domu przygotowywała wspaniałe desery. Diana pałaszowała je z zapalem, a później narzekała, że jest gruba. Zapewniałam ją, że jej tłuszcz to taki tłuszcz młodzińczy, który z wiekiem zniknie. Jednak Diana naprawdę zeszczuplała dopiero po ślubie z księciem Karolem.

Zaproponowałam Dianie, że skoro mamy przed sobą tak długie wakacje, to może zajęłybyśmy się kiedyś gotowaniem - najlepiej kiedy ojca nie będzie w domu, a kucharka będzie miała wychodne. Dobrze się przecież bawiłyśmy, piekąc chleb w czasie ferii, i teraz mogłybyśmy zrobić następny krok. Nasze umiejętności kulinarne pozostawiały bowiem sporo do życzenia. Pieczona fasola na grzance i gotowane jajka były tym, co Diana potrafiła przygotować najlepiej. Później opowiadała mi, że kiedy przestała chodzić do zniechęconej szkoły w Szwajcarii, matka posłała ją na dwunastotygodniowy kurs gotowania, który okazał się „świetną zabawą”. Być może próby podejmowane w Park House dały jej dobre podstawy. W każdym razie skończyła kurs jako osoba *najzupełniej zdolna do prowadzenia domu*, a to właśnie pragnęła osiągnąć matka. Ostatnim stopniem wtajemniczenia w życie domowe były jej doświadczenia z dziećmi. Zwierzyła mi się, że jej *pierwszy sprawdzian z instynktu macierzyńskiego wypadł jak najgorzej*. Nie zniechęciło jej to jednak i kiedy przeniosła się do pracy u innej rodziny, okazało się, że *to uwielbia*. Wszystko to miało oczywiście miejsce w przeszłości, jednak kiedy się myśli

o jej późniejszym życiu, dobrze jest pamiętać, jaka Diana była w dzieciństwie, czym się razem zajmowałyśmy i o czym rozmawiałyśmy.

Wróciłyśmy z popołudniowego spaceru i zobaczyłyśmy, że przyjechała Sarah. Przed frontowym wejściem stała simka z otwartym bagażnikiem, a Smith przy pomocy Sary wyjmował bagaże. Smith wyjechał po Sarę na stację w Kings Lynn i teraz - po przejażdżce ze swoją gadatliwą i pełną energii pasażerką - wyglądał jak ktoś, komu dobrze zrobiłaby filiżanka herbaty. Diana pobiegła przodem, chcąc przywitać się z Sarą. Sarah natomiast była dość powściągliwa, zręcznie ukrywając, że naprawdę się cieszy, widząc siostrę. Powiedziałam jej, że bardzo dobrze jest znowu ją widzieć, po czym obie dziewczynki, po skończonych powitaniach, zniknęły we wnętrzu domu. Smith odprowadził samochód, a potem zaprowadził psy do psiarni. Wiedziałam, że mam teraz trochę czasu dla siebie, gdyż Diana poszła zobaczyć, jak Sarah się rozpakowuje i porozmawiać z siostrą.

Godzinę później pojechałam do Silfield po Charlesa. On też z utęsknieniem czekał na długie wakacje i uważał, że to niesprawiedliwe, iż musi jeszcze przez dwa dni chodzić do szkoły, podczas gdy siostry mają już wolne. Pocieszyłam go, że kiedy zacznie chodzić do szkoły przygotowawczej, będzie miał równie długie wakacje jak one. Dla niego nie była to jednak wielka pociecha. Szkoła z internatem była dla niego czymś nieznanym i Charles wołał już chodzić do szkoły dziennej i mieć krótsze wakacje. Po powrocie do domu natychmiast poszedł zobaczyć się z najstarszą siostrą. On i Sarah kochali się oczywiście, ale z powodu różnicy wieku niewiele ich łączyło. Jane, aczkolwiek tylko o dwa lata młodsza od Sary, miała z Charlesem więcej wspólnego; ich charaktery były podobne, oboje byli łagodni i bardzo poważni.

Sarah przyjechała do Norfolk przed swoimi przyjaciółmi. Postanowiłam na drugi dzień wziąć wolne. Była to ostatnia

okazja przed początkiem wakacji Charlesa, gdyż później, do czasu wyjazdu dzieci do matki, co miało nastąpić za cztery tygodnie, nie miałam szansy na przerwę. Charles był zaproszony do kolegi na podwieczorek, miał do niego pojechać ze szkoły. Powiedziałam lordowi Althorpowi, że jeżeli Smith przywiezie go po podwieczorku do domu, to ja wrócę przed ich powrotem. Zawsze tak bywało: odwoziłam Charlesa do szkoły i witałam go po powrocie, chyba że wyjeżdżałam na weekend albo z jakichś szczególnych względów brałam wolne na cały dzień. To, co robiłam w Park House, z trudem można nazwać pracą: najważniejszym moim zadaniem było być na miejscu i przyczyniać się do tworzenia dobrej atmosfery, atmosfery bezpiecznego i szczęśliwego domu.

Czasami, kiedy miałam wolne, do Park House przyjeżdżało jedno z moich rodziców. Zabierałam wtedy matkę czy ojca na lunch do jednego ze starych pubów, których pełno jest w pobliskich wsiach. Lord Althorp zawsze dawał rodzicom odczuć, że są mile widzianymi gośćmi, podobnie jak moi przyjaciele. Pewnego razu ojciec przywiózł ze sobą stryja i ciotkę z Kanady. Podobnie jak wielu gości z Nowego Świata, ciotka „zwiedzała Anglię” w ciągu pięciu dni, podczas gdy wuj, który nie miał takich ambicji, wolał spędzić czas na graniu w golfa. Oboje przeznaczyci jednak jeden dzień na wizytę u bratanicy - dzięki czemu „zwiedzanie Anglii” stało się jeszcze większym wyczynem. Ciotka, zagorzała rojalistka, była zachwycona, mogąc obejrzeć zimową rezydencję królowej. Jednak ileś lat później miała bawić przyjaciół opowieściami o trwającej godzinę wizycie w domu dzieciństwa księżnej Walii. Czy mogła się tego spodziewać, odwiedzając mnie tamtego lata?!

W ostatnim swoim wolnym dniu zaproponowałam Sarze i Dianie, aby wybrały się ze mną z wizytą do moich rodziców. Po drodze wstąpiłybyśmy gdzieś na lunch. Wiedziałam, że Sarah nie ma co robić, bo jej koleżanki nie przyjechały jeszcze ze

szkoły, a poza tym uważałam, że taka wyprawa dobrze nam zrobi. Skoro tylko Charles pojechał do szkoły, Diana powiedziała, że pójdzie do świnki morskiej, a później pokaże pani Smith, które ubrania z kufra już się dla niej nie nadają. Natomiast Sarah i ja wybrałyśmy się na krótką przejażdżkę konną przez park. Po kilku tygodniach nieobecności w domu Sarah z radością dosiadła Peppermint, a ja wzięłam Romany'ego. W takich chwilach bardzo mi brakowało własnego konia, ponieważ jednak podczas wakacji byłam tak zajęta, że jeździłam konno tylko czasami, Romany mi wystarczał, mimo że był trochę za mały.

Zaplanowałyśmy wyjazd do moich rodziców na jedenastą i udało nam się wyruszyć punktualnie. Sarah, jako starsza, miała siedzieć ze mną z przodu, podczas gdy Diana musiała zająć miejsce z tyłu. Było to coś, czego nigdy nie lubiła - w sensie dosłownym i w przenośni. Zaczęła mówić, że to niesprawiedliwe, uskarżać się, że robi się jej niedobrze, ale Sarah kazała jej być cicho. Ja dodałam, że nie ma wyboru, bo ojciec zawsze mówi, że młodsze dzieci mają siedzieć na tylnym siedzeniu. Diana uznała się za pokonaną i pogodziła się z losem.

Zatrzymałyśmy się na lekki lunch w małej kawiarence w pobliżu Norwich. Wiedziałam, że moja matka przygotuje wczesny podwieczorek złożony z kanapek, ciasta i deseru zwanego „trifle” i że w związku z tym nie musimy po drodze jeść obfitego posiłku. Sarah chciała zatrzymać się w Norwich i zejść do rymarza. Potrzebne jej były środki do konserwacji siodeł i uprzęży, gdyż miała nadzieję, że wykorzysta zamilowanie Diany do czystości i skłoni ją do wykazania się swymi talentami także w zakresie czyszczenia uprzęży jej konia. Zakład rymarski znajdował się na przedmieściu Norwich, nie musiałyśmy więc wjeżdżać do centrum. Byłam z tego zadowolona, bo wiedziałam, że gdybyśmy zaczęły chodzić po sklepach, to pewnie nigdy nie dojechałybyśmy do celu.

Kiedy przejeżdżałyśmy przez przedmieście, pokazałam dziewczynkom, gdzie kiedyś mieszkałam wraz z trzema koleżankami. Pracowałam wtedy w Norwich i wspólnie z nimi wynajmowałam szeregowy dom o trzech sypialniach przylegający do dwóch sąsiednich. Dianę interesowało, kto prowadził nam gospodarstwo. Chciała wiedzieć, czy robiłyśmy to same, zmieniając się kolejno. Odrzekłam, że tak się umówiliśmy, ale nie zawsze nam to dobrze wychodziło. Obie dziewczynki uważały, że dobrze jest prowadzić wspólne gospodarstwo i dzielić się wszystkim, a Diana stwierdziła, że nie chciałyby za nic mieszkać z kimś, kto jest nieporządny. Patrząc na dom, nie mogłam się powstrzymać od porównań: widziałam, jaka przepaść dzieli go od mojego obecnego domu w Sandringham. W czasach, gdy mieszkałam w tamtym skromnym domku, byłam szczęśliwa, niezależna i beztroska. Miałam dobrą posadę - pracowałam w biurze pośrednictwa pracy - prowadziłam też ożywione życie towarzyskie. Ten dom znajdował się w części miasta, w której ceny były przystępne i gdzie wzdłuż wąskich, stromych uliczek stały skromne, przylegające do siebie domki, i nie był domem, w jakim mogłyby kiedykolwiek mieszkać moje podopieczne. Diana powiedziała, że jej ojciec również ma dom przylegający do dwóch sąsiednich - w Londynie. W tym domu zresztą mieszkaliśmy później, podczas pobytów w stolicy. Wtedy uświadomiłam sobie, jak naciągane było porównanie, które zrobiła Diana, gdyż istnieje ogromna różnica między skromnym domkiem wynajmowanym przez trzy młode dziewczyny zarabiające swoje pierwsze pieniądze i eleganckim trójkondygnacyjnym domem w jednej z najbardziej ekskluzywnych części Londynu.

Podczas ostatniej części naszej podróży, kiedy jechałyśmy z Norwich do Fleggburgha, pokazywałam dziewczynkom wszystko, co było związane z moim dzieciństwem. Przejeżdżając przez

Thorpe, wschodnie przedmieście Norwich, pokazałam im szkołę, do której chodziłam od dziesiątego roku życia. Thorpe House School była śliczną starą szkołą. Prowadził do niej długi podjazd, po którego obu stronach rósł las osłaniający budynek od strony drogi. Diana zapytała mnie, czy był tam internat, a ja odpowiedziałam, że szkoła była szkołą dzienną, z tym że pewna liczba jej uczennic mieszkała na stancjach w mieście. Czasami zdarzało się, że rodzice podwozili mnie do szkoły samochodem, ale przeważnie jeździłam autobusem. Wychodziłam z domu o wpół do ósmej rano, a wracałam o wpół do szóstej po południu. Nie mieliśmy specjalnego autobusu szkolnego, musieliśmy korzystać z komunikacji publicznej. Autobusy nie jeździły prosto do Thorpe, które leżało w odległości piętnastu mil od mojego domu, tylko drogą okrężną przez różne małe wioski. Dowiedziawszy się, że można odbywać takie codzienne podróże do szkoły, Diana doszła do wniosku, że mieszkanie w internacie ma swoje zalety.

Między Acle a Fleggburghiem przejeżdżałyśmy przez moczary. Opowiedziałam dziewczynkom, że jeździłam tu konno i że nieraz wraz z koleżanką wypatrywałam bobroszczurów kojpu w rowach odwadniających, żeby później poinformować o nich specjalną straż, która je zabijała.

- Dlaczego? - zapytała Diana. - To przecież okrucieństwo.

Odpowiedziałam, że bobroszczury wyrządzają wiele szkód w rzekach i kanałach. Kiedy Diana zapytała, jak wyglądają, powiedziałam, że są gryzonie pochodzące z Ameryki Południowej, przypominające bardzo duże szczury i należące do tej samej co one rodziny. Sarah nie przepuściła okazji i chcąc się trochę podroczyć z Dianą, powiedziała, że między kojpu i Peanuts istnieje duże podobieństwo, kojpu są tylko większe, ale należą do tej samej grupy zwierząt, która zwie się „szkodniki”.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedziałam do Diany. - Ona tak się tylko z tobą droczy.

Nie chciałam, żeby dziewczynki przyjechały do moich rodziców prowadząc coś, co można delikatnie nazwać ożywionym sporem. Aby zmienić temat i uspokoić atmosferę, opowiedziałam im, jak z bratem i innymi dziećmi przychodziliśmy łowić ryby w miejsce zwane „Muck Fleet”.* Ta zaskakująca nazwa odwróciła ich uwagę od zajadłego sporu o gryzonie. Dziewczynki zaczęły się śmiać.

* W wolnym przekładzie „gnojówka” (przyp. tłum.),

- Dlaczego to miejsce tak się nazywało? Czy tam śmierdziało? - dopytywała się Diana.

Zapewniłam ją, że nie śmierdziało, i powiedziałam, że nie wiem, skąd się wzięła ta nazwa. Powiedziałam też, że mój brat John i ja lubiliśmy jeździć na rowerach. Ja uwielbiałam otwartą przestrzeń na mokradłach, a on wolał błonia, na których jesienią zbieraliśmy jeżyny rosnące między żywopłotami. Wyjaśniłam dziewczynkom, że ponieważ okoliczne ziemie należały do Kościoła, ludziom wolno było na nich paść latem zwierzęta. Opowiedziałam też o ślicznych chatkach krytych strzechą, do których w tamtych czasach można się było dostać tylko pieszo albo na rowerze. Diana była ciekawa, czy będziemy mogły pospacerować i pójść na Zalewiska**, ale powiedziałam jej, że podczas tej wizyty nie będzie na to czasu. Nigdy zresztą nie odbyliśmy tego spaceru.

** Norfolk Broads (przyp. tłum.).

Podróż upłynęła bardzo szybko. Dziewczynkom umiliły czas opowieści o moim dzieciństwie. Były one bardzo podobne do historii wielu ludzi wychowanych na wsi, a ja, mając tak uważne słuchaczki, przedstawiałam je z ogromną przyjemnością. Po przyjeździe na miejsce i po przedstawieniu obu dziewczynek mojej matce, usiadłyśmy w saloniku i zaczęłyśmy rozmawiać.

Tak jak przewidziałam, moja matka zastawiła mały stół oraz barek na kółkach mnóstwem różności domowej roboty. W doborze tych przysmaków kierowała się wieloletnim doświadczeniem, dzięki któremu wiedziała doskonale, co lubią dzieci i młodzież. Wśród kanapek znalazły się też kanapki z masłem z orzeszków ziemnych.

- Jadąc tutaj, rozmawialiśmy o Peanuts* - powiedziała Sarah, patrząc spod oka na Dianę.

* Peanuts znaczy „orzeszki ziemne” (przyp. tłum.).

Spojrzałam ostrzegawczo, mając nadzieję, że Sarah zrozumie, że chcę jej tym spojrzeniem powiedzieć: „Ani mi się waż”. Jednak niepotrzebnie się martwiłam. Bo w przeciwieństwie do siostry, która czuła się swobodnie, Diana jak zwykle była tak onieśmielona, że nie wdałaby się w dyskusję, nawet gdyby usłyszała uwagę Sary. Diana była pewna siebie tylko w domu; wszędzie poza domem ogarniała ją nieśmiałość. Moja matka była serdeczna i zachowywała się naturalnie, a dzięki latom pracy nauczycielskiej, którą trudniła się przed ślubem, miała sporo doświadczenia pozwalającego pomóc dziewczynce ogarniętej tym uczuciem. Dzięki temu Diana wkrótce zaczęła się odprężyć. Reszty dokonały pyszne ciastka, które Diana pałaszowała z zapalem i którymi moja matka, widząc ten zapal, częstowała z wielką radością. Matka należała do starej szkoły - była przekonana, że świetnie jest, kiedy dzieci mają dobry apetyt. Jej zdaniem takie fanaberie jak jakieś diety nie miały żadnego sensu. Diana, trochę już bardziej pewna siebie, podniosła nieznacznie wzrok i spoglądała nieśmiało na matkę. Zaczęła też słuchać jej rad.

Mój ojciec, który był zajęty w sklepie, wpadał od czasu do czasu na krótką pogawędkę, a jego swobodny, otwarty sposób bycia sprawił, że obie dziewczynki poczuły się jak u siebie w domu. Diana przestała wpatrywać się w dywan jeszcze przed

pojawieniem się mego ojca, a potem, mimo że wciąż mało-mówna, odpowiadała grzecznie na pytania i była w stanie pa-trzeć w oczy osobie, z którą rozmawiała. Sarah natomiast śmia-ła się i żartowała, dzięki czemu ożywiona rozmowa przebiegała naturalnie. Sarah, kiedy była w formie, zawsze pozostawiała po sobie wrażenie ciepła i serdeczności. Jej żywe, otwarte usposo-bienie zjednywało jej ludzi. Moi rodzice wspominali ją o wiele dłużej niż jej małą siostrę.

Pożegnałyśmy się i wyruszyłyśmy w drogę powrotną. Chcia-łam być w domu przed przyjazdem Charlesa, który miał wrócić o szóstej. Skoro tylko znalazłyśmy się w samochodzie, Diana zaczęła gadać jak najęta. Okazało się, że słyszała uwagę siostry o orzeszkach ziemnych.

- Naprawdę, jesteś podła - zaczęła, ale ja przerwałam jej, mówiąc, że to był tylko żart.

Bardzo mi było przykro, że wiele osób nie zna Diany od tej strony, nie zna jej jako żywego, gadatliwego dziecka. Przypusz-czałam jednak, że to kwestia czasu i że Diana - kiedy urośnie i stanie się bardziej pewna siebie - będzie umiała również w towarzystwie pokazać się od najlepszej strony.

Podczas podróży powrotnej nic się nie wydarzyło. Następnego dnia Charles miał zakończenie roku. Postanowiliśmy, że podczas weekendu pojedziemy wszyscy na stację po Jane. Po-nieważ Jane nie знаła jeszcze naszych szczeniaków, Diana była zdania, że powinniśmy wziąć także Gitsie i Aminę. Odpowie-działam na to, że nie wystarczy dla nich miejsca w samocho-dzie, bo przecież jedziemy wszyscy, no i będzie bagaż, a poza tym Jane wkrótce zobaczy szczeniaki w Park House.

Charles miał dobre świadectwo, tak jak się wszyscy spo-dziewali. Był spokojnym, grzecznym uczniem, który dobrze sobie radził na lekcjach i nie stwarzał kłopotów rodzicom. Zgodnie z planem, odebraliśmy Jane ze stacji, a potem, kiedy wszyscy już byli w Park House, poczuliśmy, że wakacje zaczęły się na dobre. Przyjazd Jane nie zakłócił w najmniejszym

stopniu spokoju. Jane od razu poczuła się w domu tak, jakby nigdy nie wyjeżdżała, chociaż wygląd jej pokoju temu przeczył, bo Jane nigdy nie robiła takiego bałaganu jak Sarah.

Sarah i Jane, uczęszczające do tej samej szkoły West Heath, bardzo się różniły. Sarah, równie zdolna jak siostra, ale niefrasobliwa, często zdawała się marnować możliwości. Rzuciła szkołę po egzaminach na poziomie zwykłym*. Jane, dziewczynka o wiele poważniejsza, skończyła szkołę w sposób bardziej konwencjonalny, osiągając poziom zaawansowany. Obie lubiły pływać i grać w tenisa, jednak Jane, która przeważnie mieszkała u matki, nie miała tylu przyjaciółek w okolicy co Sarah i dlatego, podczas wizyt w Park House, spędzała prawie cały czas z Dianą i Charlesem, którzy bardzo lubili jej towarzystwo. Jednak ani Sarah ani Jane nie mogły się powstrzymać i przy każdej okazji droczyły się z Dianą.

* Poziom zwykły (the ordinary level) tak zwanego General Certificate of Education (Ogólnego Świadectwa Edukacyjnego), osiągniany po zdaniu egzaminów w wieku lat szesnastu, w odróżnieniu od poziomu zaawansowanego (the advanced level), nie upoważnia do zdobywania dalszego wykształcenia na poziomie uniwersyteckim (przyj. tłum.).

Śmiały się z Diany często, i to z jej własnej winy, gdyż Dianę interesowało przede wszystkim to, czy siostry, wychodząc ze szkoły, spotykały się z chłopcami. Żadna z siostr nigdy nie dała jej wydusić z siebie możliwej do przyjęcia odpowiedzi na to pytanie. Odwracały natomiast kota ogonem i drażniły się z Dianą, pytając, czy ona spotkała już takiego, który jej się podoba. Diana, bardzo przecież jeszcze młoda, miała niezmiernie mało okazji, by spotykać chłopców. Jednymi z nielicznych, z którymi miała kontakt, byli jej brat przyrodni i księżę Andrzej.

Zeszłej zimy, kiedy rodzina królewska mieszkała w Sandringham, pewnego razu, po niedzielnym nabożeństwie, Diana popełniła wielki błąd. Powiedziała mianowicie, że jej zdaniem

książę Andrzej jest bardzo przystojny. Siostry nie pozwalały jej o tym zapomnieć i posługiwały się jej stwierdzeniem jak amunicją za każdym razem, kiedy jej pytania, skierowane do nich, stawały się zbyt osobiste. Było to tylko takie gadanie, ale kiedy siostry oskarżały ją, że „buja się” w księciu Andrzeju, Diana zawsze robiła się czerwona jak burak i stanowczo zaprzeczała.

Ich matka brała ślub z ojcem jako osoba bardzo młoda i pewnie dlatego zawsze uważano, że dziewczynki też wyjdą za mąż wcześniej. Kiedy siostry drażniły się z Dianą, ta zawsze brała odwet, zakładając się, która z nich wyjdzie pierwsza za mąż i mówiąc, że przecież „ktoś tam zechce się z nimi ożenić”. Ponieważ Sarah była najstarsza, uważano za rzecz oczywistą, że to ona pierwsza stanie na ślubnym kobiercu. A jednak to Jane, która wyszła za sir Roberta Fellowesa, obecnie prywatnego sekretarza królowej, przyczyniła się do spełnienia marzeń Diany o tym, by być po raz drugi druhną. Bo kiedyś, kiedy była o wiele młodsza, pełniła już raz tę rolę i bardzo jej się to podobało. Diana opisała mi dzień ślubu Jane jako swój *najszcześniejszy dzień od bardzo długiego czasu*, dodając, że *bardzo mocno to wszystko przeżywała*. Później, kiedy jej powiedziałam, że wychodzę za mąż, stwierdziła, że *sądząc po tym, co przeżywała Jane i Robert, małżeństwo jest rzeczą cudowną*. Małżeństwo Jane i Roberta było dla Diany potwierdzeniem tego, w co wierzyła od dziecka. A wierzyła, że dwoje kochających się ludzi jest z całą pewnością w stanie stworzyć szczęśliwy, harmonijny, partnerski związek, pozwalający obojgu się spełnić, i że ich spełnienie się w takim związku jest jeszcze doskonalsze, jeżeli mają dzieci. Jest to przekonanie, które Diana żywiła jeszcze wiele lat później - wtedy, kiedy ja przywiozłam do pałacu Kensington mojego czteroletniego wówczas syna na urodziny Laury, pierwszej córki Jane.

Siostry drażniły się z Dianą z powodu księcia Andrzeja, ironia losu więc sprawiła, że w kilka lat później to Sarah była tą,

która pierwsza umawiała się na randki z jednym z książąt krwi królewskiej. Diana napisała mi wtedy w liście, że zajęci są właśnie wydawaniem za mąż Sary. W pewnym momencie w roku 1977 wyglądało nawet na to, że księżę Karol będzie pretendentem do jej ręki, jednak *to umarło śmiercią naturalną*. Wkrótce potem spotkałam się z Dianą i Sarą na lunchu w Londynie i żartowałyśmy sobie z tego epizodu. Gazety publikowały tyle zdjęć Sary z księciem Karolem, że ludzie natychmiast ją rozpoznawali, a ona rozkoszowała się tym, że w restauracji uwaga obecnych skupia się na niej. Diana także cieszyła się z tego zainteresowania, gdyż nieśmiałość obezwładniająca ją w dzieciństwie w tym czasie nie dawała jej się już tak bardzo we znaki.

Tak prawdę mówiąc, wszystkie trzy uważałyśmy epizod z Karolem za zabawny. Sarah dzieliła poglądy Diany na temat małżeństwa. Uważała, że żeby wyjść za mąż, trzeba naprawdę kochać. Lubiała towarzystwo księcia Karola i miała z nim wiele wspólnych zainteresowań - oboje pasjonowali się między innymi muzyką, jazdą konną i narciarstwem - ale z pewnością go nie kochała, o czym poinformowała media w charakterystyczny dla siebie sposób - szczerze i bez ogródek. Podkreślała, że ich związek był platoniczny. *Nie kocham go i nie wyszłabym nigdy za mąż za kogoś, kogo nie kocham - czy byłby to śmieciarz czy król Anglii*. W ten sposób Sarah złamała niepisane prawo, zgodnie z którym nie należało rozmawiać z prasą, i doprowadziła do zerwania. Jednak księżę Karol, który podziwiał jej szczerotę i uczciwość, pozostał z nią w przyjaznych stosunkach nawet po jej - mającym miejsce w roku 1980 - ślubie z Neilem Corquodalem - przypadkowo również członkiem rodziny Barbary Cartland*.

* Z córką Barbary Cartland ożenił się ojciec Diany, o czym będzie mowa dalej (przyp. tłum.).

Sarah nigdy nie uważała, że jej związek z księciem Karolem

będzie trwały. Nie zwracała przy tym uwagi na spekulacje prasy, której konikiem było od lat snucie domysłów - za każdym razem, kiedy księżę pokazywał się publicznie z jakąś dziewczyną.

Sarah, która była o wiele bardziej otwarta i obyta w świecie niż Diana, lepiej niż ona zdawała sobie sprawę z konsekwencji małżeństwa z księciem krwi królewskiej. Wiedziała, że takie małżeństwo oznacza koniec prywatności, gdyż zawierając je, zgodzi się na to, aby zarówno jej przeszłość jak i całe jej życie w przyszłości stały się własnością publiczną. Nie chciała znaleźć się w sytuacji, w której każde jej posunięcie byłoby przedmiotem analiz i dyskusji. Małżeństwa Jane i Sary okazały się trwałe. Ich młodszej siostrze, której jedyną ambicją od czasów dzieciństwa był taki właśnie związek, powiodło się niestety gorzej.

Rozpad małżeństwa Diany spowodował napięcia między siostrami, przy czym w najtrudniejszej sytuacji znalazła się Jane - rozdarta między mężem, który miał przecież obowiązki w pałacu, a Dianą. Wszystkie trzy siostry, świadome błędów popełnionych przez rodziców, za nic nie chciały pójść w ich ślady. Ironia losu sprawiła, że Diana zakochała się w człowieku, z którym związek oznaczał, że niemożliwa jest separacja czy rozwód. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że jej ukochany da jej taką gwarancję. Los okazał się jednak podwójnie ironiczny, gdyż sprawił, że nawet to nie zapobiegło zniweczeniu jej nadziei i marzeń. Okazało się bowiem, że gwarancje nie muszą być nienaruszalne.

Tuż przed ślubem, kiedy Diana zwierzyła się siostrze, że ma wątpliwości, czy Karol naprawdę ją kocha, a wzajemna miłość była przecież w jej oczach czymś najważniejszym, zarówno Jane jak i Sarah - obie pewne miłości swoich mężów - zapewniły ją, że to tylko przedślubne nerwy. Sarah, która już zapomniała, dlaczego nie była zainteresowana ewentualnym

małżeństwem z księciem Karolem, jak zwykle zaczęła się z Dianą droczyć, twierdząc, że jest już za późno, żeby coś w tej sprawie zrobić, bo jej twarz widnieje na wszystkich ścierkach do naczyń, i dodając, że Diana nie powinna się martwić. Diana, mieszkająca wtedy wraz z Jane w Clarence House, posłuchała tej rady. Jane napisała do mnie później, że obydwie były wtedy tak podniecone, że *przez całą noc nie zmrzły oka*.

W czasach gdy opiekowałam się dziećmi w Park House, nie pozwalałam Sarze i Jane zbyt długo droczyć się z Dianą, gdyż Diana w starciu z wygadanyymi starszymi siostrami znajdowała się na słabszej pozycji. Diana i Charles musieli się nauczyć polegać na sobie. Było to ważne, bo w szkole mogły zaistnieć sytuacje, w których trzeba się było bronić, nie mogąc liczyć na pomoc ze strony dorosłych. Oboje musieli nauczyć się samodzielnie sobie radzić, nie dając się przy tym zranić. Wiedziałam, jak okrutne potrafią być dzieci, zwłaszcza gdy u któregoś z rówieśników odkryją jakąś słabość. Charles przeważnie nie narażał się na dokuczliwe uwagi ze strony sióstr tak jak Diana, a poza tym nie przejmował się nimi, puszczając je mimo uszu. Ja natomiast nigdy nie pozwalałam, aby Sarah swoimi uwagami wprowadziła Dianę z równowagi.

Sarah, Jane i Charles dobrze się uczyli, dlatego kiedy przyszedł czas na porównywanie świadectw, byłam bardzo rada, że Diana zdobyła Puchar Legattów, gdyż dzięki temu mogła czuć się nie gorsza od brata i sióstr. Kiedy zostawałyśmy same, Diana nieraz rozmawiała ze mną o sprawdzianach i egzaminach. Mówiła, że bardzo się ich boi i nie wie, czy kiedykolwiek będzie w stanie je zdawać. Pytała mnie też, czy ktoś, kto chce pracować z dziećmi, musi przez nie przechodzić.

Powiedziałam jej, że nie, dodając, że istnieją kursy, na których będzie mogła zdobyć odpowiednie kwalifikacje i w których można uczestniczyć, nie mając dobrych stopni.

Powiedziałam jej też jeszcze raz, że najważniejsze to się starać, i dodałam, że ona udowodniła, że się starała, bo przecież zdobyła Puchar. Chcąc, żeby poczuła się pewniej, stwierdziłam też, że na świecie muszą żyć różni ludzie, a potem dodałam, że gdyby wszyscy byli dobrzy w tym samym, byłoby beznadziejnie. Komunały, nawet powtarzane wiele razy, potrafią nieść pocieszenie. Umiejętności praktyczne są tak samo ważne jak uzdolnienia intelektualne i rzadko spotyka się ludzi osiągających doskonałość w obu tych dziedzinach.

Opowiedziałam Dianie o pewnym swoim koledze, który dobrze się uczył, ale nie potrafił przelać swej wiedzy na papier i dlatego nie udało mu się zdać żadnego egzaminu poza egzaminem z biologii. Mimo to jednak dostał dobrą pracę, w której jego zalety i zdolności zostały docenione. Rozmawiając z Dianą, podkreślałam, że jeżeli sama będzie w siebie wierzyła, to uwierzą w nią także inni i da sobie radę. Mówiłam, że w żadnym wypadku nie powinna uważać się za gorszą od swoich rówieśników jedynie dlatego, że sprawdziany i egzaminy są dla niej trudne i denerwujące.

Diana chciała wiedzieć, jak ja radziłam sobie w szkole. Odzrekłam, że nie byłam zbyt dobrą sportsmenką, grałam nieźle jedynie w tenisa, ale na egzaminach radziłam sobie dobrze. I zaraz dodałam, że to nie oznacza, że je lubiłam. Uważałam je po prostu za jakąś odmianę, coś innego niż zwykłe lekcje. Powiedziałam jej także, że będąc uczennicą szkoły dziennej, musiałam wieczorem odrabiać lekcje. Kiedy zbliżały się egzaminy, nie zadawano nam prac domowych, bo musieliśmy powtarzać materiał. Moi rodzice bardzo pilnowali, żebym się uczyła. Codziennie, zaraz po wieczornym posiłku, musiałam iść do swojego pokoju i brać się do lekcji. Ale ja, zamiast ślęczeć nad książkami, wyciągałam atlas i planowałam podróże po Europie i całym świecie. Zwykle marzyłam, że będę podróżować konno.

W ten sposób uczyłam się geografii, ale to, czego się dowiadywałam, było dalekie od tego, czego wymagał program szkolny. Powiedziałam Dianie, że zawsze dobrze radziłam sobie z angielskim, francuskim i matematyką, gdyż opanowywałam je bez powtarzania materiału. W innych przedmiotach byłam dość słaba, chociaż przed egzaminami państwowymi przysiadalam fałdów.

Zdawałam sobie sprawę, że nie jestem zbyt dobra w rzeczach praktycznych, więc musiałam być dobra w czymś innym. Śmiejąc się stwierdziłyśmy z Dianą, że zajęcia domowe nie są moją mocną stroną. Były natomiast mocną stroną Diany, która zawsze pomagała mi w wykonywaniu moim zdaniem nudnych prac domowych i była z tego bardzo dumna. W końcu zaproponowałam, żebyśmy na kilka tygodni przestały myśleć o szkole i skupiły się na przyjemnościach letnich wakacji.

Rozdział dziewiąty

Przez cały rok w posiadłości Sandringham bywało sporo gości. Latem, ale tylko wtedy, kiedy nie mieszkał tam nikt z rodziny królewskiej, rezydencja była otwarta dla publiczności. Miło tam było spędzić dzień, zwiedzając sam pałac, jak również wypielegnowane, przylegające do niego tereny, pobliski kościół i całą posiadłość, której ogromną część wolno było oglądać turystom. Wielu ludzi przyjeżdżało tam nawet wtedy, kiedy tereny przylegające były zamknięte dla publiczności. Zdarzało się tak zwłaszcza podczas weekendów, kiedy przybysze mogli odbywać uroczne spacery, poznając tę piękną i niezwykłą część hrabstwa Norfolk. Niedaleko znajdowały się królewskie stajnie, a w pobliskim West Newton były psiarnie, gdzie hodowano i szkolono psy myśliwskie królowej.

O każdej porze roku przy pięknej pogodzie przybywało tu wielu turystów, którzy obozowali na zielonych terenach wzdłuż drogi, szczęśliwi, że mogą przyjrzeć się tej części królewskiej Anglii. Ludzie ci przyjeżdżali wyposażeni w turystyczne stoliki i krzesła, w gazowe palniki do gotowania herbaty, bez której szanujący się Anglik nie może się obejść, oraz w pojemniki z przezroczystego tworzywa zawierające kanapki, sałatki i inne jedzenie przeznaczone na piknik. Po posiłku i odpoczynku niektórzy z tych ludzi udawali się na spacer. Towarzyszyły im psy, które ze źle skrywanym podnieceniem węszyły, szukając nowych zapachów, i które, przy odrobinie szczęścia, natykały się nawet na króliki. Taki spacer pomagał strawić lunch i dostarczał miłych wrażeń, a po powrocie z niego można było zająć się do podwieczorku.

Inni przybysze kładli się na leżakach, brali gazety i przygotowywali się do odpoczynku w tym spokojnym i pięknym otoczeniu. Ich niezadowolone psy, przywiązane do zderzaków czy do nóg od leżaków, mogły jedynie spoglądać z zazdrością na tych swoich kuzynów, którzy mieli bardziej wyrozumiałych panów i którym wolno było wypuścić się w nieznane. Jediną nadzieję tych więźniów stanowiło to, że nie wszystkie króliki zostaną wypłoszone do czasu, gdy ich właściciele obudzą się z popołudniowej drzemki.

Turyści mogli swobodnie zwiedzać dużą część posiadłości, jednak pozostała część, także spora, miała charakter prywatny i była dostępna tylko dla miejscowych. Ja wolałam Sandringham poza sezonem, kiedy było o wiele spokojniej i kiedy nie jeździły tu prawie żadne samochody. Rozumiałam jednak, że tym, którzy mieszkają w miastach, przyjemnie jest korzystać z tych stosunkowo blisko położonych wiejskich terenów. Kiedy następowała inwazja turystów - czyli podczas letnich wakacji szkolnych - rzadko wypuszczaliśmy się poza bramy Park House. Spędzaliśmy wtedy czas koło domu albo na terenach

parkowych, które - od strony drogi - zasłaniały gęste krzewy i drzewa. Wśród ich listowia znajdował się dodatkowo płot z kutego żelaza, który otaczał cały teren. Mimo to nietrudno było tam wejść. Jednak większość przybyszów była na tyle uprzejma i dobrze wychowana, że - mając do dyspozycji duży dostępny dla siebie obszar - respektowała wywieszki z napisami: WSTĘP WZBRONIONY i TEREN PRYWATNY.

Na terenach zielonych przylegających do drogi największy ruch panował oczywiście w niedzielę. Często, zwłaszcza gdy pogoda była piękna, okazywało się, że stoi tam mnóstwo samochodów, między którymi jest tylko tyle miejsca, ile potrzeba, aby rozstawić turystyczny stolik. Dzięki Bogu ludzie, którzy przyjeżdżali do naszej pięknej posiadłości, szukali tu spokoju. Nie przywozili więc ze sobą radiodbiorników czy radiomagnetofonów zakłócających ciszę i zagłuszających śpiew ptaków.

Pewnej niedzieli, na początku wakacji, Sarah, której się nudziło, zaproponowała, żebyśmy się przejechały konno. Charles i Diana byli z Jane, w związku z czym ja mogłam sobie zrobić godzinną przerwę. Wyruszyłyśmy więc w drogę. Przedtem jednak przypomniałam Dianie i Charlesowi, że nie wolno im pływać, dopóki nie wrócę. Obowiązywała ich żelazna zasada: nie wolno im było wchodzić do basenu wtedy, kiedy nikt nad nimi nie czuwał. Dzieci nigdy tego nie kwestionowały, nigdy też nie okazały się nieposłuszne. Zdawały sobie bowiem sprawę z okropnych konsekwencji ewentualnego wypadku. Co do mnie, to niepokoiłam się zwłaszcza wtedy, kiedy Diana skakała do wody. Bałam się, że może źle ocenić głębokość i uderzyć głową o dno.

Sarah i ja jechałyśmy przez park. Dzień był przepiękny. Mimo wczesnej pory, turyści zaczęli już napływać. Usłyszałyśmy z daleka warkot samochodów i postanowiłyśmy jak najlepiej wykorzystać pogodę, która raz przynajmniej okazała się łaskawa dla ludzi mających wolne. Wyjechałyśmy z parku i

zadecydowałyśmy, że wrócimy do domu przez West Newton i zielone tereny okalające drogę. Jadąc w stronę domu Loydów, widziałyśmy w oddali ruchome kolorowe punkciki - były to samochody, które zdążyły prostą drogą prowadzącą od szosy łączącej Kings Lynn z Fakenham do posiadłości. Będąc w parku, cwałowałyśmy trochę, ale teraz nasze konie szły stępa.

Minęłyśmy drogę prowadzącą do królewskich stajni i zbliżyłyśmy się do głównego wejścia do królewskiej rezydencji. Przecięłyśmy zwirowany podjazd i znalazłyśmy się znowu na trawie. Mówiłam coś, ale przerwałam w pół zdania, kiedy Sarah nagle i bez ostrzeżenia zniknęła - co prawda nie w tumanie kurzu, ale z pewnością z tętentem kopyt - puściwszy się galopem w stronę domu. Peppermint pędziła coraz szybciej, wyzywając, że wolno jej złamać uświęconą zasadę, w myśl której zbliżając się do domu należało iść stępa, odpocząć i ochłoniąć. Mój koń, pożyczony na lato od kogoś znajomego, postanowił nie dać się wyprzedzić i czując, że nie stawiam oporu - bo któż, mając okazję się pościgać, mógł oprzeć się pokusie galopowania po tak dobrym podłożu - podjął rękawicę.

- Ścigajmy się - rzuciła mi Sarah i pogoniła konia tak, że zaczął galopować, rozwijając prędkość nie mniejszą niż samochód wyścigowy.

Wiedziałam, że nie postępuję właściwie. Zachowałabym się bardziej odpowiedzialnie, gdybym nie poszła za przykładem Sary, a przeciwnie, sama posłużyła jej przykładem, jadąc powoli. Jednak z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, w sposób podświadomy ujawniła się w tym momencie impulsywna strona mojej natury, przypominając mi, że jestem jeszcze młoda i zdolna czasami zapomnieć o rozsądku. Takie rzeczy zdarzały mi się bardzo rzadko - właściwie nie przypominam sobie innych przykładów własnego nierozsądnego zachowania - ale w tamtą niedzielę tak właśnie było. Uwielbiałam się ścigać,

lubiłam towarzyszące wyścigowi uczucie podniecenia, lubiłam widzieć, jak wszystko w pędzie zlewa mi się przed oczami i czuć wiatr na twarzy. Ogarniała mnie wtedy ogromna radość. Mój koń, nieco szybszy, wkrótce zrównał się z wierzchowcem Sary. Turyści, którzy dopiero co zaparkowali samochody, patrzyli na nas ze zdumieniem. A my przelatywałyśmy obok, zakłócając im na chwilę spokój i odrywając ich od urządzania się w miejscu chwilowego popasu. Dwie dziewczyny na koniach pędzące z zawrotną szybkością i zakłócające ciszę, którą oni dopiero co odkryli, były ostatnią rzeczą, jakiej się spod ziewali.

Minęłyśmy ich szybko i, mając wciąż w uszach ujadanie psów, przejechałyśmy przez łąkę w pobliżu wejścia do kościoła. Zawołałam do Sary, że powinnyśmy się zatrzymać. Jadąc łeb w łeb, przeskoczyłyśmy drewnianą ławę, na której o tej wczesnej porze nikt na szczęście nie odpoczywał, i zwołniłyśmy przed wejściem do Park House. Zasady, w myśl której na podjeździe należało jechać nie szybciej niż stępa, nigdy byśmy nie złamały. Szybsza jazda stwarzała bowiem zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Byłyśmy mimo wszystko na tyle odpowiedzialne, by się od niej powstrzymać. Zgodziłyśmy się, że nasz wyścig zakończył się remisem, pochodziłyśmy przez parę minut z końmi, żeby ochłonęły, a potem puściłyśmy je, żeby się pasły. Śmiałyśmy się na wspomnienie turystów zdumionych naszym widokiem.

Później, kiedy wraz z Charlesem i Dianą byłam koło basenu, przyszedł do mnie Smith. Chciał ze mną porozmawiać. Sarah i ja, galopując na koniach, byłyśmy tak zajęte wyścigiem, że nie zwracałyśmy uwagi na przejeżdżające samochody. Okazało się, że Smith minął nas jadąc dżipem i był oburzony naszym „bezmysłnym, nieodpowiedzialnym zachowaniem”. Oskarżył nas o to, że okazałyśmy pogardę ludziom, którzy chcieli w spokoju spędzić jeden dzień w okolicy, którą my miałyśmy dla siebie na

co dzień. Byłam zdumiona takim atakiem. Pogarda była ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby nam do głowy. My po prostu zrobiliśmy sobie przyjemność, nie krzywdząc przy tym nikogo. Kiedy Smith mnie beształ, zdałam sobie sprawę, że nie będę jedyną osobą doświadczającą ataku jego ostrego języka. Wiedziałam, że Smith bez wahania przemówi w ten sam sposób do Sary, nie zwracając uwagi na to, że jest ona córką jego pracodawcy. Wiedziałam, że to zrobi, gdyż jest pewien, że lord Althorp, który także nie pochwaliby naszego zachowania, będzie po jego stronie.

Diana, widząc, że jestem zakłopotana, bo zdaję sobie sprawę, iż wszyscy zauważyli, że Smith daje mi reprimendę, przestała pływać i zaczęła się niedbale przechadzać w pobliżu. Chciała wszystko słyszeć. Nie mogła przecież zaprzepaścić takiej okazji. Musiała być świadkiem, jak wysłuchuje reprimendy ktoś, z kim z łatwością mogła się w tym wypadku identyfikować, gdyż popełnił coś niestosownego w imię świetnej zabawy. Tymczasem Smith przypomniał mi o tym, o czym wiedziałam sama: że lord Althorp nie byłby zachwycony. W duchu przyznałam mu rację: zachowałyśmy się głupio, a lordowi Althorpowi z pewnością nie podobałoby się to, co zrobiłyśmy. Bałam się, że Smith, chcąc „pokazać mi, gdzie moje miejsce”, jak się czasami wyrażał, opowie o całej sprawie naszemu pracodawcy. Okazało się jednak, że Smith - choć nie zawsze się ze mną zgadzał, reprezentując inną szkołę i inne pokolenie - nie chciał narobić mi kłopotów. Chciał tylko, żebym się trochę pomartwiła, żebym pożyła w niepewności, nie wiedząc, czy lord Althorp dowie się o naszym przewinieniu czy też nie.

Smith oddalił się, a Diana podeszła i usiadła obok mnie.

- O Boże - powiedziałam. - Mam nadzieję, że nie wynikną z tego żadne przykrości. Chyba rzeczywiście postąpiłyśmy głupio.

Diana, która znała Smitha lepiej niż ja - Smith nieraz, wiedząc o jej przewinieniach, nie dzielił się swoją wiedzą z nikim - zapewniła mnie:

- Smith nie powie tacie. Nie martw się. On tylko cieszył się, że może ci powiedzieć parę słów do słuchu.

Sarah udała się tymczasem do Isabel, jednej ze swoich przyjaciółek, a ja byłam pewna, że nie przejmie się gadaniem Smitha ani tym, że może on o całej sprawie opowiedzieć ojcu. Sarah mogła się śmiać z całej tej historii, wiedząc, że jeżeli obieca, iż to się więcej nie powtórzy, nikt jej nic nie zrobi. Na tym polegała oczywista różnica między nami. Ja - choć żyłam życiem rodziny i spotykałam się z traktowaniem pełnym szacunku, mając w pewnym sensie równe prawa - byłam jednak osobą zatrudnioną przez lorda Althorpa, byłam zwykłym pracownikiem odpowiedzialnym przed swoim pracodawcą. I słusznie, bo przecież lord Althorp mi płacił! Oczywiście nie istniało niebezpieczeństwo, że nasz wybryk się powtórzy, gdyż nie zamierzałam robić niczego, co by wywołało niezadowolenie lorda Althorpa.

Jane miała pozostać z nami do czasu zakończenia Festiwalu w Kings Lynn, a potem pojechać do matki. Postanowiłam, że w czasie jej pobytu w Park House urządzimy tyle przyjemnych wycieczek, ile się da. W weekendy lepiej było nie opuszczać granic posiadłości, ale w tygodniu panował w okolicy większy spokój. Postanowiliśmy, że w pierwszy pogodny dzień pojedziemy do Brancaster Beach, gdzie rodzina miała domek plażowy, i spędzimy cały dzień nad morzem.

Przestałam myśleć o niedawnej historii z końmi. Sarah i ja przeskrobałyśmy, ale Diana miała rację mówiąc, że Smith nie wpędzi mnie w kłopoty, więc najlepiej było zapomnieć o całej sprawie. Sprawdziłam prognozę pogody oraz pory przyplływów i odpływów morza i nastawiliśmy się na wtorek, co odpowiadało także przyjaciółom dzieci mającym jechać z nami.

Powiedziałam bowiem całej czwórce, że dla uprzyjemnienia wycieczki każde może zaprosić koleżankę lub kolegę. W dziepie nie było co prawda zbyt wiele miejsca, ale nie przejmowaliśmy się tym, bo podróż miała trwać krótko. Tego roku była to nasza pierwsza wyprawa nad morze. Domku plażowego - mimo że znajdował się tylko o piętnaście mil od Park House - nie wykorzystywano w pełni, bo każda wycieczka nad morze wiązała się z pewnym zawracaniem głowy, a poza tym dzieci miały mnóstwo atrakcji w domu. Ponieważ wiosną szalały sztormy i wiały silne wiatry, byliśmy ciekawi, czy domek nie został przypadkiem całkowicie zasypany piaskiem.

Postanowiliśmy jechać dziepiem, gdyż w naszym pojeździe - oprócz nas samych, naszych przyjaciół, dwóch szczeniaków i jedzenia - musiały się zmieścić także łopaty, potrzebne na wypadek, gdyby domek trzeba było odkopywać. Wybraliśmy ten samochód również ze względu na to, że do domku dojeżdżało się niewyasfaltowaną drogą, niezbyt wygodną w normalnych warunkach, a po wiosennych sztormach być może prawie nieprzejezdną. Ustaliwszy to, co trzeba było ustalić, wszyscy wpadli w entuzjazm.

Kucharka przygotowała fantastyczny kosz z wiktuałami. Nie zniosłaby, gdyby młodzi goście naszych dzieci po powrocie do domów narzekali na jedzenie. Kucharka, całkiem słusznie, była dumna ze swoich umiejętności, a wiktuały na wycieczkę dla dzieci przygotowywała tak samo starannie jak uroczyste kolacje. Zabraliśmy więc kurczęta, pasztet, ser, różne kanapki, jogurty, ciasto, chrupki i napoje. Uważałam, że jedzenia wystarczyłoby dla pułku wojska, jednak kucharka, bardziej doświadczona w tych sprawach, dobrze oceniła możliwości zdrowych dzieci, których apetyt miało jeszcze zaostrzyć świeże, morskie powietrze.

Zmieściliśmy się jakoś wszyscy w naszym dziepie. Pogoda, tego lata przeważnie niezbyt ładna, tym razem okazała się

wspaniała. Było ciepło i słonecznie, a na horyzoncie nie pokażała się ani jedna groźna ciemna chmura. Wyruszyliśmy w wyśmienitych humorach. Z Sandringham do Brancaster jedzie się przeważnie przez otwarte tereny. Na wielu polach usunięto w tej okolicy żywopłoty, niszcząc kryjówki dzikich zwierząt po to, by zyskać parę akrów więcej pod uprawę. W ten piękny angielski letni dzień przed nami, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się łany falującego złocistego zboża. Wkrótce kombajny miały przerobić to morze złota na porządne sześcienne bele, odsłaniając przy tym brązową ziemię. Diana i Alexandra uważały, że pozbawiając zwierzęta i ptaki ich naturalnego środowiska, ludzie postępują okrutnie. I na dodatek kieruje nimi zachłanność! Wyjaśniłam im, że usuwając żywopłoty, ludzie usunęli też naturalne zasłony od wiatru. Ponieważ ziemia była nieosłonięta, a wiatry bardzo silne, górna warstwa gleby ulegała erozji i wywiewaniu.

- No i dobrze! Niech mają za swoje, skoro są tacy chciwi - powiedziała na to Diana.

Dojechaliśmy do Docking. Od tej wsi do brzegu morza były już tylko cztery mile. Po obu stronach drogi widzieliśmy niekończące się pola, które ciągnęły się w stronę morza. Mieszkańcy Norfolk, po opuszczeniu tego hrabstwa, tęsknią do niego bardziej niż mieszkańcy innych części Anglii do swoich okolic, a to z tego powodu, że w Norfolk jest mnóstwo otwartej przestrzeni i niebo, które wydaje się niezmierzone. Nawet światło jest tutaj inne, a na dzikim wybrzeżu na północy hrabstwa (wybrzeżu, którego większa część należy do British Heritage and National Trust - instytucji zajmującej się ochroną zabytkowych budowli i przyrody) mieszkało zawsze sporo artystów i pisarzy. Od brzegu dzieliło nas jeszcze kilka mil, ale w powietrzu czuło się już sól - ten nieomylny znak bliskości morza. Mimo hałasu, jaki robił nasz dżip, słyszeliśmy przejmujące

wołanie mew, które kołowały nad nami. O tej porze roku te ptaki nie zapuszczały się jednak jeszcze dalej w głąb lądu w poszukiwaniu zaoranych pól, na których mogłyby znaleźć robaki.

Nie dojechaliśmy jeszcze do morza, nie słyszeliśmy go jeszcze, a już wyobrażaliśmy sobie, że do naszych uszu dobiega szum fal rozbijających się o plażę.

- Już niedaleko! - wołały dzieci.

Diana, która w obecności przyjaciół lubiła się popisywać, przeciwstawiła się temu podzielanemu przez wszystkich pogładowi twierdząc, że musimy jeszcze przejechać przez wieś, która się nazywa Brancaster. Sarah kazała jej przestać się mądrzyć, a potem dodała, że wszyscy mają siedzieć cicho i zgadywać, czy jest przyływ czy odpływ.

Wjechaliśmy do Brancaster. Starzy mieszkańcy tej wioski, ludzie, których rodziny żyły tu od pokoleń, wciąż pozostają na miejscu, utrzymując się z tego, co dają im morze i ziemia. Jednak młodsze pokolenie, jak to często bywa, przeprowadza się do miast, szukając tam możliwości pracy i lepszego życia. Domy tych, którzy się przenoszą, są wystawiane na sprzedaż. A tymczasem, jak na ironię, wysocy urzędnicy oraz ludzie po prostu zmęczeni miejskim życiem postanawiają przeprowadzić się na wieś. Zachwyceni dziewiczą przyrodą i samotnością, jaką można znaleźć na północnym wybrzeżu Norfolku, a także pięknymi, szarymi domkami z krzemienia, kupują te domki, odnawiają je i zamieniają na swoje samotnie i domki weekendowe. Sumy, jakie są w stanie za nie zapłacić, są znacznie wyższe od tych, które mogłyby wysupłać miejscowe młode małżeństwa pragnące wrócić w rodzinne strony. Wskutek tego w wielu wsiach życie jest po części uśpione, gdyż sporo posiadłości zostaje tam wystawionych na sprzedaż po zawyżonych cenach. Brancaster nie uległa tym procesom w tak wielkim stopniu jak niektóre inne wsie. Istnieje w niej jeszcze jądro wiejskiego

życia. Z jednej strony smutno jest widzieć, że miejscowa ludność oddaje swoją własność w cudze ręce, ale z drugiej cieszyć może to, że znaczna liczba domów, które z braku funduszy niszczałyby nieodnawiane, zostaje z miłością odrestaurowana, a także to, że w okolicy pojawiają się utalentowani twórczy ludzie.

Skręciliśmy z głównej drogi w drogę prowadzącą w stronę plaży. Po obu jej stronach ciągną się rowy o brzegach porośniętych trzcina i sitowiem, a przy jej końcu znajduje się klub golfowy. Tu pożegnaliśmy się z asfaltem, zjeżdżając na polną drogę biegnącą aż do naszego domku plażowego. Od razu zrozumiałam, dlaczego Smith radził nam jechać dżipem. Oczywiście było, że simca nie przejechałaby tędy. Sarah powiedziała mi, że zwykle w tym miejscu wypuszczało się psy. Nie było tu żadnego ruchu kołowego, więc mogły one biec za samochodem, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo. Chętnie zgodziłam się na tę propozycję, bo psy, wyczuwając przygodę, zaczęły skakać i szczekać, przez co hałas w dżipie - i bez tego spory - stał się nie do wytrzymania. Zatrzymałam się więc i otworzyłam drzwi, a psy wyskoczyły z samochodu. Amina, czując, że na wydmach jest mnóstwo królików, puściła się pędem. Gitsie, o wiele bardziej powściągliwa, spojrzała na mnie, pytająco marszcząc pysk i zastanawiając się, co teraz będzie. Ruszając powoli naprzód, popatrzyłam w lusterko wsteczne i zobaczyłam, że Gitsie biegnie za dżipem, zdecydowana nie spuszczać mnie z oka, mimo że wyglądało na to, że ja chcę ją porzucić! Amina, której warkot motoru przeszkadzał buszować po wydmach, przyłączyła się do pościgu. Było jej wszystko jedno, czy to, co ściga, ma nogi czy koła!

Przed wyjazdem sprawdziłam w lokalnej gazecie, kiedy będzie przyływ, a kiedy odpływ. Nie powiedziałam o tym dzieciom, które teraz, pod koniec podróży, zgadywały, co zobaczą za chwilę. Musiały zgadywać, bo morze zasłaniały wydmy.

Większość mówiła, że jest przypyływ. Gdyby był odpływ, wybrałabym inny dzień na naszą wycieczkę nad morze. Bo w Brancas ter podczas odpływu woda jest prawie na horyzoncie i nie ma mowy o pływaniu, chyba że ktoś chce pływać w kałużach. W połowie drogi między brzegiem a horyzontem znajdował się stary wrak statku. Przez lata wielu ludzi mimowolnie ryzykowało życiem, podchodząc do niego i próbując go badać. Jak fatamorgana na pustyni statek znajdował się o wiele dalej niż się zdawało, a poza tym, co gorsza, oglądanie go było niebezpieczne. W tej części wybrzeża wody przypyływu poruszają się z szybkością, którą trudno sobie wyobrazić, i ucieczka przed nimi jest prawie niemożliwa. W końcu, po kilku fatalnych wypadkach, chcąc zapobiec dalszym śmierci om, wrak wysadzono w powietrze. Jednak wtedy, kiedy my przyjeżdżaliśmy na plażę, jeszcze tam był - ogromny i brzydki zalegał na złocistym piasku. Przykazałam dzieciom, żeby nawet nie myślały o oglądaniu wraka. Nie żałowałam słów, żeby im wyjaśnić, co może je spotkać ze strony żywiołów, a także ode mnie, w wypadku gdyby zlekceważyły moje ostrzeżenie. W rzeczywistości nie było potrzeby przemawiać tak groźnie, bo na plaży i na wydmach dzieci miały mnóstwo innych zajęć.

Sarah i Jane, które lepiej niż młodsze dzieci wiedziały, gdzie znajduje się domek plażowy, oświadczyły zgodnym chórem, że jesteście na miejscu. Zatrzymałam samochód i wszyscy wysiedliśmy. Diana i Charles pobiegli przodem, chcąc jak najszybciej sprawdzić, w jakim stanie jest domek. Podczas drogi opinie na ten temat były podzielone. Jane na przykład twierdziła, że „wszystko będzie w porządku”, a Diana była pewna, że domek „jest całkiem zniszczony”.

Zawołałam Dianę i Charlesa, gdyż chciałam, żeby pomogli nieść rzeczy. Jak na jednodniową wycieczkę, mieliśmy ich bardzo dużo. Pozostałe dzieci grzecznie niosły torby, a Sarah i

Isabel dźwigały to, co było najważniejsze - kosz z wiktuałami. Diana wróciła biegiem i powiedziała:

- Potrzebne są łopaty. Domku prawie nie widać.

No, to świetnie, pomyślałam w duchu, spędzimy dzień na kopaniu.

Obiecałam lordowi Althorpowi, że w miarę naszych możliwości zorientujemy się, jakie są zniszczenia. Wręczyłam łopaty dzieciom i, taszcząc swoją torbę, zaczęłam brnąć przez wydmy, żeby to sprawdzić. W tej chwili usłyszałam głos Sary, która powiedziała:

- Naprawdę, Dianio, to, co mówisz, to gruba przesada.

I rzeczywiście, kiedy zobaczyłam domek, przestałam się martwić. Wiedziałam już, że wcale nie będziemy przez cały dzień kopać i że odpoczniemy sobie na wydmach. Bo okazało się, że musimy trochę popracować, ale nie czeka nas żaden herkulesowy wysiłek sugerowany przez Dianę.

Wiosenne sztormy nie doprowadziły do tego, że domek został pochłonięty przez piasek, ale zrobiły swoje. Jane powiedziała mi, że do domku wchodziło się kiedyś po schodkach. Teraz jednak schodki były zasypane i do wnętrza dało się wejść prosto z plaży. Poleciałam chłopcom, żeby zaczęli usuwać piasek. Jane weszła do środka, żeby poszukać jakiegoś naczynia, w które można by było nalać wody dla psów, gdyż te, wyczerpane biegiem i harcami, padły bez sił. Amina machała przy tym ogonem, wskutek czego w powietrze wzbijał się gęsty tuman. Groziło to tym, że zawartość kosza z wiktuałami będzie miała smak piasku. Kosz bowiem został przedwcześnie otworzony. Otworzyła go Diana, która chciała znaleźć ciasteczka, bo widziała, że Alexandra jest głodna. Kazałam Dianie zamknąć kosz i wziąć się wraz z Alexandrą do zamiatania podłogi pokrytej cienką żółtą warstwą piasku, który dostał się do wnętrza przez szparę

pod drzwiami. Wszystkie prace były wykonywane chętnie. Powiedziałam dzieciom, że działając wspólnie skończymy robotę wcześniej i zyskamy więcej czasu na zabawę. Sarah i Isabel, po wniesieniu toreb do środka, uznały, że wykonały swoją część pracy, po czym rozłożyły koce. Usiadły na nich pogrążone w rozmowie. Mówiły, jak sądzę, o obowiązkach, jakimi obarczony jest człowiek w wieku lat kilkunastu.

Wkrótce wszystko w domku i koło niego wróciło do normy. Domek plażowy oparł się wiatrom, co było nie lada wyczynem, gdyż w tym miejscu atakowały one ze szczególną wściekłością. Przebraliśmy się wszyscy w kostiumy kąpielowe i poszliśmy w stronę wody. Dzieci biegły przodem, wdrapując się na wydmy, zeskakując z nich i turlając się w dół. Diana, która wylądowała najdalej, rzuciła innym wyzwanie:

- Nie prześcigniecie mnie!

Podskoczyła i pobiegła w dół, w stronę morza, prawie nie dotykając stopami piasku, a jej rozpuszczone włosy płynęły za nią w powietrzu. Pozostali, wiedząc, że zdobyła przewagę, bo wyruszyła pierwsza, postanowili ją zignorować. Biegła więc sama, a oni posuwali się własnym tempem, by po dotarciu do brzegu uśmieć się z niej serdecznie, gdyż Diana wskoczyła do wody, nie zwracając uwagi na jej temperaturę, która nawet w ten letni dzień była bardzo niska. Łapiąc oddech, zachęcała pozostałe dzieci, żeby się do niej przyłączyły.

- Jest cudownie - twierdziła, w co większość, nie wyłączając mnie, nie uwierzyła.

Postanowiłam być ostrożna i weszłam do wody tylko po kostki. Pochodziłam w niej parę minut, a potem usiadłam na piasku i zaczęłam obserwować figle dzieci. Trzy najstarsze dziewczynki wbiegły do wody ze śmiechem i piskiem, gdyż była zimna. Chłopcy natomiast zachowali ostrożność i przez pewien czas bawili się przy samym brzegu, przyzwyczajając się do jej

temperatury. Psy również doszły do wniosku, że morze jest nie dla nich. Gitsie klapnęła koło mnie, gdy tymczasem Amina biegła w kółko, nie chcąc wyrzekać się gratki, jaką było dla niej badanie wszystkich unoszących się tu nowych zapachów. Sarah przywiozła piłkę i wszystkie dzieci zagrały w wodzie „w wariata”, chlapiąc się przy tym i śmiejąc.

Jednak nawet przy całej tej aktywności czuły, że woda jest zimna. Nie wytrzymały w niej długo. Sarah i Isabel poszły wkrótce do domku plażowego obiecując, że przygotują lunch. Jane i ja energicznie wytarłyśmy młodsze dzieci ręcznikami, które były już bardzo zapiaszczone (gdyż piasek dostaje się wszędzie, nie można temu zapobiec mimo największych starań), a następnie zaczęłyśmy nadzorować budowę zamków. Charles i John, posługując się wiaderkami, zbudowali zamek z mnóstwem wież. Diana posłała Alexandrę po kamyki, gdyż chciała nimi ozdobić wzgórek, który usypała bez pomocy łopatk i wokół którego, już łopatką, wykopała fosę. Charles wyśmiał tę budowlę, twierdząc, że wcale nie przypomina zamku.

Było to niepodobne do Charlesa, który prawie nigdy nikogo nie krytykował, domyśliłam się więc, że chłopiec chciał zaimponować Johnowi. Diana, zdziwiona tym niezwykłym atakiem ze strony brata, zaczęła gwałtownie bronić swojej budowli. Ponieważ w towarzystwie znanych sobie osób była wygadana, stwierdziła, że miały to być ruiny zamku, a potem dodała triumfalnie:

- Kiedy będzie przypływ, z twojego zamku też zostaną ruiny.

Postanowiliśmy ogłosić rozejm, a Charles przyznał, że fosa to dobry pomysł. Została więc zbudowana druga fosa. Miała ona napełnić się wodą podczas przypływu. Wiedzieliśmy bowiem, że przypływ - pod osłoną nocy - dopełźnie w milczeniu aż do wydm, zmywając po drodze budowle z piasku, po to tylko,

by dać się później odepchnąć niewidzialnej sile, skuteczniejszej w działaniu niż sam król Kanut Wielki*, i powrócić aż za horyzont. Zaczęłam opowiadać dzieciom o królu Kanucie, ale okazało się, że znają jego historię ze szkoły. Diana, zapominając o zamku z piasku, gdyż wyobraźnia skierowała jej myśli na inne tory, pobiegła na brzeg i wskazując ręką morze, oświadczyła:

- Rozkazuję ci się cofnąć. Fale cofnęły się.

- Widzicie? To działa! - zawołała.

- A właśnie że nie - odpowiedział Charles. - To nie miało nic wspólnego z tobą, bo morze i tak się cofa.

* Kanut Wielki (ok. 994-1035), król Danii, Norwegii i Anglii, syn Wikinga Swena Widłobrodego, wychowany w czci Wotana, ochrzcił się i umarł *in odore sanctitatis* jako ulubiona postać klasztornych kronikarzy. Słynna legenda opowiada o tym, jak zgromił dworzan, którzy chcąc mu się przypochlebić twierdzili, że posłuszne są mu nawet przyływy i odpływy morza. Umieściwszy swój tron na brzegu, tak że fale przyływu obmywały mu nogi, powiedział: *Pusta i marna jest potęga królów i nikt nie jest godzien miana króla, tylko Ten, na którego skinienie niebo, ziemia i morze są posłuszne odwiecznemu prawu.* Po czym zdjął koronę i nigdy więcej jej nie włożył, zawiesiwszy nad ołtarzem w katedrze w Winchester (przyp. tłum.).

Uznałam, że czas coś zjeść. Ponieważ wszyscy byli bardzo głodni, bez trudu skłoniłam ich, żeby przerwali budowanie i poszli na lunch. Wspaniałe przysmaki przygotowane przez kucharkę starsze dziewczynki ustawiły już na stole, który trzymano w domku z myślą o takich okazjach. Wszyscy nabraliśmy sobie jedzenia na talerze, a potem usadowiliśmy się na kocach pod osłoną wydym. Domki plażowe stały daleko od siebie, tak że nawet podczas weekendów ich właściciele nie przeszkadzali sobie, a tego dnia, we wtorek, nie było w pobliżu nikogo. Wspaniałe było czuć, że ma się plażę dla siebie. Wszyscy byli głodni, więc jedzenie szybko zniknęło. Ponieważ Sarah i Isabel przygotowały lunch, oświadczyłam, że my, to znaczy ja i młodsze dzieci, posprzątamę po posiłku. Charles i Diana powitali to

oświadczenie jękami i narzekaniami. Starsze dziewczynki zapytały, o której będziemy wyjeżdżać, a potem, zabrawszy swoje torby, poszły się opalać w jakimś spokojnym miejscu, oznajmiając, że dzieci robią zbyt wiele hałasu.

Szybko schowaliśmy puste talerze i resztki jedzenia do kosza. Kucharka bardzo dobrze obliczyła, ile jedzenia nam potrzeba, toteż zostało go bardzo mało. Powiedziałam dzieciom, że poczytam teraz sobie przez pół godziny, a potem możemy wszyscy pójść na spacer. Chłopcy natychmiast wymyślili sobie jakąś zabawę i zaczęli bawić się w nią na pobliskich wydmach. Hałas, jaki robili, świadczył o tym, że zabawa ma coś wspólnego z wojną, a ja zaczęłam zazdrościć Sarze i Isabel, które się przed nim ukryły. Diana nie chciała siedzieć na miejscu. Ona i Alexandra miały ochotę wykończyć swój zamek, więc Jane poszła z nimi. W tym czasie morze już się cofało, i to z dużą szybkością. Ostrzegłam więc dziewczynki, żeby pod żadnym pozorem nie wchodziły do wody. Bo jadły przed chwilą lunch, a także, a raczej przede wszystkim dlatego, że jest to niebezpieczne. Spodziewałam się lamentu ze strony Diany, ale niesłusznie. Nawet ona uznała, że woda jest zimna, i nie miała ochoty ponownie do niej wchodzić.

Bardzo przyjemnie było leżeć sobie na kocu. Leżałam więc i czułam, jak słońce ogrzewa mi twarz, którą łagodnie pieści też lekki wiaterek, i słuchałam niemilknącego szumu morza. Słońce, wiatr i morze podziały na mnie kojąco i tylko krzyki chłopców sprawiły, że nie zapadłam w sen. Trzydzieści minut później zawołałam chłopców i we trójkę podeszliśmy do Jane, Diany i Alexandry. Powiedziałam dziewczynkom, że zbudowały wspaniały zamek, który wygląda imponująco dzięki ozdobom z kamyków. Spacer wzdłuż plaży okazał się bardzo przyjemny - dzieci wbiegały co chwila do wody, a psy szły w ich ślady.

Kiedy dzieci zmęczyły się tą zabawą, zaproponowałam, żebyśmy zaczęły zbierać muszle i przekonali się, kto znajdzie najoryginalniejszą w kształcie konchy. Było tam mnóstwo muszli o niezliczonych kształtach i barwach, a dzieci miały oczywiście różne poglądy na to, co jest oryginalne. Zaproponowałam, żeby każdy wybrał według własnego gustu i żebyśmy potem poprosili Sarę o wydanie ostatecznego werdyktu. Alexandra pierwsza znalazła muszlę w kształcie konchy, co spowodowało, że Diana tym gorliwiej przykładała się do poszukiwań. Jej poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem, podobnie jak poszukiwania Jane, Charlesa i Johna. Zaproponowałam dzieciom, żeby przytknęły muszle do uszu i powiedziały mi, co słyszą. Diana myślała, że chce sobie z nich zażartować i musiałam ją przekonywać, że muszla jest pusta i nic z niej nagle nie wyskoczy. Diana, zadowolona, że to nie żart, przytknęła muszlę do ucha, podobnie zresztą jak i pozostałe dzieci. Wszystkie usłyszały szum morza dobiegający jakby z oddali. Powiedziałam im, żeby nosiły muszle przy sobie, a wtedy, gdziekolwiek i się znajdą, szum morza będzie zawsze z nimi.

Poszliśmy dalej. Jane zapytała mnie, czy jako dziecko spędzałam dużo czasu na plaży. Odpowiedziałam, że od wczesnego dzieciństwa bardzo kochałam morze. Opowiedziałam też dzieciom, jak podczas pełni księżyca jeździłam konno po plaży, patrząc na światło odbijające się w wodzie. Fale łamały się, zamieniając się na moich oczach w płynne srebro. Diana spytała, czy się nie bałam jeździć nocą. Zapewniłam ją, że się nie bałam, i dodałam, że galopowaliśmy sobie nad samym brzegiem, rozbryzgując wodę w kałużach pozostawionych przez przypływ. Na plaży nie było nikogo, a zresztą kto by chciał nas skrzywdzić? Diana była ciekawa, czy rodzice często jeździli z nami na plażę. Wyjaśniłam, że mój ojciec musiał prawie przez cały czas pracować, ale kiedy zdarzyło się, że pogoda była ładna, a on miał akurat wolne, jeździliśmy do pobliskiego Winter ton

lub Horsey. Bardzo lubiłam tam jeździć, bo na plaży w obu tych miejscowościach było mnóstwo kałuż, a woda w kałużach była o wiele cieplejsza niż w morzu. Bawiąc się w nich, byliśmy zupełnie bezpieczni. Diana chciała wiedzieć, czy jeździliśmy sami czy z przyjaciółmi. Odpowiedziałam jej, że prawie zawsze jeździliśmy we czworo, gdyż bawiłam się z bratem, który był moim najlepszym przyjacielem. Usłyszawszy to Diana stwierdziła, że Charles z całą pewnością nie jest jej najlepszym przyjacielem. Oznajmiłam, że u nas sytuacja była inna, gdyż byliśmy bliźniętami, podczas gdy ona jest o trzy lata starsza od Charlesa. Charles, który słyszał jej uwagę, odciął się, mówiąc, że Diana też w żadnym wypadku nie jest jego najlepszym przyjacielem. Mówiąc o niej, był gotów jedynie przyznać, że „ujdzie”.

Żeby zakończyć dyskusję, która mogła z łatwością przerozdzić się w kłótnię, opowiedziałam im, jak pewnego razu oddaliśmy się z bratem i zabłądziliśmy. Siedzieliśmy na wydmach, a kiedy chcieliśmy odszukać rodziców, okazało się, że wszystkie wydmy wyglądają tak samo. Na szczęście starsze małżeństwo spacerujące z psem wzdłuż plaży zajęło się nami i pomogło nam znaleźć rodziców. Diana, która była pożeraczką książek przygodowych i tajemniczych historii, zapytała, czy baliśmy się, że ktoś nas porwie. Zapewniłam ją, że za czasów naszego dzieciństwa było wszędzie bezpiecznie. Dodałam, że - chcąc uniknąć na przyszłość takich kłopotów - rodzice od tego czasu zawsze zatykali brytyjską flagę na najwyższej z wydm, tak że byśmy za każdym razem mogli znaleźć drogę powrotną.

Tak rozmawiając, wróciliśmy do domku plażowego. Za piętnaście minut miały się tu pojawić Sarah i Isabel, po czym mieliśmy ruszyć w drogę powrotną.

- Czy naprawdę musimy już jechać? - zapytała Diana, która przy koleżankach miała skłonność do kwestionowania moich decyzji.

Odpowiedziałam „tak” i poradziłam jej, żeby nie traciła czasu na dyskusję o czymś, co jest przesądzone, tylko żeby wykorzystała te parę minut, które jej pozostały. A ona wraz z Alexandra natychmiast przyłączyła się do Charlesa i Johna, którzy urządzili zawody w skakaniu po wydmach. Tymczasem Jane i ja zebrałyśmy wszystkie torby i zwinęłyśmy ręczniki, z których nie dało się wytrześć piasku. Sarah i Isabel zjawily się punktualnie i zostały natychmiast obwołane sędziami. Miały wydać werdykt w sprawie muszli. Uznały, że zwyciężyła Alexandra, a ich wyrok został przyjęty z aprobatą, jako że Alexandra pierwsza znalazła muszlę. Zamknęłam domek na klucz, przydzieliłam każdemu to, co ma nieść do samochodu, i nasza zmęczona i trochę przygaszona gromadka ruszyła w drogę powrotną.

Czas był po temu najwyższy, bo słońce grzało już o wiele słabiej, a od morza wiał chłodny wiatr. Wycieczka się udała, ale teraz tęskniliśmy już za domem i gorącą kąpielą.

- Przed wejściem do samochodu wytrzeć piasek z butów
- ostrzegłam wszystkich.

Rezultat mojego ostrzeżenia był raczej mizerny, gdyż po powrocie do domu nanieśliśmy piasku do kuchni, gdzie zostawiliśmy kosz, i zapiaszczyliśmy cały korytarz. Nasze piaszczyste ślady prowadziły też do łazienki, gdzie zakończyła się cała podróż. Dzień był wspaniały, tylko piasek okazał się zbyt uparty!

Następne dwa dni spędziliśmy spokojnie w Park House. Wkrótce miał się zacząć Festiwal w Kings Lynn, a Sarah doszła do wniosku, że nie ma się w co ubrać. Poprosiła więc, żebym z nią pojechała do Kings Lynn i pomogła jej wybrać kilka rzeczy. Zgodziłam się chętnie i zapytałam Dianę, czy chciałaby pojechać z nami. Co prawda większość jej ubrań kupowała matka, jednak Diana lubiła także wypadły ze mną i z siostrą. Jane, która o wiele więcej czasu spędzała w Londynie, stwierdziła, że

nie chce jechać z nami. zaproponowała, że zostanie z Charlesem, który z ulgą dowiedział się, że nie będzie musiał spędzić z nami strasznie nudnego popołudnia w sklepach. Wzięłyśmy ze sobą Aminę, spełniając prośbę Diany, która uważała, że wyprawa do miasta będzie dla suki cennym, nowym doświadczeniem. Powiedziałam, że jeżeli ją zabierzemy, to nie będziemy mogły pójść na herbatę i ciastka. Dla Diany taka uczta stanowiła największą atrakcję. Nie chcąc z niej zrezygnować, stwierdziła, że po zakupach zamknie Aminę w samochodzie. Podałam się i zaraz po lunchu ruszyłyśmy w drogę.

W Kings Lynn nie było nigdy problemu z parkowaniem. W środku miasta znajdował się spory plac, na którym było dużo miejsca nawet pod koniec tygodnia, kiedy mnóstwo ludzi przyjeżdżało tu po zakupy. Diana uważała, że najważniejsze są trzy sklepy, które trzeba koniecznie odwiedzić, gdyż w przeciwnym razie cała wyprawa nie ma sensu. Pierwszym z tych sklepów była apteka, drugim - księgarnia ze stoiskiem z gazetami, gdzie Diana mogła sobie kupić komiksy, nowe kredki i inne rzeczy do piórnika, a trzecim - znajdujący się na skraju miasta sklep zoologiczny. Obiecałam Dianie, że jeżeli będziemy miały czas, to odwiedzimy ten ostatni. Dziwiłam się co prawda, że Diana zawsze tak się przy tym upiera, chociaż wie, że nie ma szans na to, aby mnie przekonać, że jakieś biedne, siedzące w klatce stworzonko nie przeżyje, jeżeli ona go nie uratuje! Trzeba powiedzieć, że z ojcem szło jej pod tym względem o wiele lepiej. Powiedziałam jej jeszcze, że jedziemy do miasta przede wszystkim po to, żeby kupić ubrania dla Sary.

Poszłyśmy do naszego ulubionego sklepu z ubraniami - małego butik, w którym sprzedawano eleganckie, codzienne rzeczy po umiarkowanych cenach. Wybrałyśmy kilka z nich i Sarah zniknęła w małej przymierzalni. Przymierzalnia była oddzielona od nas tylko zasłoną, dzięki czemu mogłyśmy rozmawiać podczas mierzenia. Amina siedziała spokojnie przy

mojej nodze, a Diana przeglądała ubiory wiszące na wieszakach i leżące na półkach, pytając mnie co chwila, czy w tym czy owym byłoby jej dobrze. Jednak w tamtych czasach jej zainteresowanie modą było dalekie od osiągnięcia pełnego rozwoju. Wszystkie jej pytania miały raczej charakter hipotetyczny, gdyż ubrania w tym sklepie nie były przeznaczone dla dzieci. Jednak z tego, na co zwracała uwagę, widziało się już, że lubi żywe, czyste kolory. Amina zaczęła się kręcić, ale ja - zajęta rozmową z Dianą i udzielaniem rad jej siostrze - nie zwróciłam na to uwagi.

Nagle spojrzałam w dół, chcąc uspokoić Aminę, i zobaczyłam mokrą plamę na jasnym dywanie. Plama powiększała się, a dywan był gładki, bez wzorów, które mogłyby ją zamaskować. Byłam najzupełniej pewna, że nie jest to bynajmniej skutek pęknięcia rury pod podłogą i że zawiniła tu Amina. W tej sytuacji naszym głównym celem stała się ucieczka. Należało się nią salwować jak najszybciej, nie tracąc twarzy. Przywołałam do siebie Dianę, poinformowałam ją szeptem o tym, co się stało, i poprosiłam, żeby stanęła na plamie. Diana wyglądała tak, jakby za chwilę miała dostać konwulsji. Widząc to, zaczęłam ją błagać, żeby była cicho i stała spokojnie.

- A pójdziemy do sklepu zoologicznego? - spytała.

Uświadomiłam sobie, że to szantaż, ale w tych warunkach nie miałam wyjścia, musiałam się zgodzić, gdyż nie była to chwila, w której mogłam wdać się z Dianą w dyskusję.

Powiedziałam Sarze, że wychodzimy, i to natychmiast. Stałam już na środku sklepu, pilnując, żeby Amina nie ocierała się o ubrania. Diana zajęła podobną pozycję i stała jak posąg, bez ruchu, co rzucało się w oczy. Mogłam wyjaśnić sprzedawczyni, co zaszło, ale byłam tak zmieszana, że myślałam tylko o tym, żeby wyjść. Na szczęście Sarah wybrała już to, co chciała kupić. Wzięłam od niej te rzeczy, zapłaciłam, podczas gdy ona się

ubierała, i szybko wyszliśmy, przy czym Sarah i Diana śmiały się z mojego zakłopotania. Kiedy znalazłyśmy się na chodniku, ja też zaczęłam się śmiać. Wszystkie wyobraziłyśmy sobie, że biedna sprzedawczyni, która zorientowała się już, co się stało, szoruje właśnie dywan ciepłą wodą i środkiem dezynfekującym, chcąc usunąć wstrętną plamę.

Amina, która popadła w niełaskę, została wpakowana do samochodu, a my, po krótkiej wizycie w aptece i w księgarni, udałyśmy się do ulubionej kawiarni. Zastanawiając się, co będziemy jadły - bezy czy eklerki - rozmawiałyśmy o zakupach. Zgodziłam się, że Diana zasłużyła na pójście do sklepu zoologicznego, gdyż przez tak długi czas powstrzymywała się od śmiechu. Kupiłyśmy tam coś dla każdego z naszych zwierząt: sztuczne kości dla psów, kulkę z dzwonkiem w środku dla kota, chociaż miałam wątpliwości, czy zabawi go ona tak jak polowanie na myszy, oraz specjalne przysmaki dla Peanuts. Kieszonkowe zostało wyczerpane. A ponieważ wyczerpana byłam i ja, wróciłyśmy do Park House - dziewczynki zadowolone z zakupów, a ja z mocnym postanowieniem, że nie zabiorę więcej Aminy do miasta, zanim ta nie nauczy się dobrych manier.

Zbliżał się koniec lipca, a wraz z nim główne wydarzenie lata - Wystawa Kwiatów odbywająca się w parku. Wystawę tę urządza się do dziś, jednak w dzisiejszych czasach jest ona o wiele poważniejszą imprezą, która przyciąga gości z dalekich stron. Kiedy ja mieszkałam w Sandringham, była to wystawa dla miejscowych, a także dla ludzi z okolicy. Wszystkich zachęciano do wzięcia udziału w którejś z konkurencji. Diana, Charles i ja, bardzo podekscytowani, przyglądaliśmy się, jak mężczyźni ustawiają trzy duże namioty. Wkrótce przyłączyły się do nas dzieci ze wsi. Starsi natomiast chodzili naokoło i doradzali, jak to należy zrobić. A potem zaczęli rozmawiać o płodach ziemi, które najlepiej jest pokazać na wystawie. Ktoś wyraził obawę, że jego dotychczas obiecująca dynia nie zdobędzie chyba

nagrody, a ktoś inny poskarżył się, że kapusta, z którą wiązał nadzieje, została zjedzona przez robactwo. Jakby tego było nie dość, okazało się, że kalafior Smitha dojrzał o parę dni za wcześnie. Wyglądało na to, że żaden z moich rozmówców nie ma szans na sukces (przy czym żaden oczywiście nie zdradził, jaki to najcenniejszy okaz ma do pokazania). Pozostawało więc tylko mieć nadzieję, że ich żonom prezentującym kwiaty i przetwory szczęście będzie bardziej sprzyjało. Wszyscy współczuli sobie nawzajem. Jednak, składając innym wyrazy współczucia, każdy cieszył się w duchu, gdyż przewidywał, jakie miny zrobią sąsiedzi, kiedy on odkryje swoje karty. Bo w końcu nikt nie twierdził, że ma tylko j e d n ą dynię czy j e d e n kalafior!

Park, którego tło stanowiły Sandringham House, kościół i Park House, był idyllicznym miejscem, doskonałym na taką wystawę. Każdego lata w całej Anglii odbywało się mnóstwo podobnych imprez przybierających formę jarmarków wiejskich, festynów czy wystaw produktów rolnych. Ta była nazywana Wystawą Kwiatów, a jej nazwa pochodziła stąd, że w największym namiocie rzeczywiście pokazywano kwiaty. W drugim namiocie, zwanym Namiotem Wieśniaków, wystawiano owoce, warzywa, marynaty domowej roboty, ciasta, przetwory i tak dalej, a w trzecim, noszącym nazwę Namiotu Zwierząt i Ptactwa, pokazywano ptaki i zwierzęta. Dzieci nie trzeba było namawiać do udziału w tej imprezie. Diana postanowiła pokazać swoją świnkę morską i spędziła mnóstwo czasu, przygotowując zwierzątko do tego wydarzenia. Jej wysiłki się opłaciły, gdyż dostała pierwszą nagrodę w swojej kategorii. Można było sobie niemal wyobrazić dumną minę, z jaką świnka przyjęła fakt, że przed jej kłatką ustawiają świadectwo uzyskania nagrody. Natomiast żeby dostrzec dumę na twarzy Diany, nie trzeba było wyobraźni. Charles wystawił swojego chomika, a pan Smith

warzywa. Szczęście sprzyjało panu Smithowi w zadziwiający sposób, gdyż drugi kalafior wyrósł jak trzeba - i zwyciężył! Natomiast pani Smith przygotowała dżem domowej roboty. Uważaliśmy, że ten dżem jest doskonały, a z naszą opinią zgodził się sędzia, który przyznał jej nagrodę. Chomik Charlesa otrzymał „pochwałę”. Tak więc wszystkim poszło dobrze. W tych zmaganiach pomogła nam zachęta ze strony lorda Althorpa, który lubił, kiedy braliśmy udział w lokalnych imprezach.

Było też kilka mniejszych wystaw. Jednej z nich, organizowanej przez Instytut Kobiet, patronowała królowa matka, która w tym czasie, w lipcu, mieszkała zwykle w Sandringham House. Umożliwiło jej to udział w Festiwalu w Kings Lynn i udzielanie poparcia lady Fermoy, z którą się przyjaźniła. Jej obecność na obu imprezach wysoko sobie ceniono. Sandringham było posiadłością, w której polowano na ptactwo, w związku z czym, naturalną kolejną rzeczą, popołudniami odbywały się tam pokazy umiejętności psów myśliwskich. Ukrywano przynęty, a psy, kierując się jedynie głosem pana, miały je aportować. Psy były czujne, inteligentne, machały ogonami i z wielkim zapaleniem demonstrowały swoje umiejętności, bardzo pragnąc zadowolić panów. Większość należała do rasy żółtych lub czarnych labradorów i była spokrewniona z psami hodowanymi w królewskich psiarniach w West Newton. Było także kilka springer spanieli - brązowo-białych i czarno-białych. Springer spaniele miały grubszą skórę niż labradory, co dawało im nad nimi przewagę, umożliwiając zapuszczanie się w gęste i często koleczaste zarośla. Ich słabą stroną było to, że - tak jak na przykład Jill - nie dawały się dobrze wyszkolić i nie osiągały wysokiego standardu posłuszeństwa wymaganego przy polowaniach. Lord Althorp często wychwalał swojego poprzedniego psa myśliwskiego. Bray także, choć młoda, robiła wszystko, aby go zadowolić. Diana usiłowała przekonać ojca, żeby wystawił

Bray do zawodów psów myśliwskich, jednak on uważał, że suka ma za mało doświadczenia.

Dwie inne imprezy przyciągały tłumy. Jedna miała związek z pracą, a druga z przyjemnościami życia na wsi. Ta pierwsza - ciesząca się niezmiennie wielką popularnością - była pokazem umiejętności pasterzy i ich psów. Posługując się jedynie gwizdkiem, każdy z pasterzy poddawał próbie swojego wiernego owczarka border collie. Człowiek i pies - wspólnie - przepędzali stado z jednej zagrody do drugiej, omijali i pokonywali przeszkody, a owczarek demonstrował przy tym, do jakiego stopnia jest zdolny radzić sobie z owcami, które zawsze zdradzały skłonności samobójcze, pakując się na płoty czy też wpadając do pełnych wody rowów. Umiejętności zarówno pana jak i psa, a także oddanie i miłość, z jaką pies patrzył na pana, oczekując pochwały, były dla wielu widzów głównymi atrakcjami pokazu.

O trzeciej usłyszeliśmy dźwięki rogu myśliwskiego. To myśliwi stowarzyszeni w grupie zwanej West Norfolk Foxhounds przywoływali sforę i przygotowywali się do przejazdu przez park. W tamtych czasach niewielu było przeciwników polowań; panowało powszechne przekonanie, że humanitarne zabijanie lisów jest koniecznością, a farmerzy chętnie widzieli myśliwych na swoich terenach. W naszym domu, jak w wielu innych, istniały różnice poglądów. Sarah uwielbiała polowania, była więc ich zwolenniczką i potrafiła wskazać wszystkie ich zalety. Diana - przeciwna wszystkiemu, co zagrażało zwierzętom - nie aprobowała ich. Brak wiedzy sprawiał jednak, że nie potrafiła wyrazić swoich opinii tak przekonująco jak siostra.

Jednak każdy - zwolennik czy przeciwnik polowań - musiał przyznać, że tego dnia w parku myśliwi wyglądali wspaniale. Końska sierść błyszczała, podobnie jak uprząż, a jeźdźcy w czerwonych marynarkach, otoczeni przez foxhoundy z ogonami

postawionymi na sztorc i chwiejącymi się jak maszty na wie-
trze, stanowili widok olśniewający. Konie - niespokojne - cze-
kały z postawionymi uszami na zew rogu, który oznaczał „Na-
przód!”. Gryząc wędzidła, gotowe do biegu, nie zdawały sobie
sprawy, że lipcowe popołudnie to niedobry czas na polowanie,
że poluje się raczej w mroźny, chłodny, jesienny poranek. Po-
lowanie - bez względu na to, co myślą jego przeciwnicy - należy
do typowo angielskich tradycji, jest częścią angielskiego życia.
Wyobraźmy sobie wiejską rezydencję oraz jeźdźców na koniach
pijących strzemiennego w jasny zimowy poranek, gotowych
lada chwila wyruszyć. Taką scenę - scenę, która stanowi ozdo-
bę niejednej książki przedstawiającej życie angielskiej wsi -
trudno zignorować czy wymazać ze świadomości.

Tłum cofnął się i patrzył na myśliwych jadących spokojnie
przez park. Po pewnym czasie myśliwi zatrzymali się i przywo-
łali psy. Można ich było fotografować. Aparaty różnych kształ-
tów i rozmiarów rejestrowały uroczy obraz. Myśliwi nie byli tu
jedynymi ludźmi ubranymi w kolorowe stroje. Kobiety w lek-
kich sukniach w kwiaty, mężczyźni bez marynarek - sądząc po
koszulach, niektórzy z nich byli miłośnikami muzyki country -
z przeredzonymi włosami i łysinami osłoniętymi przed słoń-
cem letnimi filcowymi kapeluszami (płaskie czapki zimowe
jeszcze przez kilka tygodni miały leżeć nie używane) - wszyscy
oni sprawiali, że w parku było bardzo kolorowo. Ostatni sygnał
rogu oznajmił, że czas do domu. Foxhoundy uświadomiły so-
bie, że to już koniec. Pogoni wraz z całym jej radosnym pod-
nieceniem miało nie być. Miało się obejść bez wachania i tro-
pienia. Wszystko ograniczyło się do spaceru przez park - w tę i
z powrotem. Co za rozczarowanie! Było to jednak z pewnością
ćwiczenie, które nie mogło wyprowadzić z równowagi najzaja-
dłego przeciwnika polowań.

Tłum zaczął się przerzedzać, ludzie wracali do domów. Jedni - ci szczęśliwcy - musieli w tym celu tylko przejść przez park, a innych czekała krótsza lub dłuższa jazda samochodem. Dzieci i ja zrobiliśmy parę kroków i znaleźliśmy się na własnym terenie. Przekonaliśmy Dianę, że jej świnkę morską, Peanuts, widziało już wystarczająco dużo osób i że lepiej będzie zanieść zwierzątko do domu, razem z chomikiem Charlesa. Byłam pewna, że po tak długim dniu i świnka, i chomik chętnie powrócą do własnych klatek.

Zaraz po Wystawie Kwiatów miał się odbyć Festiwal w Kings Lynn. Nie mogliśmy się go doczekać. Był to festiwal muzyki i sztuki ufundowany przez lady Fermoy, babkę dzieci ze strony matki. Lady Fermoy była utalentowaną pianistką. Ufundowała Festiwal w roku 1951 z okazji otwarcia odbudowanego właśnie Domu Św. Jerzego, służącego niegdyś zebraniom cechowym (St. George's Guildhall). Dom ten był później znany jako Centrum Fermoyów. Lady Fermoy pełniła rolę prezeski Festiwalu, natomiast patronat nad Festiwalem sprawowała jej przyjaciółka, królowa matka, u której lady Fermoy była damą dworu. Obecność królowej matki zarówno na Wystawie Kwiatów, jak i na Festiwalu wskazywała na to, że rodzina królewska miała ściśle związki z ludźmi z okolicy.

Wszystkie dzieci odziedziczyły po babce zamiłowanie do muzyki. Sarah i Jane grały na fortepianie. Diana lubiła sobie brzdąkać, jednak regularne lekcje zaczęła pobierać dopiero w wieku lat czternastu. Niektóre koncerty festiwalowe miały poziom odpowiedni dla dzieci, jednak większość była przeznaczona dla dorosłej publiczności. Lord Althorp przejrzał wraz ze mną program Festiwalu i oboje zdecydowaliśmy, że zabiorę Charlesa i Dianę na dwa poranki. Sarah i Jane chodziły natomiast na wszystkie koncerty, na które udało im się dostać bilety. Dwa razy zaprosiły mnie, żebym poszła z nimi na wieczorny

koncert, co powitałam z wielkim zadowoleniem. Podczas przerw w tych wieczornych koncertach miałam po raz pierwszy okazję spotkać młode osoby w swoim wieku mieszkające w okolicy. Festiwal trwał tylko kilka dni, ale stanowił dla mnie wspaniałą odmianę. W ciągu tych kilku dni zawarłam sporo znajomości, które później przekształciły się w przyjaźnie. Publiczność na koncertach była bardzo elegancka, a ja cieszyłam się, że mam okazję włożyć na siebie coś odświętnego i znaleźć się wśród ludzi, którzy są pięknie ubrani i którzy czerpią z koncertów wiele przyjemności. Kings Lynn, prowincjonalne miasteczko, miało wiele szczęścia, ponieważ lady Fermoy, osoba szanowana i wpływowa, potrafiła sprowadzić tu co roku mnóstwo utalentowanych artystów.

Bilety szły jak woda i zostały szybko wyprzedane. Niestety, lordowi Althorpowi udało się dostać miejsca tylko na jeden poranek. Bardzo się na ten koncert cieszyliśmy. Podobnie jak wszystkie dzieci, Diana i Charles rośli bardzo szybko. Wskutek tego oboje mieli w Park House tylko po jednym eleganckim ubraniu. Zresztą mało tu było okazji, żeby się stroić. Idąc na koncert, patrzyłam na nich z dumą. Charles miał porządnie zawiązany krawat, a nie rozpiętą pod szyją koszulę noszoną na co dzień. Włosy Diany, które zwykle wyglądały tak, jakby były nieuczesane, wyszczotkowane dzisiaj do połysku, opadały dziewczynce na ramiona. Diana była porządną i dokładną, ale bardzo ruchliwą. Zawsze gdzieś pędziła, wskutek czego jej włosy, które lubiła nosić rozpuszczone, wyglądały tak, jakby nikt o nie nie dbał.

Dzieci siedziały spokojnie, zachowywały się grzecznie przez cały koncert. Podczas przerwy, kiedy wyszliśmy na słońce, pozwoliłam im zjeść lody. Kazałam im jednak uważać i pilnować, żeby ani jedna kropla nie kapnęła na ubranie. Obyło się bez takiego wypadku. Wróciliśmy do sali. Pod koniec drugiej części wyczułam, że dzieci są niespokojne. Charles był jeszcze

mały. Nie należało się więc spodziewać, że wytrzyma przez cały koncert. Zjadł już lody, na które czekał przed przerwą, a słuchanie muzyki przestało mieć dla niego urok nowości. Zateśknął więc za domem. Chciał już wrócić, przebrać się w stare ubranie i pobawić się przed pójściem do łóżka. Diana, która pierwszego lipca, tuż przed wakacjami, skończyła dziesięć lat, była zawsze dość niespokojna i ruchliwa. Lubiała muzykę, a program koncertu był zróżnicowany, jednak nie mogła się doczekać końca. Chciała już wyjść na powietrze i zaczęła się kręcić na swoim siedzeniu. Trąciłam ją łokciem i powiedziałam:

- Już niedługo.

A ona zapytała szeptem:

- O której się kończy?

Powiedziałam jej, o której, a ona do końca koncertu spoglądała ukradkiem na zegarek.

Powiedzieli później babce, że koncert im się podobał, a ja pomyślałam, że przez dwie trzecie koncertu rzeczywiście tak było. Co do mnie, to z wielką przyjemnością poszłam na ten poranek z Dianą i Charlesem. Byłam też bardzo zadowolona, że mogę pójść na wieczorne koncerty, gdyż brakowało mi towarzystwa dorosłych i czułam się raczej odcięta od normalnego życia. Nie miałam wielu okazji, by spotykać dorosłych, jednak kiedy już poznałam kilka osób - nie za sprawą Jane czy Sary, tylko dzięki temu, że ludzie na koncertach byli tak sympatyczni, że podchodzili do mnie i sami się przedstawiali - doszłam do wniosku, że w północno-zachodnim Norfolkku mogę się czuć jak u siebie w domu.

Rozdział dziesiąty

Jane wyjechała z Park House na początku sierpnia. Pojechała do matki, żeby spędzić z nią resztę wakacji, częściowo w jej domu w Sussex, a częściowo w drugim domu, w Londynie. Żałowałam, że Jane wyjeżdża. Była taka spokojna i zrównowazona. A poza tym dzięki jej obecności rodzina wydawała się w komplecie. Diana i Charles wiedzieli, że się z nią wkrótce zobaczą, gdyż i oni mieli niedługo pojechać do matki.

Po Wystawie Kwiatów i po Festiwalu byliśmy wszyscy zadowoleni, że możemy spokojnie spędzać czas w domu. Zbliżała się połowa wakacji i do lorda Althorpa przyjechało kilka osób. My rzadko widywaliśmy gości lorda Althorpa. Zdarzało się tak tylko wtedy, kiedy goście przyjeżdżali z dziećmi. W takim wypadku dzieci przyłączały się do nas. Jeżeli była pogoda,

przebywaliśmy w ogrodzie albo pływaliśmy w basenie, a kiedy deszcz zmusił nas do pozostania w domu, siedzieliśmy w pokoju dzieciennym. Przeważnie jednak spędzaliśmy czas na dworze. Żartowałam z Diany mówiąc, że jeżeli będzie tak ciągle siedziała w wodzie, to wyrośnie jej ogon, jak syrenie. Za każdym razem, kiedy Diana zorientowała się, że mali goście nie potrafią pływać tak dobrze jak ona, dawała im pokaz swoich umiejętności. Zdarzało się to bardzo często, bo przeważnie dzieci, które nas odwiedzały, nie miały własnych basenów i nie dorastały Dianie do pięt. Chlapały się więc trochę, a potem wychodziły z wody i przyłączały się do rodziców.

Lord Althorp bardzo chętnie pozwalał gościom korzystać z basenu. Wybudował go wiedząc, że dzieci uwielbiają pływać. Kierowało nim także pragnienie, by cała czwórka, jadąc na wakacje do domu, wiedziała, że czekają tam coś niezwykłego, coś, za czym można tęsknić. Wiedział, że jego dzieci mają wielkie szczęście i przy każdej okazji z przyjemnością pozwalał innym dzielić to szczęście z nimi. Diana i Charles nie byli egoiści i nie mieli nic przeciwko temu, żeby inni korzystali z basenu. Jeżeli jednak zjawiał się ktoś, kogo dobrze nie znali, ogarniała ich nieśmiałość. Diana ukrywała tę nieśmiałość pod maską brawury demonstrowanej w basenie.

Mogło się wydawać, że się popisuje. Jednak tak nie było. Popisywała się wtedy, kiedy widzami były osoby, które dobrze znała. W takich wypadkach nie mogła się powstrzymać i ostentacyjnie demonstrowała swoje umiejętności, do czego zachęcał ją ojciec, który był z niej bardzo dumny. Jednak jej numer popisowy - skok z wierzchołka zjeżdżalni - przerażał go. Lord Althorp bał się o córkę, ale kiedy Diana błagała go, żeby jej pozwolił skoczyć „tylko jeden raz”, przeważnie jej ulegał. Diana bardzo kochała ojca i Uczyla się z jego uczuciami. Dlatego dziwiłam się zawsze, że się tak upiera przy tych skokach. Ja ich

nie pochwalałam i pod nieobecność lorda Althorpa nigdy jej na nie nie pozwalałam.

Diana w dzieciństwie, a także w wieku dojrzewania i w wieku dorosłym, była bardzo związana z ojcem. W grudniu roku 1978, kiedy jej ojciec wracał do zdrowia po pierwszej poważnej chorobie, napisała do mnie, że w noc poprzedzającą wylew krwi do mózgu, który u niego nastąpił, śniła jej się, że coś mu się stanie. *To bardzo dziwne, ale ten sen się sprawdził* - pisała Diana. Nie należy rozpatrywać tego twierdzenia poza kontekstem. Nie jest to po prostu twierdzenie siedemnastolatki, która, jak wielu jej rówieśników, wyobraża sobie, że jest inna niż wszyscy i wyjątkowa. Nie ma bowiem wątpliwości, że lord Althorp i Diana byli zawsze bardzo sobie bliscy. Lord Althorp udzielał Dianie psychicznego wsparcia, zwłaszcza kiedy jej małżeństwo zaczęło się rozpadać. Jego śmierć przeżyły oczywiście wszystkie dzieci, jednak Dianę dotknęła ona najbardziej. Lord Althorp, znając dobrze stosunki panujące w kręgach królewskiego establishmentu, przez dwa ostatnie lata swego życia niezmiernie cierpiał, widząc, że jego ukochana córka jest niešťśliwa. Znał ją bardzo dobrze, jednak nawet on nie spodziewał się po niej takiej nieustępliwości. Bo Diana - której dziecięce marzenia i aspiracje zostały unicestwione na oczach milionów - nie miała zamiaru usunąć się w cień i żyć życiem pozornym. Lord Althorp nie widział dla niej żadnego wyjścia, ponieważ nie wyobrażał sobie, że jego córka stworzy precedens w dziejach monarchii.

Królowa matka, podczas swoich letnich wizyt, mieszkała w Sandringham House, jednak inni członkowie rodziny królewskiej często zatrzymywali się w mniejszej, bardziej przytulnej rezydencji Wood Farm w Wolferton. Księżniczka Aleksandra, która w przyszłości miała zostać jedną z matek chrzestnych księcia Wilhelma, odwiedzała latem Park House. Była osobą bardzo elegancką, ale zachowywała się naturalnie; obejście

miała tak miłe, że w jej obecności ludzie od razu zaczęli czuć się swobodnie. Bardzo dobrze rozumiem, dlaczego należy ona do najpopularniejszych członków rodziny królewskiej. Wraz z mężem odwiedziła pewnego dnia lorda Althorpa i przyszła popatrzeć na dzieci pływające w basenie. Zostałam jej wtedy przedstawiona. Spędziła z nami trochę czasu - tyle, że Diana zdążyła zademonstrować jej swój popisowy numer. Wszystko odbyło się normalnie i w atmosferze odprężenia. Dopiero po odejściu księżniczki i jej męża Diana powiedziała mi, że powinnam była dygnąć. Nigdy przedtem nie zostałam przedstawiona nikomu z rodziny królewskiej i nie przyszło mi do głowy, że trzeba tak zrobić. Byłam zadowolona, że Diana wytknęła mi tę gafę, gdyż nie chciałam uchodzić za osobę nieuprzejmą, a lord Althorp nigdy nie zwróciłby mi uwagi, że etykieta wymaga dygnięcia. Postanowiłam, że następnym razem, kiedy będę przedstawiona komuś z rodziny królewskiej, muszę koniecznie dygnąć.

W kilka dni później, w niedzielę, leżałam koło basenu na łóżku do opalania, a Gitsie czuwała pod łóżkiem, gdyż w jej mniemaniu mogłam potrzebować obrony. Był dość wczesny ranek. Dzieci, które nie odważyły się jeszcze wejść do basenu, bawiły się w pobliżu, w ogrodzie. Panował błogi spokój. Usłyszałam dzwony kościelne i poczułam się trochę winna, że nie poszliśmy do kościoła, ale równocześnie pomyślałam, że cudownie jest powygrzewać się wreszcie na słońcu. Przez kilka ostatnich dni padało i teraz wszędzie pełno było świeżej zieleni. Smith wystrzygł trawniki poprzedniego wieczora, więc w powietrzu unosił się zapach dopiero co skoszonej trawy. Nagle Gitsie zaczęła warczeć, a ja oprócz głosów bawiących się dzieci usłyszałam też głosy dorosłych, coraz wyraźniejsze, bo rozmawiający zbliżyli się do nas, idąc przez trawnik.

Byłam trochę zdziwiona, gdyż nie spodziewaliśmy się gości, a poza tym niedzielny poranek to nie był czas wizyt. Wiedziałam,

że lord Althorp pracuje w gabinecie, a Sarah gra na fortepianie albo czyta w swoim pokoju. Jednak kiedy odwróciłam głowę, zobaczyłam, że oboje, lord Althorp i Sarah, idą w naszą stronę wraz z gośćmi - księciem i księżną Kentu. Wiedzieliśmy, że księstwo zatrzymali się w Wood Farm. Oboje przyjaźnili się z lordem Althorpem, a księżę jest ojcem chrzestnym Jane. Tego ranka byli w kościele w Sandringham, a potem postanowili wpaść do nas i umówić się z nami na wyprawę do wesołego miasteczka w Hunstanton.

Miałam na sobie jedynie bikini. Kiedy Gitsie podniosła alarm, dając mi do zrozumienia, że ktoś się zbliża, i kiedy się zorientowałam, kto to jest, zaczęłam w popłochu rozglądać się za bluzką. Ale bluzka zniknęła. W pewnej odległości, pod drzewem leżała na niej smacznie śpiąca Amina. Sarah poinformowała mnie później, że idąc przez trawnik, lord Althorp powiedział do gości:

- To jest Mary, która pomaga mi opiekować się dziećmi.

Na co księżę Kentu odrzekł:

- A tak, słyszeliśmy o niej.

Okazało się, że lord Fermoy, po swojej helikopterowej wizycie, był tak zdumiony moim wyglądem, że opowiadał o mnie w towarzystwie. Podczas jego wizyty byłam jednak lepiej ubrana, bo miałam na sobie szorty.

Przybysze zbliżali się coraz bardziej, a ja powiedziałam sobie: „Zachowuj się naturalnie”. Wstałam i zawołałam dzieci. Lord Althorp przedstawił nas sobie. Dzieci grzecznie podały gościom ręce. Księżna Kentu, czarująca i miła, zachowywała się tak, że natychmiast się odprężyły. Miałam w pamięci radę Diany, w myśl której powinnam była dygnąć, jednak ukłon, który przećwiczyłam przed lustrem, nie nadawał się do wykonania w bikini. Błyskawicznie doszłam do wniosku, że składając go, wyglądałabym bardzo śmiesznie, i pomyślałam, że tym razem lepiej będzie udać ignorantkę, a dygnąć - już prawidłowo -

następnym razem! Podałam więc rękę księżnej i księciu i usilowałam zachowywać się jak najswobodniej, udając, że osoby tej rangi spotykam codziennie! Lord Althorp przeprosił gości za to, że wszyscy jesteśmy tacy nieprzygotowani na ich przyjęcie.

A potem wrócił z nimi do domu, żeby umówić się na wycieczkę do Hunstanton, która miała odbyć się za kilka dni. Zaledwie się nieco oddalili, Diana, która dotychczas stała taka cicha i onieśmielona, wybuchnęła śmiechem, przypominając sobie moje zmieszanie.

- Dlaczego nie dygnęłaś? - zapytała.

- Bardzo dobrze wiesz, dlaczego - odpowiedziałam. - Możesz sobie wyobrazić, jak głupio bym wyglądała?

Odebrałam swoją bluzkę Aminie, całkiem nieświadomej zamieszania, jakie wywołała, i postanowiłam ubrać się - na wypadek, gdyby miał się pojawić ktoś jeszcze. Straciłam nagle ochotę na opalanie.

Dzieci poszły ze mną do kuchni po coś do picia i ciasteczka. Pani Smith, która widziała całą scenę z okna swojego mieszkania, także zjawiała się w kuchni, gdzie wszyscy uśmiali się z mojej przygody. Później, podczas lunchu, lord Althorp powiedział do mnie:

- Księstwo Kentu trochę nas zaskoczyli, prawda, Mary?

Uznałam to za doskonały przykład jego typowo angielskiej umiejętności operowania niedopowiedzeniem. Lord Althorp poinformował mnie, że do wesołego miasteczka pojedziemy na drugi dzień i że księstwo Kentu wraz ze swoimi dziećmi przyjadą po nas do Park House, a my *powinniśmy się postarać być bardziej na to przygotowani*.

Diana i Charles z entuzjazmem odnieśli się do projektu wycieczki. Wesołe miasteczko było miasteczkiem wędrownym, panowała więc w nim specyficzna atmosfera. Taką atmosferę stwarzają ludzie, którzy zarabiają na życie, nieustannie przenosząc

się z miejsca na miejsce i dostarczając rozrywki mieszkańcom tych miejscowości, w których zatrzymują się na kilka dni czy kilka tygodni. Sarah i ja także nie mogłyśmy się doczekać tej wyprawy. Stanowiła ona atrakcję dla nas wszystkich, gdyż w wesołym miasteczku może się bawić każdy - i dziecko, i dorosły. Opowiedziałam dzieciom, jak - będąc małą dziewczynką - niecierpliwie czekałam na wesołe miasteczko, które przyjeżdżało w okresie Wielkanocy do Great Yarmouth. W Great Yarmouth, nad brzegiem morza, było też stałe wesołe miasteczko należące do jednej z zasiedziałyh miejscowych rodzin. W tym miasteczku co roku pojawiały się nowe atrakcje.

Jednak, moim zdaniem, nie mogło ono konkurować z zachwycającym „prawdziwym wesołym miasteczkiem”. To „prawdziwe miasteczko” wędrowało z Norwich do Great Yarmouth przez wszystkie małe wioski, a my, młodzi, słysząc, że się zbliża, pędziliśmy na główną drogę, żeby obejrzeć przejeżdżające jaskrawo pomalowane wozy. Życie wędrujących rodzin obsługujących miasteczko było na pewno ciężkie, jednak ja zazdrościłam opalonym, brudnym dzieciom ich wolności i tego, że przez cały czas były w podróży. Nie myślałam wtedy wcale o niewygodach tej podróży ani o tym, że trzeba było wędrować nawet w najgorszą pogodę. Diana nie podzielała moich romantycznych poglądów. Powiedziała, że żal jej takich dzieci i że według niej one na pewno chcą mieć normalny, bezpieczny dom. Przyznałam jej rację, ale dodałam żartem, że takie dzieci nie muszą uczęszczać do szkoły tak regularnie jak ona. Jednak Diany nie przekonał nawet ten argument. Uważała, że takie życie nie jest dobre, a myśl, że można bez przerwy być w podróży, uznała za okropną. Dla niej ważna była stabilizacja.

Księstwo Kentu zjawili się o umówionej porze wraz z dwójgim starszych dzieci. Ich najmłodszy synek, który był jeszcze niemowlęciem, został w domu z nianią. Tym razem byliśmy przygotowani na ich wizytę i zachowaliśmy się jak należy.

Betts otworzył frontowe drzwi i wprowadził gości do salonu, w którym wszyscy na nich czekaliśmy. Podaliśmy sobie ręce, a ja w końcu miałam szansę złożyć przepisowy ukłon. Nie mogłam się powstrzymać i dygając spojrzałam na Dianę. Chciałam, żeby Diana zobaczyła, że w końcu nauczyłam się dygać. Uśmiechnęliśmy się do siebie, po czym ona spuściła oczy, żeby ukryć swój uśmiech. W Dianie mieszkają jakby dwie różne osoby: raz była nieśmiała i cicha, a innym znów razem otwarta i radosna. W tym drugim wypadku potrafiła rzucić komuś wyzwanie, a także dokonać czegoś, co wymagało odwagi.

W salonie panowała atmosfera odprężenia. Od razu zauważyłam, że Diana i Charles czują się swobodnie. Im więcej czasu spędzali na dole z ojcem, tym lepiej się czuli. Jadanie z ojcem i przebywanie z nim miało na nich pozytywny wpływ. Dzieci przywitały się, ale ze względu na obecność dorosłych natychmiast zamilkły. Postanowiliśmy zaraz ruszyć w drogę. Sprawdziłam, czy dzieci mają wszystko, co im jest potrzebne: pieniądze i płaszcze - na wypadek gdyby się ochłodziło. Hunstanton znajduje się na północnym wybrzeżu Norfolk, a ja wiedziałam, że nawet latem pod wieczór może tam być chłodno. Spojrzałam na księżną Kentu, która mówiła coś spokojnie, i w tej samej chwili zauważyłam przeszywające, lodowate spojrzenie niebieskich oczu jej męża. Księżna zrobiła jakąś najzupełniej niewinną uwagę, a ja z przerażeniem usłyszałam ostrą odpowiedź księcia. Wydała mi się strasznie opryskliwa i z pewnością nie poprawiła mojej opinii na temat stosunku, jaki mają mężczyźni z rodziny królewskiej do swoich żon. Kobiety z rodziny królewskiej zawsze zdawały się pamiętać o swojej pozycji i w obecności ludzi postronnych zachowywały pełen godności spokój - bez względu na to, co właśnie czuły, podczas gdy niektórzy mężczyźni często odzywali się ostro, nie zastanowiwszy się,

w jakie zakłopotanie mogą tym wprawić swoje partnerki. Na mnie sprawiało to wrażenie, że oboje małżonkowie poruszają się jakby na równoległych, nigdy nie spotykających się płaszczyznach i że - będąc sam na sam - odnoszą się do siebie inaczej niż przy ludziach. Wydawało się też, że to kobiety mają starać się wznieść ponad wszystko, co mogą spowodować różne insynuacje i bezmyślne komentarze. Natomiast w sposób godny pochwały zachowywali się mężczyźni spoza królewskich kręgów. Należą do nich lord Snowdon i Mark Phillips.

W jakiś czas po ślubie Diany z Karolem, zaczęło wyglądać na to, że i Karol pasuje do tego stereotypu - stereotypu męża pozbawionego wrażliwości. Jakże często - zamiast dodać Dianie odwagi i podtrzymać ją na duchu - robił jej kąśliwe uwagi, i to tak głośno, że nie mogła ich zignorować. Zdarzyło się tak na przykład w Kanadzie, kiedy Dianie zrobiło się słabo.

- Czy musisz robić z siebie takie widowisko? - wycedził wtedy Karol dość głośno.

Reakcja zaiste dodająca odwagi!

Nie wiem, czy księżna była do takich rzeczy przyzwyczajona, czy też miała tyle doświadczenia, że potrafiła się w podobnych chwilach zachować tak, jakby to było normalne, wiem tylko, że ksiązę potraktował ją niegrzecznie, gdy wychodziliśmy z salonu. Uświadomiłam sobie, że byłabym zdumiona, gdyby mój ojciec odezwał się w taki sposób do matki. Zresztą jestem pewna, że nigdy się tak do niej nie odezwał. Byłoby to do niego całkiem niepodobne.

Wyruszyliśmy w świetnych humorach, dwoma samochodami. Jednym z nich był jaguar lorda Althorpa. Tak jak przewidziałam, nad morzem było chłodniej niż w Sandringham, ale nie padało i świeciło słońce. Wesołe miasteczko okazało się mniejsze od tego w Great Yarmouth. Było w nim jednak sporo atrakcji. Na jego terenie znajdowało się już dużo ludzi, chociaż prawdziwe tłumy pojawiały się tam dopiero wieczorami. Część

publiczności pochodziła z okolicznych wsi, jednak większość stanowili turyści. Naokoło panowały ruch i gwar. Grała muzyka, a właściciele straganów, na których można było uprawiać hazard, starali się ją przekrzywić, obiecując atrakcyjne nagrody.

Sarah i ja miałyśmy pod opieką młodsze dzieci. Zaprowadziłyśmy je najpierw tam, gdzie było najbezpieczniej - na karuzelę. Powiedziałam dzieciom, że kiedy byłam mała, jeżdżenie na karuzeli było moją ulubioną rozrywką. Mechaniczne koniki - których mogli dosiadać nawet najmniej doświadczeni jeźdźcy - kręciły się w kółko. Diana stwierdziła, że na takiego konia może ostatecznie wsiąść, ale nie ma zamiaru dosiadać innego. Koniki, galopując, unosiły się i opadały. Był to łagodny wstęp do bardziej niebezpiecznych rozrywek. Lord Althorp oraz księstwo Kentu stali i patrzyli, gdy tymczasem Sarah i ja, pod pozorem że musimy pilnować dzieci, też zrobiłyśmy sobie przyjemność i przejechałyśmy się na karuzeli.

Zachęceni przez właściciela strzelnicy, daliśmy popis strzelania z wiatrówki. Wszystkim nam udało się zestrzelić metalową poprzeczkę i wszyscy otrzymaliśmy nagrody, i to nie raz, gdyż właściciel wciąż nas zachęcał, żebyśmy „spróbowali ponownie”. Myślę jednak, że był zadowolony, kiedy się nas wreszcie pozbył! Diana i lady Helena nie strzelały, spróbowały natomiast szczęścia w czym innym - w trafianiu piłeczką ping-pongową do szklanego naczynia. Nagrodą w tej zabawie była złota rybka. Nie powiedziałam dziewczynkom, że mogą sobie ułatwić zadanie, przechylając się nad balustradą (co zresztą mogłoby zostać uznane za oszustwo). Mimo to Diana została wkrótce dumną właścicielką złotej rybki, której pierwszym domem była torebka plastikowa. (Niestety, rybka, którą Diana nazwała Goldy, podzieliła los większości swoich kuzynek - spotkała ją przedwczesna śmierć. Nie z powodu przekarmienia czy przebywania w obcym środowisku. Goldy nie popływała do

góry brzuchem po powierzchni wody, gdyż już na drugi dzień zajął się nią kot imieniem Marmaduke i zrobił sobie z niej przekąskę.)

Oddawszy złotą rybkę pod opiekę ojcu, Diana poprosiła mnie, żebym udała się z nią i z lady Heleną na przejażdżkę czymś, co się nazywało „Waltzer”. To coś różniło się od karuzeli tym, że poruszało się z wielką szybkością. W chwili jakiegoś zamroczenia przystałam na prośbę Diany. Wsiadłyśmy. Wydawało mi się, że jazda trwa w nieskończoność. Przypominała podróż statkiem po wzburzonym morzu. Dziewczynki były zachwycone. Wśród ich pisków dowiedziałam się, na czym polega sekret wspaniałego wyglądu księżnej Kentu. Kiedy powiedziałam lady Helenie, że nie każda kobieta może w ten sposób pielęgnować urodę, dziewczynka zapewniła mnie, że styl życia jej matki jest normalny. Kiedy w końcu maszynieria zatrzymała się ze zgrzytem, wysiadłyśmy, zataczając się. Diana poprosiła, żebyśmy się przejechały jeszcze raz. Nie zgodziłam się na to.

Kiedy odbywałyśmy naszą przejażdżkę, niektórzy zwiadowcy zorientowali się, że na terenie miasteczka znajdują się członkowie rodziny królewskiej. Księstwo Kentu byli tu incognito i nie robili wkoło siebie żadnego szumu, dzięki czemu mogliśmy do tej pory poruszać się swobodnie. Teraz jednak, kiedy zaczęto szeptać i kiedy co chwila słyszeliśmy słowa „zobacz, kto tu jest”, zdaliśmy sobie sprawę, że zostali rozpoznani i wszystko się zmieniło. Przypuszczam, że zarówno księstwo jak i ich dzieci, przyzwyczajeni do takiego naruszania ich prywatności, nie zwróciliby uwagi na to, że ludzie na nich patrzą. Jednak dla nas było to nowe doświadczenie, a Diana, będąc w wieku, w którym człowiek jest na takie rzeczy wrażliwy, cieszyła się ze splendoru, jaki na nią spływał dzięki temu, że przebywała w towarzystwie tak znanych osób. Sarah i ja usiłowałyśmy wziąć przykład z księżnej Kentu i nic sobie nie robić z całej

sytuacji, ale jakoś nam to nie wychodziło. Bo w rzeczywistości czułyśmy się podobnie jak Diana. Natomiast Charles wcale się nie przejmował - jego celem było w tej chwili zaciągnąć nas na elektryczne samochodziki.

Żadne wesołe miasteczko nie może się obejść bez wróżki. Nasze nie było pod tym względem wyjątkiem. Sarah bardzo chciała pójść sobie powróżyć. A ja, choć odnosiłam się do wróżek raczej sceptycznie, zawsze pragnęłam się przekonać, czy ich przepowiednie się spełniają. Diana, bardzo ciekawa, co przyniesie jej przyszłość, chciała pójść z siostrą. Ja jednak nie zgodziłam się na to, mówiąc, że jest za mała. Kiedy zdarzało się, że jej czegoś zabraniałam, Diana nigdy nie zwracała się z tą samą prośbą do ojca w nadziei, że on powie „tak”. Sarah zniknęła w namiocie, a ja spełniłam prośbę Charlesa i zaprowadziłam chłopców, Dianę i lady Helenę do elektrycznych samochodzików. Do każdego z nich wsiadali dorosły i dziecko. Diana jechała ze mną. Siedziała za kierownicą i usiłowała zderzać się z jak największą liczbą innych pojazdów. Ja natomiast miałam nogi na pedałach i wykorzystywałam tę swoją mocną pozycję, próbując wymijać ich jak najwięcej.

Po tej przejażdżce spotkaliśmy się z Sarą, którą Diana natychmiast zasypała pytaniami. Chciała koniecznie wiedzieć, co powiedziała wróżka. Sarah, drocząc się z wścibską siostrą, powiedziała najpierw, że to tajemnica. Ale Diana nie dawała tak łatwo za wygraną. Zafascynowana przyszłością, uważała, że wróżka potrafi odpowiedzieć na każde pytanie i pomóc człowiekowi wytyczyć własną drogę. (Interesujące, że już jako osoba dorosła często polegała na astrologach i ich przepowiedniach - być może bardziej trafnych niż te wygłoszone przez starą Cygankę w wesołym miasteczku.) Diana nalegała dopóty, dopóki Sarah nie wyznała, że Cyganka przepowiedziała jej sławę, fortunę i dobre małżeństwo, którego koleje będą jednak niecodzienne. Podejrzewam, że kierowała się trochę tym, że

Sarah ma rude włosy, a poza tym zapewne powtarzała takie rzeczy kilka razy dziennie. Tym razem jednak mogła przedstawić przepowiednię bardziej trafną, wiedząc, w jakim towarzystwie znajduje się jej klientka.

Opuściliśmy wesołe miasteczko w dwie godziny po tym, jak tam przyjechaliśmy. Jeździliśmy na wszystkim, na czym odważyliśmy się pojeździć, spróbowaliśmy szczęścia przy większości straganów i najedliśmy się tyle prażonej kukurydzy, waty cukrowej i lodów, że czuliśmy, iż nie będziemy mogli zjeść zbyt dużej kolacji. Pożegnaliśmy się i rozjechaliśmy do domów.

W kilka dni później Sarah, zafascynowana najwyraźniej myślą o tym, że można zajrzeć w przyszłość, dostała tabliczkę ouija. Przy zdecydowanej dezaprobachie pani Smith usadowiłyśmy się z tą tabliczką w pomieszczeniu na czystą bieliznę, które służyło kiedyś jako pokój szkolny. Była z nami Isabel, którą Sarah zaprosiła specjalnie na tę okazję. Charles i Diana bawili się w pokoju dzieciennym. Zadawałyśmy całkiem niewinne pytania. Jednak odpowiedzi dotyczące mojej osoby, odpowiedzi, których nikt nie mógł znać, okazały się tak trafne, że się przestraszyłam. Przyszła do nas Diana, która chciała zobaczyć, co się dzieje. Poprosiła, żebym i jej pozwoliła odczytać swoją przyszłość, ale się nie zgodziłam. Wszystko to miało być tylko zabawą, a okazało się dość przerażające. Byłam tak poruszona, że nie pozwoliłam Dianie brać w tym udziału. Sarze i Isabel także poradziłam, żeby dały spokój. Bo z tajemniczymi siłami nie należy igrzać - nawet dla zabawy.

Zostało nam jeszcze kilka dni. Potem dzieci miały pojechać do Londynu i spotkać się z Jane i matką. Stamtąd miały się udać do domu matki w Sussex, gdzie mogły pływać żaglówkami. Stanowiło to dla nich doskonałą odmianę, gdyż w Norfolk, gdzie miały inne rozrywki, nie było mowy o żeglowaniu. Dzieci bardzo dobrze adaptowały się do otoczenia, gdziekolwiek się znalazły.

Ani Diana ani Charles nigdy nie mówili, że chcieliby być gdzie indziej. Cieszyli się tym, co mają na miejscu. Przypuszczałam, że tak samo jest wtedy, kiedy przebywają u matki. Lord Althorp postanowił, że pojedziemy do Londynu dwa dni wcześniej i spędzimy trochę czasu w jego londyńskim domu.

Lato w Park House było cudowne. Lord Althorp zostawił mi wolną rękę. Dzięki temu organizowałam dzieciom wycieczki według własnego uznania i mogliśmy spędzać czas tak, jak chcieliśmy. Lord Althorp często wyjeżdżał, a pod jego nieobecność nasza piątka jadała nadal w jadalni. Podczas lunchu było nieraz sporo śmiechu, a rozmowy toczyły się swobodnie. Dzieci różniły się między sobą i uzupełniały się. Jane na przykład była tą, która zawsze doprowadzała do zgody. Być może przygotowywała się w ten sposób podświadomie do swojej przyszłej roli: roli żony prywatnego sekretarza królowej i siostry księżnej Walii. Wszyscy naprawdę docenialiśmy to, że możemy przebywać w pięknym pokoju ze wspaniałym widokiem na park. Betts nadal nam usługiwał, z trudem ukrywając irytację, jaką wzbudzała w nim myśl, że taka parweniuszka jak ja zmieniła panujące w domu obyczaje. Po lunchu przechodziliśmy do salonu, gdzie stał wspaniały fortepian, na którym Jane i Sarah dla nas grywały. Sarah grała z pamięci, bo zawsze gubiła gdzieś nuty. W kilka lat później, po skończeniu szkoły z internatem oraz szkoły w Szwajcarii, pojechała do Wiednia, żeby się uczyć muzyki. Zaznała tam po raz pierwszy prawdziwej swobody. Zawsze pytała nas, jaki utwór ma zagrać. Jej repertuar był wyłącznie klasyczny.

Bardzo lubiłam te chwile. Lubiłam przebywać w tym spokojnym otoczeniu ze szczęśliwymi, odprężonymi dziećmi i słuchać pięknej muzyki, granej bez wysiłku i z taką beztróską. Już wtedy - siedząc tam i słuchając - wiedziałam, że zachowam te chwile w pamięci na zawsze. Muzyka podkreślała piękno

naszego otoczenia i kojący wpływ, jaki miało ono na nasze dusze. Jane grała dobrze i nie gubiła nut, ale jej wykonaniom brakowało tej siły ewokowania uczuć, którą miały wykonania jej starszej siostry. Tak przynajmniej czułam ja, słuchając uchem niezbyt doświadczonego. Na zakończenie występowała zawsze Diana, odbębniając kilka wyuczonych na pamięć fragmentów. Wydawało mi się, że pod jej palcami fortepian aż cały drży. Nie były to mistrzowskie popisy, jednak dawały Dianie poczucie uczestnictwa.

Postanowiłam ignorować humory, jakie Betts miał pod nieobecność lorda Althorpa. Trzeba przyznać, że do pewnego stopnia rozumiałam tego człowieka i potrafiłam wczuć się w jego sytuację, jednak z biegiem czasu jego małostkowe komentarze stały się tak dokuczliwe, że - wprowadzona z równowagi - postanowiłam poskarżyć się lordowi Althorpowi. Pragnęłam mu powiedzieć, że nie chcę się z ich powodu denerwować podczas każdej jego nieobecności. Personel domowy był nieliczny i moim zdaniem niesnaski nie powinny być mieć wśród niego miejsca. Betts bez wątplenia rozpuszczał niepotrzebne plotki i siał zamęt w domu, który bez tych jego podchodów byłby spokojny i szczęśliwy.

Poszłam do lorda Althorpa natychmiast po jego powrocie. Przedstawiłam całą sytuację jak najogólniej. Lord Althorp podróżował w interesach i po powrocie do domu pragnął spokoju, a nie jakichś rewelacji na temat stosunków wśród personelu domowego. Ja także pragnęłam spokoju, więc czas był najwyższy, by położyć kres tym przykrościom. Powiedziałam lordowi Althorpowi, że - w razie dalszych problemów z Bettsem - będę musiała rozważyć możliwość odejścia. Dodałam, że bardzo mi z tego powodu przykro, gdyż nie chcę sprawiać mojemu pracodawcy zawodu, ale nie mam innego wyjścia. Lord Althorp bardzo pragnął mnie zatrzymać. Dzieci czuły się ze mną dobrze, były szczęśliwe, a jemu przecież o to głównie chodziło. Lord Althorp obiecał, że porozmawia z Bettsem oraz

innymi członkami personelu i zrobi wszystko, żeby atmosfera się oczyściła. Dotrzymał słowa i od tej pory nie było już żadnych tarć.

W rzeczywistości główny problem stanowił stosunek niektórych członków personelu do mnie. Osoby te z jednej strony były zadowolone, że dzieci czują się szczęśliwe, ale z drugiej nie mogły się pogodzić z tym, że kobieta całkiem obca z taką łatwością zmieniła tyle dawnych obyczajów i tak szybko nawiązała dobre stosunki z dziećmi, nawet z Dianą, która poprzednio bywała trudna. Teraz dziewczynka była szczęśliwa i zrównoważona, a chwile, w których trudno było sobie z nią poradzić, należały do przeszłości. Ponadto okazało się, że lord Althorp akceptuje pomysły, które mu przedstawiam z myślą o dobru dzieci. To, że nasz pracodawca zawsze był gotów zgodzić się na moje propozycje, irytowało niektórych dawnych członków personelu. Lord Althorp zawsze stawał po mojej stronie i bronił mnie przed nimi, a czynił to, gdyż zawsze miał na uwadze przede wszystkim szczęście dzieci. Jeżeli moje pomysły mogły się do tego szczęścia przyczynić, akceptował je. Mieszkałam w Park House dość krótko, ale zdążyłam już dowieść swojej lojalności, zarówno wobec dzieci jak i wobec ich ojca, tak że nie można było wątpić, że leży mi na sercu ich dobro.

Dzieci często widywały się z lady Fermoy, która nosiła imię Ruth, miała dom w Norfolk w miejscowości Hillington i była ich babką ze strony matki. Natomiast ich babka ze strony ojca mieszkająca w Althorp nie była tak regularnym gościem w Park House. A poza tym podczas mojego pobytu w Sandringham lord Althorp ani razu nie zawiózł dzieci do Althorp, do dziadków. Nie był w najlepszych stosunkach z hrabią Spencerem, swoim ojcem, i sądzę, że nie chciał, żeby dzieci przebywały w dość nieprzyjemnej atmosferze panującej w jego domu. Powiedział mi, że taki jest powód, dla którego nie jeździmy tam

z wizytami. Jednak matka lorda Althorpa, Cynthia hrabina Spencer, każdego lata przyjeżdżała do Park House na doroczny mecz krykietowy między drużyną zwaną „President's XI” a miejscowym zespołem. Ona także była damą dworu królowej matki, a jej wizyta zbiegała się w czasie z wizytą królowej matki w Sandringham.

Hrabina Spencer była „prawdziwą” damą. Kiedy ją poznałam, natychmiast zrozumiałam, co to znaczy, że ktoś jest dobrze urodzony. Osoba, która dzięki małżeństwu staje się członkiem starej rodziny szlacheckiej, może mieć nie wiem jakie zdolności adaptacyjne i może się nie wiem jak starać, a i tak nie nabędzie tego nieokreślonego czegoś, co się ma urodziwszy się w rodzinie od pokoleń arystokratycznej. Lady Spencer była osobą ciepłą, serdeczną i pogodną. Wszyscy kochali ją za jej naturalność i życzliwość. Diana odziedziczyła wiele z jej cech. Dzieci nie widywały babki zbyt często, jednak bardzo ją kochały. W jej obecności czuły się zawsze swobodnie. Po jej śmierci, która, spowodowana rakiem, nastąpiła w roku 1972, bardzo im jej brakowało.

Mieliśmy znowu szczęście: w dzień meczu krykietowego zorganizowanego przez Juliana Loyda była piękna pogoda. Lord Althorp zaprosił do Park House sporo przyjaciół. Sarah, wraz ze starszymi dziećmi, które przyjechały z rodzicami, zorganizowała rozgrywki tenisowe. W ciągu tego lata ona i ja grywałyśmy ze sobą dość często, gdyż znajdując się na korcie, mogłam mieć oko na dzieci, co nie było możliwe, kiedy jeździłam konno. Możliwość gry w tenisa - a tenis, podobnie jak jazda konna, był moim ulubionym sportem- okazała się dla mnie czymś w rodzaju niespodziewanej premii, jaką dostawałam w Park House. Grywałam nie tylko z Sarą. Diana i ja też nieraz odbijałyśmy sobie piłkę. Pomagałam jej ćwiczyć uderzenia. Czasami usiłowaliśmy namówić Charlesa, żeby podawał piłki, jednak na próżno. Diana nie zaczęła jeszcze grać na poważnie. Była uzdolniona, jednak jej umiejętności okazywały się

wciąż jeszcze ograniczone. Szybko się nudziła, bo nasze wymiany piłek nie trwały zbyt długo. Diana bez przerwy myślała o tym, że ma dwie siostry, które nie tylko dobrze się uczą, ale są też świetnymi sportsmenkami, oraz brata, który, będąc o trzy lata młodszy od niej, nie pozostaje w tyle za siostrami. Dlatego starałam się wykorzystać każdą okazję, aby dodać jej odwagi i umocnić w niej świadomość własnej wartości.

To, że tak słabo grała w tenisa, nie przeszkadzało Dianie naprzykrzać się Sarze. Prosiła siostrę, żeby ta pozwoliła jej przyłączyć się do gry. Sarah odmawiała, i słusznie, bo Diana przeszkadzałaby tylko. Diana natomiast przyjmowała te odmowy niezbyt sympatycznie.

- To świństwo! - mówiła zwykle, ale Sarah nigdy nie zmieniła decyzji.

Tego dnia próbowałam namówić Dianę, żeby podawała piłki. Zasugerowałam też, że lepiej niż ze starszymi dziewczynkami będzie jej z Annabel i Alexandra, które, całkiem zadowolone, bawiły się w kryjówce. Diana, nie chcąc grać drugich skrzypiec, postanowiła skorzystać z mojej rady i przyłączyć się do rówieśniczek. W ich towarzystwie szybko zapomniała o gniewie, jaki wzbudziła w niej odmowa Sary. Sarah i Diana od najmłodszych lat przeżywały to, co zwykle przeżywają siostry: współzawodniczyły ze sobą, kochały się, odnosiły się do siebie opiekuńczo, zazdrościły sobie, aby w końcu, w wieku dorosłym, wzajemnie się akceptować i udzielać sobie psychicznego wsparcia.

Trudno byłoby wyobrazić sobie wspanialsze letnie popołudnie. Siedziałam obok Diany, Charlesa i hrabiny Spencer i patrzyłam, jak lord Althorp spisuje się w roli gracza - członka drużyny „President's XI”. Meczowi krykieta towarzyszyły ciche rozmowy, brzęczenie owadów, sporadyczne oklaski i leniwy upływ czasu. Wydawało się, że ten dzień będzie trwał w nieskończoność, co byłoby zresztą zgodne z życzeniem wszystkich.

Poza tym dobiegały nas krzyki z kortu tenisowego. Jednak to, co najlepsze - przerwa na herbatę i ciastka z kremem - było jeszcze przed nami. Wreszcie ta przerwa nastąpiła, a tenisistki przyłączyły się do nas. A później gra toczyła się dalej. Podobnie jak inni, nie chciałam, żeby się skończyła, jednak podświadomie zdawałam sobie sprawę, że wszystko to wkrótce stanie się wspomnieniem. Niedługo mieliśmy bowiem opuścić spokojny Park House i udać się do pełnego zgiełku Londynu, gdzie ja - po raz pierwszy od czasu rozprawy w sądzie - miałam stanąć twarzą w twarz z matką dzieci. Wiedziałam, że nie będzie to miłe doświadczenie, i zamierzałam przekazać dzieci jak najszybciej i w sposób możliwie najspokojniejszy. Mieliśmy jednak przed sobą jeszcze dwa dni, doszłam więc do wniosku, że nie należy martwić się na zapas.

Obie, Diana i ja, byłyśmy znudzone krykietem. Żadna z nas nie miała pojęcia o tej grze. Różnica między nami polegała na tym, że ja rozkoszowałam się atmosferą i oddawałam się marzeniom, a Diana kręciła się, nie rozumiejąc, jak niektóre koleżanki mogą siedzieć spokojnie i sprawiać wrażenie osób oglądających mecz z przyjemnością. Teraz, po herbacie i ciastkach, Diana wolałaby wrócić do zabawy w kryjówce. Łatwo ją było przekonać, żeby posiedziała do przerwy - bo herbata i ciastka stanowiły dużą atrakcję. Teraz jednak powiedziałam Dianie, że może odejść i robić co jej się podoba, byle nie wchodziła do basenu. Charles chciał zostać, więc postanowiłam, że i ja zostanę. Po następnej godzinie i on miał dosyć. Starsze dziewczynki skończyły grać w tenisa, więc powiedziałam młodszym dzieciom, że jeżeli chcą, to mogą wraz z Sarą i jej koleżankami popływać w basenie. Była to ich ostatnia szansa, gdyż na drugi dzień wyjeżdżaliśmy do Londynu. Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. Diana w ciągu paru minut wyszła z kryjówki, przebrała się i znalazła się na szczycie zjeżdżalni. Moje ostre „nie!” powstrzymało ją w ostatniej chwili i planowany skok

do wody zamienił się w zjazd ze zjeżdżalni. Pozwoliłam dzieciom chlapać się przez jakiś czas, a potem oznajmiłam, że czas do domu. Lord Althorp był wraz z matką zaproszony do kogoś na kolację. Sarah, która nie jechała z nami do Londynu, wyszła gdzieś z koleżankami, a Diana poszła ze mną do kuchni, żeby pomóc mi przygotować gorącą kolację, gdyż kucharka miała właśnie wolny wieczór. Przez całe lato ciężko pracowała, więc zasłużyła na odpoczynek.

Następnego dnia opuściliśmy Park House. Ja z dziećmi pojechałam pociągiem do Londynu. Lord Althorp, który najpierw udał się do Althorp Hall położonego koło Northampton, miał się do nas przyłączyć później. Na stację odwiózł nas Smith. W pociągu ja czytałam książkę, a dzieci oglądały komiksy. Było to ich ulubione zajęcie podczas takich podróży. Spoglądaliśmy przez okno na migające krajobrazy. Mówiliśmy bardzo mało. Każde z nas, pogrążone we własnych myślach, wspominało wszystko, co zaszło latem w Park House. Dobrze wykorzystaliśmy ten czas. Byliśmy bardzo zajęci, mieliśmy mnóstwo przeżyć, a ja - dość zmęczona - tęskniłam za własnymi wakacjami. Dzieci rozmawiały o tym, co będą robić w Londynie, i zastanawiały się, jakie rozrywki czekają je u matki.

Jadąc do Londynu pociągiem, nie widzi się nic przyjemnego. Diana i Charles na widok przedmieść zareagowali tak samo jak ja w dzieciństwie, dosłownie tymi samymi słowami:

- Nie wyobrażam sobie, jak można tu mieszkać!

Pociąg wjechał na stację. Sprawdziliśmy, czy mamy wszystkie bagaże, i zeszliliśmy na peron. Płynąc wraz z tłumem i przekrzykując hałas, przykazałam dzieciom, żeby nie oddalały się ode mnie. Doszliśmy do postoju taksówek. Wkrótce byliśmy już w drodze do domu, który znajdował się w pobliżu dworca Victoria w południowo-zachodniej części Londynu.

Taksówka skręciła w spokojną uliczkę, przy której stały domki mieszkalne przerobione z dawnych stajen i wtedy przekonałam się na własne oczy, na czym polega różnica między moim dawnym domkiem w Norwich a elegancką miejską rezydencją lorda Althorpa. Dom - trzykondygnacyjny, z główną częścią mieszkalną znajdującą się na piętrze środkowym - był pięknie urządzone i stanowił idealną londyńską siedzibę. Pod względem architektonicznym różnił się bardzo od Park House.

Zamieszkawszy w nim, zdałam sobie sprawę, że w samym środku ruchliwego miasta można znaleźć oazę spokoju, gdyż znajdując się w jego wnętrzu, nie słyszałam żadnych odgłosów ruchu ulicznego. Kiedy się tam pojawiliśmy, przywitała nas gospodyni. Natomiast lord Althorp przyjechał z Northampton później, już wieczorem.

Diana i Charles postanowili odwiedzić dwa ulubione sklepy: magazyn Hamleya przy Regent Street - jeden z największych na świecie sklepów z zabawkami, oraz dom towarowy Harrods w Knightsbridge. Poprzednio byli w nich już kilka razy, więc to ja okazałam się nowicjuską, gdyż tylko raz w życiu odwiedziłam Harrodsa. Uważałam, że ceny są tam nie na moją kieszeń. U Hamleya nie byłam nigdy. Ten właśnie magazyn miał następnego ranka stać się naszym pierwszym „miejscem popasu”. Poszłam z dziećmi sama i po piętnastu minutach zrozumiałam, dlaczego lord Althorp scedował ten obowiązek na mnie. Był środek lata i w Londynie znajdowało się mnóstwo turystów. Przypuszczałam, że niektórzy poszli oglądać pałac Buckingham, a inni być może więzienie Tower, równocześnie jednak byłam pewna, że większość z nich znalazła się w magazynie Hamleya. Żywiłam to przekonanie, dopóki nie dotarliśmy do Harrodsa, gdzie turystów było jeszcze więcej. Diana i Charles, którzy znali rozkład magazynu Hamleya, usiłowali przepędzić mnie w pośpiechu z piętra na piętro - a wydawało się, że pięter jest tam nieskończenie wiele. Oglądali gry i zabawki, chcąc się

zorientować, co zamówić przed Bożym Narodzeniem.

Nie trzeba dodawać, że to, co interesowało Charlesa, znajdowało się na innych piętrach niż to, co chciała podziwiać Diana. Diana z trudem się opanowała, kiedy powiedziałam, że najpierw obejrzymy to, co chce zobaczyć Charles. Niecierpliwie czekała na swoją kolej. Charles natomiast, przeciwnie, był całkiem zadowolony, czekając na Dianę. Miał o wiele więcej cierpliwości niż siostra. „Rzeczy dobre spotykają tych, którzy czekają”. Diana złościła się, kiedy ktoś - ja czy ktoś inny - przytaczał tego rodzaju głupie porzekadło. Była pewna, że musi być na nie odpowiedź, a równocześnie sfrustrowana, gdyż jej nie znała.

Kiedy listy prezentów gwiazdkowych były już gotowe, poszliśmy do Harrodsa, gdzie obejrzelśmy kolejne zabawki i gdzie był dział zoologiczny, który dzieci pragnęły także odwiedzić. Muszę stwierdzić, że gdybym chciała kupić małego kotka, nie poszłabym do Harrodsa. Odwiedziłabym raczej jakiegoś farmera. Diana zapewniła mnie jednak, że bardzo wiele osób mieszkających w Londynie kupuje zwierzęta właśnie u Harrodsa. Zarówno w magazynie Hamleya jak i tutaj były tłumy dobrze ubranych ludzi obładowanych paczkami. Ludzie ci często pochodzili z krajów Trzeciego Świata. Ich stroje kontrastowały z tym, co mieli na sobie Amerykanie. Mężczyźni ze Stanów ubrani byli przeważnie w kolorowe spodnie w kratę, koszule w paski i nierzadko w miękkie filcowe kapelusze z szerokim rondem. Przystojne, zażywne kobiety w sukienkach z poliestru nie pasowały do wyobrażenia Diany o Amerykankach, zaczerpniętego głównie z hollywoodzkich filmów, a poza tym *czy noszenie kapelusza pod dachem nie świadczy o złym wychowaniu?* Wyjaśniłam im, że w różnych krajach są różne obyczaje.

Po południu Diana i Charles, którzy sklepów mieli już dość, postanowili zwiedzić Muzeum Figur Woskowych Madame

Tussaud. Spędziliśmy to popołudnie bardzo miło, zastanawiając się, czy woskowe modele dobrze oddają wygląd przedstawianych postaci. Wszyscy uznaliśmy, że ten ostatni dzień był wspaniałym zakończeniem pierwszej części wakacji i przebiegł bardzo przyjemnie.

Na drugi dzień, o umówionej porze, zawiozłam dzieci do Cadogan Place, londyńskiej rezydencji ich matki. Ucałowałam je na pożegnanie i życzyłam im, żeby druga część wakacji upłynęła im bardzo miło. Tak jak przewidywałam, ich matka miała mi niezmiernie mało do powiedzenia, a to, co chciała mi przekazać, zakomunikowała przez Dianę. Zrobiło mi się przykro, bo przecież w proces zostałam wplątana mimo woli, a poza tym widziałam, że dzieciom też nie jest przyjemnie. Ponieważ słyszałam, co zostało powiedziane, i nie chciałam, żeby Diana musiała to powtarzać, odpowiedziałam jej matce bezpośrednio. Charles wyglądał na tak zdezorientowanego, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie uważa tego za jakąś grę. Diana natomiast wiedziała, że to nie gra, a ja - odczuwając przykrość - miałam nadzieję, że po rozstaniu się ze mną wkrótce o tym zapomni.

Zwracając się bezpośrednio do matki, potwierdziłam datę i godzinę swojego spotkania z Dianą i Charlesem po wakacjach. Wsiadłam do taksówki, a kiedy ta ruszała, odwróciłam się, żeby pomachać im ręką. Czulałam się dziwnie i rozumiałam teraz, dlaczego lord Althorp nie lubi odprowadzać dzieci. Dzieci też mi pomachały - Diana z wahaniem, jakby się bała, że to obrazi matkę, a Charles wesoło, nieświadomy sytuacji. Potem oboje odwrócili się i weszli do domu. Taksówka zawiozła mnie na dworzec Victoria. Tu wsiadłam do pociągu jadącego na lotnisko Gatwick, z którego poleciałam prosto w słońce. Przykro mi było, że rozstałam się na pewien czas z dziećmi, ale równocześnie cieszyłam się, że mam za sobą nieprzyjemny moment pożegnania.

Rozdział jedenasty

Podczas swoich czterotygodniowych wakacji często myślałam o dzieciach i łapałam się na tym, że cieszę się, iż niedługo zobaczę je znowu. Po początkowym okresie odpoczynku i swobody uświadomiłam sobie, że bardzo mi ich brakuje. Zgodnie z naszą umową, zatelefonowałam do lorda Althorpa na trzy dni przed swoim planowanym powrotem do Londynu, a on powiedział, żebym przyjechała prosto do Park House, gdyż Diana i Charles wrócą do domu z Sarą, która spędziła parę dni u matki. Nie byłam niezadowolona z tej zmiany planów, bo bez entuzjazmu odnosiłam się do perspektywy spotkania z matką dzieci.

Przyjechałam do Park House, rozpakowałam się i zaraz potem zobaczyłam, że lord Althorp jedzie na stację w Kings Lynn.

Nie było mowy, żeby pozwolił Smithowi czy mnie przywieźć stamtąd dzieci. Chętnie pojechałabym z nim, ale w simce było za mało miejsca, musiałam więc poczekać w domu. Z wielkim zadowoleniem przyjąłem fakt, że był to jeden z lepszych dni w historii Kolei Brytyjskich i pociąg przyjechał punktualnie.

Usłyszałam, że, zbliża się samochód, i wybiegłam, żeby przywitać się z dziećmi. Chwilowe poczucie obcości i zakłopotanie zniknęły w chaosie, który teraz nastąpił. Wszyscy mówili naraz, psy skakały, Smith wyjmował bagaże z samochodu, a Diana - z powodów znanych tylko sobie - może dlatego, że była głodna - opowiadała, jakie „pyszne” ciasto upiekła służąca jej matki. Pani Smith, która pojawiła się, żeby ze zwykłym spokojem i czymś, co moim zdaniem było lekką unізonością, przywitać się z dziećmi, natychmiast się zaperzyła. Patrząc na nią, domyśliłam się, że zamierza podzielić się tą informacją z kucharką. Bo przecież to one potrafiły najlepiej piec, każdy to wiedział! Gdybym nie uważała, że Diana jest za mała na takie intrygi, pomyślałabym, że celowo wypowiedziała te uwagi, chcąc zapewnić sobie pyszne ciasto na wyjazd do szkoły.

Sarah pobiegła do „kochanej Peppermint”, chcąc się przekonać, że klacz, którą pozostawiła na kilka dni bez swojej i mojej opieki, ma jeszcze cztery nogi. Diana, która o wiele dłużej nie widziała swojej świnki morskiej i która nie wierzyła zapewnieniom Smitha, że wszystko z nią w porządku, pospieszyła do klatki. Euforia nie trwała zbyt długo. Zjedliśmy razem kolację, podczas której rozmowa była bardzo ożywiona, gdyż wszyscy opowiadali, co się z nimi ostatnio działo. Jednak świadomość, że na drugi dzień, z początkiem roku szkolnego, drogi dzieci rozejdą się, wisiała nad nami jak ponury cień.

Dzieci mogą bardzo lubić szkołę, jednak rozstanie z domem jest dla nich zawsze bolesnym przeżyciem. Wiedziałam, że następnego dnia będzie smutny, zwłaszcza że wakacje były takie

długie i przyjemne. Przypomniałam Dianie, że rozpoczynając drugi rok nauki w Riddlesworth, znajduje się w lepszej sytuacji niż wtedy, kiedy była w szkole nowa. Powiedziałam jej, zapewne niepotrzebnie, żeby była miła dla dziewczynek, które przyjdą po raz pierwszy do szkoły, przypominając, że czasami trudno jest przyzwyczać się do mieszkania poza domem. Dodałam, że powinna pamiętać, jak się na początku czuła, i pomóc innym przystosować się do nowego otoczenia.

Podczas trimesztru często do Diany pisywałam. Spędziliśmy też wspólnie weekend w Park House. Było jednak zimno i prawie bez przerwy siedzieliśmy w domu. Dni stawały się coraz krótsze. Charles i ja wróciliśmy do zeszłorocznego trybu życia: spędzaliśmy mnóstwo czasu w pokoju dziecięcym przy kominku. Codziennie jeździłam konno, a mniej więcej raz w tygodniu przyjeżdżali do mnie na kolację znajomi. Niektórych z nich poznałam w lecie, podczas Festiwalu w Kings Lynn.

Tego roku dzieci miały spędzić Boże Narodzenie z matką. Diana przyjechała do Park House tylko na dwa dni, a potem, kiedy w szkole Charlesa skończyły się zajęcia, wszyscy troje pojechaliśmy pociągiem do Londynu. Zaczynałam przyzwyczajać się do tych podróży, jak również do lodowatego przyjęcia, które nieodmiennie czekało mnie na dworcu. Zawsze było mi przykro, że rzeczy tak się mają, jednak nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo. Nie wyobrażałam sobie też, że coś się może pod tym względem zmienić. Starłam się przekazać dzieci jak najszybciej i unikać konfrontacji, która mogłaby je wprowadzić z równowagi.

Zbliżała się Gwiazdka, w związku z czym większa część podróży upłynęła na rozmowach o prezentach. Dzieci zastanawiały się, czy dostaną to, co latem wybrały sobie w magazynie Hamleya. Ja przypuszczałam, że dostaną, bo przy okazji Bożego Narodzenia i urodzin oboje rodzice pozwalali sobie trochę psuć dzieci. Byłam pewna, że Diana i Charles dostaną rzeczy

praktyczne - różne ubrania oraz rzeczy przeznaczone do zabawy. Wśród tych ostatnich każde otrzyma jakiś główny prezent - Charles być może najnowszy typ roweru, a Diana warsztat tkacki albo maszynę do pisania. W pończochach znajdują się też książki, łamięłwki, gry planszowe, żołnierzyki dla Charlesa, skakanka dla Diany, jo-jo, wrotki i zabawka zwana pogo stick*. Są to niektóre z zapamiętanych przeze mnie prezentów. Gry komputerowe nie opanowały jeszcze wtedy rynku. Dzieci państwa Spencerów dostawały zwyczajne prezenty; pod tym względem były traktowane tak samo jak wiele innych dzieci.

* Długi drąg z uchwytnymi dla rąk i podpórkami dla stóp, na mocnej sprężynie, na którym można skakać (przyp. tłum.).

Diana zapytała, jakich ja się spodziewam prezentów. Odrzekłam, że teraz, kiedy już jestem dorosła, patrzę na Gwiazdkę inaczej. Nie ma już ona dla mnie tej magii, którą miała w dzieciństwie. Komercjalizacja Świąt doprowadziła do tego, że ludzie niemal zapomnieli, jaki jest ich prawdziwy sens. Magia zniknęła i dla wielu Świąta stały się po prostu okazją do intensywnego marketingu. Diana nie bardzo się ze mną zgadzała. Powiedziała, że przecież udekorowane sklepy wyglądają ślicznie. Przyznałam jej rację, ale stwierdziłam, że byłoby o wiele lepiej, gdyby dekoracje pojawiały się dopiero w listopadzie. Wtedy świąteczny nastrój byłby intensywniejszy i bardziej odczuwalny. Powiedziałam Dianie i Charlesowi, że jako dziecko bardzo lubiłam słuchać śpiewu kolędników i gry różnych orkiestr, na przykład tych złożonych z członków Armii Zbawienia, które tuż przed Bożym Narodzeniem pojawiały się na ulicach, potęgując świąteczny nastrój. Dodałam, że moim zdaniem najlepsze w Świątach jest to, że stwarzają one okazję do spotkań w gronie rodziny i przyjaciół. Świąta to jedyny okres w roku, podczas którego ludzie mogą być razem.

Wolałam im nie opowiadać, jak wyglądały nasze rodzinne Świąta w czasach, gdy byliśmy z Johnem w wieku Diany. Nie powiedziałam im też, jacy wszyscy byliśmy sobie wtedy bliscy. Nie opowiedziałam im także o tym, że mój ojciec pracował do późna w Wigilię, roznosząc paczki z prezentami, które jego klienci przez kilka tygodni przechowywali w naszym domu w tajemnicy przed rodzinami. Z tego to powodu dla mnie Boże Narodzenie zaczynało się dopiero w chwili gdy ojciec, po skończonej pracy, znalazł się bezpieczny w domu. Dopiero wtedy mogłam wpaść w prawdziwie świąteczny nastrój. Przypomniało mi się to wszystko, ale zachowałam te wspomnienia dla siebie.

Diana i Charles chcieli wiedzieć, ile dni trwały moje ferie świąteczne. Odrzekłam, że jako uczennica szkoły prywatnej miałam prawie cztery tygodnie przerwy, podczas gdy mój brat, który chodził do szkoły państwowej, miał tylko dwa, o czym nigdy nie pozwalałam mu zapomnieć.

- Założę się, że ci zazdrościł - powiedziała Diana.
- Nie - odparłam - John nigdy nikomu nie zazdrościł.

Powiedziałam dzieciom, że mój ojciec miał tylko jeden dzień wolny. Był to dzień Bożego Narodzenia, jeden z tych nielicznych dni w roku, w które nie dostarcza się gazet i poczty. Spędzaliśmy ten dzień razem. Diana była ciekawa, gdzie kupowaliśmy prezenty gwiazdkowe. Opowiedziałam jej i Charlesowi, jak oszczędzaliśmy z Johnem z naszego kieszonkowego i jak wieczorem, po zamknięciu sklepu, ojciec wpuszczał nas, żebyśmy kupili prezenty dla przyjaciół i rodziny.

Diana z zachwytem słuchała opowieści o naszej pracy w sklepie. Pracowaliśmy tam, żeby trochę zarobić. Przygotowywaliśmy zamówione towary, które ojciec rozwoził później do klientów. Powiedziałam dzieciom, że przed Bożym Narodzeniem na poczcie było mnóstwo roboty i że w tym okresie

stemplowałam wszystkie pocztówki, które później samochód zawoził do Great Yarmouth. Diana, której praca w sklepie wydawała się bardzo przyjemna, zapytała, czy myślałam o tym, żeby w przyszłości zostać jego właścicielką. Odparłam, że nie, bo jako jego właścicielka byłabym uwiązana na miejscu. Nasza poczta, którą prowadziła kiedyś moja prababka, po przejściu ojca na emeryturę miała zostać sprzedana.

- A co będziesz robiła, kiedy odejdziesz z Park House? - zapytała Diana.

Zastanawiałam się przez moment, czy zadaje to pytanie, chcąc się przekonać, czy mam zamiar odejść. A potem odpowiedziałam, że nie myślałam nawet o przyszłości, bo zamierzam pozostać w Sandringham tak długo, jak będę tam potrzebna. Dzieci nie wiedziały, że mam odejść po rozpoczęciu przez Charlesa nauki w szkole przygotowawczej Maidwell. Dzieliło nas od tej chwili sporo czasu i nie było sensu, żeby martwiły się o to, co będzie, gdy odejdę.

Matka czekała na nas przy barierze, tak jak zostało ustalone. Była z nią Jane, która też miała już ferie. Bardzo się z tego ucieszyłam, bo Jane okazywała mi tyle samo przyjaźni co w Park House. Była już niezależną osobą, która rozumiejąc, co czuje matka, nie pozwalała, aby jej uczucia miały wpływ na nią samą. Wiedziała, że nie wyrządziłam jej żadnej krzywdy, a poza tym w lecie wszystko się między nami dobrze układało. Byłam zadowolona, że Jane wita się ze mną serdecznie, nawet w obecności matki. Podczas powitań łatwo jest zapomnieć o wszelkich problemach. Zauważyłam, że Diana z ulgą przyjmuje to, że wszystko wydaje się być w porządku. Cieszyłam się widząc, że święta Bożego Narodzenia, ulubione święta dzieci, przebiegną niezakłócone. Nie traciliśmy czasu. Powitanie i pożegnanie odbyło się równocześnie. Życzyłam dzieciom

wspaniałych Świąt i dodałam, że kiedy po nie znowu przyjadę, będę bardzo rada usłyszeć, że dostały na Gwiazdkę to, czego sobie życzyły.

Tak jak zaplanowałam, spędziłam Boże Narodzenie z rodziną i przyjaciółmi, dowiadując się, co się u nich działo, gdy się nie widzieliśmy. Cieszyłam się z tych wakacji. Moje życie poza Park House różniło się bardzo od tego, które spędziłam w rezydencji. Ale i tu i tam było wiele rzeczy, które sprawiały mi przyjemność. Dlatego nie mogłam się doczekać drugiej części ferii, którą miałam spędzić z dziećmi w Park House. Wakacje minęły bardzo szybko, wkrótce miałam pojechać do Londynu. Ale najpierw, jak zwykle, udałam się do Park House, skąd Smith zawiózł mnie na stację, na którą miał wrócić po nas za parę godzin. W pociągu było dużo ludzi, którzy albo wracali do domu od rodzin z Norfolkku albo, po spędzeniu Bożego Narodzenia i Nowego Roku u siebie, jechali gdzieś, gdzie - przed powrotem do pracy i posłaniem dzieci do szkoły - mogliby побыć poza domem.

Podróż upłynęła w bardzo miłej atmosferze. Zastanawiałam się, czy atmosfera będzie taka sama, kiedy będę jechała w drugą stronę z dziećmi. Wioząc dzieci do Londynu lub zabierając je stamtąd, spędzałam prawie cały dzień w pociągu. Po przyjeździe do Londynu zaczęłam się nerwowo rozglądać za znajomymi twarzami. Ścisnęło mnie w dołku. Domyślałam się, że tym razem nie będzie Jane i nikt nie rozładuje ciężkiej atmosfery. Przez całą podróż powtarzałam sobie: „Nie martw się. Za dwie godziny będzie po wszystkim i znajdziesz się z dziećmi w pociągu jadącym do domu”. Myślę, że nikt, kto nie przeżył podobnej sytuacji, nie zna okropnego uczucia ogarniającego człowieka, który wie, że nie ma wyboru i że musi odbyć takie nieprzyjemne spotkanie. Dla mnie było ono tym nieprzyjemniejsze, że nie miałam nad całą sytuacją żadnej kontroli i musiałam odgrywać rolę nieszczęsnego pośrednika.

Zobaczyłam, że idą w moją stronę. Matka - wysoka, imponująca kobieta - wyróżniała się wśród tłumu. Za nią, z twarzami jak maski, szli Diana i Charles. Dlaczego idą za nią? Czy dlatego, że chcą ukryć to, że cieszą się z powrotu do Park House i że nie chcą zranić uczuć matki? A może przeciwnie, może nie chcą wracać? A może dzieje się tak po prostu dlatego, że matka idzie bardzo szybko? Powodem było to ostatnie, ale ja, okropnie spięta, podejrzewałam najgorsze. Denerwowałam się coraz bardziej. Postanowiłam jednak nie dać nic po sobie poznać. „Już niedługo, Mary. Piętnaście minut i będzie po wszystkim”. Dodając sobie w ten sposób odwagi, ruszyłam naprzód z uśmiechem. No bo z jakiego powodu wszyscy mieliby robić nieszczęśliwe miny? Co do Jane, to miałam rację - nie było jej. Rozglądając się za nią, zobaczyłam tylko mnóstwo obcych twarzy. Ludzie, nie patrząc na boki, pędzili do pociągów. „No, dobrze, jeszcze pięć minut”, powiedziałam sobie i podeszłam do nich.

Grzecznie wyciągnęłam rękę, chcąc podać ją Szanownej Pani Shand Kydd, natychmiast jednak udałam, że chciałam tylko wykonać jakieś gimnastyczne ćwiczenie i pozwoliłam jej opaść. Niezły początek, nie ma co, pomyślałam. Podeszłam z uśmiechem do dzieci. Pocałowałam najpierw Dianę, która, bojąc się zdenerwować matkę, a równocześnie nie chcąc mi zrobić przykrości, zareagowała na to bardzo powściągliwie. Miałam ochotę powiedzieć: „Nie przejmuj się, Diano, bądź po prostu sobą. Ona zachowuje się w ten sposób, bo ja tu jestem. Kiedy się rozstaniemy, wróci do równowagi”. Ale oczywiście nie powiedziałam tego. Musiałam okazać rozsądek, musiałam ze zrozumieniem przyjąć to, że Diana jest tak mało wylewna. Byłam jednak zła, widząc, że dziewczynka nie może zachowywać się swobodnie i naturalnie.

Podszedł Charles i pocałował mnie. Kochany Charles! Cała ta farsa do niego nie docierała. Spędził wspólnie wakacje u

matki, a teraz przyjechała Mary, która zawiezie go do ojca - dla niego cała sprawa była aż tak prosta. Przytuliłam go, wdzięczna, że zachowuje się tak naturalnie. Zapytałam matkę, czy mam coś przekazać.

- Wiesz, co masz powiedzieć ojcu, prawda, Diano?

Aha, no tak, pomyślałam. Diana otrzymała kilka kolejnych instrukcji. Wydawało mi się, że stawia ją to w bardzo niewygodnym położeniu. Miałam wielką ochotę coś powiedzieć, ale znowu musiałam się powstrzymać. Wiedziałam, że gdybym powiedziała, co o tym myślę, sprawiłabym lordowi Althorpowi dodatkowe kłopoty. Diana usłyszała następujące słowa:

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze, przyzwyczaisz się, nie zapomnij, co ci powiedziałam i dzwoń do mnie, proszę.

Były to słowa naładowane emocją, słowa, które - moim zdaniem - wyrządzały dziecku wiele szkody. U Diany - skoro tylko rozstała się z matką - zawsze wszystko było dobrze, nie trzeba jej było o tym zapewniać. Gdyby nie tego rodzaju uwagi, Diana o wiele łatwiej przeżywałaby takie rozstania. Stosunki między mną i dziećmi były dobre, a dzieci naprawdę szczęśliwe. Nie znosiłam tych spotkań z ich matką. Jednak każda praca ma swoje wady, a moja prawie nie miała innych. Powtarzałam sobie w duchu, że wkrótce będziemy w pociągu. W końcu było po wszystkim: pożegnaliśmy się i znaleźliśmy się w pociągu jadącym do Kings Lynn.

W chwili gdy pociąg opuszczał stację, czuliśmy się wciąż skrępowani. Dopiero kiedy minęliśmy przedmieścia i za oknem pojawiły się wiejskie krajobrazy, poczułam, że nastrój mi się poprawia. Pomyślałam z ulgą, że mam już to wszystko za sobą i że od tej chwili grunt, po którym się będę poruszała, będzie znajomy. Rozmowa jeszcze się nie kleiła, ale ja wiedziałam, że napięcia niedługo znikną i dzięki moim staraniom wszystko wróci do normy. Wkrótce zaczęliśmy rozmawiać o Gwiazdce.

Nie zdziwiłam się, kiedy się dowiedziałam, że dzieci dostały prezenty, o których marzyły. Nie były rozpuszczone, więc pomyślałam, że to dobrze, bo przy tej okazji ich życzeniom stało się zadość.

Postanowiłam nie zwracać uwagi na to, że rozmowa kuleje, i brnęłam dalej, opowiadając im, jak spędziłam Świąta, i udając, że jest mi obojętne, czy ich to interesuje czy nie. Mówiłam i mówiłam, bo nie chciałam, żeby w przedziale zapanowały cisza i ponury nastrój i żeby dzieci zaczęły analizować własne uczucia. Stopniowo Diana odprężyła się. Charles, otrzymawszy odpowiedzi na wszystkie swoje pytania i odpowiedziawszy na moje, wyjął książkę i zaczął czytać. Powiedziałam dzieciom, że miałam wspaniałe wakacje, i zapewniłam je, że mimo to naprawdę bardzo się cieszę, że je widzę. Dodałam, że postaramy się jak najlepiej wykorzystać czas, który nam został do końca ferii. Poinformowałam Dianę i Charlesa, że widziałam się z ich ojcem, który także bardzo się cieszy z ich powrotu.

W odpowiedzi na tę ostatnią uwagę, którą zrobiłam, pragnąc, żeby dzieci wiedziały, że w Park House czeka je serdeczne przyjęcie, Diana, zerkając na mnie i sprawdzając, jak reaguję, stwierdziła, że matka, która po ich wyjeździe została zupełnie sama, będzie teraz bardzo smutno. Był to powracający temat, gdyż mówiła to samo po przyjeździe z ferii wielkanocnych. Miałam ochotę zauważyć, że matka ma męża i przyjaciół, ale się zawahałam. Bo Diana mnie najwyraźniej sprawdzała, chcąc się przekonać, czy powiem coś przeciwko matce, a poza tym nie miałam pewności, czy nie powtórzy moich słów, rozmawiając z matką przez telefon. Chciałam zachować całkiem neutralne stanowisko wobec obojga rodziców, zatrzymałam więc swoją uwagę dla siebie.

Charles, mniej taktowny niż ja i przyzwyczajony do tego, że Diana lubiła z różnych rzeczy robić dramat, musiał nas słuchać jednym uchem, gdyż, podnosząc wzrok znad książki, powiedział tonem lekceważącym:

- Dobrze wiesz, że mama nie jest sama. A poza tym to samo mówisz zawsze o tacie.

Przywoławszy siostrę w ten sposób do porządku, wrócił do swojej książki. Charles miał rację - przy każdym rozstaniu z ojcem Diana rozwodziła się nad tym, że mu będzie smutno. Te jej uwagi brały się z jednej strony stąd, że lubiła sobie wyobrażać, iż jest ukochaną córeczką, bez której rodzice nie potrafią się obejść, a z drugiej stąd, że mając skłonność do dramatyzowania, była przekonana, że przenoszenie się od jednego z - rodziców do drugiego nie może odbywać się tak po prostu i bez problemów. Diana lubiła czasami pogarszać sytuację, która i tak była trudna. Oboje rodzice kochali przecież dzieci i starali się zapewnić im stabilne domy, w których było wszystko, czego potrzebowały.

- W każdym razie - powiedziała Diana, nie chcąc, żeby Charles miał ostatnie słowo - obiecałam mamie, że do niej zadzwonię, jak tylko przyjadę do domu.

Przyznałam, że to ważna sprawa, i powiedziałam, że nie wolno jej o tym zapomnieć. Te rozsądne słowa sprawiły, że Diana doszła do wniosku, iż nie ma powodu do dalszej dyskusji.

Przekonawszy się, że nie sprowokuje mnie do żadnych ironicznych uwag, zmieniła temat. Diana miewała zmienne humory. Potrafiła błyskawicznie przechodzić z nastroju w nastrój. Tym razem też natychmiast zapomniała o smutku i niezadowoleniu i zaczęła mi zadawać mnóstwo pytań. Pytała mnie o wakacje, czym potwierdziła, że poprzednio - zastanawiając się, jak wprowadzić mnie w zakłopotanie - wcale mnie nie słuchała. Westchnęłam z ulgą. Wyglądało na to, że najgorsze minęło.

Ta mniej sympatyczna strona charakteru Diany manifestowała się tylko podczas takich podróży pociągami. Nie doświadczyłam takiego jej zachowania przy żadnych innych okazjach. Było ono trochę denerwujące, ale nie wyprowadzało mnie z równowagi, gdyż wiedziałam, że w momencie przenosin

z jednego domu do drugiego Diana może być rozdrażniona. Właściwie moim zdaniem miała ona prawo być trochę niegrzeczna i dać dorosłym do zrozumienia, że nie powinni zakładać, iż przyjmuje takie przerzucanie z miejsca na miejsce bez emocji. A poza tym szybko się zorientowałam, że jeżeli nie połknę przynęty, to Diana wkrótce da za wygraną i pozwoli, by ogarnął ją naturalny dla niej pogodny nastrój. Diana była dużo bardziej skłonna cieszyć się na to, co ją czeka, niż grzebać się w przeszłości. Im bliżej byliśmy Kings Lynn, tym bardziej się ożywiała, zadowolona, że wkrótce spotka się ze wszystkimi zwierzętami, z ojcem i z państwem Smith.

- Czy oni wszyscy czują się dobrze? Czy pan Smith wyjedzie po nas na stację?

Nie mogła się doczekać końca tej podróży.

Smith rzeczywiście przyjechał po nas na stację. Był bardzo związany z dziećmi, z Park House i z Norfolkkiem. Zarówno on jak i jego żona stale uczestniczyli w życiu Diany, jak daleko sięgała pamięcią. Ojciec wyjeżdżał, matka przeprowadziła się, opiekunki i nianie zmieniały się bez przerwy, ale państwo Smith byli zawsze w domu. Oboje stanowili integralną część jej życia w okresie gdy kształtował się jej charakter. Diana nigdy ich nie zapomniała. Zaprosiła ich na swój ślub, a w jakiś czas później, kiedy państwo Smith przeszli na emeryturę i przeprowadzili się do Dersingham, napisała mi w liście, że podczas pobytu w Sandringham odwiedziła ich w ich domku. Mogę sobie wyobrazić, jaką to im sprawiło przyjemność, i muszę powiedzieć, że ten gest ze strony Diany jest jednym z przykładów jej lojalności i szczerzej dobroci.

Smith powiedział, że lord Althorp nie przyjechał po nas, bo nie było go w domu. Dodał jednak, że wróci, zanim my dojedziemy do Park House. Byliśmy wszyscy trochę zmęczeni, gdyż dla każdego z nas ten dzień okazał się pełen emocji. Dzieci siedzące na tylnym siedzeniu odpowiadały najpierw na

pytania Smitha dotyczące ferii, a później zamilkły. Smith skupił się na prowadzeniu samochodu, a ja wdałam się z nim w uprzejmą rozmowę. Po przyjeździe poszliśmy od razu do dziecięcej części domu, gdzie po paru minutach zjawił się lord Althorp.

Szczęśliwa, podniecona, gadatliwa Diana z drugiej części podróży pociągiem zniknęła, a na jej miejsce pojawiło się nieśmiałe, zamknięte w sobie, poważne dziecko. Pomyślałam, że ta jej powaga i zamknięcie w sobie są pewnego rodzaju grą, gdyż zagubiona w tym wszystkim Diana uważa, że jeżeli powita ojca zbyt entuzjastycznie, to ten dojdzie do wniosku, że woli przebywać z nim niż z matką. Zbyt młoda, aby docenić zalety ojca, nie zdawała sobie sprawy, że jej gra jest bezcelowa, gdyż lordowi Althorpowi nie przyszłoby do głowy, żeby tak interpretować jej zachowanie. Lord Althorp był zawsze tak szczęśliwy, że dzieci są znowu w domu, że nie myślał o sobie czy o swojej ewentualnej wyższości nad ich matką. Diana prawdopodobnie uważała też, że jeżeli wyda się trochę przygnębiona, to ojciec poświęci jej więcej uwagi, co da jej kolejną okazję do dramatyzowania. Była zawsze nieśmiała i małowólna przy powitaniu, i spokojna - dopóki nie nabrała pewności siebie.

Charles, widząc ojca, bardzo się ucieszył i natychmiast poczuł się w Park House tak, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał. Diana także przywitała się z ojcem serdecznie i zapytała, czy Sarah jest już w domu. Sarah wyszła gdzieś z koleżankami. Lord Althorp, bardzo zadowolony z tego, że może zrobić dzieciom wspaniałą niespodziankę, powiedział Dianie i Charlesowi, że królowa zaprosiła ich do Sandringham House na zabawę, w której będą uczestniczyć młodzi członkowie rodziny królewskiej - księżęta Andrzej i Edward oraz kilkoro innych dzieci.

Domyślałam się, że Diana wie, ile dla ojca znaczy to, że może im zrobić taką przyjemność i że równocześnie, wciąż

zagubiona, uważa, że zbyt szybko przystosowując się do życia w Park House okaże brak lojalności wobec matki. Myślała, że kiedy w rozmowie telefonicznej powie matce, że zaraz po powrocie wybiera się na zabawę, matka posądzi ją o brak miłości do siebie. W normalnych warunkach Diana przyjąłaby zaproszenie z zachwytem, ale w tamtym momencie była rozdarta między ojcem i matką. Wielka szkoda, że to zaproszenie zbiegło się z jej powrotem do Park House. Diana powiedziała, że boli ją głowa. Był to pierwszy taki przypadek za mojej bytności w Park House. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby narzekała, że źle się czuje. Żadnego z dzieci nie bolała też dotychczas głowa. Diana stwierdziła, że *nie chce iść, bo się źle czuje i jest strasznie zdenerwowana*.

Mimo że bardzo kochała ojca, wczuła się w tę nową melodramatyczną rolę bez reszty i była nią tak zaabsorbowana, że nie zauważyła, jak strasznie ojciec jest rozczarowany. Lord Althorp próbował ją przekonać. Zapewniał ją, że kiedy znajdzie się w Sandringham House, poczuje się dobrze, ale Diana zamaniestowała coś, co nieraz demonstrowała później w życiu dorosłym: okazała silną wolę i nie dała się przekonać. Charles, który z chęcią poszedłby na zabawę, przekonawszy się, że Diana stawia opór, uznał, że musi okazać się lojalny i ją poprzeć. Był to jedyny raz podczas mego pobytu w Park House, kiedy miałam ochotę potrząsnąć Dianą, kazać jej wziąć się w garść i pomyśleć o innych, bo zwykle myślała o innych - bez przypominania.

Nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, ale doszłam do wniosku, że chłopcy w porównaniu z dziewczynkami są mało skomplikowani. Charles był bardzo grzeczny do chwili, gdy uznał, że musi sprzymierzyć się z Dianą. Dziewczynki wydają się mieć skłonność do komplikowania życia przesadnymi reakcjami i dramatyzowaniem. Kiedy lordowi Althorpowi po raz drugi nie udało się namówić Dianę do zmiany decyzji, poradziłam mu,

żeby dał spokój, zatelefonował i przeprosił. Diana, zaskoczona tym, że nie będzie miała więcej okazji demonstrować smutku i zdenerwowania ani skarżyć się na ból głowy, oznajmiła, że idzie zatelefonować do matki. Powiedziałam, że musi poczekać, aż ojciec skończy rozmowę, gdyż jest już dość późno i grzeczność nakazuje zawiadomić, że nie przyjmujemy zaproszenia. Dodałam, że kiedy telefon będzie wolny, musi oczywiście natychmiast połączyć się z matką, tak jak obiecała. Może zadzwonić z pokoju dziecinnego, gdzie nikt jej nie będzie przeszkadzał. Powiedziałam lordowi Althorpowi, żeby się nie martwił, bo Diana wkrótce wróci do równowagi. Dodałam, że podczas podróży pociągiem też była z początku trochę trudna, ale potem się rozchmurzyła. Poprosiłam lorda Althorpa, żeby zostawił ją ze mną. Patrzyłam na niego ze współczuciem, kiedy zgnębiony odchodził, i byłam zła na Dianę za to, że - błędnie rozumiejąc lojalność wobec matki - tak go zraniła. Wiedziałam jednak, że gdyby Diana nie doświadczyła takiego stresu przy wyjeździe z Londynu, nie byłoby problemu, bo czułaby się swobodnie i z przyjemnością przyjąłaby zaproszenie.

A teraz, zanim rzucą się na mnie psychoanalitycy, oskarżając o to, że nie rozumiem, jakie to traumatyczne doświadczenia były udziałem małej Diany, niech mi będzie wolno powiedzieć, że rozumiałam wszystko bardzo dobrze. Byłam świadkiem sceny, która rozegrała się na stacji, a potem, w pociągu, widziałam, jak sprytna dziewczynka świadomie mnie prowokuje, by później - kiedy nie podjęłam wyzwania - ulec natychmiastowej transformacji. Widziałam, z jaką radością i z jakim podnieceniem Diana oczekiwała na drugą część ferii. Dziecko, które przeżyło prawdziwą, głęboką traumę, nie byłoby w stanie tak bezustannie manifestować zadowolenia i radości. W czasach gdy się nią opiekowałam, Diana miała tylko bardzo nieliczne momenty chwilowej „czkawki emocjonalnej”. Nie spotkałam

jeszcze dziecka, które nie byłoby czasami uparte. Wszystkie dzieci bywają takie, bez względu na to, czy wychowuje je jedno z rodziców czy oboje i czy mają jeden szczęśliwy dom czy dwa domy. Diana dokładnie wiedziała, co robi. Miała całkowitą kontrolę nad własnymi emocjami, a ja pozwoliłam jej uporać się z nimi samodzielnie. Zapewniłam jej ojca, że - pozostawiona w spokoju - stanie się wkrótce tą samą co dawniej pogodną i energiczną dziewczynką. Być może lord Althorp zademonstrował pewną naiwność spodziewając się, że będzie taka natychmiast po powrocie.

Przechodząc obok uchylonych drzwi pokoju dziecinnego, usłyszałam, jak Diana mówi matce, że boli ją głowa. Ciekawa jestem, czy matka zareagowała współczuciem. Przypuszczam, że tak. Ja natomiast poradziłam Dianie, żeby się położyła i poczekała, aż ból przejdzie. Spokój panujący w Park House sprawił, że napięcie ustąpiło, a Diana po pięciu minutach nie czuła już bólu.

- Świetnie - powiedziałam. - Skoro mamy to już za sobą, weź latarkę i pójdziemy przywitać się z psami.

Tu nastąpiła ostatnia próba zakłócenia normalnego toku życia.

- Słuchaj, Mary, a w związku z tą zabawą... - powiedziała Diana - tata nie był zły, prawda?

- Oczywiście, że nie - odrzekłam. - Przecież nie mogłaś iść z bólem głowy. Tata zadzwonił i was wytłumaczył.

Po tych słowach Charles, Diana i ja, w kaloszach i ciepło ubrani, wyszliśmy w ciemność i poszliśmy do psów, które przywitały nas dotknięciami ciepłych pysków i merdaniem ogonów. Psy, bardzo podniecone, rwały się też do lizania. Może w końcu Diana miała rację, może to było przyjemniejsze niż zabawa u królowej. Wśród śmiechu i pisków wszystko wróciło do normy. Byliśmy w domu.

Rozdział dwunasty

Rodzina królewska przebywała w Sandringham House - swojej zimowej rezydencji, do której przenosiła się po Bożym Narodzeniu spędzającym w Windsorze. Fakt ten nie wpływał na tryb życia rodziny Spencerów. Ponieważ między obiema rodzinami - jedną należącą do najwyższych kręgów brytyjskiej arystokracji i drugą królewską - od lat istniały różne związki, a także dlatego, że obecność monarchini i jej bliskich przyjmowano w Park House jako coś oczywistego, dzieci nie ogarniał zbożny lęk na myśl, że wśród ich sąsiadów znajduje się sama królowa Anglii. Rodziny niezbyt często spotykały się na gruncie towarzyskim, chociaż lord Althorp nierzadko bywał na polowaniach na ptactwo. Dzieci, czasami zapraszane na dziecięce przyjęcia, przeważnie spotykały młodych członków rodziny

królewskiej przypadkiem na terenie parku. Miło było jednak pomyśleć, że przepiękna rezydencja Sandringham House służy nieraz jako dom rodzinny, a nie stoi przez cały czas pusta i gotowa jedynie na przyjęcie turystów przybywających tu latem.

Muszę przyznać, że na myśl o naszych sąsiadach ogarniały mnie „bojaźń i drżenie”. Za czasów mojego dzieciństwa naszymi sąsiadami byli moi dziadkowie, dlatego teraz potrzebowałam czasu, żeby się oswoić z myślą, że w sąsiedztwie mieszkają osoby tak znakomite. W przeciwieństwie do dzieci, które się nad tym nie zastanawiały, ja byłam bez przerwy świadoma, że spacerując czy jeżdżąc konno po parku, mogę się natknąć na jedną z tych osób.

Pewnego ranka, niedługo po naszym powrocie do Park House, postanowiłam pójść na spacer z psami. Było bardzo wczesnie, zaledwie świtało. Dzieci jeszcze spały, a ja wiedziałam, że obudziwszy się chętnie sobie poczytają albo pobawią się w swoich pokojach. W takie chłodne zimowe poranki nie miały najmniejszej ochoty wychodzić z ciepłego domu. W słabym świetle już nie świtu i jeszcze nie dnia nad parkiem wisiała tajemnicza cisza. Mżył też deszczyk - nie taki, który mógł człowieka przemoczyć, ale drobny, powodujący, że miało się wrażenie, iż wszystko jest wilgotne. Park spowijała mgła. Szłam więc z głową opuszczoną, próbując osłonić się przed deszczem.

W panującej naokoło niesamowitej ciszy łatwo było pograć się w myślach i zagubić we mgle, lekkiej jak pajęczyna i skrywającej przed ludzkim wzrokiem drzewa i krzewy. Psy, jak szalone, biegały naokoło z nosami przy ziemi. Tego ranka dobrze im się tropiło i wkrótce we wszystkie strony zaczęły śmigać króliki uciekające do nor. Proszono nas, żebyśmy pilnowali psów i nie pozwalali im płoszyć bażantów. Bo gdyby bażanty przeniosły się na inne tereny, królewskie polowania byłyby mniej przyjemne. Zwykle stosowałam się do tej zasady, ale

tego dnia pomyślałam, że tak wczesnym rankiem i przy tak złej widoczności nikogo raczej nie spotkam. Postanowiłam dać psom trochę swobody i pozwolić im się wyszaleć. Zresztą psy bardziej niż ptakami interesowały się zwierzętami, więc uważałam, że nie mogą wyrządzić wiele szkody. Prawdę mówiąc, nie byłam zwolenniczką polowań i dlatego pomyślałam, że dzikim ptakom, które przy tej okazji uciekną w bezpieczniejsze okolice, trzeba życzyć szczęścia.

Nagle psy zaczęły wściekle ujadać, zakłócając dotychczasową ciszę. Zobaczyłam, że w moją stronę, ze spuszczoną głową, idzie jakiś człowiek. Był najwyraźniej pogrążony w myślach i miał na sobie nieprzemakalną kurtkę oraz prawie sięgające kolan zielone nieprzemakalne buty zwane welingtonami, a także czapkę z daszkiem naciśniętą głęboko na czoło. Pomyślałam natychmiast, że może to być gajowy czy ktoś w tym rodzaju, kto da mi reprimendę, bo spuściłam psy ze smyczy. Miałam równocześnie nadzieję, że tak się nie stanie, gdyż nie chciałam, żeby mój spokojny spacer został zakłócony w sposób tak nieprzyjemny.

Kiedy się do siebie zbliżyliśmy, powiedziałam wesoło „dzień dobry”. Bo miałam nadzieję, że widząc moją pogodną twarz, ten człowiek mnie nie skarci. Okazało się jednak, że nie ma on zamiaru mnie karcić. Popatrzył na mnie. A jego głos, kiedy odpowiadał na moje „dzień dobry”, nie zabrzmiał jak głos gajowego. Psy, przerwawszy na chwilę polowanie, uwijały się wokół niego.

- Proszę się nie niepokoić. One są zupełnie nieszkodliwe - zapewniłam go niepotrzebnie, gdyż psy machały zawzięcie ogonami, obwąchując mu nogi i nie okazując, że mają ochotę atakować.

Wypowiadając te słowa, zorientowałam się, kim jest ten człowiek. Był to książę Karol.

Od czasu gdy rodzina królewska zamieszkała w Sandringham House, wyobrażałam sobie, jak to będzie, kiedy spotkam

w parku któregoś z jej członków. Spotkanie nastąpiło w chwili, gdy najmniej się go spodziewałam. Nie poczułam się jednak zaskoczona, gdyż uświadomiłam to sobie dopiero wtedy, kiedy nasze drogi się rozeszły i kiedy każde z nas podążyło w swoją stronę. Zawołałam psy i wróciłam do Park House, nie mogąc się doczekać, kiedy będę mogła opowiedzieć o tym zdarzeniu Sarze i Dianie. Nie spodziewałam się, że Charles okaże zainteresowanie moją przygodą, bo w końcu spotkałam tylko syna jego chrzestnej matki.

Zawołałam dzieci, które, tak jak przypuszczałam, bawiły się już spokojnie w swoich sypialniach, nie mając ochoty wychodzić na dwór. Sarah, która spędziła większą część ferii u ojca i była już w Park House, kiedy wróciliśmy z Londynu, przyszła do nas, żeby się dowiedzieć, jakie są plany na ten dzień. Opowiedziałam dziewczynkom o spotkaniu z księciem Karolem i o tym, że wzięłam go za gajowego.

- Założę się, że byłaś zmieszana - powiedziała Diana.

Zaprzeczyłam i wyjaśniłam, że z początku go nie poznałam, bo byłam zajęta psami. Sarah poprosiła, żebym opowiedziała, jak przebiegła rozmowa.

- Nie można tego nazwać rozmową - odrzekłam. - To była tylko zdawkowa wymiana uprzejmości.

- Czy zwracając się do niego, użyłaś tytułu „sir”? - zapytała, kiedy jej powiedziałam, jak brzmiały moje słowa.

Odpowiedziałam, że nie, i dodałam, iż nie wiedziałam, że tak trzeba. Wykazałam więc ponownie karygodną ignorancję w zakresie etykiety.

Tu włączyła się Diana, mówiąc, iż nie umiem się zachować w obecności członków rodziny królewskiej. Przypomniałam jej, że tego rodzaju sytuacje są dla mnie czymś zupełnie nowym, i spytałam, skąd mam wiedzieć, jak się zachować, skoro nikt mnie tego nie nauczył.

- A poza tym - dodałam - zdziwiło mnie to, że o n nie dotknął czapki.

Byłam przyzwyczajona do tej formy okazywania uprzejmości. W ten sposób bowiem zachowują się mężczyźni na wsi, spotykając kobietę i chcąc jej okazać galanterię, złożyć swego rodzaju hołd. Niezaniechanie tej czynności to oznaka dobrych manier. Zażartowałam sobie z Sary, mówiąc, że gdyby wstała wcześniej, mogłaby pójść ze mną, a ja miałabym okazję naśladować jej zgodne z etykietą zachowanie! Do moich żartów przyłączyła się Diana i powiedziała, że w takim wypadku Sarah mogłaby uciąć sobie pogawędkę z księciem Karolem. Sarah odpowiedziała, że wcale nie ma na nią ochoty, i przypomniała Dianie, że ona sama straciła okazję porozmawiania z księciem Andrzejem, bo nie poszła na zabawę tylko dla tego, że miała właśnie fochy.

- To nie były żadne fochy, mnie bolała głowa! - zaprotestowała Diana.

- No dobrze, już dobrze, Sarah tylko żartowała - wtrąciłam się, chcąc zażegnać kłótnię.

Tak wyglądała nasza rozmowa. Gawędziłyśmy sobie wesoło o dwóch księżkach, nie przypuszczając, że którykolwiek z nich wkroczy w nasze życie. Myślałyśmy, że przez całe to życie będziemy o nich jedynie czytały w gazetach. Może powinnyśmy były poradzić się tabliczki ouija? Jestem jednak pewna, że nawet gdyby tabliczka przepowiedziała wtedy to, co miało się zdarzyć w przyszłości, żadna z nas nie uwierzyłaby w takie przepowiednie.

Lord Althorp był tego dnia zaproszony na polowanie na ptactwo do swej siostrzenicy Elizabeth, której mąż gospodarował w East Rudham położonym przy drodze do Fakenham w odległości dwudziestu mil od Sandringham. To właśnie na ślubie tej kuzynki z Anthonym Duckworth-Chadem (w roku 1969 w kościele Świętego Jakuba przy Picadilly) Diana po raz

pierwszy była druhną. Miała wtedy około ośmiu lat i była tą rolą tak zachwycona, że później w żartach prosiła starsze siostry, żeby wyszły za mąż młodo i umożliwiły jej powtórne jej odegranie. Jane w końcu spełniła jej życzenie, wychodząc za mąż za Roberta Fellowesa i biorąc ślub w Londynie. Przyjęcie weselne odbyło się w Pałacu Świętego Jakuba (St. James's Palace). Przybyło na nie kilkoro członków rodziny królewskiej, wśród których znajdowała się królowa matka. Diana była pierwszą druhną. Pełniła tę rolę z zachwytem i z głową nabitą idealnymi wyobrażeniami na temat miłości i małżeństwa.

Lord Althorp miał więc polować na ptactwo, a my byliśmy zaproszeni na myśliwski lunch składający się z zupy i dzikich ptaków zapiekanych w cieście, mający się odbyć w południe w dużej kuchni. Dziewczynki zapewniły mnie, że jedzenie będzie pyszne i że warto tam pojechać, mimo że Diana i ja nie lubimy polowań. Sarah natomiast akceptowała polowania, uważając je za integralną część wiejskiego życia. Później, kiedy rodzina przeniosła się do Althorp, lord Spencer napisał do mnie, że Diana pomaga hodować małe bażanty. Najprawdopodobniej więc zaakceptowała to, co nieuniknione. Była to integralna część jej wychowania i w późniejszych latach Diana nie odmawiała, kiedy od niej wymagano, żeby brała udział w polowaniach na ptactwo.

Lunch rzeczywiście okazał się bardzo dobry. Jednak równocześnie stał się jedną z nielicznych okazji, przy których czułam się wyalienowana. Nie miałam pojęcia, jak wygląda jednodniowe polowanie na ptactwo i ze zdziwieniem i przykrością przekonałam się, że dzieci i osoby opiekujące się nimi mają jeść oddzielnie, a nie razem z myśliwymi i innymi dorosłymi. Gdyby lord Althorp nie traktował wszystkich jednakowo, uznałabym to za normalne. Ponieważ jednak w Park House byłam przyzwyczajona jadać w jadalni, uważałam, że ten podział jest trudny do zaakceptowania.

Polowania odgrywały też pewną rolę w naszym życiu w Park House. Sarah należała do grupy myśliwych polujących konno na lisy, zwanej West Norfolk Foxhounds. Czasami, kiedy była w szkole, na polowania jeździłam ja. Zdarzało się to wtedy, gdy zbiórka odbywała się w odległości, którą mogłam pokonać jadąc na Peppermint. Udział w polowaniach stanowił dla mnie przyjemną odmianę oraz okazję do pogawędek i poznawania nowych ludzi. Zawsze uważałam, że polowanie to dobra okazja do szkolenia młodych koni. Podczas polowań konie zdobywają dużą wiedzę. Jeżeli są początkujące, przywiązuje im się do ogonów zielone wstążki. Uczą się, jak należy się zachowywać, na przykład dowiadują się, że kiedy psy szukają tropu, trzeba stać spokojnie. Mnie ta część polowania nie bardzo się podoba. Kiedy człowiek siedzi przez dłuższy czas na koniu, to marznie i nudzi się. Nudę może rozproszyc świadomość, że całe to poświęcenie jest po to, żeby nauczyć czegoś konia. Rozgrzewający płyn noszony na udzie jest drugim sposobem na nią. Ciekawe towarzystwo działa podobnie jak taki płyn. A już w każdym razie nuda pierzcha na dźwięk myśliwskiego rogu. Konie stawiają wtedy uszy i drżą z podniecenia, po czym zaczyna się pogoń. Wiem, na czym polega radość takiej pogoni, i rozumiem, dlaczego ludzie przywiązują się tak do tego sportu. Mogę to zrozumieć tym łatwiej, że kiedy ja uczestniczyłam w polowaniach, lisowi zawsze udawało się uciec.

Sarah miała zamiar pojechać na polowanie. Diana zarzuciła jej gruboskórność oraz okrucieństwo, ale została całkowicie zignorowana. Zbiórka była w pobliżu, wszyscy mieli się spotkać na wiejskich błoniach. Lord Althorp, Diana, Charles i ja postanowiliśmy odprowadzić Sarę. Niebo było bezchmurne, a powietrze rześkie. Jeźdźcy stawili się licznie. Wyglądali tak wspaniale jak tamtego pięknego lipcowego dnia podczas parady towarzyszącej Wystawie Kwiatów. Dzisiaj jednak wiedziałam,

że wkrótce przelecą galopem przez zaorane pola, a błoto spryska zarówno ich stroje jak i konie. Zauważyłam kilka osób, które poznałam podczas poprzednich polowań, i przez chwilę pozazdrościłam im, że ruszają w pogoń za zwierzyną w tak piękny zimowy dzień.

Sarah знаła wielu uczestników polowania i czuła się wśród nich bardzo dobrze. Dosiadała Peppermint, która miała sierść siwą i wyróżniała się spośród innych koni, przeważnie gniadoszy lub kasztanów. Peppermint - jako wspaniała, posłuszny koń do polowania - charakteryzowała się tym, że jeździec mógł zawsze na niej polegać, to znaczy mieć pewność, że bez wahania przeskoczy wszelkie przeszkody - żywopłoty czy rowy. Wyglądało na to, że lord Althorp zna większość obecnych, zarówno tych, co dosiadali koni, jak i tych, którzy byli pieszo. Diana spotkała kilka koleżanek. Zastanawiałam się, czy widząc je na dość ognistych rumakach, zazdrości im odwagi. Doszłam jednak do wniosku, że lepiej nie pytać jej o to. Myśliwi odjechali, a my wróciliśmy do samochodów. Lord Althorp chciał wrócić do domu, a Diana, Charles i ja napiliśmy się czegoś ciepłego i postanowiliśmy zobaczyć, czy uda nam się jechać przez jakiś czas za myśliwymi.

Spotkaliśmy kilka znajomych osób, które nam powiedziały, dokąd udała się kawalkada. Myśliwi tymczasem znacznie się oddalili. Pojechaliśmy we wskazanym kierunku, a potem wysiedliśmy z samochodu i stanęliśmy obok paru staruszków, którzy, opierając się o płot i rozmawiając z ożywieniem, obserwowali pola. Wyglądało na to, że ci staruszkowie znają obyczaje lisów lepiej niż myśliwi i ich psy. Kiedy zapytałam, gdzie są myśliwi, zostałam poinformowana tonem dość sarkastycznym, że *pojechali w tamtą stronę*. Tej informacji towarzyszyło machnięcie laską. To, że mój rozmówca położył nacisk na słowo „tamtą”, spowodowało, że zapytałam:

- A w którą stronę pobiegł lis?

- Lis? W tamtą! - odpowiedział starszy człowiek, wskazując laską w stronę przeciwną.

W tejże chwili przeleciały koło nas psy, a za nimi pokazali się myśliwi. Zmierzali w kierunku wskazanym przez staruszką za pierwszym razem.

Widok był wspaniały, tym wspanialszy, że uwierzywszy staruszkowi, byliśmy przekonani, że myśliwi zgubili trop.

Ruszyliśmy w stronę samochodu.

- Proszę zaczekać - powiedział mój informator, który stał się uprzejmniejszy i bardzo chciał udowodnić, że jego druga teoria też się sprawdzi. - Niech pani poczeka razem z córką i synem. Za chwilę zobaczycie starego chytrusa.

Diana i Charles ryknęli śmiechem. Uciszyłam ich i pomyślałam, że staruszek nie zobaczy lisa, bo wzrok ma za słaby. Nie widzi przecież, że ja - w wieku niespełna dwudziestu dwóch lat - nie mogę mieć dziesięcioletniej córki i siedmioletniego syna. Bo chyba to niemożliwe, żebym wyglądała tak staro, zastanowiłam się i poczułam się w obowiązku wyjaśnić, że nie jestem matką dzieci, tylko ich opiekunką. Zrobiłam to, mimo że w tym momencie wszyscy obecni interesowali się lisem, a nie dziećmi. Staruszek nie zwrócił uwagi na moje wyjaśnienie, którego tak prawdę mówiąc udzieliłam ze względu na Dianę, bo nie chciałam, żeby się później ze mnie podśmiewała.

Kazałam dzieciom stać spokojnie j nie straszyć lisa, jeżeli ten się pojawi. Za kilka minut druga przepowiednia staruszką sprawdziła się. Psy, konie i myśliwi byli daleko. Nie słyszeliśmy już dźwięków rogu. W pewnej chwili w zaroślach za nami rozległ się cichy szelest i na pole wmaszerował duży, ciemnorudy, przebiegły i całkiem spokojny lis. Spojrzał chytrze w naszą stronę. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, że mruga porozumiewawczo do staruszką, pełen uznania dla jego mądrości.

Wiedział, że nie zrobimy mu nic złego. Przeszedł powoli przez drogę i wszedł na pole rozciągające się przed nami, a potem ruszył w stronę przeciwną niż psy i myśliwi. Roześmialiśmy się. Lis - nonszalancki i niefrasobliwy - najwyraźniej miał zamiar dożyć następnego roku.

Pożegnaliśmy się ze starszankami i wróciliśmy do domu na lunch. Sarah wróciła później, po południu. Powiedziała, że sobie pogalopowali, ale lisa nie widzieli. Diana natychmiast pospieszyła z informacją, że my widzieliśmy jednego i że przeszedł on o kilka jardów od nas. Sarah z początku nie chciała w to uwierzyć, ale ja zapewniłam ją, że Diana tym razem nie przesadza.

Tego wieczora, podczas kolacji, lord Althorp powiedział, że chce, żebyśmy na drugi dzień poszli wszyscy do kościoła.

- Dlaczego? - zapytały unisono Sarah i Diana.
- Przecież nigdy nie chodzimy do kościoła.
- No właśnie - wtrąciłam się. - Właśnie dlatego pójdziemy tam jutro.

Sarah, która orientowała się w tych sprawach lepiej ode mnie, oświadczyła:

- Wiem, tatusiu, dlaczego chcesz, żebyśmy tam poszli. Dlatego, że w kościele będzie królowa i nam nie wypada nie być.

Lord Althorp przyznał, że rozumowanie Sary jest mniej więcej poprawne. Diana i Charles zaczęli zaraz narzekać. Mówili, że nie chcą iść. Przywołałam ich do porządku. Powiedziałam, że mogą narzekać, ile im się podoba, ale do kościoła i tak pójdą, więc może by się uspokoili i pogodzili z tym, że tak będzie. Moja niespodziewana stanowczość natychmiast podziałała na Charlesa, który się uspokoił. Stwierdziłam, że ponieważ Charles nigdy nie chodzi do kościoła, nic mu się nie stanie, jeżeli w niedzielę rano poświęci na to godzinę.

Lord Althorp, powiedziawszy to, co miał do powiedzenia, zamilkł i skupił się na kolacji, zadowolony, że to ja muszę

dyskutować z dziećmi. Diana wiedziała, że jest na straconej pozycji, mimo to podjęła jeszcze jedną próbę wykręcenia się od niedzielnego obowiązku.

- Co niedziela muszę chodzić do kościoła Świętego Piotra.

(Był to kościół, do którego uczęszczały uczennice Riddleworth.)

- To dobrze - odpowiedziałam jej na to. - Bo dzięki temu znasz większość pieśni i będziesz mogła śpiewać.

- To niesprawiedliwe - mruzczała Diana, wiedząc, że przegrała.

- Spróbuj dostrzec w tym coś pozytywnego - poradziłam jej. - Nie będę cię zmuszała do włożenia czarnych butów.

Mówiłam o ciężkich butach szkolnych, których dziewczynki nie znosiły. (Dwadzieścia lat później takie buty stały się krzykiem mody.)

Powiedziałam dzieciom, że temat został wyczerpany, i zapytałam lorda Althorpa, o której mamy wyruszyć. Od kościoła dzielili nas dwie minuty spacerem. Kiedy już ustaliliśmy godzinę wymarszu, zapytałam Sarę, kogo spotkała tego dnia na polowaniu, a potem opowiedziałam lordowi Althorpowi historię z lisem. Diana, którą ta historia wprawiła natychmiast w dobry humor, opisała, w jaki sposób lis na nią patrzył. Lord Althorp z westchnieniem ulgi przyjął, że sprawa pójścia do kościoła została załatwiona tak szybko i bez długich dyskusji. Podobnie jak ja, pragnął, aby życie płynęło jak najspokojniej i gotów był zrobić wiele w celu uniknięcia niepotrzebnych zatargów, jednak czasami musiał okazać stanowczość.

Nigdy nie byłam w kościele Świętej Marii Magdaleny w Sandringham. Latem widziałam, że do tego pięknego kościoła ciągną tłumy turystów. Zawsze jednak uważałam, że mam mnóstwo czasu i zdążę go zwiedzić kiedy indziej. Tak to zwykle

bywa, kiedy człowiek mieszka w pobliżu jakiegoś interesującego obiektu. Prawdopodobnie, gdybyśmy nie poszli tam w tamtą niedzielę, opuściłabym Sandringham, nie wszedłszy ani razu do środka.

W niedzielny poranek ubraliśmy się elegancko, a zarazem ciepło, gdyż wiedziałam z doświadczenia, że w kościele może być chłodno nawet w środku lata. A ponieważ był środek zimy, mogliśmy się spodziewać, że z całą pewnością umarzniemy, jeżeli się odpowiednio nie zabezpieczymy. Zostały więc wyciągnięte z szafy wełniane rajstopy, grube spódnice, swetry, płaszcze, botki oraz szaliki i rękawiczki. Żadne z nas nie wyglądało jak z zumala. Ale mieliśmy pewność, że nie umarzniemy. Charles włożył grube brązowe spodnie ze sztruksu, sweter oraz płaszcz. Odpowiednio ubrani, wyruszyliśmy o umówionej godzinie.

Poszliśmy „na skróty” przez ogród i weszliśmy na dziedzińiec kościelny przez bramę od strony parku, unikając w ten sposób tłumy, który się zebrał, chcąc choć przez chwilę popatrzeć na rodzinę królewską. W dziesięć lat później - w pewien zimowy dzień - też miały tu przybyć tłumy. Ludzie zawsze chcieli oglądać rodzinę królewską, jednak wtedy większość zgromadzonych pragnęła zobaczyć przede wszystkim młodą księżną Dianę, która, będąc w ciąży z pierwszym synem, spełniła już swój obowiązek - zapewniła dziedzica angielskiemu tronowi. Tłumy, które wtedy na nią patrzyły, były całkiem nieświadome, że w tych pierwszych miesiącach ciąży księżnej Dianie towarzyszy choroba i zgryzota i że księżna dokłada wszelkich starań, aby to ukryć przed ludźmi, którzy ją uwielbiają. Po powrocie z Norfolk do Londynu, Diana napisała do mnie: *To już czwarty miesiąc, a ja wciąż czuje się chora i jestem chora*. Dla tłumów stojących przed kościołem w ów chłodny zimowy dzień w roku 1972, byliśmy całkiem nieznanymi. Byliśmy po prostu jedną z miejscowych rodzin składającą się z ojca - wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny - i dzieci -

krzepkiego chłopca i trzech szczupłych dziewczynek. Jedna z tych dziewczynek miała długie jasne włosy, druga miała włosy drugie, gęste, falujące i rude, a najmłodsza - na oko dziesięcioletnia - wyglądała niepozornie ze swoimi sięgającymi ramion włosami w mysim kolorze. Można było powiedzieć, że ta najmłodsza to dziecko o miłej powierzchowności, ale zdolne przyciągnąć tylko przelotne spojrzenie.

Weszliśmy do kościoła i przeszliśmy do przodu, gdzie rodzina miała własną ławkę. Sarah usiadła pierwsza, a ja obok niej. Lord Althorp zajął miejsce przy przejściu, a Charles i Diana usiedli między mną a nim. Kościół jest mały i wkrótce wypełnił się po brzegi. Dzieci zachowywały się bardzo dobrze. Diana, która co tydzień chodziła do kościoła ze szkołą, wiedziała, że przez godzinę musi siedzieć spokojnie. Kilka minut, które pozostały do rozpoczęcia nabożeństwa, spędziliśmy na sprawdzaniu pieśni. Dzieci szeptały przy tym *O, tę znam* albo *Tę lubię*, potwierdzając, że proboszcz postarał się dobrać je tak, żebyśmy wszyscy mogli sobie zdrowo pośpiewać.

Zarządca majątku królowej, Julian Loyd, którego posiadłość, Laycocks, znajdowała się w najbliższym sąsiedztwie i którego żona podczas zeszłorocznych ferii wielkanocnych zaprosiła mnie do złożenia mojej pierwszej wizyty z dziećmi, siedział z rodziną w ławce za nami. Diana zaryzykowała i obejrzała się ukradkiem, chcąc się przekonać, że Alexandra jest obecna, i dać jej znak, że ją widzi, ale zaraz się odwróciła, gdyż ja trąciłam ją w bok. Wątpię zresztą, czy Alexandra, wcisnięta między rodziców, odważyłaby się chociażby uniesieniem brwi dać znać Dianie, że ją poznaje. Loydowie, którzy sprawiali wrażenie rodziny niezwykle zżytej, udzielali lordowi Althorpowi znacznego wsparcia psychicznego, jednak ja miałam zawsze świadomość, że uważają nasz swobodny styl bycia za godny raczej sfer artystycznych. Nie mieli jednak podstaw do

krytykowania go, gdyż nasze dzieci wyglądały zawsze na szczęśliwe, a poza tym w razie potrzeby były przywoływane do porządku i potrafiły zachować się poprawnie. Wizyta w kościele była tego najlepszym dowodem.

W ciągu roku jest wiele niedziel, dlatego być może powinniśmy byli dopilnować, żeby dzieci częściej bywały w kościele, ale z drugiej strony dziewczynki, będąc w szkole, chodziły na nabożeństwa co niedziela. A Charles i ja czytaliśmy opowieści z Biblii dla dzieci i zawsze przed snem odmawialiśmy modlitwy. Podczas wakacji i ferii modliła się z nami również Diana. Lord Althorp i ja uważaliśmy, że w ich wieku takie wprowadzenie do życia religijnego wystarczy. To, że nie wywierano na nich pod tym względem nacisku, zapobiegało poczuciu alienacji, jakie mogłoby się u nich rozwinąć w przyszłości, a także powstaniu niechęci do religii, jaka mogłaby wpłynąć na ich wybory i decyzje podejmowane w starszym wieku. Później, kiedy po nabożeństwie zebraliśmy się przy stole, aby zjeść lunch, Sarah stwierdziła, że ludzie na pewno wiedzą, że chodzimy do kościoła tylko wtedy, kiedy pojawia się tam rodzina królewska. Nasza rodzinna ławka, znajdująca się z przodu, bardzo rzucała się w oczy i możliwe jest, że zdanie Sary podzielali wszyscy ci, którzy siedzieli za nami i którzy przychodzili na nabożeństwa przez cały rok.

- Alexandra jest taka nadęta, że nawet nie chciała na mnie spojrzeć przed nabożeństwem - odezwała się Diana.

Przypomniałam jej, że Alexandra siedząca między rodzicami prawdopodobnie nie chciała narazić się na reprimendę, więc to, że nie dała Dianie znać, iż ją widzi, nie świadczy wcale o tym, że jest „nadęta”, świadczy natomiast o jej rozsądku.

Wszyscy siedzieli w ławkach. Organista grał na organach. W pewnej chwili usłyszałam, że z tyłu rozlega się szuranie. Sarah

siedząca na lewo ode mnie wstała. Zrobiłam to samo, schylając się i mówiąc szeptem do Diany:

- Wstań.

Diana powtórzyła to słowo, zwracając się do Charlesa. Członkowie rodziny królewskiej weszli do kościoła i przeszli w stronę własnych ławek stojących pod kątem prostym w stosunku do naszej. Tego dnia na nabożeństwo przybyli: królowa matka, królowa, książę Filip oraz cała czwórka dzieci królewskiej pary. Nabożeństwo zaczęło się prawie natychmiast. Miałam teraz okazję, żeby się rozejrzeć, i przekonałam się, że kościół jest śliczny. W oknach znajdowały się piękne, kolorowe witraże, a ołtarz z lanego srebra był wprost cudowny. U stóp wieży stała marmurowa chrzcielnica подарowana kościołowi przez Edwarda VII. W tej chrzcielnicy trzydziestego sierpnia 1961 roku ochrzczono Dianę. Lista rodziców chrzestnych Diany jest imponująca, jednak Diana - jako jedyna spośród rodzeństwa - nie została chrześniaczką żadnego z członków rodziny królewskiej.

Śpiewało nam się przyjemnie. Przy akompaniamencie organów śpiewanie idzie zawsze lepiej. Przypuszczam, że kazanie i modlitwy odnosiły się w jakiś sposób do spraw aktualnych, ale muszę przyznać, że nie bardzo uważnie ich słuchałam. Całe to wydarzenie było dla mnie czymś niezwykłym. Staralam się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, bo chciałam później opowiedzieć o wszystkim rodzicom. Nigdy przedtem nie znajdowałam się w kościele - czy gdziekolwiek indziej, gdzie była obecna królowa. Przypomniałam sobie, jak na lekcjach w szkole przez długie lata uczyłam się o wielowiekowej historii monarchii. W naszej szkole podzielono nas na sekcje, tak zwane domy (houses), które nosiły nazwy pochodzące od panujących dynastii. Każdą z nich symbolizował inny kolor. Tak więc były dynastie Plantagenetów, Tudorów, Stuartów i w końcu dynastia Windsorów z kolorem zielonym. Monarchia była dla mnie

czymś, o czym czytałam, o czym się uczyłam i pisywałam podczas egzaminów, czymś w sensie dosłownym akademickim - aż do chwili gdy w tamtą niedzielę „oni” znaleźli się w tym samym miejscu co „my”. Od tego czasu już jakoś inaczej pojmowałam odległość i różnicę istniejące między nami.

Pod koniec nabożeństwa przeżyłam chwilę szczególnie doniosłą. Organy zagrały hymn narodowy, którego dźwięki wypełniły kościół. Podnieśliśmy się z miejsc, żeby zaśpiewać *Boże, zachowaj królową* - a królowa była tuż przed nami. Śpiewając, spojrzałam na nią. Stała bez ruchu i z powagą patrzyła przed siebie. Ileż to razy i w ilu różnych miejscach przychodziło jej słuchać naszego narodowego hymnu.

Królowa promieniowała spokojną pewnością siebie. Nie mogłam sobie wyobrazić, o czym myśli, stojąc tak wraz z rodziną w małym kościółku znajdującym się na terenie posiadłości Sandringham. Byłam zadowolona, że lord Althorp kazał nam wszystkim pójść tego dnia do kościoła, gdyż czułam, że dla mnie jest to doświadczenie jedyne w swoim rodzaju. Nie przyszłoby mi wtedy do głowy, że za dziewięć i pół roku - czyli w epoce oddalonej o całe lata świetlne od tamtych chwil - będę stała we wspaniałej, zbudowanej przez Wrena katedrze Świętego Pawła, i ponownie śpiewała hymn w obecności królowej, podczas ślubu jej syna z tą dziewczynką, która tam, w ślicznym kościółku Świętej Marii Magdaleny, znajdowała się obok mnie.

Będąc zdeklarowaną monarchistką, w następnych latach śpiewałam hymn narodowy wiele razy i w wielu różnych miejscach. A śpiewając, zawsze miałam łzy w oczach i czułam przyspieszone bicie serca. Kiedy w najdalszych zakątkach świata, w najbardziej zacofanych krajach, zapytana o narodowość, odpowiadam „Jestem Brytyjką”, zostaję zawsze zasypana pytaniami o naszą rodzinę królewską i piękną księżnę. Zdarza mi

się spotykać ludzi, którzy nie potrafią nawet czytać i którzy mimo to mówią, że widzieli zdjęcia: zdjęcie Diany w niebieskim kostiumie zrobione w dzień zaręczyn, zdjęcie Diany w diademie Spencerów stojącej podczas królewskiego ślubu u boku małżonka we wspaniałym mundurze, zdjęcie Diany - już matki - z dwoma synami i wiele, wiele innych.

Przez cały okres swego panowania królowa cieszyła się powszechnym szacunkiem. Panowała z godnością, stawiając obowiązek wobec narodu ponad osobiste przyjemności i demonstrując całym swoim postępowaniem, jaką to pozytywną rolę monarchia może odgrywać w życiu kraju.

Królowa pokazała, za czym opowiada się monarchia w zakresie moralności, pokazała, że prawość charakteru i zasady poprawnego zachowania są tym, czym muszą się kierować te najwyższe kręgi. Stworzony przez nią obraz ulega obecnie wypaczeniu wskutek postępowania niektórych egocentrycznych „młodych członków rodziny królewskiej”. Ci młodzi ludzie przedkładają osobiste szczęście nad uczciwość i obowiązek. Odmawiając pójścia drogą, którą powinni kroczyć - gdyż na tym polega ich życiowe zadanie, ich praca - zniszczyli lub w każdym razie narazili na niebezpieczeństwo zniszczenia bardzo wiele. Niejeden „zwykły” człowiek nie lubi swojej pracy, co wpływa na jego życie rodzinne, jednak taki człowiek nie rezygnuje, mówiąc: „Nie lubię tej pracy, więc przestaję ją wykonywać”.

Większość „zwykłych” ludzi nie może sobie pozwolić na przyjęcie takiej postawy. Dlatego mierzą się oni ze swoimi problemami, dyskutują na ich temat i, nie mając innego wyjścia, wybierają kompromis, który staje się w końcu rzeczą do przyjęcia. „Zwykłym” ludziom niedany jest luksus „wycofania się i odmowy”. Sądzę, że większość z nich zgadza się z tym poglądem i gardzi słabościami, które zmanifestowały się wśród

pewnych członków rodziny królewskiej i które spowodowały zachwianie ich pozycji. Natomiast Diana jest na całym świecie symbolem piękna, młodości i nadziei na przyszłość. Jest uosobieniem marzeń i snów wielu ludzi. Miejmy więc nadzieję, że ludzie ci nie poznają nigdy całej prawdy o smutku, który towarzyszy życiu ich bajkowej księżnej. Bo to właśnie tym ludziom, ludziom społecznie, fizycznie czy też umysłowo upośledzonym, Diana potrafi tak bardzo pomóc, to na nich działa tak inspirująco. Należy mieć nadzieję, że sprawiedliwość zwycięży, że pokonane zostaną uprzedzenia i że znajdą się ludzie na tyle silni wewnętrznie, by nadal mówić głośno, że Diana jest jedną z najwartościowszych osób w rodzinie królewskiej. Niech ci ludzie sprawią, by pozytywne myślenie zajęło miejsce negatywnego, by znikły próżne żale mogące doprowadzić do dalszego podkopania wiary w to, że „Firma” powinna się cieszyć ogólnym szacunkiem i by stworzony przez królową obraz monarchii odzyskał wiarygodność.

Z monarchii zaczęto sobie kpić. Rodzina królewska stała się pośmiewiskiem, ludzie zaczęli postrzegać jej życie tak jak życie bohaterów jakiejś głupiej opery mydlanej. Niektórzy z jej członków wykształcili w sobie mentalność drugorzędnych aktorów. Dwadzieścia dwa lata upłynęły od chwili, gdy siedziałam w pięknym kościółku w Sandringham. Wtedy naszej monarchii wciąż zazdrozczono, wciąż ją czczono i podziwiano na całym świecie. Dwanaście i pół roku upłynęło od chwili, gdy taka dumna siedziałam w katedrze Świętego Pawła i oglądałam bajkowy ślub zawierany przez parę, która, jak się wtedy zdawało, miała kontynuować odziedziczone po przodkach chlubne tradycje. Czas już chyba najwyższy podejść do spraw w sposób dojrzały i umożliwić wszystkim członkom rodziny odegranie odpowiednich dla nich, satysfakcjonujących ról. Tak, czas najwyższy zakończyć spory i kłótnie i przyznać, że zarówno Karol

jak i Diana mogą wnieść ogromny wkład w przyszłość - jeżeli nie razem, to oddzielnie. Gdyż, jak mówi jedno ze znienawidzonych przez Dianę porzekadeł, „podwójne zło nie daje w rezultacie dobra”. Niech ludzie „wyjątkowi” nauczą się czegoś od tych „zwykłych”, niech się nauczą mierzyć ze swymi problemami i niech przyjmą do wiadomości, że istnieją różnice zdań. A wtedy, po rozsądnej dyskusji, z pewnością można będzie osiągnąć możliwy do przyjęcia kompromis.

W styczniu roku 1993, w pierwszych tygodniach po separacji Diany i Karola - kiedy ta separacja była wciąż tematem wielu rozmów i kiedy większość ludzi wyrażała zdumienie, że można było dopuścić do takiej bezprecedensowej sytuacji - napisałam do sir Roberta Fellowesa. *Do napisania tego listu skłonił mnie gniew. Uważam, że żadna sprawa, a zwłaszcza sprawa o tak wielkim znaczeniu jak ta, nie powinna być traktowana jako sprawa przegrana.* Żywiłam głębokie przekonanie, że Diana nigdy nie otrzymała od kręgów królewskich i dworu takich wskazówek, takiego współczucia i takiego wsparcia psychicznego, jakie jej były potrzebne i jakie by jej bardzo pomogły. Sir Robert Fellowes, odpowiadając na mój list, napisał, że śmierć hrabiego Spencera była dla Diany nie tylko wielką tragedią osobistą. Tragiczniejsze w niej było to, że *księżna Walii straciła w ważnym momencie życia podporę, jaką był dla niej ojciec.* Sir Robert zdawał sobie sprawę, jak bardzo Diana potrzebowała takiej podpory, i musiał wiedzieć, w jak wielkiej rozpacz jest jego nieszczęśliwa szwagierka. Jednak jego możliwości niesienia pomocy były ograniczone z powodu jego pozycji i obowiązków, a także ze względu na to, że w związku z tą pozycją i tymi obowiązkami winien był lojalność określonej stronie.

Nie pozostaje mi nic innego jak zastanawiać się, czy aktorzy pierwszego planu - wraz z towarzyszącymi im aktorami drugoplanowymi - będą na tyle wiele, aby przyjąć wyzwanie. W ostatnich latach prawie zawsze zdarzało się tak, że to kobiety

z rodziny królewskiej okazywały siłę i hart ducha. Wyobrażam sobie, że gorycz i ból, jakich doświadczają obie strony, z czasem staną się mniej dojmujące. I mam nadzieję, że kiedy obie strony zademonstrują swoją dojrzałość i zdolność do wypełniania swoich obowiązków z uwzględnieniem wspólnych interesów oraz interesów dzieci (a oboje, i Diana i Karol, pod tym względem zachowywali się zawsze fair) i kiedy królowa i premier udzieli Dianie swojego poparcia, możliwe będzie współdziałanie na warunkach partnerskich i z zachowaniem wzajemnego szacunku.

Nabożeństwo skończyło się i królowa wraz z rodziną opuściła kościół. My też wychodziliśmy powoli, rozmawiając z ożywieniem. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, zobaczyliśmy tłum ludzi. Czekali oni na zakończenie nabożeństwa, pragnąc jeszcze raz zobaczyć rodzinę królewską. Byli wśród nich także dziennikarze, którzy interesowali się ubiorami kobiet z rodziny królewskiej - kolorami ich płaszczy, sukien i kostiumów - nie okazując przy tym najmniejszego zainteresowania ubiorami mężczyzn. Stojące przed kościołem dzieci z przejęciem wręczały małe bukietiki, przekonując się, że warto było tak cierpliwie czekać, gdyż kwiaty zostały przyjęte bardzo łaskawie. Lord Althorp poprosił mnie, żebym poszła z dziewczynkami i Charlesem do domu. Powiedział też, że wróci na lunch, prosząc równocześnie, żeby kucharka przygotowała go o pół godziny później. Dziwiłam się trochę, że do kościoła przybyło tylu wiernych poddanych. Byłam zadowolona, że nie pada, mimo że dzień jest chłodny. Myśląc o tym, że pogoda dopisała, doszłam do wniosku, że mam zbyt wielką skłonność do traktowania mojego otoczenia, a także życia, którym żyję w Park House, za coś oczywistego. Uświadamiając sobie, jak bardzo masy popierają rodzinę królewską, zdałam też sobie sprawę, że jestem niezmiernie uprzywilejowana, mogąc - nawet przez stosunkowo krótki czas - uczestniczyć w życiu, jakie prowadzą tak

nieliczni, i doświadczyć stylu życia, który w przyszłości całkiem zaniknie.

Szliśmy do domu szybko, naszą prywatną trasą przez park. Cieszyliśmy się, że za chwilę znajdziemy się w ciepłych pomieszczeniach. Powiedziałam dzieciom, że poproszę kucharkę o ciasteczka czekoladowe, dzięki którym dotrwamy spokojnie do lunchu, i że przekazę jej prośbę lorda Althorpa. Po wejściu do domu wstąpiłam do niej, żeby to zrobić. Przebraliśmy się w ciepłe domowe rzeczy. Rozpaliłam ogień na kominku, wiedząc, że resztę dnia spędzimy pewnie w pokojach dzieciennych i że o czwartej będzie już ciemno. W hrabstwie Norfolk dni wydłużają się w sposób zauważalny dopiero w połowie lutego, jednak ja - mając za sobą 21 grudnia, najkrótszy dzień w roku - zawsze czuję, że posuwamy się naprzód, i z radością witam każdy wiosenny kwiatek. Przed wyjazdem do szkoły Diana zebrała dla mnie bukietek przebiśniegów. Podziękowałam jej, ale powiedziałam, że zgodnie ze starym przesądem przebiśniegi trzymane w domu przynoszą pecha. Umieściłam więc kwiatki na parapecie przy tylnym wyjściu i powiedziałam Dianie, że przechodząc tamtędy, za każdym razem przypominę sobie na ich widok, że niedługo będzie wiosna.

Zaniosłam dzieciom ciasteczka i gorące napoje. Sarah poszła do swojego pokoju. Mieliśmy teraz dwie godziny dla siebie. Dzieci bawiły się spokojnie, a ja usiadłam, żeby poczytać i napisać listy. Pisywałam bardzo chętnie i utrzymywałam regularne kontakty z koleżankami, z których kilka mieszkało za granicą. W rozmowach z Dianą i Charlesem często podkreślałam, jak ważna jest korespondencja, a oni chętnie, prawie bez przypominania, pisywali swoje listy z podziękowaniami. Żeby ich dodatkowo zachęcić, powtarzałam im nieraz:

- Jeżeli nie wyślecie listu z podziękowaniem, nie możecie się spodziewać, że zostaniecie ponownie zaproszeni albo że otrzymacie jeszcze jeden prezent.

Zasiadali obòje w pokoju dziecinnym i pisali. Diana pokrywała dwie strony swoim dużym, okrągłym pismem, a Charles - drobnymi literami - zaledwie jedną.

W domu panował spokój. W niedzielę, bez względu na to, gdzie się ją spędza, panuje zawsze taki jakiś nieuchwytny nastrój. W tę niedzielę spokój zakłóciło pukanie do frontowych drzwi. Lord Althorp jeszcze nie wrócił, a Betts miał tego przedpołudnia wychodne. Poszłam korytarzem w stronę pokoju Sary, wołając do niej, że ktoś puka. Odpowiedziała, że pójdzie sprawdzić, kto to taki i zbiegła po głównych schodach do holu. Za nią popędziła Diana. Ja zostałam na górze, uważając, że niespodziewanego gościa, kimkolwiek by był, nie musi witać cały komitet powitalny. Sarah otworzyła drzwi. Na progu stała księżniczka Anna, która postanowiła odwiedzić nas po nabożeństwie, przed pójściem do domu.

Pobiegłam do pokoju dziecinnego i zapytałam Charlesa, czy wie, dokąd udał się ojciec. Charles nie miał pojęcia. Zaczęłam się zastanawiać, co robić dalej, i w tym momencie usłyszałam na szczęście głos lorda Althorpa dobiegający z holu. Tymczasem Sarah, wraz z Dianą chodzącą za nią jak cień, wprowadziła księżniczkę Annę do salonu. Zbiegłam na dół tylnymi schodami i spotkałam lorda Althorpa zmierzającego do piwnicy po wino. Kiedy podszedł do drzwi piwnicy, przekonał się, że są zamknięte na klucz.

- Gdzie jest klucz? - spytałam.

Lord Althorp nie miał pojęcia. Gdzie jest klucz, wiedział tylko Betts, a Bettsa nie było w domu.

Byłam zdumiona, że mój pracodawca nie wie, gdzie jest klucz od jego własnej piwniczki. Jednak po chwili ochłonęłam i powiedziałam:

- Mam pomysł. Zapytam kucharkę, czy ma sherry.

Sherry pojawiło się natychmiast. W ten sposób kucharka uratowała sytuację. Nie mogłam uwierzyć, że w takim domu nie trzyma się pod ręką kilku rodzajów alkoholu, którym można

by było poczęstować niespodziewanych gości. Zniosłam sherry do pokoju kredensowego, którym zarządzał kamerdyner, i przelałam je do karafki, aby ukryć, że jest to wino tanie, używane przeważnie do deseru zwanego „trifle”. Postawiłam karafkę na srebrnej tacy wraz z kieliszkami, mając nadzieję, że właśnie tak należy je podać, i wniosłam tacę do salonu. Była to jedna z tych chwil, w których rozumiałam, dlaczego nasz dom uważano za niezupełnie normalny. Bo przecież nieczęsto się zdarza, że „niania” wkracza do salonu z winem, a potem zaczyna to wino rozlewać do kieliszków! Atmosfera w salonie była bardzo swobodna.

Teraz znajdował się w nim także Charles, który siedział spokojnie, podobnie jak Diana i ja. Tymczasem Sarah, jej ojciec i nasz królewski gość prowadzili ożywioną rozmowę. Księżniczka Anna nie zabawiła długo. Kiedy wyszła, była już prawie pora lunchu. Jej wizyta okazała się miłą i interesującą. Lord Althorp powiedział nam później, że królowa z dezaprobatą odniosła się do faktu, że jej córka nie zachowała form towarzyskich, pojawiając się u nas bez zaproszenia. Ja natomiast uznałam za smutne, że ten spontaniczny postępek, który nie przyniósł nikomu szkody, stał się przyczyną reprimendy.

W naszym domu, znajdującym się na obrzeżu królewskich kręgów, tolerowało się niespodzianki. Natomiast w samych kręgach królewskich nie było najwyraźniej miejsca na takie rzeczy, nawet w stosunkach z najbliższą rodziną. Uważałam, że tego rodzaju surowe reguły muszą człowiekowi odbierać mnóstwo radości. Nie zazdrościłam członkom rodziny królewskiej ich życia, a dzięki temu incydentowi mogłam sobie później uświadomić, do ilu rzeczy Diana musiała się przystosować po ślubie. I z jaką trudnością zapewne przyszło jej opanować reguły postępowania obowiązujące w kręgach królewskich. Była

przecież taka młoda. Łamała czasami te reguły. Jednak czyż nie należało odnieść się do tego ze zrozumieniem i wybaczyć jej?

Podczas lunchu mieliśmy mnóstwo do omówienia. Rozmawialiśmy o nabożeństwie, a jeżeli nie dosłownie o nim, to w każdym razie o ludziach, którzy byli w kościele. Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy się tam pokazywać przy specjalnych okazjach i czy takie zachowanie to hipokryzja. Powiedziałam, że jestem bardzo zadowolona, że tam poszliśmy i że ja w każdym razie z pewnością nie chciałabym stracić okazji zobaczenia rodziny królewskiej. Diana była tego samego zdania co Sarah: uważała, że wszyscy na pewno wiedzieli, dlaczego pojawiliśmy się w kościele. Powiedziałam jej, że to, co ludzie myślą, nie ma najmniejszego znaczenia, bo to my sami podejmujemy nasze decyzje. Przypomnieliśmy sobie, jacy byliśmy zaskoczeni niespodziewaną wizytą księżniczki Anny. Żartowaliśmy też z siebie samych, mówiąc, że za każdym razem kiedy pojawia się ktoś z rodziny królewskiej, jesteśmy nieprzygotowani. Lord Althorp powiedział, że niektórzy są zdania, iż wkrótce zostaną ogłoszone zaręczyny księżniczki Anny z Markiem Phillipsem, który gości właśnie w Sandringham. Co prawda pałac Buckingham wciąż stanowczo temu zaprzeczał.

- Ale to - powiedział lord Althorp - nic nie znaczy.

Skończyliśmy lunch i spędziliśmy resztę dnia spokojnie. Po przedpołudniowych emocjach, popołudnie przyniosło wyciszenie. Charles i ja przygotowaliśmy szkolne ubranie, gdyż na drugi dzień zaczynał się nowy trymestr. Diana także miała pojechać do szkoły w ciągu najbliższego tygodnia. Wszyscy uważaliśmy, że zimowe ferie w Sandringham były udane. Trudno mi było uwierzyć, że mieszkam w Park House już prawie rok. Czas minął tak szybko. Jednak pod pewnymi względami ten okres wydawał mi się dłuższy niż rok.

Przez jakiś czas mieliśmy jeszcze żyć tak jak dotychczas, jednak moment, w którym Charles pożegna się z Silfield oraz ze swoim życiem w Park House i pojedzie do szkoły z internatem, był coraz bliższy. Moje życie w Sandringham miało się w tym momencie zakończyć, mimo że w przyszłości miałam odwiedzać Park House i pozostawać przez długie lata w kontakcie w członkami rodziny.

Rozdział trzynasty

Zgodnie z umową, jaką zawarłam z lordem Althorpem, byłam zatrudniona jako osoba towarzysząca Sarze i Jane, opiekująca się Dianą i Charlesem i mająca przygotować Charlesa na kolejny okres jego życia, w którym to okresie miał on przebywać w szkole przygotowawczej z internatem. Na początku mojego drugiego roku w Park House nastąpiły tam pewne zmiany. Lord Althorp więcej czasu spędzał poza domem. Moim zdaniem postępował tak dlatego, że miał pewność, iż nawet podczas jego nieobecności dzieci są szczęśliwe, a życie domu przebiega bez zakłóceń. Zdawał sobie sprawę, że we wrześniu Charles opuści Park House i że to będzie oznaczało koniec okresu wczesnego dzieciństwa najmłodszego z jego dzieci. Pusty dom podczas trimesztru będzie się wydawał ogromny,

a jego ciszy nie zakłócał dziecięce głosy. I tylko przez kilka tygodni, podczas wakacji i ferii, te głosy będą rozbrzmiewać w jego pokojach i korytarzach.

Przygotowując się jakby do tego, lord Althorp przebywał przeważnie w Northampton albo w Londynie i próbował się przyzwyczaić do domów, w których miał mieszkać po odjeździe Charlesa do szkoły. W trzy lata później, 9 czerwca 1975 roku, miał umrzeć osiemdziesięcioletni hrabia Spencer, dziadek dzieci. Jego śmierć miała oznaczać, że rodzina musi na zawsze opuścić Park House. Kiedy do tego doszło, adaptacja do nowego domu przebiegła z łatwością. Diana przystosowała się chyba nawet lepiej niż starsze siostry, gdyż w każdej sytuacji potrafiła znaleźć pozytywne strony. Jednak dużo później napisała do mnie list, w którym stwierdziła: *Bardzo tęsknimy za Norfolkem....* dodając: *...ale tutaj jest ślicznie* i uściślając z właściwą sobie szczerością i realizmem: *zwłaszcza wtedy, kiedy macochy nie ma w domu.*

Park House zachował na zawsze specjalne miejsce w sercach dzieci. Diana zawsze uważała go za prawdziwy dom swojego dzieciństwa. Kiedy w roku 1975, z początkiem letnich wakacji, pojawiła się tutaj i zobaczyła spakowane walizy, nie mogła wprost znieść ich widoku. Nieznośna też była dla niej myśl, że symbolizują one pożegnanie ze wspomnieniami szczęśliwego dzieciństwa. Wszystko wyglądało okropnie ponuro. Diana poczuła się tak nieszczęśliwa, że wraz z Alexandra Loyd „dokonała najazdu” na spiżarnię i, zabrawszy stamtąd wszystkie brzoskwinie, pojechała wraz z przyjaciółką na cały dzień do domku plażowego w Brancaster Beach. Była to jej ostatnia wizyta w tym domku. Wkrótce potem nastąpiła przeprowadzka do Althorp Hall. Śmierć dziadka oznaczała nie tylko zmianę miejsca zamieszkania, lecz także zmianę tytułów. Dziewczynki zmieniły tytuł „Honourable” (Szanowna, Czcigodna) na tytuł

„Lady”. Charles przestał być Szanownym (Honourable) Charlesem Spencerelem, a stał się Charlesem lordem Althorpem, podczas gdy ich ojciec nie był już lordem Althorpem, tylko hrabią Spencerelem.

Byłam ostatnią opiekunką dzieci zatrudnioną przez lorda Althorpa. Lord Althorp poprosił, abym je odwiedzała podczas szkolnych wakacji lub ferii, kiedy tylko będę dysponowała czasem. Gdy więc ostatnie letnie wakacje dobiegły końca i dziewczynki pojechały do swoich szkół z internatami, a Charles rozpoczął naukę w Maidwell, nie miałam poczucia, że nasze rozstanie jest ostateczne, ponieważ wiedziałam, że na pewno jeszcze się spotkamy. Nie smuciłam się też bardziej niż przy naszych poprzednich pożegnaniach. I oczywiście nie żegnaliśmy się z płaczem. Byłam na to rozstanie gotowa. Od początku wiedziałam, że moja umowa wygaśnie, a poza tym życie oferowało tyle nowych możliwości. Czas był najwyższy iść dalej. Z wielkim sentymentem wspominałam każdą chwilę spędzoną w Sandringham. Jednak nic nie trwa wiecznie. Wiedziałam, że czekają mnie nowe doświadczenia, i byłam gotowa na ich przyjęcie. A poza tym miałam pewność, że dziewczynkom jest w szkołach dobrze, a także że Charles, kiedy się zaadaptuje w Maidwell, też będzie sobie dobrze radził. Okazało się, że miałam rację, gdyż w sześć lat później Charles napisał do mnie w liście: *W Maidwell było świetnie. Byłem najlepszym uczniem... grałem w krykieta i w rugby. W rugby nawet w szkolnej drużynie jako jeden z najlepszych graczy.*

Czułam satysfakcję, bo wykonałam swoją pracę najlepiej jak umiałam, a poza tym wiedziałam, że spotkamy się wszyscy ponownie. I rzeczywiście, przyjechałam do nich podczas ferii zimowych po zakończeniu pierwszego trymestru w szkole Charlesa. Później jednak udałam się do Stambułu jako nauczycielka angielskiego, maszynopisania i stenografii w szkole średniej. Zajmowałam się też pracą administracyjną związaną

z organizacją pokazów mody, z którymi szkoła jeździła po Turcji i Europie. Dziewczęta były już wtedy tak samodzielne, że potrafiły zająć się i sobą, i młodszym bratem. Personel domowy pozostał oczywiście na miejscu, gdyż gospodarstwo musiało być prowadzone bez względu na to, czy rodzina mieszkała w domu czy nie.

Już podczas pierwszego roku mojego pobytu w Park House Charles i Diana zmienili się w sposób zauważalny. Charles stał się bardziej szczery i otwarty. Jego wyważone uwagi świadczyły, że wypowiada je ktoś myślący, ktoś, kto zawsze postępuje rozważnie. Charles uczył się dobrze, był konsekwentny, inteligentny i poważny. Nabierał coraz większej pewności siebie i coraz częściej brał czynny udział w rozmowach, wyrażając swoje poglądy zwięźle i w sposób przemyślany. Pozostał trochę zamknięty w sobie. Nigdy nie miałam z nim problemów. Chętnie postępował tak, żeby mnie zadowolić, a kiedy prosiłam go, żeby coś zrobił, nigdy się nie sprzeciwiał. Nie oznaczało to bynajmniej, że jest pozbawiony charakteru. Sądzę, że po prostu moje prośby były zawsze rozsądne. Wszyscy staraliśmy się, żeby życie w domu toczyło się tak gładko jak to tylko możliwe. Toteż rzadko dochodziło do sporów. Dni upływały szybko, zgodnie z rozkładem, który rzadko ulegał zakłóceniom i który zmieniał się tylko podczas wakacji i ferii.

Zmiany, które zaszły w Dianie, były bardzo wyraźne. W ciągu roku przekształciła się z nieśmiałej małej uczennicy o spuszczonej oczach, którą po raz pierwszy zobaczyłam w Riddleworth, w dziewczynkę uwielbiającą żartować, a jednak grzeczną. Do zmiany tej przyczyniła się przede wszystkim szkoła. Poza tym Diana wiedziała, że podczas wakacji i ferii czeka na nią szczęśliwy dom, co sprawiło, że pozbyła się w znacznym stopniu tej niepewności, która ją dręczyła od chwili, gdy rodzice się rozstali. W miarę upływu czasu Diana z coraz większą łatwością godziła się z tym, że rodzice mają oddzielne domy. W

obu bowiem panowały miłość i szczęście i oba zapewniały poczucie bezpieczeństwa. A równocześnie Diana, dojrzewając, pozbywała się tego braku wiary w siebie, który wciąż mógł czaić się gdzieś w cieniu. Zarówno w szkole jak i w domu Dianę otaczali ludzie, którzy ją zachęcali do wykorzystywania własnego potencjału i którzy chwalili ją za to, że się stara. Stopniowo Diana stawała się bardziej pewna siebie i zaczynała mieć bardziej dojrzały stosunek zarówno do własnych wysiłków i osiągnięć, jak i do otaczających ją ludzi.

Przeprowadzka do Althorp Hall, latem 1975 roku, zakłóciła życie całej rodziny. Sarah i Jane, z których każda miała już własny dom i pracę w Londynie, mniej to odczuły, jednak i im było żal Park House, który przez długie lata stanowił dla nich bazę. Diana nie była zadowolona z przeprowadzki do Althorp, ale - nie mając wyboru - pogodziła się z nią. Zawsze potrafiła się przystosować, a zmieniając otoczenie, wyciągała jak najwięcej korzyści z tego, co było nieuniknione. Dla Sary i Jane przeprowadzka do Althorp oznaczała po prostu, że obie częściej przebywały w Londynie, a Diana, która była teraz uczennicą West Heath, często przyjeżdżała do jednej czy drugiej z nich na wolne od szkoły weekendy.

Jane kupiła mieszkanie na Warwick Square w Pimlico. Po zdaniu egzaminów na poziomie zaawansowanym (A level) w West Heath, pojechała na sześć miesięcy do Włoch, żeby tam, we Florencji, studiować sztuki piękne i historię sztuki. Po powrocie do Londynu skończyła kurs dla sekretarek, a potem zatrudniła się w „Vogue'u” jako asystentka redaktora. Sarah natomiast kupiła mieszkanie w Chelsea, przy Elm Park Lane. Po dość nagłym rozstaniu z West Heath spędziła pewien okres w szkole w Szwajcarii. A ze Szwajcarii pojechała do Wiednia studiować muzykę. Potem przyjechała do Londynu i również skończyła kurs dla sekretarek. Otrzymała posadę w biurze pośrednictwa handlu nieruchomościami Savills przy Berkeley

Square w Londynie. To właśnie za pośrednictwem tego biura Diana, w cztery lata po przeprowadzce do Althorp, kupiła mieszkanie przy Coleherne Court za pieniądze pochodzące ze spadku, jaki jej zostawiła amerykańska prababka, Frances Work.

Od chwili gdy ją poznałam, w Dianie rozwijała się wrażliwość na to, co liczy się w oczach ludzi, i to nie tylko ludzi z jej własnych kręgów rodzinnych, ale także innych - tych, których spotkała później, już pracując. To podejście przydaje jej się obecnie, kiedy jest księżną Walii. Gdy wieść o przyjaźni Diany z księciem Karolem przedostała się do wiadomości publicznej, plotkarze bardzo starali się znaleźć w jej życiu jakiś skandal czy romans. Jednak bezskutecznie. W życiu Diany nie było niczego takiego. Diana cieszyła się życiem, ale nie rzucała się w wir przygód. Utrzymywała pewien dystans w stosunku do otoczenia. Była w niej naiwność, która budziła sympatię, tworząc równocześnie niemożliwą do przeniknięcia zasłonę. Nie ma wątpliwości, że przeżywszy głęboko rozwód rodziców, Diana pragnęła, żeby jej własne życie było jak najbardziej ustabilizowane.

Wiedziała, że zawikłania emocjonalne powodują niepokój i niepewność. Starła się unikać wszelkich konfrontacji, które jej sprawiały „ból”. Diana zawsze z łatwością nawiązywała kontakty i lubiła towarzystwo. Miała krąg przyjaciół znanych jej jeszcze z czasów, gdy mieszkała w Norfolk. To prawda, że nie wyróżniała się nigdy zdolnościami intelektualnymi, jednak kładąc nacisk jedynie na to, nie scharakteryzuje się jej w sposób zgodny z prawdą. Jak wielu nastolatków, Diana bywała leniwa. Nie lubiła zwłaszcza uczyć się tych przedmiotów szkolnych, którymi się nie interesowała.

Jako nastolatka cieszyła się taką samą popularnością wśród rówieśników jak za czasów dzieciństwa. Była energiczna, sprawna i zdrowa. Chętnie uprawiała sporty. Pływanie i balet sprawiały jej większą przyjemność i dostarczały większej

satysfakcji niż nauka klasycznych przedmiotów szkolnych. Od wczesnych lat lubiła pomagać ludziom i przy każdej nadarzającej się okazji niosła pomoc tym, którym było w życiu gorzej niż jej. Będąc w szkole, pomagała starszym i chorym z okolicy i bardzo to lubiła. Choroba zaczęła ją nękać dopiero po ślubie. Wcześniej - czując się nieszczęśliwa (na przykład w Szwajcarii w szkole noszącej nazwę Institut Alpin Videmanette i mieszczącej się w Château d'Oex w pobliżu Gstaad) - potrafiła zawsze znaleźć wyjście z sytuacji. Przebywając w swojej szwajcarskiej szkole, tak długo pisała do rodziców, tak długo informowała ich, że jej tam źle, aż jej pozwolili stamtąd wyjechać. Jej pogląd na temat tej szkoły nie zmienił się, gdy w kilka miesięcy później pisała do mnie w liście: *Przez trzy miesiące byłam w szkole, której nie znosiłam...*

Jednak później, po ślubie, żadne listy nie mogły być dla niej ucieczką czy też lekarstwem na wszystko to, czego prawie od początku doświadczała w małżeństwie. Diana była w małżeństwie nieszczęśliwa. Ale dopiero z czasem, kiedy uświadomiła sobie, że znajduje się w pułapce - gdyż pułapką było małżeństwo coraz bardziej pozbawione miłości - poczuła się bezradna i zareagowała na to wszystko bulimią. Diana zachorowała, kiedy, uświadomiwszy sobie, że nie jest kochana, poczuła się zraniona i bezradna, no i po prostu wściekła. Kiedy stało się dla niej jasne, że to marzenie, które pielęgnowała od dzieciństwa i o którym mówiła mi podczas pierwszej naszej wspólnej podróży samochodem, marzenie o szczęśliwym, pełnym miłości życiu rodzinnym, nie spełni się nigdy w jej związku z mężczyzną, którego pokochała i poślubiła, była zdruzgotana. Wiem, że wielu ludzi znajduje się kiedyś w życiu w takiej sytuacji. Jednak dla Diany ta sytuacja jest straszniejsza niż dla kogokolwiek innego, gdyż w jej wypadku nie do pomyslenia jest ucieczka od męża. Diana nie może uciec i poszukać miłości rodzinnej i

szczęścia gdzie indziej. Powiem więcej, taka rzecz jest nie tylko nie do pomyślenia, taka rzecz - jako wydarzenie bez precedensu - jest po prostu niemożliwa.

W przeszłości Diana poradziła sobie psychicznie z rozwodem rodziców i zmieniła się szybko z nieśmiałego, smutnego dziecka w żywą, skłoną do psot i żartów dziewczynkę. Pomogli jej w tym otaczający ją ludzie, którzy stworzyli korzystną dla takiej przemiany atmosferę. Z przemianą z dziewczynki w nastolatkę poradziła sobie doskonale. Pomogły jej wtedy miłość obojga rodziców i wsparcie psychiczne ze strony starszych sióstr. Jako nastolatka bywała czasami najbardziej ożywiona z całego towarzystwa, a czasami zamknięta w sobie - zależnie od nastroju. Jednak wszyscy ludzie w tym wieku miewają nastroje. Z przeciętnej nastolatki wyrosła następnie na samodzielną młodą kobietę - prawie bez niczyjej pomocy, opierając się jedynie na własnych rezerwach wewnętrznej siły stworzonych we wczesnym dzieciństwie i uczyniwszy mocne postanowienie, że zrobi wszystko, aby to się udało. Później z taką samą stanowczością starała się, aby mąż był z niej dumny.

Obserwowałam te przemiany: z dziecka w nastolatkę, a potem w młodą, samodzielną i prowadzącą ożywione życie towarzyskie kobietę i wreszcie w księżną. Podczas ostatnich miesięcy swojej wolności Diana miała samochód, ale w zwykłe dni tygodnia jeździła na rowerze, gdyż tak było szybciej. Podobnie jak jej współlokatorki, prowadziła ożywione życie towarzyskie, przeważnie jednak wychodziła z domu nie na klasyczne randki, tylko w grupie rówieśniczej. Ani ona, ani żadna z jej współlokatorek nie paliła i nie piła zbyt wiele. Z przyjemnością wydawały prośzone kolacje w domu. Jadały w restauracjach, w których ceny były umiarkowane. A poza tym chodziły do teatrów i na przedstawienia baletowe. Jednak w sumie życie Diany nie różniło się od życia większości dziewcząt w jej wieku mieszkających w Londynie. Diana nie bardzo lubiła przyjeć i nie

znosiła nocnych klubów, czując się pewniej w domu, wśród przyjaciół i przy muzyce. Uwielbiała robić zakupy u Harrodsa i Harveya Nicolsa, a w mieszkaniu, które dzieliła z przyjaciółkami, panował większy porządek niż w innych, podobnych mieszkaniach, gdyż Diana bardzo lubiła sprzątać. Spotykałam się z nią w Londynie i mogę stwierdzić, że była wtedy po prostu szczęśliwą, normalną dziewczyną, nieprzeżywającą żadnych poważnych romansów. Diana bardzo lubiła swoją pracę - zarówno opiekę nad małym Amerykaninem, Patrickiem Robertsem, jak i zajęcia w przedszkolu noszącym nazwę Young England Kindergarten. Była pod każdym względem typową, zadowoloną z życia dziewczyną z arystokratycznej rodziny, uczącą się stać na własnych nogach i otoczoną kręgiem wiernych, godnych zaufania przyjaciół.

Później, kiedy już widziałam, że jej życie staje się coraz bardziej przedmiotem powszechnego zainteresowania, przeżywałam każdy jej krok. Podziwiałam ją, widząc, w jaki sposób mierzy się z wyzwaniem i jak staje się coraz bardziej pewna siebie. Ta determinacja i ta wola, które musiała okazać chcąc utwierdzić i zachować swoją tożsamość, cechowały ją zawsze, nawet w dzieciństwie. Z przyjemnością myślę, że nasze rozmowy i wskazówki, jakie jej dawałam, pomogły jej okazywać tę determinację i tę wolę. Kiedy świat już wiedział, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że Diana i Karol się pobiorą, napisałam do Diany list. Radziłam jej w nim, żeby była wobec siebie uczciwa i zastanowiła się, do jakiego stopnia jej miłość jest szczerą i głęboką. *Chociaż słyszałaś o Karolu od tak dawna, miałaś bardzo mało czasu, żeby go naprawdę zrozumieć. Myślę, że niezmiernie trudno jest być bez przerwy przedmiotem powszechnego zainteresowania. Zawsze miałaś nadzieję, że się zakochasz i wyjdiesz za męża. Upewnij się, że to, co do niego czujesz, nie jest zadurzeniem, że nie zadurzyłaś się w nim po prostu dlatego, że jest on tym, kim jest. I pamiętaj, że*

nigdy więcej nie będziesz osobą prywatną. Biorąc ten ślub, nie wychodzisz po prostu za mąż, tylko rozpoczynasz zupełnie nowe życie, przyjmujesz na siebie określone obowiązki, podejmujesz określoną pracę. Chciałabym, żebyś była pewna, że kochasz, no i żebyś była szczęśliwa. Jest to krok bardzo doniosły i po zrobieniu go może nie być odwrotu. Następnie zażartowałam, pisząc, że oto w tak niezwykle sposób spełniają się jej dziecięce marzenia. Tą uwagą także chciałam ją nakłonić do tego, żeby zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Sądzę, że - w obliczu tego, co się wtedy w jej życiu działo - mój list nie miał znaczenia. Napisałam go jednak, gdyż czułam, że moim obowiązkiem jest dbać o zapewnienie jej szczęścia. Uważałam też, że muszę zadbać o to, by Diana weszła w ten związek z otwartymi oczami. Być może była to zrozumiałość z mojej strony. Czułam jednak, że chcąc być uczciwą wobec siebie, muszę ten list napisać. Zawierał on też zdanie: *Jeżeli masz absolutną pewność, to przyjmij moje gratulacje.*

Kiedy ogłoszono zaręczyny, Diana napisała do mnie z Clarence House, rezydencji królowej matki. Podziękowała mi za mój list i stwierdziła, że bardzo jej pomogłam *doprowadzić to wszystko do końca*. Muszę powiedzieć, że teraz żałuję czasami, że nie doradzałam jej bardziej intensywnie, jednak było to niemożliwe. Znałam Dianę bardzo dobrze i być może udałooby mi się wyperswadować jej ten krok, jednak nie mogłam brać się za to perswadowanie, ponieważ Karol - którego co prawda, wiele lat wcześniej, spotkałam w parku, ale którego nie byłam w stanie oceniać na podstawie tego spotkania - stanowił dla mnie niewiadomą. Przypuszczam, że - podobnie jak Diana - z pewną dozą naiwności zakładałam, że żeni się on z nią jedynie z miłości. Rozumowanie moje było następujące: Karol może ożenić się z kim chce, więc to raczej niemożliwe, żeby myślał o małżeństwie bez miłości. Nie wzięłam pod uwagę tego, że - w wypadku gdy dziewczyna spełniała wszystkie kryteria, a Diana

przecież je spełniała - miłość była w jego oczach czymś marginalnym. Gdybym wiedziała, że Karol nie kocha Diany, zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, żeby odwieść ją od zamiaru zrobienia tego straszliwego kroku, który w rezultacie doprowadził do zniweczenia jej dziecięcych marzeń i do złamania przez Karola małżeńskiej przysięgi. A Diana, gdyby choć przez chwilę podejrzewała, że istnieje taka możliwość, nie postawiłaby się nigdy w sytuacji, z której nie ma wyjścia.

W dzieciństwie Diana przeżyła ogromną zmianę, jaką stanowił rozwód rodziców. W okresie gdy była nastolatką, czekała ją jeszcze jedna zmiana. Otóż po przeprowadzce do Althorp, która miała miejsce latem roku 1975 i która stanowiła spory wstrząs, nastąpił wstrząs jeszcze większy: ślub lorda Spencera z lady Dartmouth noszącą imię Raine. Ten ślub odbył się w lipcu 1976 roku w Caxton Hall w Londynie. Był to ślub cichy, jedynie z dwójgim świadków. Nie pojawiły się na nim dwie starsze córki lorda. Sarah, która miała wtedy dwadzieścia jeden lat, i osiemnastoletnia Jane były w jak najgorszych stosunkach z kandydatką na macochę. Diana, która musiała w przeszłości przystosować się do tyłu rzeczy i która była z natury bardziej skłonna wybaczać, próbowała pogodzić się z tym, że rodzina powiększy się o tego niechcianego członka. Diana nigdy nie zaakceptowała Raine, jednak uczciwość i głęboka miłość do ojca spowodowały, że dostrzegała, jak bardzo ta kobieta (którą wszyscy czworo przezwali „Kwaśnym Deszczem”*) tego ojca uszczęśliwia.

* Kwaśny deszcz to po angielsku „acid rain”, a słowo „rain” (deszcz) i imię „Raine” wymawia się tak samo (przyp. tłum.).

Po śmierci dziadka trzeba było zapłacić tak ogromny podatek spadkowy, że lord Spencer, pozostawiony samemu sobie, nie wiedziałby, jak sobie z tym poradzić. Charles był oczywiście za młody, by coś doradzić czy pomóc ojcu w tej sprawie.

W kilka lat później mógłby to zrobić, ale nie wtedy. Dzieci krytkowały pomysły lady Dartmouth, późniejszej nowej lady Spencer, jednak trzeba powiedzieć, że gdyby nie jej rady i pomoc, Charles, który dzisiaj jest dziewiątym hrabią Spencerem, posiadałby jeszcze mniej słynnych skarbów Althorpu niż posiada. Gdyż lady Dartmouth, mimo wszystkich swoich śmieszności, była osobą o niezwykle silnym charakterze, kobietą inteligentną, która spożytkowała swą ogromną energię i zainteresowanie sztuką i architekturą w celu przywrócenia Althorp Hall jego blasku, choć trzeba zauważyć, że uczyniła to z nie największym poczuciem smaku. Sprzedaż niektórych skarbów była konieczna, bo trzeba było zapłacić ogromny podatek spadkowy nałożony po śmierci starego hrabiego. Pozbywanie się takich obiektów, skarbów, które rodzina posiadała od dawna, to rzecz smutna, jednak bezsporne jest to, że lady Dartmouth uszczęśliwiła ojca Diany. Dzięki niej zakończył się w jego życiu okres samotności, dzięki niej także, w roku 1978, Althorp Hall odzyskał wypłacalność. Lady Dartmouth doprowadziła do tego ograniczając budżet domowy, oszczędzając na płacach dla personelu i otwierając dom dla publiczności. To ostatnie pociągnięcie spotkało się z wyraźną pogardą ze strony dzieci. Sarah, kiedy z nią pierwszy raz rozmawiałam o tym, że Raine bywa częstym gościem w Althorp, zauważyła lodowato:

- Ona pomaga ojcu otworzyć dom na warunkach komercyjnych. Za życia dziadka ojcu nie przychodziło do głowy, że można do własnego domu wpuścić turystów.

Żeniąc się z Raine, lord Spencer dobrze wiedział, jakimi uczuciami darzą ją dzieci. Dzieci nie były na ślubie. O ceremonii w Caxton Hall w Londynie wiedziało tylko dwoje świadków, w tym przyrodni brat Raine, Glen McCorquodale. I nikt więcej. Raine zadzwoniła potem do matki, Barbary Cartland, i powiedziała:

- Dzień dobry, pobraliśmy się.

Była to scena jak żywcem wyjęta z jednej z powieści starszej pani.

Od samego początku, od chwili gdy dzieci po raz pierwszy zobaczyły kobietę, która miała wkroczyć w życie ich ojca, było oczywiste, że nigdy nie będą z nią w dobrych stosunkach. Ich pierwsze spotkanie nastąpiło w lecie roku 1972, kiedy to lord Althorp przywiózł lady Dartmouth na lunch do Park House, pragnąc, żeby poznała dzieci. Zeszłam na lunch z Sarą, Jane, Dianą i Charlesem. Ponieważ ostatnio w Park House często pojawiali się goście, nie było powodu, żeby przypuszczać, że chodzi o wizytę osoby, która jest kimś więcej niż tylko znajomą. Raine, lady Dartmouth, była wtedy od wielu lat mężatką i miała czworo dzieci. Udzielała się na niwie publicznej w Londynie, gdzie najwyraźniej poznała lorda Althorpa. Sarah, Jane, Diana i Charles byli doskonale wychowani. Zwykle mogłam być pewna, że usiadłszy z gośćmi do stołu w jadalni, będą się zachowywali bez zarzutu. Jednak dzieci oprócz manier mają intuicję. Sarah i Diana nie były pod tym względem wyjątkiem. Mając do ojca stosunek opiekuńczy, obie zabiegały o wszelkie oznaki jego uczucia i były zazdrosne o czas, który poświęcał innym. Ich matka wyszła ponownie za mąż w roku 1969, a one lubiły ojczyma, którym był Peter Shand Kydd, i uważały go za człowieka wyrozumiałego, z którym miło jest przebywać. Ale z niechęcią myślały o tym, że w życiu ojca może pojawić się jakaś nowa kobieta, ktoś, kto zakłóci nasze spokojne życie w Park House. Nic jednak nie powstrzyma wiatru zmian i nic, jak się okazało, nie mogło stanąć na drodze straszliwej lady Dartmouth.

Sarah powiedziała mi w końcu, że chodzą słuchy, iż ojciec spędza sporo czasu z lady Dartmouth. Podobno oboje mają różne wspólne zainteresowania. Odpowiedziałam, że na świecie pełno jest plotkarzy i że zawsze znajdują się ludzie, którzy będą próbowali sugerować, iż jej ojca - ponieważ jest mężczyzną

żyjącym w stanie wolnym - łączy coś z jakąś kobietą. Dodałam też, że w tym wypadku nie do pomyslenia jest, żeby chodziło o coś więcej niż przyjaźń, gdyż lady Dartmouth jest zamężna. Jednak niejasne sugestie, o których wspominała Sarah, wystarczyły, żeby zasiać wątpliwości w jej umyśle. Nie zastanawiając się długo, Sarah powiedziała Dianie, co słyszała na temat „tej kobiety, która przyjdzie na lunch”. Diana natomiast przyszła z tą sprawą do mnie i powtórzyła mi słowa siostry. Powiedziałam jej, że to bzdury, dodając, że tym razem to Sarah dała się ponieść wyobraźni. Mimo to jednak oczekiwałam tego lunchu z wielkim zdenerwowaniem i nie byłam już taka pewna, że maniery dzieci okażą się nienaganne.

Lord Althorp postępował zawsze tak, by dzieci nie miały żadnych wątpliwości, że jego życie kręci się wokół nich. Cała czwórka, zadowolona z tego stanu rzeczy, nie była przygotowana na żadne zmiany pod tym względem. Diana żywiła równocześnie przekonanie, że powinna być lojalna wobec matki, wskutek czego w jej umyśle panował pewien zamęt. Nieraz pytała mnie, czy jest możliwe, by ojciec ponownie się ożenił. Odpowiadałam, że nie mam pojęcia. Nie zastanawiałam się nad tym wcale. Ten temat mnie nie interesował. Lord Althorp wydawał się tak zaangażowany w życie dzieci i tak zajęty pracą, że nie sądziłam, by się na to zanosilo. A już w żadnym razie nie istniało prawdopodobieństwo, że będzie na tak osobisty temat rozmawiał ze mną. Diana, którą pocieszyło to, że reagowałam na jej pytania szczerym zdziwieniem, powiedziała, iż to dobrze, że na to się nie zanosilo, bo byłoby to niesprawiedliwe wobec jej matki. Stwierdziłam, że nie rozumiem, dlaczego tak sądzi, bo przecież matka wyszła ponownie za mąż. Diana odpowiedziała, że to nie ma znaczenia. Prawda była taka, że dzieci nie chciały, żeby ktokolwiek rywalizował z nimi o uczucia ojca.

Wkroczyłam do jadalni dość przerażona. Byłam spięta, zdenerwowana i po raz pierwszy i jedyny w mojej karierze „niani” zastanawiałam się, czy zdołam zapanować nad dziećmi. Miałam jednak nadzieję, że dzieci, darząc mnie szacunkiem, nie będą chciały wyprowadzić mnie z równowagi swoim brakiem dobrych manier. Mój niepokój budziły przede wszystkim Sarah i Diana. Bo wiedziałam, że Diana w takiej sytuacji może - pod wpływem starszej siostry - zacząć chichotać, po prostu dla rozładowania napięcia.

Byliśmy w jadalni pierwsi. Betts posadził lady Dartmouth na prawo od lorda Althorpa, a Sarę naprzeciwko niej, na lewo od ojca. Charles siedział obok Sary, a Jane na lewo od niego. Ja zajęłam miejsce naprzeciwko Jane, a Diana między mną a lady Dartmouth. Ze strategicznego punktu widzenia moja pozycja była dobra, gdyż z jednej strony mogłam spoglądać ostrzegawczo na Sarę, czego ze swojego krzesła nie zauważyłby nasz gość, a z drugiej trącić Dianę łokciem w razie gdybym czuła, że zaraz wybuchnie śmiechem. Przez chwilę pozwoliłam sobie mieć nadzieję, że jestem przesadnie ostrożna i że moje obawy okażą się płonne. Wkrótce przekonałam się jednak, że nie miałam prawa do takiego optymizmu i że moja intuicja była słuszna. Pewnie było nam pisane, że nie zjemy tego lunchu w dobrej, swobodnej atmosferze.

Lord Althorp i lady Dartmouth weszli w chwili, gdy Betts mówił nam, gdzie mamy usiąść. Lord Althorp przedstawił dzieci i mnie swemu gościowi, co poszło gładko, po czym wszyscy usiedliśmy. Już sam widok lady Dartmouth wprowił Dianę w zdumienie i rozbawił ją. Wiedziałam, że matka naszego gościa to Barbara Cartland, znana zarówno z tego, że jest autorką poczytnych, lekkich romansów (których ja co prawda nigdy nie czytałam) jak i z tego, że kierując się dziwnym kaprysem, ubiera się zawsze na różowo. Spodziewałam się, że jej córka także może okazać się osobą dość oryginalną. Nie byłam jednak

przygotowana na widok, który przedstawił się moim oczom. Lady Dartmouth była nieskazitelna. Każdy włos na jej starannie ufryzowanej głowie spoczywał - sztywny od lakieru - na ściśle określonym miejscu. Jej dobrze zrobiony makijaż podkreślał porcelanową cerę. Miała na sobie buty na wysokich obcasach i elegancki, dobrze skrojony kostium podkreślający zgrabną figurę. Później wyczytałam gdzieś, że jeden z jej byłych kolegów z Rady Wielkiego Londynu powiedział o niej: *Lady Dartmouth to nie osoba, to fenomen*. Co do mnie, to podpisałabym się pod takim stwierdzeniem. Lady Dartmouth wyglądała jak osoba z innej epoki, jak ktoś, to zszedł z kart jednej z powieści Barbary Cartland. Przez chwilę zastanawiałam się, jak na miłość boską radzi sobie ona z włosami, kładąc się do łóżka.

Diana uznała ją za postać niesamowitą i z punktu, zanim jeszcze usiedliśmy, zaczęła się krztusić, powstrzymując chichot. Uspokoilo ją mocne szturchnięcie w bok i lekkie dotknięcie stopą pod stołem, a fakt, że właśnie podawano jedzenie, przyczynił się do odwrócenia jej uwagi. Kiedy nie było gości, obsługiwaliśmy się sami, biorąc potrawy z podgrzewanego wózka, ale przy gościach do akcji włączał się Betts. Świadomie unikałam kontaktu wzrokowego z dziećmi siedzącymi naprzeciwko, gdyż nie byłam pewna, czy się opanują i będą w stanie zachować powagę, kiedy moje oczy napotkają ich spojrzenia pełne z trudem skrywanej wesołości. Rozpoczynanie rozmowy nie należało do mnie. Moim zadaniem było przeprowadzić dzieci przez ten lunch i pomóc im wybrnąć, gdyby się zaplątały.

Muszę oddać lady Dartmouth sprawiedliwość. Zapewne było jej bardzo trudno stanąć oko w oko z czworgiem wrogo nastawionych dzieci, które - bardzo zazdrosne o ojca - prawie nie ukrywały niechęci do niej. Sarah i Jane były na tyle spostrzegawcze, że zdawały sobie sprawę, iż Raine może w przyszłości

zagrozić ich rodzinnemu szczęściu. Co prawda w owym czasie wydawało się to mało prawdopodobne, jednak one wiedziały swoje. Lady Dartmouth, mimo że czarująca i bardzo grzeczna, nie miała zamiaru dopuścić do tego, aby milcząca agresja ze strony dzieci (które zresztą uważała za zbyt liberalnie wychowywane) zbiła ją z tropu. Starła się okazywać im uprzejmość i wciągać wszystkie do rozmowy. Od samego początku widać było wyraźnie, że obdarzona jest żelazną wolą i potrafi nie dać się zastraszyć. Nie dopuści także do tego, by cokolwiek stanęło jej na drodze. Oczywiście też było, że między nią i jej przyszłymi pasierbami istnieją ogromne różnice charakterów. Lunch zbliżał się do końca. Zaczęłam się odpręzać. Właściwie nie było tak źle. Dzieci zachowały krytyczne uwagi dla siebie. Zwyciężyły dobre maniery. Tylko Sarah pozwoliła sobie na jakiś ryzykowny komentarz, ale ja szybko zmieniłam temat, wciągając Jane do rozmowy. Na Jane, która nigdy nie poruszała niestosownych tematów, można było polegać. Okazało się jednak, że odprężyłam się za wcześnie. Bowiem Sarah doszła do wniosku, że pozostało jej już niewiele czasu i że musi natychmiast okazać gościowi niechęć i pogardę. Jej poprzednie, niezbyt grzeczne uwagi - te, których nie zdołałam jakoś zatuszować - zostały zlekceważone przez lady Dartmouth, która zachowywała się tak, jakby chciała powiedzieć: „Na uwagi tego dziecka nie warto nawet odpowiadać”. Sarah poczuła więc, że nie pozostaje jej nic innego jak zachować się po prostu grubiańsko. Beknęła. Diana zachichotała.

- Saro! - powiedział zaszokowany lord Althorp, na co Sarah odpowiedziała:

- W krajach arabskich to oznacza, że biesiadnikowi smakowało.

Lord Althorp był tak oburzony, że nie zadał sobie trudu, by skomentować to wyjaśnienie. Kazał Sarze wstać i wyjść. W pokoju zapanowała absolutna cisza. Sarah odepchnęła gwałtownie krzesło, które na szczęście nie przewróciło się, gdyż to

uczyniłoby sytuację jeszcze bardziej dramatyczną, i wyszła. Wiedziała, że ojciec nie postąpiłby w ten sposób, gdyby gość nic dla niego nie znaczył. W takim jednak wypadku i ona nie zachowałaby się tak, jak się zachowała. Lord Althorp nigdy dotąd nie odezwał się do żadnego z dzieci tak surowo, toteż byliśmy wszyscy zszokowani. Od tego dnia było oczywiste, że lady Dartmouth nie zdobędzie przychylności ani jednego z dzieci. Choćby się nie wiem jak starała, jej wysiłki były skazane na niepowodzenie.

Kiedy Sarah została w tak bezprecedensowy sposób wyproszona, do akcji wkroczyła Diana. Pokonawszy nieśmiałość, usiłowała bronić siostry:

- Ależ tatusiu, Sarah nie chciała być niegrzeczna, ona po prostu nie mogła na to nic poradzić!

- Dostyć, Dianu - powiedział ojciec, sprawiając niechęć, że dzieci zyskały jeszcze jeden powód, by mieć pretensję do jego gościa.

Diana nigdy nie polubiła kobiety, która miała zostać jej macochą, jednak później, z czasem, mając większą skłonność do wybaczenia niż starsze siostry, chętniej niż one pogodziła się z obecnością lady Dartmouth w rodzinie. Ale nawet ona pisała do mnie w listach, że podczas wakacji i ferii nie spędza wiele czasu w Althorp, gdyż woli mieszkać u Sary albo u Jane w Londynie. Kiedy czasami pojawiała się w Althorp, personel domowy, od którego hrabina wymagała absolutnej poprawności, w kontaktach z nią odczuwał ulgę. Bo Diana, ubrana swobodnie i nieumalowana, była całkowitym przeciwieństwem macochy. Wyrozumiała i nienadęta, zachowywała się naturalnie i łatwo porozumiewała się z personelem, który czuł się z nią dobrze. Hrabina natomiast nie znosiła luzu i z wielką skrupulatnością pilnowała, żeby wszystko odbywało się „poprawnie”. Do kolacji zawsze ubierała się w wieczorową suknię i od innych też wymagała wieczorowego stroju, nawet wtedy, kiedy jedzono

kolację w gronie rodzinnym. Rzadko wychodziła na świeże powietrze. Do południa nie wstawiała z łóżka. A w południe pojawiała się w nienagannym stroju i makijażu. Personel domowy traktowała z wyższością, podczas gdy Diana była serdeczna, gadatliwa i przyjazna.

Diana, ze względu na ojca, zaakceptowała w końcu jego nową żonę. Jednak podczas tego pierwszego lunchu, kiedy krzesło Sary stało puste, przypominając o ostrych słowach lorda Althorpa skierowanych do obu córek, nie wytrzymała. Powiedziała, że nie czuje się dobrze, i poprosiła, żeby jej pozwolono wyjść. Nikt z obecnych jej nie uwierzył, ale też nikt nie kwestionował jej prawa do takiej prośby. Ojciec natychmiast ją spełnił. Jestem pewna, że lord Althorp, podobnie jak my wszyscy, czuł ulgę na myśl, że ten przykry posiłek już się kończy. Betts, który był świadkiem całego incydentu, natychmiast opowiedział o nim w kuchni. Pani Smith poinformowała mnie później, o czym tam wtedy mówiono. Otóż cały personel był zdania, że gdyby lord Althorp znalazł sobie kiedyś kandydatkę na żonę, to kobieta ta byłaby w sytuacji nie do pozazdroszczenia, gdyż zyskanie aprobaty jego dzieci byłoby prawie niemożliwe. Oczywiście wtedy nie przyszło nam do głowy, że lady Dartmouth mogłaby się ubiegać o tytuł hrabiny Spencer.

W pierwszym roku swojego małżeństwa Diana napisała do mnie, że pewnego razu pojechała z mężem na weekend do Althorpa. Książę Karol niechcący zniszczył jedno z krzeseł. Rainie, fanatyczka porządku, w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć. Diana śmiała się w duchu, widząc, jak bardzo macocha jest zmieszana, bo wiedziała, co miałyby ona w takiej sytuacji do powiedzenia osobie, która nie byłaby księciem Karolem.

Tak więc w drugim roku mojego pobytu w Park House lady Dartmouth pojawiła się w życiu dzieci niby galeon wpływający do portu z postawionymi żaglami.

Podczas letnich wakacji lord Althorp przeprowadził wywiad w sprawie szkoły Maidwell. Dowiedział się, którzy chłopcy będą zaczynali naukę razem z Charlesem, po czym zaprosiliśmy na kilka dni George'a Courtaulda. Chcieliśmy bowiem, żeby Charles poznał go i nie czuł się w szkole osamotniony. Kiedy Diana szła do Riddlesworth, знаła już kilka dziewczynek i to jej bardzo pomogło. Lord Althorp chciał, żeby Charles też miał jakichś kolegów. Jednak Charles był inny niż Diana. Kiedy przyszedł czas wyjazdu do szkoły (kiedy kufer był już spakowany, a ja uporałam się z przyszywaniem naszywek z nazwiskiem na wszystko, nie wyłączając mnóstwa skarpetek), Charles był już - zgodnie z oczekiwaniami ojca, o których ten mówił w momencie gdy mnie zatrudniał - spokojnym, pewnym siebie, bystrym chłopcem, zdolnym sprostać życiu w szkole z internatem. Pisał do mnie później, że uwielbia Maidwell. Uczył się bardzo dobrze i został w tej szkole świetnie przygotowany do rozpoczęcia nauki w Eton. Kiedy Diana wyjeżdżała do szkoły, miała świeżo w pamięci rozwód rodziców i ponowne małżeństwo matki. Natomiast w chwili gdy Charles opuszczał Park House, życie w domu od dłuższego czasu toczyło się spokojnie i dlatego chłopiec pozostawił za sobą o wiele bezpieczniejszą bazę.

Lord Althorp napisał do mnie w jednym z listów, że uważa, iż miałam w tym poważny udział. Dzięki mnie Diana, przyjeżdżając na wakacje, ferie i weekendy, czuła, że dom jest stabilną, bezpieczną ostoją. *Chciałbym - pisał dalej - podziękować pani za to, co pani zrobiła dla czwórki moich dzieci. Każde z nich wyniosło trwale korzyść z kontaktów z panią, jak również z tego, że obdarzała je pani swoim zainteresowaniem. I dalej: Jeszcze raz bardzo dziękuję za to, co pani uczyniła dla rodziny w ciągu swojego dziewiętnastomiesięcznego pobytu w Park House. Bardzo miło było mieć panią u siebie. Mam nadzieję, że i pani czuła się u nas szczęśliwa...*

Rozdział czternasty

Zbliżam się do zakończenia, ale będzie to jedynie zakończenie mojej opowieści, gdyż sądzę, że opowieść o historii monarchii będzie trwała jeszcze bardzo długo. Miałam zamiar opisać jeden rok w życiu Park House, gdyż każdy rok przebiega zwykle podobnie do poprzedniego. Zmieniają się tylko uczestnicy akcji, stając się z każdym rokiem starsi, ale miejsce akcji pozostaje to samo. Główną zmianą, jaka zaszła podczas drugiego roku mojego pobytu w Park House, było pojawienie się przyszłej hrabiny Spencer, co opisałam w poprzednim rozdziale. Zarówno podczas trwania trymestru jak i podczas ferii i wakacji nasze życie toczyło się gładko. Byliśmy szczęśliwi, radośni, często się śmiałyśmy. Stanowiliśmy zżyłą grupę. Szanowaliśmy się nawzajem, kochaliśmy się i odnosiliśmy do siebie

serdecznie. Nasze życie było życiem zaczarowanym, o jakim większość może tylko marzyć. Tradycje będące częścią takiego ustabilizowanego życia wciąż istnieją w pięknych domach rozsiansych po całym kraju.

To doświadczenie, a także wyzwanie, z jakim się spotkałam - stojące przede mną zadanie stworzenia bezpiecznego, szczęśliwego, pełnego radości domu stanowiącego zawsze ostoję dla dzieci - wywarły ogromny wpływ na moje własne życie. Nauczyłam się wtedy, że bez względu na środowisko, w jakim dzieciom przychodzi się wychowywać, najważniejsze jest dla nich to, aby ktoś zachęcił je do stworzenia określonego kodeksu postępowania, do ustalenia zespołu norm i do przestrzegania tych norm w ciągu całego życia. Podczas pobytu w Park House zobaczyłam inny świat, świat idealny, którego skazę stanowiły jedynie spotkania na stacji kolejowej. Uważałam jednak, że przykrość, jaką mi one sprawiają, to bardzo niska cena, jaką płacę za to, co zostało mi dane. Uważałam też, że to wielkie szczęście żyć w takim domu jak Park House. Czułam się tutaj tak swobodnie, a poza tym nigdy nie dawano mi do zrozumienia, że między mną a rodziną pracodawcy istnieje jakaś wielka społeczna przepaść. Ten dom był co prawda o wiele większy niż mój dom rodzinny, jednak jego mieszkańcy i moi bliscy nie różnili się poglądami na to, czym jest dobre życie rodzinne. A ja wielokrotnie czerpałam z doświadczeń własnego dzieciństwa i własnego życia rodzinnego i wykorzystywałam te doświadczenia w Park House. Po odejściu stamtąd nieraz żartowałam, mówiąc, że kwalifikacje akademickie - będące oczywiście zaletą w wypadku gdy człowiek może je zdobyć - nie są niezbędnym składnikiem sukcesu ani źródłem satysfakcji z pracy. Uważałam wtedy i wciąż uważam, że do tego, aby spotykać ciekawych ludzi i odwiedzać interesujące miejsca - oprócz rzadkiego daru, jakim jest zdrowy rozsądek - potrzebne są

dwie rzeczy: jazda konna i umiejętność gry w tenisa. Nie ma wątpliwości, że pierwsza z nich bardzo mi się przydała w Sandringham. W rzeczywistości była to umiejętność, której lord Althorp ode mnie wymagał, przyjmując mnie do tej pracy.

Koń Sary, klacz imieniem Peppermint, dostarczał mi nieraz mnóstwa przyjemności, dlatego sądzę, że lord Althorp postąpił słusznie, polecając mi później, żebym zajęła się jego sprzedażą. Zrobił to w chwili, gdy zbliżał się czas mojego rozstania z Park House. Miałam znaleźć dla Peppermint jakiś dobry dom, a my po jej sprzedaniu miałyśmy podczas wakacji jeździć na koniu pożyczonym. Wiedząc, że Sarah w przyszłości będzie przeważnie poza domem, lord Althorp doszedł do wniosku, że lepiej będzie w razie potrzeby pożyczać dla niej konia do polowania niż trzymać Peppermint na stałe w domu. Dałam więc ogłoszenie do lokalnej gazety i otrzymałam kilka odpowiedzi. Wybrałam, i to bez wahania, pierwsze osoby, które przyszły obejrzyć klacz. Byli nimi George i Pauline - starsze małżeństwo mieszkające niedaleko od moich rodziców. Dzięki temu mogłam później odwiedzać Peppermint od czasu do czasu. Jednak o moim wyborze zdecydowało przede wszystkim to, że George i Pauline zamierzali trzymać klacz aż do jej śmierci. Tak się też stało. Oboje bardzo ją pokochali i opiekowali się nią troskliwie. Dopiero przed dwoma laty napisałam do Sary, że Peppermint - pod troskliwą opieką - dożyła tak sędziwego wieku, że trzeba ją było uśmiercić.

Już po rozstaniu z rodziną Spencerów, w ciągu następnych lat, odwiedziłam kilka razy Park House, ale w Althorp byłam dopiero z okazji ślubu Sary. Nasze kontakty były sporadyczne, gdyż każde z nas poruszało się we własnym świecie, ale korespondowaliśmy ze sobą. Czasami czytałam coś o którymś z dzieci w kronice towarzyskiej w gazecie, a potem, kiedy udało nam się spotkać w Londynie, dowiadywałam się, jak było

naprawdę. Kiedy znało się prawdę, można się było nieźle ubawić, czytając takie wiadomości. Zresztą, zajęta własnym życiem, nie interesowałam się zbyt kroniką towarzyską. Lata płynęły, miałam tyle nowych doświadczeń i bywałam w tylu różnych krajach, że stopniowo życie w Sandringham zaczęło mi się wydawać nierealne. Przez dwa lata poprzedzające ślub Diany mieszkałam w Londynie. Spotykałyśmy się wtedy częściej, a ja podczas takich spotkań dowiadywałam się rzeczy, o których często wiedziałam już z listów.

Diana zawsze chciała pracować z dziećmi, ale podobnie jak kiedyś ja, nie miała odpowiednich kwalifikacji. Nie zniechęcało jej to. Jednak w przeciwieństwie do mnie mają mniej szczęścia, podjąwszy swoją pierwszą pracę. W jednym z listów pisała do mnie w ten sposób: *Zaczęłam wypróbowywać swój instynkt macierzyński, opiekując się trzyletnim dzieckiem w Hampshire. Było to dziecko jednej z sióstr chłopaka Sary. Całe przedsięwzięcie okazało się fiaskiem.* Ten niefortunny początek nie zniechęcił jednak Diany, która pisała dalej: *Później przez trzy tygodnie pomagałam kuzynce opiekować się 3 maluchów, wszystkie miały poniżej 6. Byłam zachwycona.* Skróty, jakie Diana stosowała w listach, wskazują, że albo pisała w pośpiechu - z poczucia obowiązku, albo nie nauczyła się jeszcze, że używanie ich jest niepoprawne i w złym guście. Ja jednak z przyjemnością czytałam listy od niej, bez względu na to, jak zostały napisane.

Podczas naszych londyńskich spotkań przekonałam się, że ta niegdyś nieśmiała dziewczynka zaczyna bardzo prędko zamieniać się w piękność. Siedząc z Dianą w restauracji albo u Sary, przypominałam sobie nasze wspólne cudowne życie w Park House. Pisząc tę książkę, cieszyłam się bardzo, że mogę się dzielić z innymi tym, o czym piszę, gdyż czyniąc to usiłowałam pokazać, dlaczego księżna Wabi jest taka popularna wśród zwykłych ludzi. Bierze się to stąd, że sama była zwykłą

dziewczynką, że jej dzieciństwo przypominało dzieciństwo wielu innych ludzi. Jedyne otoczenie, w którym upływało, było nie takie zwyczajne. Diana zawsze - w złych i dobrych chwilach dzieciństwa, a także wtedy, kiedy zakochał się wielką miłością, przeżywała euforię, i wtedy, kiedy wciąż w euforii, wychodziła za mąż i wreszcie wtedy, kiedy pogrążyła się w smutku spowodowanym wielkim rozczarowaniem - zawsze potrafiła porozumieć się z ludźmi. Wiem, bo ją obserwowałam. Byłam tego świadkiem.

Pewnego ranka, pakując się w hotelowym pokoju na wyspie Kauai - gdyż odbywałam właśnie podróż na Hawaje, gdzie miała miejsce konferencja poświęcona turystyce; „zaliczyłam” wtedy cztery wyspy w pięć dni i miałam jeszcze czas na opalanie - a więc pakując się w hotelowym pokoju, włączyłam telewizję śniadaniową i zobaczyłam oddalony w tej chwili o tysiące mil pałac Buckingham, w którym rozgorączkowni dziennikarze rozmawiali o królewskim ślubie mającym się odbyć za dwa dni. Z pewnym wysiłkiem uświadomiłam sobie, że z tej małej wysepki na Pacyfiku polecę zaraz do Oahu, a stamtąd następnym samolotem - przez Alaskę - do Londynu. Ta daleka podróż minęła bardzo szybko i zanim się obejrzałam, znalazłam się w taksówce wiozącej mnie z dworca Victoria do biura w Mayfair i mijającej ten właśnie pałac, który widziałam w telewizji.

Byłam kierowniczką działu organizacji wycieczek w naszym biurze podróży. Mieliśmy kilka oddziałów, w tym jeden w Los Angeles. Utrzymywałam z nim łączność, w związku z czym spędzałam w tym mieście sporo czasu. Do moich obowiązków należało negocjowanie cen z liniami lotniczymi i luksusowymi hotelami w Stanach i przygotowywanie portfela amerykańskich ofert dla klientów w Europie i Wielkiej Brytanii. Oprócz tego zajmowałam się sprzedażą i marketingiem. Była to przyjemna, dająca satysfakcję praca, dzięki której dużo

podróżowałam, jednak żaden z moich wojaży nie okazał się tak podniecający jak podróż powrotna z Hawajów na ślub Diany.

Było wtorkowe popołudnie. Pogoda wspaniała. W pobliżu pałacu już zaczynały gromadzić się tłumy. Atmosfera była radosna, a ludzie podnieceni. Ta radość i to podniecenie udzielały się wszystkim. A ja z trudem mogłam uwierzyć, że po takiej podróży, na drugi dzień, będę obecna na tym właśnie ślubie, na który czekają zebrane tłumy. Na ślubie dziewczyny, o której mówiono w telewizji w chwili, gdy przygotowywałam się do powrotu do Londynu. Zapraǳnęłam podzielić się ze wszystkim uczuciem, które mnie ogarnęło, uczuciem wielkiej dumy - gdyż nie była to próżność spowodowana tym, że zostałam zaproszona, tylko duma z tego, że dziewczynka, którą się opiekowałam i która zwierzała mi się ze swoich dziecięcych marzeń, zaspokoila swoje ambicje w takim stylu.

W kilka lat później doświadczałam innych uczuć, którymi również pragnęłam się podzielić - uczucia gniewu i smutku. Ogarnęły mnie one na wieść o całkowitym i dokonującym się na oczach wszystkich rozpadzie małżeństwa Diany. Tak mało mogłam wtedy zrobić. Nie powstrzymałam się jednak i napisałam do sir Roberta Fellowesa, prywatnego sekretarza królowej i męża Jane. W swoim liście stwierdzałam, że Karol reagował na zachowanie swojej młodej żony w sposób nie do przyjęcia.

Uciekał do Camilli Parker-Bowles, z którą przyjaźnił się od dawna i którą poznał na długo przed pojawieniem się w jego życiu Diany. Camilla jako jego powiernica, wiedząc, co czuje jego żona i za jakie zagrożenie dla siebie uważa tę przyjaźń, powinna była poradzić mu, żeby zaczął się zachowywać jak człowiek dorosły i odesłać go prosto do tej żony.

Ostrożna odpowiedź sir Roberta Fellowesa brzmiała następująco: *Pragnę bardzo pani podziękować za to, że poświęciła*

pani tyle uwagi i troski nader interesującej analizie tej smutnej sytuacji.

Przed ślubem i zaraz po nim Diana pisała do mnie kilka razy. Z tych listów widać, jak bardzo była wtedy podekscytowana i pełna optymizmu. Ze ślubem, który miał być transmitowany na cały świat i którego świadkami miały stać się miliony, były takie same problemy jak ze zwykłym ślubem w najniepozorniejszej rodzinie. Diana napisała do mnie: *Te sześć miesięcy narzeczeństwa naprawdę dało mi się we znaki, nie życzę czegoś takiego nikomu.* I dalej: *Cała rodzina dokłada wszelkich starań, żeby zorganizować wszystko jak należy, bo przecież są iv niej osoby, które ze sobą nie rozmawiają.* Dzięki tym listom czułam, że jestem blisko niej, czułam, że towarzyszę jej jakoś w tych przygotowaniach do najważniejszego dnia w jej życiu.

Od chwili gdy - listem poleconym - otrzymałam zaproszenie na ślub, moi znajomi zadawali mi najczęściej dwa pytania: „W co się ubierzesz?” i „Co im dasz w prezencie?”. Decyzja w sprawie prezentu była bardzo trudna. Głównie ze względów finansowych. Spłacałam wtedy dług hipoteczny, miałam na utrzymaniu małego synka i nie przelewało mi się. Stałam w obliczu problemu, jaki ma każdy, kto chce podarować komuś coś wyjątkowego, a równocześnie musi się liczyć z pieniędzmi. Przedtem przez jakiś czas mieszkałam w Stambule, a później często jeździłam do Turcji. Nabywałam tam drogą wymiany bezgotówkowej, a także kupowałam kilimy - tureckie dywany ścienne. I właśnie jeden z tych kilimów postanowiłam podarować Dianie i Karolowi w prezencie ślubnym. Będąc realistką, domyślałam się, że nie ujrzał on od tamtej pory światła dziennego. Dla mnie jednak stanowił rzecz niezwykle cenną. Byłam bardzo szczęśliwa, że mam coś wyjątkowego, co mogę ofiarować przy tak niezwykłej okazji. Postąpiłam zgodnie z instrukcją dotyczącą przekazywania prezentów, po czym pojechałam tak-sówką z swojego biura przy Mount Street do pałacu

Buckingham. Przekraczając bramę - tylną co prawda - byłam bardzo podniecona, gdyż czułam, że biorę udział w wydarzeniu historycznym.

Kochana Diana napisała do mnie śliczny osobisty list z podziękowaniem. Zauważyła w nim: *To takie dla ciebie typowe: dałaś mi taki wspaniały prezent*. A ja pomyślałam, że taki list jest czymś typowym dla niej - napisała go do mnie, choć oczywiście było, że otrzymała tysiące innych prezentów. *Ten wspaniały kobierzec* - pisała dalej - *będzie bardzo pasował do mojego „gniazdka”*. Kiedy, po ogłoszeniu separacji, opuściła Highgrove, a ja przeczytałam w gazecie, że Karol pozbywa się wielu jej rzeczy, miałam ochotę napisać do niego i poprosić, by nie wyrzucał kilimu, tylko zwrócił go mnie. Ale naturalnie nie zrobiłam tego. Założę się jednak, że i inne osoby, które dały Dianie i Karolowi prezenty ślubne, zastanawiały się, czy zostały one wyrzucone na śmietnik. A co do kilimu, to nie mam pojęcia, co się z nim stało.

Miło było dowiadywać się, że Diana, wśród wszystkich tych przygotowań, jest bardzo szczęśliwa. Po ślubie pisywała do mnie od czasu do czasu. Raz dostawałam od niej krótką notatkę, a innym znowu razem list z większą liczbą wiadomości. Wyglądało na to, że bardzo dobrze radzi sobie ze zmianami zachodzącymi w jej życiu. Czytywałam też o niej w gazetach i byłam niezmiernie dumna widząc, że bardzo szybko się uczy i staje się coraz piękniejsza, coraz bardziej pewna siebie i świadoma własnej rosnącej popularności.

Jednak już niedługo po ślubie zaczęłam zauważać zmianę w jej listach. W jednym z nich pisała, że mi współczuje, bo wie, że mój mąż wyjechał do Ugandy. Nie będę więc mogła zbyt często się z nim widywać. Nie chciałam jej informować, że oboje z mężem myślimy o separacji, bo wiedziałam, że separacja - zwłaszcza wśród znajomych - jest dla niej czymś strasznym. Separacja i rozwód to były tematy, których Diana nie chciała

poruszać. Nie dopuszczała też do siebie myśli, że mogą się one przytrafić i jej. Nie chciała, żeby cień życia innych ludzi padł na nią w chwili gdy jest tak szczęśliwa w małżeństwie. Dlatego zatrzymałam tę informację dla siebie. Później nie napisałam jej nawet, że rozstałam się z mężem w przyjaźni i że kilka razy w roku jeździłam do Ugandy z synem. Syn widywał się wtedy z ojcem, a ja uczyłam angielskiego w jednej ze szkół w Kampali. Chciałam poinformować o tym Dianę, bo wiedziałam, że interesują ją dzieci z krajów Trzeciego Świata - podobnie zresztą jak wszystkie inne dzieci - ale nie zrobiłam tego. W liście zawierającym wyrazy współczucia z powodu wyjazdu mojego męża Diana pisała dalej, że *czułaby się beznadziejnie, gdyby jej druga połowa wyjechała*. Niedługo potem zmiana tonu jej korespondencji stała się bardziej widoczna. Zabrakło w jej listach beztrioski. Zaledwie w sześć miesięcy po ślubie Diana wiedziała już, co ją czeka - wiedziała, że będzie musiała dać o wiele więcej niż otrzyma. *Wiesz, Mary - pisała do mnie - będę się chyba musiała nauczyć jeździć konno, bo tylko podczas konnej jazdy będę mogła być sam na sam z mężem*. Ta wzmianka o konnej jeździe to był żart. Żartowałyśmy na ten temat nieraz od czasu, gdy Diana spadła z konia. Diana nienawidziła jazdy konnej. Przeczytałam ten list kilka razy, współczując jej głęboko i uświadamiając sobie, że za jej oszczędnymi słowami kryje się bardzo wiele. Gdyż Diana spotkała się już z problemami, jakich się nigdy nie spodziewała. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że nie może liczyć na tę bliskość we dwoje, która dla większości młodych małżonków jest czymś oczywistym, a nade wszystko na to, że pragnąc zrealizować którykolwiek ze swoich ideałów, będzie musiała nauczyć się być elastyczna. Wydawało mi się, że nie mam do niej dostępu. Nie miałam odwagi podnieść słuchawki telefonicznej i zadzwonić do niej. Zresztą wątpię, czy by mnie z nią połączono. Być może lepiej byłoby dla niej, gdyby miała na zewnątrz jakichś starszych,

doświadczonych przyjaciół, do których mogłaby się zwrócić i którzy patrzyliby na jej sytuację bez uprzedzeń. Możliwe jest jednak, że - uwięziona w trybach establishmentu i polegając na radach jego członków - nie słuchałaby rad kogoś z zewnątrz aż do chwili gdy, zmądrzawszy, zorientowałaby się, że wkroczyła w świat niezwykle sztywnej hierarchii.

Babka Diany ze strony matki, lady Fermoy, do której Diana bardzo się zbliżyła w okresie, gdy była nastolatką, odważyła się powiedzieć jej, że uważa, iż życie w pałacu jest nie dla niej. A trzeba wziąć pod uwagę, że mówiła to na podstawie długoletniego doświadczenia, gdyż była damą dworu królowej matki. Jednak Diana, młoda i zakochana, uważała - podobnie jak niezliczone inne panny młode - że miłość pozwoli jej pokonać wszelkie trudności. Młodzi ludzie są bardzo pewni siebie, uważają, że wszystko wiedzą. Są też przeważnie zdania, że starsi, którzy usiłują im doradzać na podstawie własnych doświadczeń, tak naprawdę nie mają pojęcia, o czym mówią. Hrabina Spencer, pogodna, ukochana babcia ze strony ojca - gdyby żyła - przyłączyłaby się pewnie do rad lady Fermoy, a wtedy być może historia potoczyłaby się inaczej. W prawdziwej historii nie ma jednak miejsca na żadne „gdyby”.

Pisałam do Diany listy, ale żyłyśmy teraz w innych światach. Diana odpisywała. W jej listach słów było mało, ale treści mnóstwo. Obserwowałam, wraz z milionami innych ludzi, każde jej posunięcie na forum publicznym. Widziałam, jak znika owa naiwność, którą miała w sobie do dnia ślubu. Sądzę, że takie zmiany zachodzą w ludziach naturalną kolejną rzeczą. U Diany zaskakiwało mnie jednak ich tempo. Macierzyństwo spowodowało kolejne zmiany. Diana wyglądała piękniej niż kiedykolwiek, a jej naiwny wdzięk ustąpił promiennej dojrzałości. Atrakcyjna dziewczyna zamieniła się w fascynującą kobietę. Jednak stopniowo świeżość i blask zniknęły, mimo że Diana

pozostała pewną swą urody pięknnością. Patrzyłam z daleka i zobaczyłam, że po pięciu latach beztraska dziewczyna zniknęła na zawsze, a na jej miejscu pojawiła się kobieta, która wyglądała tak, jakby minęło piętnaście, a nie pięć lat. Na jej twarzy - sfotografowanej w momencie gdy nie zdawała sobie sprawy, że ją fotografują - malował się wyraz głębokiego smutku. *Diano* - napisałam do niej - *czy ty się dobrze czujesz?* Właściwie to nie spodziewałam się, że dostanę odpowiedź. I ani przez chwilę nie sądziłam, że Diana otrzymała mój list. Napisałam ponownie i nie dostałam potwierdzenia, nawet od damy dworu. Dopiero później dowiedzieliśmy się, jakie walki Diana musiała staczać w samotności.

Blask jej urody odrodził się, kiedy nabrała więcej wiary we własną wartość i kiedy, przyjąwszy do wiadomości fakt, że popełniła straszliwy błąd, usiłowała znaleźć wyjście z sytuacji. Dlaczego - w trakcie jej ciężkich zmaganiań - nikomu z rodziny ani nikomu na dworze nie przyszło do głowy, że zwraca się przeciwko mężowi, gdyż ma po temu ważki powód? Karol spełniał swoje obowiązki w sensie fizycznym, ale nie emocjonalnym. A ona odniosła sukces na polu publicznym i nigdy nie utraciła zdolności komunikowania się ze zwykłymi ludźmi, dzięki której była tak popularna. Nikt nie może zarzucić Dianie, że się nie starała. Stariała się bardzo, a w nagrodę za to uczyniono z niej kozła ofiarnego. Nagrodą było także to, że musiała cierpieć, bo jej mąż nie potrafił sprostać swojej roli. A na dodatek ten mąż nigdy nie przepuścił okazji, żeby ją poniżyć. Karol był zawsze gotów krytykować, ale rzadko miewał ochotę ją pochwalić. Ona tymczasem dokładała wszelkich starań, by sprostać swojej wielkiej roli. Istnieje pewna psychologiczna prawidłowość. Polega ona na tym, że osoba słaba, która jest inteligentniejsza niż jej silniejszy, ale mniej wykształcony partner, osoba, która czuje, że się nie nadaje do swojej roli, jest skłonna

wykorzystywać swoją przewagę umysłową w celu obrażenia i obwinienia swego partnera, a także po to, aby go poniżyć. Diana - na forum publicznym - starała się być ponad to. I zawsze jej się to udawało. Prywatnie natomiast usiłowała ukrywać cierpienie oraz fakt, że jej marzenia legły w gruzach. Próbowwała też zapewnić szczęśliwy dom synom, zgodnie z tym, co obiecała sobie w dzieciństwie. Ale ta nierówna walka stała się nie do zniesienia. Diana zachorowała.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Diana nie wyszłaby za mąż, gdyby nie była całkiem pewna nie tylko, że kocha, ale także, że jest kochana. Nie pomyślałaby nawet o wyjściu za mąż za mężczyznę, co do którego nie miałyby absolutnej pewności, że odwzajemnia jej uczucia i kocha ją równie głęboką miłością jak ona jego. Nie przyszłoby jej do głowy, że Karol jej nie kocha. A on, zgodnie z tym, co teraz mówi, nie kochał jej wcale. Karol znał jej rodzinę. Był światowcem. Wiedział, jak naiwna i niewinna jest Diana i jak ważne są dla niej miłość i życie rodzinne, ale oszukał ją, moim zdaniem zupełnie świadomie i cynicznie. Kiedy - w momencie gdy separacja była już nieunikniona - powiedział jej, że nigdy jej nie kochał, w Dianie coś umarło. Nie mam wątpliwości, że bardzo cierpiała, kiedy uświadomiła sobie, że nie była nigdy przez niego kochana.

Diana znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Dołożyła tylu starań, aby zadowolić Karola, tak bardzo pragnęła, żeby był z niej dumny i żeby ją kochał. Jednak kiedy sprawdziły się jej podejrzenia, kiedy się okazało, że w jego życiu jest inna kobieta, zrozumiała, że nie ma szans, że nie zdobędzie jego miłości. No, bo w końcu dlaczego miał sobie zawracać nią głowę, skoro dostał wszystko, czego pragnął? Karol nie widział powodu, dla którego miałyby zmienić swoje życie. Miał je zmienić tylko dlatego, że się ożenił? To Diana powinna była się zmienić. Trzeba powiedzieć, że Karol szedł po prostu w ślady swoich królewskich przodków. Według niepisanych zasad,

dawni książęta i królowie mieli prawo mieć kochanki. Właściwie to spodziewano się, że będą je mieli, i nikt ich za to nie potępiał.

Od kobiety wybranej na królewską małżonkę wymagano wiele, gdyż taka kobieta musiała nadawać się na królową. Nie wymagano od niej jednak miłości. Żona miała przede wszystkim dać małżonkowi dzieci z prawego łóża i zapewnić ciągłość monarchii. Utrzymując stosunki ze swoją kochanką, Karol zachowywał się tak, jak według wielu ma prawo zachowywać się książę krwi królewskiej. Diana nie była w stanie pogodzić się z taką arogancją. Nigdy też nie przypuszczała, że będzie się od niej wymagało, by wybaczyła mężowi takie postępowanie. Uważała, że jest ono niedopuszczalne i nie miała zamiaru zmienić tego przekonania. Ciągłe napięcie związane z tym, że musiała sprostać swojej roli, że musiała się tyle nauczyć i do tylu rzeczy przystosować, jak również z tym, że było jej tak trudno zadowolić męża, w którego życiu pojawiła się na dodatek „ta kobieta”, spowodowało chorobę Diany.

A Karol - zamiast zastanowić się nad przyczynami jej choroby i jej dramatycznych zachowań, zamiast dojść do wniosku, że być może Diana reaguje tak z jego winy - użalał się nad sobą, uważając, że brak mu zrozumienia, i coraz bardziej zrywał się na los, który w swojej złośliwości dał mu tę młodą, nie zrównoważoną żonę. Nie próbował jej pomóc dlatego, że nie troszczył się o nią, a także dlatego, że był zajęty wyłącznie sobą. Karol postanowił zignorować to, co Diana zrobiła dla monarchii. Zignorował fakt, że tak bardzo się starała. I że ożywiła monarchię, która przedtem stała się nieciekawa i bezbarwna. Wiele osób przede mną wyrażało pogląd, że Karol był zazdrosny o to, że Diana tak szybko nauczyła się spełniać swoje obowiązki, o łatwość, z jaką je spełniała, oraz o uwielbienie, z jakim odnosili się do niej ludzie. Człowiek silniejszy niż on z dumą patrzyłby na wysiłki swojej młodej żony, ale on nie przyjmował nawet

do wiadomości, że pewne ustępstwa z jego strony znaczyłyby dla Diany bardzo wiele. Uszczęśliwić Dianę było w jego mocy, jednak on nie chciał przyznać, że tak jest. Ta prawda była mu niemiła, tym bardziej że, chcąc to zrobić, musiałby wprowadzić zmiany do własnego stylu życia. Zamiast zmierzyć się z tym, co leżało u źródła wszystkich problemów, zachowywał się jak mały, zepsuty chłopiec, który lituje się nad sobą, i zwrócił się do kobiety, co do której miał pewność, że go zrozumie. W ten sposób zamknęło się błędne koło, którego Diana nie potrafiła przerwać.

Diana, zastanawiając się nad tym, co przeszła przez „tę kobietę”, nad całym tym niepokojem i cierpieniami, całkiem słusznie miała poczucie, że została zdradzona. A poza tym, dowiedziawszy się, że ludzie, których uważała za wspólnych przyjaciół, udostępniali swoje domy na schadzki Karola z Camilla, musiała czuć się jak ktoś, komu wbito nóż w serce. Musiała jej się wydawać, że ma przeciwko sobie bardzo wiele osób i że zмага się z czymś nie do pokonania. Jednakże ten kryzys stał się punktem zwrotnym. Powoli miłość i szacunek, jakimi Diana darzyła męża, zanikły. To całkiem naturalne w sytuacji gdy miłość nie jest odwzajemniona i kiedy staje się oczywiste, że nie ma szans na to, by kiedykolwiek była. W końcu Diana okrzepła, gdyż dały o sobie znać siła jej charakteru i instynkt samozachowawczy. Nie wyeliminowało to jednak smutku i nie wypełniło pustki. Od czasu gdy zaręczyła się z Karolem, Diana uważała, że może mu ufać, uważała, że należy do kogoś, kogo kocha, że może mu się oddać całkowicie, nie obawiając się, że on ją opuści. Bo w końcu Karol należał do tych niewielu osób w kraju, dla których małżeństwo musiało być czymś stałym. Sam to przyznał sześć lat wcześniej. *W mojej sytuacji rozwód jest ostatnią rzeczą, jaką mógłbym rozważać.* Po ślubie Diana napisała do mnie: *Uwielbiam być mężatką i mieć kogoś, komu poświęcam swój czas.* Było to wszystko, czego kiedykolwiek

pragnęła. Z jakąż goryczą musiała uświadomić sobie później, że w życiu nie ma nic pewnego.

Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że Karol przed ślubem, w rozmowach z przyjaciółmi, wyrażał pewne zastrzeżenia. Lubił życie kawalerskie. Jego fizyczne potrzeby były zaspokojone. To prawda, że potrzebny był następca, ale po co się spieszyć? Karol się wahał, ale nikt nie zwracał uwagi na jego protesty. A ta lady Diana Spencer, która nie miała żadnej przeszłości i w której życiu nie dało się odkryć nic niestosownego, byłaby idealną żoną, tak mu przynajmniej mówiono. Przy takiej postawie nie było niczym dziwnym, że podczas wywiadu udzielonego zaraz po zaręczynach powiedział to, co powiedział.

- I przypuszczam, że jesteście zakochani? - padło ze strony kogoś, kto zadawał pytania, na co Diana odpowiedziała natychmiast:

- Oczywiście!

On tymczasem potwierdził, ale zaraz dodał:

- Cokolwiek by znaczyło słowo „zakochany”.

A w jednym z wcześniejszych wywiadów tak mówił o małżeństwie:

- W zasadzie mąż i żona muszą być dobrymi przyjaciółmi, a miłość, tego jestem pewien, wyrośnie z tej przyjaźni.

Diana była dobrym przyjacielem. Karol uważał, że to, iż nie jest „zakochany”, nie ma znaczenia. Dla niego - w związku z małżeństwem - zakochanie nie było czymś istotnym. A uczucia Diany? Kto by tam sobie zawracał nimi głowę!

Karol był słaby. Powinien był z większą uczciwością zmierzyć się z własnymi obawami. Albo, jeszcze lepiej, powinien był okazać siłę wewnętrzną i, zamiast mówić o nich z przyjaciółmi, porozmawiać z Dianą. Powszechnie uważa się, że nawet jego kochanka nakłaniała go do tego małżeństwa, uważając, że nie ma się czego obawiać ze strony takiej cichej, nieśmiałej

dziewczyny, która jest zapewne potulna, miękka i podatna na wpływy. Gdyby Karol starał się zrozumieć swoją przyszłą żonę, to przekonałby się, że nie ma ona żadnej z powyższych cech. Nie rozmawiał z Dianą o swoich wątpliwościach. Diana nigdy nie aspirowała do małżeństwa z księciem, chciała tylko wyjść za mąż z miłości. Karol natomiast nigdy nie zaufał jedynej osobie, która powstrzymałaby go od wkroczenia na fałszywą drogę i zawarcia małżeństwa pozbawionego miłości. A tą osobą była sama Diana.

Diana została potraktowana jak pionek przez establishment, którego dość liczni członkowie chcieliby teraz zapomnieć o całej tej sprawie i udawać, że obecna księżna Walii nie istnieje. Jednak Diana istnieje. Wraz z dojrzałością osiągnęła szczęście, które dają jej synowie, oraz świadomość własnej wartości. Doświadczyła też bólu, cierpienia, smutku i rozczarowań. Jednak najważniejsze jest to, że dojrzałość przyniosła jej mądrość. Jej mąż, któremu mężczyźni na całym świecie zazdroszczą takiej żony, nie stanie już u jej boku i nie doceni sposobu, w jaki walczyła z tak strasznymi przeciwnościami. Nic w tym dziwnego, gdyż chodzą słuchy, że Karol nie znosi już samej obecności żony i nie może z nią wytrzymać w jednym pokoju. Bo nie jest przyjemnie przypominać sobie o osobistej klęsce i patrzeć jej w twarz.

Diana jest cennym nabytkiem dla monarchii i nie zasługuje na to, aby ją usunąć w cień. Nie to powinno być nagrodą za jej osiągnięcia. Nie wolno zapominać, że jest matką przyszłego króla Anglii. Ta część jej serca, która obumarła, kiedy Diana została oszukana przez zdradzającego ją męża, może się jeszcze odrodzić. Dzięki temu, że odwzajemniona miłość własnych dzieci, przyjaciół i rodziny będzie zawsze z nią, a także dzięki temu, że w Dianie jest miłość do pracy wśród pokrzywdzonych przez los i chorych żyjących w Anglii i na całym świecie, którzy będą ją zawsze uważali za swoją księżnę.

Uważam, że establishment powinien się przyznać do tego, iż miał swój udział w procesie unicestwiania marzeń, jakie Diana pielęgnowała od dzieciństwa. Powinien też spróbować naprawić ten błąd, popierając ją i udzielając jej potrzebnego wsparcia psychicznego, choć będzie to zapewne marne zadośćuczynienie. Diana - jak każdy człowiek - zasługuje na to, aby jej życie było życiem spełnionym. Musiała pogodzić się z tym, że to życie nie będzie takie, jak sobie wymarzyła. Ma w sobie jednak dość siły, aby porażkę zamienić w tryumf. Kiedy się to uda, jej dobry nastrój będzie się udzielał synom, którzy zasługują na to, aby czerpać korzyści z tego, że ona jest szczęśliwa. Należy sobie życzyć, by jej pewność siebie, nad której wyrobieniem tak ciężko pracowała i którą inni tak często podkopowali, odrodziła się w pełni, i mieć nadzieję, że Dianie uda się spełnić swoje zamierzenia i pójść w ślady tylu kobiet z rodziny królewskiej, które przedkładały obowiązek nad osobiste szczęście.

Błędy można naprawić, jeżeli nie brak odwagi. Prasę bulwarową można pozbawić żeru w postaci opowieści o ciągłych animozjach i rodzinnych waśniach. Trzeba pozwolić, aby czas zrobił swoje i by w miarę jego upływu zmniejszały się szkody wyrządzone monarchii i krzywdy wyrządzone Dianie. Czas leczy wiele ran, chociaż - kiedy nastąpiła zdrada - nic nie zastąpi miłości i nie uleczy złamanego serca. Jednak ze wszystkiego można wyciągnąć naukę, dobro może wynikać ze zła, a w miejsce dawnego szczęścia może przyjść szczęście innego rodzaju.

Jest rzeczą bardzo smutną i paradoksalną, że oboje - Karol i Diana - pragnęli tej bliskości, którą mogą dać miłość, małżeństwo i rodzina. On - gdyż miał samotne dzieciństwo, a ona - z powodu rozvodu rodziców. Jednak nie zaspokoiли swoich wzajemnych potrzeb. Jego słabość, jego brak zrozumienia i troski doprowadziły do unicestwienia marzeń dziewczynki, którą kiedyś znałam.

Rozdział piętnasty

Nie tylko Diana zastanawia się, jak potoczy się jej dalsze życie. Pytanie: „W jaki sposób Diana powróci na forum publiczne?” pojawia się w wielu rozmowach, zastępując częstokroć typowo brytyjskie obsesyjne uwagi o pogodzie. Wycofawszy się z pełnienia swoich królewskich obowiązków, Diana pozostawiła po sobie ogromną pustkę - nie tylko w życiu ludzi, którym pomagała, ale także w życiu tych nieprzeliczonych rzesz, dla których wiadomości o jej działaniach i zdjęcia przedstawiające jej serdeczny uśmiech były czarownym urozmaice-
niem ich skądinąd nudnej, szarej egzystencji. Inni członkowie rodziny królewskiej wykonywali równie cenną pracę, jednak to Dianą interesowano się najbardziej i to Diana dodawała tej rodzinie blasku. Karol wciąż narzekał, że w gazetach i czasopi-
smach zdjęcia jego żony pojawiają się w najbardziej

wyeksponowanych miejscach, podczas gdy jego przemówienia dotyczące spraw bliskich jego sercu są prawie niezauważalne. Z zadowoleniem powitał więc fakt, że Diana wycofała się z życia publicznego. Miał bowiem nadzieję, że teraz media będą się interesowały wyłącznie nim. Jednak kiedy spełniło się to jego życzenie, okazało się, że media interesują się przede wszystkim jego życiem prywatnym.

Trzeciego grudnia roku 1993, w hotelu Hilton przy Park Lane, podczas lunchu dobroczynnego zorganizowanego na rzecz Headway*, jednej z jej ulubionych organizacji charytatywnych, Diana wygłosiła swoją słynną mowę nazwaną potem „mową o czasie i przestrzeni”. Wygłaszając ją, pragnęła usunąć się w cień - po trzynastu latach życia w światłach reflektorów. Jej romans z mediami i kamerami zakończył się takim samym fiaskiem jak jej romans z mężem. Paparazzi dawali jej się coraz bardziej we znaki, a ona potrzebowała czasu, który mogłaby spędzać z synami, i przestrzeni życiowej, aby pomyśleć o własnej przyszłości.

* Headway National Head Injuries Association (Stowarzyszenie Badań nad Urazami Głowy) (przyp. tłum.).

W swojej mowie powiedziała: *Mam nadzieję, że otworzywszy mi swoje serca, zrozumiecie mnie i zostawicie mi czas i przestrzeń, których mi tak brakowało w ostatnich latach.* Tę mowę uznano za jedną z najdramatyczniejszych wypowiedzi wygłoszonych kiedykolwiek przez członka rodziny królewskiej. Stwierdzając, że po trzynastu latach wycofuje się z życia publicznego, Diana była bliska łez. W pięciominutowej mowie oświadczyła, że otrzymuje wsparcie psychiczne od królowej i księcia Filipa, jednak brak jakiegokolwiek wzmianki o mężu był bardzo wiele mówiący. Mając poparcie Karola, Diana nie porzuciłaby swoich funkcji publicznych, mimo że od momentu

separacji żyła w coraz większym stresie. Ale on, zamiast ją wesprzeć, zachowywał się coraz bardziej wrogo, czemu towarzyszyło wzrastające wścibstwo prasy. *Kiedy przed dwunastu laty wchodziłam w życie publiczne, wiedziałam, że media mogą interesować się tym, co robię. Zdawałam sobie sprawę, że ich uwaga skupi się na pewno zarówno na naszym życiu prywatnym, jak i na naszej działalności publicznej. Jednak nie miałam pojęcia, do jakiego stopnia może się to okazać przytłaczające i jak dalece może wpłynąć zarówno na moje obowiązki publiczne, jak i na moje sprawy osobiste. Nie przypuszczałam też, że tak trudno będzie mi to znieść.* Decyzja o wygłoszeniu tej mowy - w której Diana stwierdziła, że rzeczą najważniejszą w jej życiu będą w dalszym ciągu jej dzieci, które zasługują *na tyle miłości, ile jest zdolna im dać i tyle uwagi, ile jest zdolna im poświęcić* - nie była bynajmniej podjęta pośpiesznie, w wyniku działania nieracjonalnego impulsu. Mowa została wygłoszona po głębokim namyśle.

W dzieciństwie Diana bardzo lubiła znajdować się w centrum uwagi. Nie zdawała sobie wtedy sprawy, że pewnego dnia jej sceną stanie się świat, a jej największym życzeniem będzie wycofać się za kulisy. Myśląc o swojej przyszłości - gdyż każdy w pewnym okresie życia staje na rozdrożu i musi dokonać podsumowania oraz wyznaczyć sobie nowy kierunek, z nadzieją, że dokonuje mądrego wyboru - Diana nie różni się od reszty ludzi i pragnie podjąć właściwą decyzję. Otwiera się przed nią wiele możliwości, jednak ona wie, że popełniła już jeden poważny błąd. Musi wybierać uważnie, tak aby na ścieżce, którą podąży, osiągnąć spełnienie i szczęście, zarówno w pracy jak i w życiu prywatnym.

W pierwszych tygodniach po wygłoszeniu słynnej mowy, Diana uświadomiła sobie, że całe swoje dorosłe życie spędziła na widoku publicznym. Teraz wycofała się, jednak nie bez rozgłosu i spokojnie, jak tego sobie życzył Karol. Nie, zanim zniknęła w cieniu, wygłosiła naładowane emocjami oświadczenie.

Już samo to rozgniewało Karola, który był zawsze skory do krytykowania jej postępowania. Karol chciał, żeby Diana wycofała się za kulisy. Diana się wycofała, *ale dlaczego zrobiła z tego taką wielką sprawę?* Pogląd Karola podzielały niektóre osoby nastawione do niej krytycznie. Jednak Diana miała kilka rzeczy do powiedzenia: chciała mieć pewność, że ludzie będą znali prawdziwe powody jej wycofania się, chciała położyć tamę zalewowi spekulacji pojawiających się w mediach. Mogła to zrobić w jeden tylko sposób - wygłaszając mowę, w której powiadamiała słuchaczy o swoim odejściu.

Natomiast jej wyjście z cienia nie będzie poprzedzone żadną mową. Gdyż Diana wychodzi z cienia stopniowo i spokojnie. Przyjdzie taki czas, kiedy jej nieobecność na forum publicznym będzie należała do przeszłości i zostanie zapomniana. Wstrząsy i napięcia, jakich doświadczyła w ciągu roku, który upłynął od ogłoszenia separacji, spowodowały u niej psychiczne i fizyczne wyczerpanie. Diana wiedziała, że większość swego dorosłego życia ma przed sobą. Wiedziała też, że dla niej rzeczą najważniejszą jest poszukiwanie nowego kierunku. Musiała zacząć go szukać. Chciała się na tym skupić po wypoczynku, jaki miały jej dać wakacje z synami. Diana zdawała sobie sprawę, że wejście w nową rolę zajmie jej sporo czasu i będzie wymagało głębokiego zastanowienia. W porównaniu z młodą, naiwną dziewczyną, którą była, kiedy po raz ostatni kosztowała wolności, okazała się teraz osobą o wiele bardziej świadomą. Lata małżeństwa, radości macierzyństwa, nieszczęśliwe pożycie z mężem, świadomość, że życie przynosi człowiekowi różnego rodzaju ciosy, wszystko to sprawiło, że stała się kobietą mądrzejszą i dojrzałą.

Od wczesnych lat dziecinnych Diana demonstrowała siłę charakteru i zdecydowanie. Jednak walka, którą toczyła w latach nieszczęśliwego małżeństwa, spowodowała, że jej wrodzone

cechy uległy przytłumieniu. Ale później, w miarę wyzwalała się z bagna, w które została wciągnięta wbrew woli, odzyskiwała wewnętrzną siłę i odwagę. Przez lata zmagania, w okresie między młodością a dojrzałością, na Dianę spadło mnóstwo ciosów. Toteż łatwo by jej było usprawiedliwić wycofanie się z życia publicznego na zawsze. Początkowo miała nawet taką pokusę: chciała wycofać się i nigdy nie wrócić. Jednak, kierując się poczuciem odpowiedzialności i obowiązku, doszła do wniosku, że zmarnowałaby w ten sposób szansę niesienia pomocy innym, jaką miała dzięki swojej pozycji i już w pierwszych tygodniach po wycofaniu się wiedziała, że jej nieobecność będzie jedynie czasowa. W życiu trzeba podejmować ryzyko. Diana, mając przed sobą cel, uznała, że musi je podjąć jeszcze raz - że musi wystawić się na ciosy, na które jest przecież taka podatna, przyjąć wobec życia postawę pozytywną i zagrać swoją rolę - rolę, która tym razem będzie taka, jakiej ona sama pragnie.

W ciągu tygodni poprzedzających wycofanie się z życia publicznego głównym celem Diany było pozbyć się nadzoru ochroniarzy i policji. Chciała to zrobić w chwili, gdy przestanie ją obowiązywać królewski protokół. Opanowało ją dziecinne pragnienie powrotu do takiego życia, jakie znała kiedyś. Pragnęła, by czas się cofnął, a rzeczywistość zmieniła tak, aby ona mogła być znowu zwykłą, przeciętną kobietą. Była to oczywiście wielka naiwność. Bo miała przecież dwóch synów, z których żaden nie miał być nigdy zwykłym, przeciętnym człowiekiem. Gdyż „następca i zastępca”^{*} mogą, pod okiem rodziców, prowadzić życie tak normalne jak to tylko możliwe, ale niemożliwe jest, aby - ze względu na swoją pozycję - obchodzili się bez ochrony.

^{*} „The heir and the spare”, jak potocznie nazywani są synowie księżnej Diany.

Diana mogła się więc upierać i postępować nierozsądnie

wtedy, kiedy chodziło o jej własne bezpieczeństwo, jednak jako odpowiedzialna matka przyszłego króla Wielkiej Brytanii musiała pogodzić się z tym, że idąc czy jadąc gdziekolwiek z synami, będzie miała przy sobie ochroniarzy.

W pierwszych dniach wolności bywały chwile, w których miała wątpliwości, czy postąpiła mądrze, pozbywając się ochrony. Bo często zdarzało się, że napierał na nią tłum, a przyjść jej z pomocą mógł jedynie znajdujący się w pobliżu policjant. Z czasem ludzie oswoili się z tym, że księżna Walii porusza się po mieście sama, i przestali się wokół niej tłoczyć. Mogła więc odwiedzać ulubione sklepy i restauracje. Zarówno opinia publiczna jak i policja, która odpowiadała za jej bezpieczeństwo i którą obwiniano by w pierwszym rządzie, gdyby coś jej się stało, odniosły się bardzo krytycznie do jej decyzji pozbycia się ochrony. Co do mnie, to rozumiałam jej niechęć do znajdowania się pod ciągłą kontrolą. Rozumiałam też, dlaczego Diana uważa, że - chcąc powrócić do normalności - musi zostać sama. Równocześnie jednak byłam zdania, że jej upór sprawia, iż nie dostrzega pewnych rzeczy. Otóż wiedziałam, że Diana bardzo kocha swoich synów i że jej starszy syn, książę Wilhelm, jest bardzo wrażliwy i wręcz uczulony na punkcie jej bezpieczeństwa. Dlatego nie mogłam pojąć, jak ona - osoba zwykle zdolna wczuć się w nadzieje i lęki tych, dla których pracowała - może nie zauważać, że poruszając się bez ochrony, przysparza stresów synom, którzy martwią się o nią i boją się, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

Ludgrove, szkoła przygotowawcza, do której uczęszczali młodzi książęta, robiła, co mogła, aby to, co pisały gazety, nie docierało do ich uszu. Jednak Diana dbała o to, aby Wilhelm wiedział, jaki jest prawdziwy świat. Wilhelm towarzyszył jej podczas wizyt w strefach nędzy i zdawał sobie sprawę, że

zagrożają jej różne niebezpieczeństwa - ze strony różnych wariatów, porywaczy czy terrorystów. A to, czego sam sobie nie wyobraził, podsuwały mu gazety.

Korciło mnie, żeby napisać o tym do Diany. Gdyż potrafiłam wczuć się w lęki jej synów. Mój własny syn, który, podobnie jak księżę Wilhelm, jest wrażliwy i czuje się odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo i pomyślność, byłby przerażony, gdybym uparcie podejmowała takie ryzyko. Przypuszczam, że księżę Wilhelm reaguje tak samo. W końcu jednak nie napisałam do niej. Diana musiała wysłuchiwać tylu rad, że z pewnością zignorowałaby jeszcze jedną wypowiedź na ten temat. Znałam ją z dawnych czasów i wiedziałam, że skoro raz coś postanowi, nie odwiodą jej od tego żadne perswazje.

W oczach wielu osób Diana była kłębkim sprzeczności. No, bo z jednej strony pozbyła się ochrony, a z drugiej - spiesząc się dokądś - nie wahała się użyć niebieskiego światła ostrzegawczego. Poszukując nowych dróg na przyszłość, popadała z jednej skrajności w drugą. W jej życiu następowały ciągle zmiany. Opinia publiczna oczekiwała w napięciu na nowy rozdział królewskiej sagi. W ciągu pierwszych tygodni po rezygnacji Diany z życia publicznego powszechny apetyt na wieści o księżnej nie był zaspokojony, gdyż media uszanowały prośbę Diany i zostawiły ją w spokoju. Taki stan rzeczy mógł jednak trwać krótko, bo dziennikarzom chodzi o to, by gazety się sprzedawały, a życie Diany jest dla nich zawsze łakomym kąskiem. Wkrótce prasa znowu monitorowała każdy jej ruch, analizowała każdą jej minę i Diana - mimo że wykazywała ogromną ostrożność - stała się przedmiotem krytyki. Bardzo ją to zabolowało. Nie mogła uwierzyć, że media, które kiedyś tak jej schlebiali, z taką łatwością i tak chętnie zwróciły się przeciwko niej - z chwilą gdy przestał ją osłaniać królewski płaszcz.

W wielu artykułach spekulowano na temat przyszłości Diany. Czy popadnie w niełaskę i zniknie? Czy może, przekonawszy

się, jak trudno jest żyć w świecie zewnętrznym, przyzna, że popełniła błąd i ponownie schroni się pod skrzydła rodziny królewskiej? A może stanie się zupełnie inaczej? Może Diana wyłoni się ponownie w jakiejś nowej, rzucającej się w oczy roli? Diana starała się pielęgnować przyjaźń z wpływowymi członkami rządu, wśród których byli premier John Major, minister spraw zagranicznych Douglas Hurd oraz baronowa Chalker, minister rozwoju terytoriów zamorskich. Początkowo powstał następujący plan: Diana przyjmie na siebie rolę podróżującego ambasadora Zjednoczonego Królestwa. Będzie odwiedzała te rejony świata, w których są jakieś delikatne misje do spełnienia. Wykorzystując swój urok i osobowość, będzie przygotowywała grunt dla zakulisowych rozwiązań dyplomatycznych. Zarówno członkowie rządu jak i sama Diana odnieśli się entuzjastycznie do tego planu, dzięki któremu księżna Walii miała by satysfakcjonującą rolę do odegrania. Jednak Karol i pałac Buckingham gwałtownie się temu sprzeciwili. Uważali bowiem, że ten plan grozi ponownym odwróceniem uwagi od następcy tronu. Ponadto rola, w której miałyby występować Diana, była rolą, o jakiej Karol myślał dla siebie. Zarówno Diana jak i członkowie rządu poczuli się bardzo rozczarowani, a poza tym zapanowało powszechne przekonanie, że oto z powodu drażliwości Karola zmarnowana została cenna możliwość. Postanowiono, że Diana skupi się na sprawach natury humanitarnej i nie będzie wchodziła w drogę Karolowi, który zawsze bardziej interesował się handlem i biznesem. Mimo to Karol wciąż obawiał się, że jego żona stanie się zbyt popularna i że on sam zostanie jak zwykle zepchnięty w cień.

Prasa nadal snuła domysły, czasami zawierające ziarno prawdy, a czasami całkiem wysrane z palca. Opinię publiczną natomiast najbardziej interesował ewentualny rozwód. Ludzie byli ciekawi, czy i kiedy do niego dojdzie oraz kto będzie

kolejnym mężczyzną w życiu Diany. Większość z nich przypuszczała, że rozwód nastąpi po dwóch latach separacji, w grudniu roku 1994. Przeprowadzono sondaże opinii społecznej. Wynikało z nich, że zdaniem większości badanych dalsze utrzymywanie małżeństwa, które na oczach wszystkich umarło tak okropną śmiercią, na nic się nie zda.

Po wstrząsie, jakim była dla nich publiczna separacja, zarówno Karol jak i Diana początkowo chcieli się rozwieść, ponieważ każde z nich pragnęło być jak najdalej od tego drugiego. Jednak z biegiem czasu, kiedy nie musieli już udawać, że są zgodnym małżeństwem i kiedy każde zaczęło żyć własnym życiem, rozwód przestał być sprawą tak nagłą jak w pierwszych miesiącach po separacji. Karol żył tak jak w późniejszych latach swojego małżeństwa, z tym że żona nie suszyła mu już głowy. A Diana - straciwszy wszelki sentyment do męża i zobojętniawszy całkowicie na jego postępowanie - przestała uważać, że musi rywalizować o jego uczucia z inną kobietą. Zastanawiała się natomiast, jak postąpić w przyszłości, rozważała, co będzie mądrzejsze - rozwieść się czy nie rozwodzić? Od dzieciństwa interesowała się astrologią, tym, co mówią gwiazdy, a już jako osoba dorosła zawsze czytała horoskopy dotyczące jej własnego znaku - Raka, chcąc się dowiedzieć, co ma dalej robić. Ponadto, wbrew radom przyjaciół i zamiast brać przykład z Margaret Thatcher, która się takimi rzeczami nie przejmowała, czytała wszystko, co pisała o niej prasa bulwarowa, a te opinie często wyprowadzały ją z równowagi.

Gazety zajmowały się ewentualnym rozwodem, rozpatrując to zagadnienie z każdej możliwej strony. Analizowano precedensy konstytucyjne i prawne, opisywano szczegółowo sytuację finansową Diany i Karola. Snuto domysły na temat dwóch rezydencji przeznaczonych dla Diany - jednej na wsi i jednej w mieście - podkreślając, że będą musiały być ściśle chronione. Dyskutowano na temat sum potrzebnych Dianie na jej

prywatne wydatki. Przedstawiano ją jako osobę rozrzutną, która żądała od Karola ogromnych ilości pieniędzy. To oskarżenie bardzo ją zdenerwowało, gdyż Diana zawsze liczyła się z pieniędzmi. Musiała jednak myśleć o swojej pozycji i dbać o to, aby się dobrze prezentować. Kiedy przestała pełnić królewskie obowiązki, znacznie ograniczyła budżet przeznaczony na stroje. Jej styl ubierania zmienił się w sposób zauważalny. Widuje się ją teraz często w eleganckich kostiumach ze spódnicami odsłaniającymi kolana. Diana jest dumna ze swoich opalonych nóg sportsmenki, a krótsze spódnice podkreślają ich urodę. Buty na płaskim obcasie, które nosiła, żeby nie górować nad mężem wzrostem, poszły dawno w zapomnienie. Diana nosi teraz wysokie obcasy, które między innymi mają podkreślić długość jej nóg.

Diana nie jest zwolenniczką królewskiej pompy. Nie zależy jej tak bardzo na tytule Jej Królewskiej Wysokości Księżnej Walii. Nie chce jednak pozbyć się tego tytułu w sposób zbyt pochopny, gdyż wie, że dzięki niemu może zdobyć na swoje akcje dobroczynne o wiele więcej pieniędzy niż zwyczajna Diana Spencer. Należy też pamiętać, że będąc matką przyszłego króla, powinna zachować pewną pozycję.

Tak więc Diana studiowała horoskopy, czytała gazety i czekała. Wstępne rozmowy na temat rozwodu toczyły się między prawnikami, którzy opracowywali coś w rodzaju podstawowego planu na wypadek gdyby do niego doszło. Czas działał na korzyść Diany, ponieważ do grudnia 1994 roku nic nie mogło się sfinalizować. Dzięki temu Diana miała szansę uspokoić się, rozejrzeć w sytuacji i przeanalizować wszystko na zimno. Diana ma pewność co do jednego: chciałaby z czasem poznać kogoś, kto okazałby się dla niej partnerem życiowym - takim, jakim w jej marzeniach miał być jej mąż, i z kim mogłaby mieć jeszcze dwoje dzieci. Nie wie tylko, w jaki sposób

to życzenie ma się spełnić. Jest to jednak wielkie pragnienie Diany, która równocześnie zdaje sobie sprawę, na jaki stres byłaby narażona, zbliżając się do jakiegoś mężczyzny. Wie także, że w takim wypadku groziłaby jej utrata więzi z dziećmi, gdyż królowa mogłaby zażądać, aby jej wnukowie znaleźli się wyłącznie w zasięgu wpływów rodziny królewskiej. Zgodnie z królewskim protokołem, królowa ma prawo decydowania o przyszłości chłopców.

Dianę często krytykuje się za to, że flirtuje z mężczyznami, wchodzi z nimi w bliższą zażyłość, dając im do zrozumienia, że są w jej życiu kimś wyjątkowym, a potem ich odpycha. A wszystko to robi jedynie dla podbudowania własnego ja. Nic nie jest dalsze od prawdy niż ta opinia. Diana nigdy nie igra z cudzymi uczuciami, bo wie aż za dobrze, co znaczy cierpieć z powodu nieodwzajemnionej miłości. Diana straciła mnóstwo tak ciężko zdobytej wiary w siebie, kiedy uświadomiła sobie, że w oczach Karola nie jest atrakcyjną kobietą. Jak każda kobieta, odzyskuje jednak tę wiarę, widząc, że nie wszyscy mężczyźni podzielają zdanie jej niekochającego męża. Jest z natury niezwykle hojna, a dawanie prezentów sprawia jej większą przyjemność niż ich otrzymywanie. Kupuje prezenty, kierując się impulsem, a to - podobnie jak jej serdeczność - bywa źle rozumiane. Zdarza się, że obdarowany wysnuwa fałszywe wnioski. Diana szczerze pragnie być z tymi ludźmi. Jednak kiedy stosunki stają się serdeczniejsze i kiedy widzi, że traci kontrolę nad własnymi uczuciami, zaczyna nagle uświadamiać sobie, do czego może doprowadzić taki związek. Wycofuje się wtedy ponownie w świat swojej prywatności i samotności. Niektórzy z jej byłych przyjaciół są dyskretni i - mimo że boleśnie zranieni - nie ujawniają przyczyn zerwania. Inni natomiast wylewają publicznie swoje żale, przysparzając Dianie ciężkich zmartwień.

Starając się urządzić sobie nowe, satysfakcjonujące życie, Diana ma nadzieję, że droga, jaką wybierze, doprowadzi ją do

miłości, która będzie się mogła zrealizować po rozwodzie. Diana pragnie być potrzebna i to pragnienie w pewnym sensie zostanie zaspokojone dzięki jej pracy. Ale ona chce także być potrzebna i kochana - w życiu prywatnym. Diana nigdy nie ukrywała, że chciałaby bardzo wyjść ponownie za mąż i mieć więcej dzieci. Należy pamiętać, że w dzieciństwie marzyła jedynie o szczęśliwym małżeństwie i sporej gromadce dzieci. Jeżeli chodzi o małżeństwo, to, jak do tej pory, jej marzenie się nie spełniło. Każdy, kto widział ją z dziećmi, zgodzi się, że jest wspaniałą matką - kochającą i serdeczną, matką, która - dając synom dużo swobody i okazji do zabawy i radości - zapewnia im wychowanie różniące się od tego, które otrzymywała większość poprzednich dziedziców tronu.

Oczywiście Diana ma dwóch synów, z których jest niezmiernie dumna. Ale obie jej siostry mają po troje dzieci, a brat Charles jest ojcem czworga: najstarszej córki, średnich bliźniaczek i syna - dziedzica posiadłości Althorp Hall będącej domem rodu Spencerów. Istnieją co prawda różne nowoczesne kuracje - a Diana eksperymentowała z kilkoma - jednak nie wymyślono jeszcze takiej, która uciszyłaby nieubłagane tykanie biologicznego zegara. Diana, chcąc począć dziecko w sposób naturalny, musi zdawać sobie sprawę, że skończywszy (pierwszego lipca 1995 roku) trzydzieści cztery lata, nie będzie już taka młoda. Możliwe, że chcąc zachować bliski kontakt z synami, kontakt, którego tak zazdrośnie strzeże, będzie musiała zrezygnować ze swoich dziewczęcych marzeń.

Jest oczywiste, że - skoro już będzie wolna - nic jej nie powstrzyma od wejścia w szczęśliwy, satysfakcjonujący związek - w jakimkolwiek wieku. Być może okaże się, że będzie musiała z tym poczekać, aż synowie dorosną. Jeżeli tak, to poczeka. Należy mieć nadzieję, że pewnego dnia przekona się, że partnerski związek dwojga kochających się ludzi to coś, co daje więcej szczęścia, niż mogła sobie wymarzyć. Tymczasem

musi przyjąć do wiadomości to, co chyba słusznie stwierdza jeden z dziennikarzy: *Za szczęście w postaci nowego męża i nowej rodziny musiałaby zapłacić wysoką cenę. A ceną tą byłoby nieodwracalne zakłócenie równowagi emocjonalnej istniejącej między nią i synami, a także - co równie ważne - zmniejszenie jej wpływu na przyszłego króla.*

Podczas gdy media spekulują na temat jej przyszłej roli, Diana ma własny pogląd na to, co by chciała przedsięwziąć, i powoli, spokojnie realizuje swoje zamiary. Coraz częściej pojawia się na forum publicznym, co przeważnie ma związek z jej działalnością charytatywną. W roku 1995, w lutym, udała się w podróż do Japonii. Postanowiła, że ta wizyta - pierwsza wizyta w krajach zamorskich od czasu jej wycofania się z życia publicznego - będzie sukcesem. Wokół całego wydarzenia panowała cisza, dopóki Diana nie wygłosiła pierwszej mowy i nie zaszokowała słuchaczy, wypowiadając kilka słów po japońsku. Fakt, że dokonała takiego wysiłku i poradziła sobie z tak trudnym językiem, sprawił, że słuchacze nabrali do niej jeszcze większego szacunku. Później, przez cały czas trwania wizyty, relacjonowano każdy jej ruch, na jej spotkanie wychodziły zachwycone, rozentuzjasmowane tłumy. Diana potrafi instynktownie docierać do ludzkich serc i dokłada wszelkich starań, żeby je sobie pozyskać - zarówno w Japonii jak i we własnej ojczyźnie, gdzie do niektórych gazet pisują krytycznie do niej nastawieni dziennikarze.

Wiosną 1995 roku Diana pojechała do Hong Kongu w charakterze wiceprzewodniczącej Czerwonego Krzyża. Kiedy została wybrana na to stanowisko, dokonywano oczywiście porównań z księżniczką Anną, która osiągnęła międzynarodową pozycję, udzielając poparcia Funduszowi dla Ratowania Dzieci (Save the Children Fund). Zarówno Diana jak i księżniczka Anna są oddane swojej pracy i robią wszystko co w ich mocy

dla swoich podopiecznych. Diana pragnęła konkretnego zajęcia i kładła bardzo duży nacisk na to, by żadna organizacja nie wykorzystywała jej jedynie dla celów reprezentacyjnych. Kiedy Czerwony Krzyż zwrócił się do niej po raz pierwszy, zastanawiała się, czy jest tam miejsce dla niej. (Większość organizacji charytatywnych, z którymi jest związana, to organizacje młodszego, podczas gdy Czerwony Krzyż miał obchodzić sto dwudziestą piątą rocznicę swego istnienia; Diana zgodziła się zresztą patronować uroczystościom.) Jej wątpliwości zniknęły, kiedy jej rola została dokładnie określona. Diana z przyjemnością brała udział w spotkaniach w Genewie, podczas których traktowano ją jak każdego z uczestników, nie podkreślając, że jest księżną Walii.

Wyrażając zgodę na podróż do Hong Kongu, Diana wiedziała, że ten jej wyjazd przyczyni się do zbierania funduszy na Czerwony Krzyż. Zdaje sobie ona bowiem sprawę, że księżne angażuje się w takie przedsięwzięcia dla reklamy. Co prawda kontakt z Dianą przynosi pocieszenie poszczególnym ludziom, jednak jej praca daje prawdziwe efekty wtedy, kiedy Diana jest w stanie dotrzeć do większej ich liczby. Diana wykorzystuje swoją pozycję, wspomagając przedsięwzięcia dobroczynne. Działalność ta jest bardzo bliska jej sercu, podobnie jak budzenie świadomości społecznej w zakresie takich problemów, jak bezdomność, narkomania, walka z rakiem czy trądem.

Podczas podróży do Hong Kongu, która okazała się wielkim sukcesem i tryumfem Diany, zebrano sto tysięcy funtów na Czerwony Krzyż oraz walkę z trądem i rakiem. Większość tych pieniędzy uzyskano podczas wspaniałego bankietu wydanego na jej cześć, podczas którego Diana wyglądała olśniewająco. Jednak wygląd nie jest najważniejszy. Prawdziwa siła Diany bierze się z jej wewnętrznych przymiotów. Diana jest osobą pełną szczerego współczucia, które okazuje zarówno na forum

publicznym, podczas swych zagranicznych podróży, jak i podczas prywatnych wizyt u ludzi potrzebujących.

To właśnie te wizyty składane pokrzywdzonym przez los dają jej największą satysfakcję. Odbywają się one bez rozgłosu, a Diana nie obawia się, że zostanie z ich powodu oskarżona o rywalizowanie z księciem Karolem. Diana zawsze z wielką determinacją stara się poznawać drugą stronę życia. Hong Kong nie był pod tym względem wyjątkiem. Diana odwiedziła podczas tej wizyty wyspę Shek Kwu Chau, gdzie mieszka i leczy się trzystu narkomanów uzależnionych od heroiny. Na wyspę, na której żyją również węże i pawie, nie wpuszcza się kobiet. Diana uważa walkę z narkomanią za jeden z problemów najbliższych swemu sercu. Odwiedziła więc Shek Kwu Chau, mimo że upał był wtedy nie do wytrzymania.

Podczas swojego krótkiego pobytu w Hong Kongu złożyła też wizytę w Youth Outreach Center - schronisku dla nastolatków, którzy uciekli z domu, i spędziła sporo czasu na rozmowach z młodzieżą. Chorzy na raka pacjenci Szpitala Pameli Youde Nethersole także skorzystali na jej wizycie. Diana, gdziekolwiek się pojawia, potrafi rozmawiać z ludźmi, i to z ludźmi w każdym wieku. Zachowuje się naturalnie, czuje się swobodnie i sprawia, że jej rozmówcy czują się tak samo. Jedną z mieszkanek Hong Kongu wyraziła zapewne opinię wielu ludzi, mówiąc: *Ona jest bohaterką, taką świętą naszych czasów.*

Podobnie jak podczas poprzednich długich podróży zamorskich Diana i tym razem dowiodła, że bardzo szybko potrafi pokonać zmęczenie wywołane zmianą strefy czasowej. W trakcie kolacji wydanej w celu zebrania funduszy na leczenie i rehabilitację trędowatych w Chinach wprost promieniała i absolutnie nie widać było po niej zmęczenia. Mieszkała w Hotelu Oriental, a jej apartament kosztował cztery i pół tysiąca dolarów za dobę. Oczywiście mając taką pozycję, Diana może spodziewać się zakwaterowania i obsługi na najwyższym poziomie.

Nie są one dane mniej uprzywilejowanym podróżnym, a jej pozwalają łatwiej pozbyć się zmęczenia.

Diana wykorzystuje swoją pozycję, aby nieść pomoc biednym i pokrzywdzonym przez los. Praca dla nich daje jej największą satysfakcję. Musi się jednak starać, żeby ta praca nie stała się obsesją, substytutem pełnego miłości związku z drugim człowiekiem. Już w szkole, nie będąc najlepszą uczennicą, Diana była uważana za dziecko opiekuńcze i troszczące się o innych. Na świecie jest wiele osób, u których współczucie dla innych i praktyczne podejście do życia mają przewagę nad zdolnościami intelektualnymi, jednak żadna z nich nie ma pozycji, która do tego stopnia co pozycja Diany pozwala korzystać z tych cech i gromadzić środki przeznaczone na pomoc pokrzywdzonym przez los.

Diana lubi prostotę. Chciałaby, żeby z wielu sfer dworskiego życia zniknęły pompa, sformalizowanie i oficjalność. W znacznym stopniu zdołała wykorzenić je ze swojego prywatnego życia. Prowadzi sama samochód i bardziej niż którakolwiek z dotychczasowych księżnych Walii przypomina normalną, przeciętną osobę. Zawsze uważała, że letnie ogrodowe przyjęcia (garden parties) są sztuczne i chciała, żeby stały się one bardziej naturalne. Była też zdania, że sztywny protokół obowiązujący ją podczas wykonywania królewskich obowiązków powoduje, że jej spontaniczne gesty okazują się nie na miejscu. Musiała się zawsze pilnować, żeby nie zrobić czegoś niezgodnego z tym protokółem, a to czasami kłóciło się z jej naturalną opiekuńczością. Musiała się nauczyć najpierw myśleć, a dopiero potem działać. Diana, sądząc, że podziela pod tym względem zdanie wielu, wolałaby, aby życie dworu było bardziej zbliżone do życia zwykłych ludzi, bardziej naturalne i skromne, nie tak pełne ostentacyjnej pompy.

Diana ma wiele możliwości wyboru. Członkowie każdej organizacji, czy to nastawionej komercyjnie czy dobroczynnej,

wiedzą, jaką siłą sprawczą dysponuje i ile może dla nich zrobić na przykład w zakresie uruchamiania kampanii zbierania funduszy. Poszukując własnej tożsamości, Diana przekonała się, że największe sumy pieniędzy zbiera nie dzięki swoim prywatnym wizytom w biednych dzielnicach Londynu i w domach opieki, nie dzięki tym wizytom, które dają jej takie poczucie sensu własnego działania, ale dzięki całemu temu fałszywemu blichtrowi, który uważa za tak sztuczny.

Jakikolwiek będzie wybór, dokona go sama Diana. Jednak jestem pewna, że nie podejmie ona ostatecznej decyzji, nie porozumiewszy się najpierw z królową, którą darzy ogromnym szacunkiem. To właśnie na prośbę królowej Diana nie zrezygnowała ze stanowiska dowódcy swoich pięciu pułków i latem roku 1994 uczestniczyła w odbywających się w Londynie i w Portsmouth obchodach rocznicy lądowania aliantów w Normandii. Diana, podejmując decyzję, weźmie pod uwagę rady królowej. Ponieważ jednak wie, co daje jej największą satysfakcję, oprze się także na własnym poglądzie na tę sprawę.

Są chwile, w których Diana potrafi połączyć swoje zamiłowanie do muzyki i sztuki ze zbieraniem funduszy na cele dobroczynne. Diana wychowała się wśród dorosłych, którzy kochali muzykę. Jej babka ze strony matki, lady Fermoy, przez całe życie zajmowała się muzyką, a coroczny Festiwal w Kings Lynn, ufundowany przez rodzinę Fermoyów, jest do dziś dnia cenioną i popularną imprezą. W obu domach, w których Diana spędziła dzieciństwo - w Park House w Sandringham i w Althorp Hall koło Northampton - na ścianach wisiały piękne dzieła sztuki. Diana kocha piękno i chętnie popiera sztukę, idąc w ślady babki. Kiedy Pavarotti występował w Londynie, przemokła do suchej nitki, siedząc w Hyde Parku i słuchając jego śpiewu. Namówiła go też, żeby wiosną roku 1995 zaśpiewał w

Koncertcie Nadziei w Cardiff, przy okazji którego zbierano fundusze na dom dziecka w Dolinie Glamorgan.

W kilka tygodni później znalazła się w Wenecji, którą ostatnio odwiedziła wraz z Karolem dziesięć lat wcześniej, w roku 1985. W ciągu tych dziesięciu lat osiągnęła dojrzałość, poznała co to zazdrość, depresja i nieszczęście. I bardzo często tęskniła za prostym życiem i nieskomplikowanymi emocjami, jakich doznawała będąc zwykłą nauczycielką w przedszkolu. Teraz, znalazłszy się znowu w najromantyczniejszym z miast, miała wrażenie, że te lata - pełne zwątpienia i smutku - należą już do przeszłości. Wokół niej znajdowało się mnóstwo mężczyzn gotowych służyć jej za przewodników, a ona była spokojna i pogodna - jak ktoś, kto ma już za sobą wszystkie wstrząsy i nieszczęścia.

Znalazła się w Wenecji jako patronka Galerii Sztuki Serpentine (Serpentine Art Gallery), a towarzyszył jej David Tang, chiński multimilioner i biznesmen z Hong Kongu. Ten sam, który sześć tygodni wcześniej, podczas jej wizyty w Hong Kongu służył jej swoim towarzystwem i wydał na jej cześć kolację w China Club. Tang bardzo dobrze zna się na sztuce i był doskonałym przewodnikiem po Wenecji w stulecie Biennale. Wydał dla Diany kolację na sto dwadzieścia osób, aby zebrać fundusze na Galerię Sztuki Serpentine. Dwa spotkania w tak krótkim odstępie czasu spowodowały lawinę domysłów. Zastanawiano się, kim jest człowiek, który zdaje się być w tak bliskich stosunkach z księżną po tak krótkiej znajomości. W rzeczywistości Diana poznała Tanga w roku 1994, w hotelu Ritz, na przyjęciu wydanym przez sir Jamesa Goldsmitha dla uczczenia sześćdziesiątej rocznicy urodzin jego żony, lady Annabel, oraz z okazji wybrania go na deputowanego do Parlamentu Europejskiego.

Są chwile, w których Diana, mimo osiągniętej dużym wysiłkiem pogody ducha, czuje, że przez całe życie nieustannie ją zdradzano. Najpierw zrobiła to matka, opuszczając dom

rodzinny. Potem ojciec, żeniąc się po raz drugi, z czym ona się w końcu pogodziła, bo widziała, że jest mu z drugą żoną dobrze. A później zdradzone zostały jej dziecięce marzenia o szczęśliwym małżeństwie. Zdradził ją mąż, stwierdzając publicznie, że nigdy jej nie kochał, i brat, nie pozwalając jej urządzić wiejskiej rezydencji w Garden House w Althorp, na co początkowo się zgodził. I w końcu zdradziły ją media, zdradzili ją przyjaciele i służba, i nawet klub gimnastyczny, do którego uczęszczała. Jedna z instruktorek reklamowała taśmę wideo z ćwiczeniami, powołując się na swoje z nią kontakty. Ale najbardziej skandaliczna była zdrada polegająca na opublikowaniu jej zdjęć z siłowni.

Dziennikarze zdają sobie sprawę, że dla zwykłego człowieka jest prawie niemożliwe pozwać ich do sądu, dlatego, chcąc zwiększyć sprzedaż gazety, publikują, co im się żywnie podoba, nie zwracając uwagi na krzywdę, jaką mogą komuś wyrządzić. W Anglii jest inaczej niż w Stanach, gdzie adwokat zajmuje się sprawą, otrzymawszy pewien procent od sumy honorarium. W Anglii trzeba od razu zapłacić całą sumę. Diana nie miała kłopotów finansowych i mogła sobie pozwolić na najlepszych adwokatów, kiedy pozywała wydawnictwo prasowe Mirror Group Newspapers za publikację zdjęć. Gdy zbliżał się termin rozprawy, w lutym roku 1995, Diana udała się w podróż do Japonii. To właśnie w tym kraju, po jedenastu godzinach pobytu, odebrała telefon z Anglii. Dzwonił adwokat, żeby jej zaproponować pozasądowe załatwienie sprawy. Diana zgodziła się, dzięki czemu wracała do Anglii z tej pełnej sukcesów podróży, myśląc z ulgą, że nie będzie musiała stawić się w sądzie.

Gazety przeważnie dążą do tego, by sprawa skończyła się w sądzie, i starają się doprowadzić ofiarę do bankructwa. Przy okazji sprawy Diany gazeta usiłowała zrobić sobie jak największą reklamę. Diana miała doskonałych adwokatów, na których

mogła polegać, jednak mimo to, kiedy sprawa została doprowadzona do końca, stwierdziła, że *czuje się bardzo wyczerpana* i pojechała na parę dni na Karaiby. (Takie właśnie posunięcia dowodzą, że wbrew temu, co o sobie mówi, Diana nie jest zwyczajną osobą, jedną z wielu, i że potrafi sobie dogadzać wtedy, kiedy czuje się „wyczerpana”. Wielu ludzi, będąc ofiarami prasy zmuszonymi do stawania przed sądem, nie mogłoby pocieszyć się w ten sposób.) Diana ma wciąż nadzieję, że jeżeli się będzie bardzo starała, to - mimo wszystkich przeciwności - spotka ją pewnego dnia nagroda.

Jest pewna bardzo rozsądna rada, jakiej jej można udzielić: mianowicie żeby założyła Fundację Księżnej Diany. Diana zachwyła się tym pomysłem, jednak wywołał on pewne negatywne reakcje, gdyż obawiano się, że Fundacja będzie za bardzo przypominała instytucję charytatywną księcia Karola zwaną Prince Charles Trust. Sądzę, że jest to podejście bardzo krótkowzroczne. To prawda, że każda z tych instytucji to parasol, jednak dla zupełnie innych organizacji. Instytucja księcia Karola nastawiona jest bardziej na handel i biznes. A fundacja Diany mogłaby objąć swoją opieką nie tylko te organizacje dobroczynne, które Diana wspiera, ale także inne działania, z którymi się identyfikuje, takie jak pomoc chorym na AIDS, pomoc maltretowanym kobietom, pomoc bezdomnym dzieciom oraz kampanie antynarkotykowe. Diana nie zajmowałaby się sprawami, którymi zajmuje się instytucja jej męża, i dzięki temu nie wchodziłaby Karolowi w drogę. Karol i Diana to dwie bardzo różne osobowości. I dobrze by było, gdyby każde z nich stało na czele przedsięwzięcia dobroczynnego. Fundacja Diany mogłaby też objąć opieką Czerwony Krzyż, który uważa księżną za swojego ambasadora. Diana nie chce pełnić funkcji jedynie reprezentacyjnych, chce brać udział w planowaniu i podejmowaniu decyzji i mieć możliwość wyrażania swoich poglądów.

Jej fundacja obejmowałaby opieką wszelkie instytucje i akcje związane z niesieniem pomocy pokrzywdzonym przez los. Tworząc ją, Diana postąpiłaby mądrzej niż wiążąc się z jedną organizacją. Teraz, kiedy nie pełni już królewskich obowiązków, może ją utworzyć i stanąć na jej czele, co nie byłoby możliwe, gdyby je nadal pełniła.

Trzeba mieć nadzieję, że w ciągu następnego roku jej rola stanie się jaśniej określona i że Diana znajdzie zadowolenie i szczęście i odniesie sukces, za którym tak tęskni.

Rozdział szesnasty

Od chwili ogłoszenia separacji, w grudniu 1992 roku, spekulowano na temat terminu rozwodu. Panowała powszechna opinia, że nastąpi on w grudniu roku 1994 i że - po formalnej dwuletniej separacji - odbędzie się dyskretnie i bez rozgłosu. W czerwcu roku 1995 Camilla Parker-Bowles, długoletnia kochanka Karola, była od kilku miesięcy rozwiedziona. Wkrótce po rozpadnięciu się małżeństwa Karola z Dianą Karol pragnął jak najszybszego rozwodu. Diana początkowo rozwodu nie chciała. Zmieniła zdanie w lecie roku 1993, kiedy to dała odpowiednie dyspozycje swoim adwokatom. Od tej chwili upłynęło sporo czasu, a nic nie ucisza rodzinnych waśni lepiej niż czas. Obecnie żadna ze stron nie upiera się przy tym, że rozwód ma nastąpić natychmiast.

Kiedy Karol, w wywiadzie udzielonym Jonathanowi Dimbleby'emu w czerwcu 1994 roku, przyznał się do cudzołóstwa, Diana uważała, że jest to publiczne potwierdzenie czegoś, o czym ona wiedziała już dawno i czego domyślała się większość poddanych. Kiedy jeszcze w czasie trwania małżeństwa dawała wyraz swoim obawom, że Karol ją zdradza, oskarżano ją nie tylko o to, że ma zbyt bujną wyobraźnię i jest zbyt zaborcza, ale także o to, że jest niezrównoważona. Teraz, po publicznym oświadczeniu Karola, Diana poczuła się oczyszczona z tych zarzutów. Czyż w takich okolicznościach Karol mógł być cierpliwym, troskliwym kochankiem swojej młodej, dziewiczej żony? Przecież on jej nie kochał. Czuł tylko, że musi spełnić swój obowiązek, uspokoić tę żonę, dać królestwu dziedzica tronu, że musi robić to, czego inni się po nim spodziewają, a równocześnie obdarzać miłością swoją kochankę. Diana zareagowała zaburzeniami łaknienia spowodowanymi stresem i chęcią stania się bardziej atrakcyjną w oczach męża. Reagowała także wybuchami złości. Rozczarowana, nie mogła mieć nadziei, że wygra z tą światową kobietą, która miała taki wpływ na księcia i która nie dawała jej szansy udowodnienia, że jest ważna w życiu męża, bo sercem i umysłem był zawsze gdzieś daleko od niej.

Osobiście nie uważałam nigdy, że jest konieczne, aby przyszedł król Anglii w ten sposób przypochlebiał się poddanym. Wypowiedź Karola była aktem czystego egoizmu, a Karol, przyznając się do cudzołóstwa, nie wziął pod uwagę uczuć żony ani dzieci. Większość ludzi podzielała mój pogląd. Bardzo nieeliczni uznali to posunięcie za „rozsądne i odważne”. Zdaniem większości było ono niepotrzebne i sprawiło, że otworzyły się stare rany. Wywiad trwał dwie i pół godziny i był widowiskiem w stylu oper mydlanych, a większość ludzi zapamiętała z niego tylko to, co Karol mówił o swoim romansie z Camilla Parker-Bowles i o swoim stosunku do Kościoła. W ich pamięci

pozostanie fakt, że Karol przyznał, iż popełnił cudzołóstwo w chwili gdy - jego zdaniem - małżeństwo „bezpowrotnie się rozpadło”. Diana w tym samym czasie wcale tak nie uważała i pragnęła mieć następne dzieci. Jeżeli chodzi o stosunek do Kościoła, to Karol określił siebie mianem „obrońcy Wiary” (Defender of Faith), a nie „tej właśnie, naszej Wiary” (of the Faith). Jako monarcha będzie on głową Kościoła anglikańskiego, a fakt, że pominął słówko „the” (odpowiadające mniej więcej określeniu „ta właśnie, nasza” - uwaga tłumacza) spowodował spekulacje na temat jego zamiarów wobec tego Kościoła. Zastanawiano się też, czy jako monarcha ma zamiar reprezentować wszystkie wyznania. Tak więc z całego wywiadu w pamięci ludzi pozostaną te dwie rzeczy. A wywiad jako całość został uznany za niepotrzebne i niefortunne przedsięwzięcie reklamowe.

Diana z wielkim niepokojem zastanawiała się, jak Karol wypadnie w tym wywiadzie. Nie wiedziała bowiem, czy dzięki wywiadowi jego pozycja zostanie umocniona czy osłabiona. Nie chciała, żeby mąż występował w takim programie, była też przeciwna wykorzystywaniu synów dla efektu. Podczas przygotowań do tego programu, trwających kilka miesięcy, nie była w stanie skoncentrować się na planowaniu swojej przyszłej roli. Dlatego po jego emisji odczuła ulgę. Tego samego wieczora uczestniczyła w uroczystości zaręczynowej odbywającej się w Galerii Sztuki Serpentine. Wyglądała wspaniale i sprawiała wrażenie osoby pewnej siebie. Jej przeciwnicy twierdzą, że pokazała się na uroczystości, gdzie było wokół niej tyle szumu, bo chciała zrobić konkurencję Karolowi. Jednak nic nie jest dalsze od prawdy niż to twierdzenie. Diana nigdy nie chciała, żeby ją postrzegano jako osobę rywalizującą z księciem. Termin zaręczyn był ustalony od bardzo dawna, a szum zrobili fotoreporterzy, którzy chcieli zarejestrować, jak księżna wygląda

i jak reaguje w chwili gdy jej mąż zwierza się całemu narodowi.

Pewność siebie, którą Diana zademonstrowała w momencie gdy Karol potwierdzał przed całym światem to, czego obawiała się przez cały czas trwania ich małżeństwa, dowodziła, że od chwili gdy była naiwną dziewiętnastolatka i kiedy robiono jej pierwsze zdjęcia, zaszła w niej ogromna zmiana. Wraz z wyglądem zmieniło się jej spojrzenie na świat. Diana osiągnęła dojrzałość pozwalającą jej dostrzegać prawdę, a wraz z tą dojrzałością zyskała wiarę w siebie i zdolność do postępowania zgodnego z tym, co uważała za sprawiedliwe i właściwe.

Z biegiem lat zmieniły się wygląd i osobowość Diany. Zmienił się też stosunek Karola do niej. Przed ślubem i we wczesnej fazie małżeństwa Karol uważał, że Diana jest sympatyczna, miał nadzieję, że nauczy się ją kochać. Przypuszczał też, że Diana okaże się podatna na wpływy i że łatwo nią będzie manipulować. Jednak szybko przekonał się, że się myli. Jej wybuchy złości i choroby denerwowały go coraz bardziej. Nie chciał przy tym przyznać, że sam jest ich przyczyną. W końcu doszło do tego, że nie był w stanie przebywać z Dianą w jednym pokoju. W przeszłości jego imię łączono z nazwiskami wielu kandydatek na żonę. Jednak żadna z nich nie miała tych wszystkich cech, które kwalifikowały młodą kobietę do roli przyszłej księżnej Walii. Dopiero Diana okazała się odpowiednią kandydatką. Przyjrano jej się tak skrupulatnie jak klaczy zarodowej i uznano ją za doskonałość. Diana była dziewicą, dzięki czemu nie istniało ryzyko publicznego analizowania jej przeszłości, a jej rodzina od setek lat cieszyła się nieskazitelną opinią. Jednak Karol - ożeniwszy się i zadowolony rodzinę i naród - nie miał czasu, cierpliwości ani chęci, aby podjąć jakikolwiek wysiłek w celu uczynienia ze swojej niedoświadczonej żony partnerki, jaka mu była potrzebna. Kiedy jedno z partnerów nie kocha, niemożliwe jest współdziałanie. Bo brakuje wtedy cierpliwości,

miłości i zrozumienia. Diana już we wczesnej fazie małżeństwa doświadczyła obojętności ze strony Karola i czuła się zagrożona obecnością innej kobiety.

Camilla Parker-Bowles była od niej dojrzała i miała więcej seksualnego doświadczenia, a poza tym była bardzo pewna swego kochanka. Ta jej pewność została w sposób paradoksalny zachwiana po jej rozwodzie, kiedy Karol, reagując na utratę zabezpieczenia, jakie mu zapewniało jej małżeństwo, zaczął się z nią widywać rzadziej, a nie częściej niż wtedy, kiedy oboje pozostawali w związkach małżeńskich. Przyjaciele Camilli twierdzą, że ją to przygnębiło i skłoniło do zastanowienia się nad swoją przyszłością. Miała to być przyszłość kobiety noszącej piętno „metresy” i skazanej na publiczne potępienie za to, że przyczyniła się do rozbicia czegoś, co w oczach wielu było bajkowym małżeństwem.

Karol, kochając Camillę tak bardzo, nie miał powodu dbać o niekochaną żonę. Diana, ucząc się wykonywać swoje królewskie obowiązki, prędko zorientowała się, że nie może zwrócić się o pomoc do męża. Rady, jakie jej dawał, kiedy go pytała o zdanie, nie były dobrymi radami. Zawsze jej się zdawało, że jego ukrytym zamiarem jest zdyskredytować ją w oczach poddanych. Nie mogła się z tym pogodzić.

Karol nie liczył się z uczuciami żony ani z uczuciami Andrew Parkera-Bowlesa, męża Camilli. Był mistrzem w poniżaniu cudzej godności. Kiedy Andrew Parker-Bowles oświadczył, że chce się rozwieść, Karol poprosił go, żeby tego nie robił. Chciał bowiem, żeby mąż Camilli posłużył mu za parawan. Parker-Bowles spełnił prośbę Karola, po czym otrzymał nagrodę w postaci telewizyjnego wystąpienia, podczas którego książę mówił o swoim związku z jego żoną. Diana - już jesienią roku 1992 - wiedziała, że Andrew Parker-Bowles ma dosyć i że chce rozwodu. Gdyby Karol nie namówił

go do pozostania z żoną, rozwód byłby dowodem na to, że Diana nie przyczyniła się do rozbicia swego małżeństwa i że jej podejrzenia nie były podejrzeniami kobiety „niezrównoważonej”, co próbowali sugerować przyjaciele Karola.

Karol bardzo się przeliczył, występując w telewizji w czerwcu 1994 roku i dopuszczając się publicznej zdrady wobec żony. Ucierpiał bowiem wtedy jego wizerunek, a poza tym zniweczone zostały, być może na zawsze, wszelkie nadzieje na całkowite pojednanie z Dianą. Czas leczy rany, a Diana potrafi wybaczać i przywiązuje ogromną wagę do spójności rodziny. Tych dwóch czynników nie należy ignorować, zastanawiając się, czy dojdzie do rozwodu. Jednak - w razie gdyby miało dojść do pojednania - jej zdolność wybaczenia zostałaby wystawiona na ciężką próbę. Diana musiałaby bowiem zapomnieć o tym, co mąż powiedział, i o tym, że zawiódł zaufanie synów jedynie dlatego, iż chciał okazać się prawdomówny i pragnął przypochlebić się poddanym. Wystąpił w telewizji, nie biorąc pod uwagę tego, że naraża własne dzieci, żonę i rodziców na publiczne upokorzenie i cierpienie. Wskutek tego naród przekonał się, że jest taki, jak od dawna przypuszczano - egocentryczny i obłudny. Karol potwierdził, że wraz z długoletnią kochanką drwił sobie z monarchii i Kościoła i że swoje małżeństwo zamienił w fikcję. A było to małżeństwo z kobietą, która będąc jeszcze naiwną, młodą i niewinną dziewczyną powiedziała do mnie: *Jestem pewna, że gdy ucichnie cały ten szum (związany ze ślubem), będziemy żyli długo i szczęśliwie.*

Być może w pewnym momencie Karol wyobrażał sobie, że ożeni się z rozwódką i zostanie królem, mimo że konstytucja nie dopuszcza takiej możliwości. Teraz, kiedy stopniowo odbudowuje swój zszargany wizerunek, jest mniej skłonny ponownie narażać siebie na ryzyko powszechnego potępienia, a rodzinę królewską na to, że będzie przedmiotem niepożądanego zainteresowania.

Poza tym, wpłynąwszy na spokojne wody w swoich stosunkach z Dianą, gdyż czas uśmierza ból, nie chce tych stosunków pogarszać. Karol nie jest człowiekiem, który chętnie wdaje się w osobiste zatargi. Uważa bowiem, że wpływają one źle na jego stan psychiczny i nie pozwalają mu skupić się na tym, co sam nazywa „ważnymi sprawami”.

Karol zdaje sobie sprawę, że jego pozycja jest bardzo niepewna i że rodzina królewska coraz bardziej traci w oczach poddanych. Poddani, którzy są zdania, że Dianie należy dać szansę zawarcia następnego szczęśliwego i satysfakcjonującego związku, bardzo niechętnie zaakceptowałyby Camillę, gdyż pamiętają, że to przez nią Diana była taka nieszczęśliwa.

Ludzie wciąż bardzo kochają Dianę i nieprędko zapomną, jak pewnego razu, odwiedzając dom opieki, zalała się łzami, kiedy ktoś zwrócił się do niej z jakimiś miłymi słowami. Cierpiała wtedy tak bardzo z powodów osobistych, że nie potrafiła się opanować. Karol natomiast teraz, po rozwodzie Camilli, dochodzi do wniosku, że wcale nie chce znaleźć się w sytuacji, w której, odzyskawszy wolność, będzie mógł się z nią ożenić. Wie, że taki związek nie przysporzyłby mu bynajmniej popularności. Jest to jeden z głównych powodów, dla których nie spieszy mu się już do rozwodu. Bo pozostając w związku małżeńskim, choćby tylko formalnym, jest wciąż związany z żoną. Wydaje się, że Karola nie obchodzi los Diany. Jest on jednak człowiekiem myślącym i w związku z tym należy przypuszczać, że miewa chwile szczerości wobec samego siebie i uświadamia sobie, że odegrał w jej życiu rolę destrukcyjną. Musi też chyba przyznawać, że Diana nie zasłużyła na to, żeby ją traktować tak, jak on ją traktował.

Niejeden bawi się myślą, że Karol i Diana mogliby do siebie wrócić. Jest to jednak myślenie życzeniowe. Zbyt wiele czasu upłynęło, zbyt wiele rzeczy się wydarzyło i zbyt wiele było

goryczy. Czas zaciera wspomnienia, to prawda, ale powrót jest niemożliwy, w każdym razie nie do normalnego małżeństwa. Nie ma jednak powodu, dla którego między Dianą i Karolem nie mógłby powstać związek partnerski innego rodzaju, oparty na dojrzałym podejściu do życia. Rozwód, o którym tyle mówiono po ogłoszeniu separacji, nie stał się jeszcze faktem. Karol i Diana, oprócz wspólnych dzieci, mają też poczucie obojwiązku. Oboje widzą, że po wielkim wstrząsie, jaki przeżyła, monarchia doszła do pewnej równowagi i oboje z obrzydzeniem myślą o zamieszaniu i plotkach, które z pewnością spowodowałyby ich rozwód.

Diana wciąż pamięta rozwód swoich rodziców, któremu towarzyszył rozgłos i który nie zapewnił jej matce trwałego szczęścia. Choć miała szczęśliwe dzieciństwo, wytworzyło się w niej przekonanie, że rozwód to życiowa klęska. Diana, która tak bardzo walczyła o własny życiowy sukces, nie chce dzielić losu swoich rodziców. Powiedziała Karolowi i jego doradcom, że nigdy nie zainicjuje wdrożenia postępowania rozwodowego. Bo nie chce stwarzać takiego precedensu w historii monarchii, a poza tym- co równie ważne, a może dla niej jeszcze ważniejsze

- bo boi się stracić synów. Diana zgodzi się na rozwód tylko wtedy, kiedy to Karol o niego poprosi i kiedy ona będzie miała zapewnioną pieczę nad dziećmi. W rodzinie Diany było dużo rozwodów. A ona nie chce iść w ślady swoich przodków.

Diana ma zamiar pozostawać w przyjaznych stosunkach z Karolem - ze względu na synów. W czerwcu roku 1995 oboje, Karol i ona, pojawili się - z okazji dnia sportu - w szkole, do której uczęszcza książę Wilhelm. Co prawda każde z nich przyjechało i odjechało osobnym samochodem, jednak podczas zawodów sprawiali wrażenie szczęśliwej rodziny, której członkowie potrafią się razem śmiać i gawędzą sobie swobodnie. Takich rzeczy nie można udawać i wszystko to świadczy o tym, że stosunki między Dianą i Karolem nie są już tak

burzliwe. Pozwala to każdemu z nich czuć się swobodniej i naturalniej w towarzystwie tego drugiego. Następną szkołą księcia Wilhelma ma być Eton, gdzie uczył się brat Diany Charles. W związku z tym Diana i Karol spotkali się z kierownikiem internatu i jego żoną, żeby omówić różne sprawy związane z pobytem syna w szkole. Uznano, że ta szkoła będzie lepsza dla Wilhelma niż Gordonstoun School, w której księciu Karolowi było bardzo źle.

Obojgu, Karolowi i Dianie, leży na sercu dobro dzieci i żadne z nich nie traktowało nigdy synów jak pionki w rozgrywce z tym drugim. O dzieci kłócili się rzadko i nigdy w ich obecności. Wilhelm - starszy i wrażliwszy z chłopców - od dawna zdawał sobie sprawę, że między rodzicami wytworzyła się przepaść. Był tak bardzo tego świadom, że dowiedziawszy się od ojca, iż rodzice zdecydowali się na separację, zareagował na tę wiadomość słowami: *Mam nadzieję, że dzięki temu i ty i mama będziecie szczęśliwsi.*

Z czasem to jego życzenie się spełniło. Oboje rodzice - dzięki temu, że nie przeprowadzili formalnego rozwodu - zachowali więź z synami. Ich stosunki z chłopcami są zdrowe i satysfakcjonujące. W sprawach związanych z wychowaniem synów i opieką nad nimi Karol i Diana działają zgodnie i zgodnie dążą do tego, by życie ich dzieci było ustabilizowane. Nie rywalizują już o rozgłos i w miarę upływu czasu coraz łatwiej godzą się ze swoją sytuacją.

Diana bardzo pragnie móc wywierać silny wpływ na życie synów. Jest to główny cel jej życia. Już z tego jednego powodu korzystniej byłoby dla niej nie przeprowadzać formalnego rozwodu. Brak rozwodu oznacza, że chłopcy nie zostaną od niej oderwani i włączeni w tryby królewskiego systemu, do którego ona, będąc po rozwodzie, już by nie należała. Karolowi także odpowiada poczucie bezpieczeństwa, jakie daje małżeństwo,

gdyż obecnie, kiedy jego metresa rozwiodła się z mężem, jego własny rozwód postawiłby związek z nią w nowym świetle.

Tak więc o rozwodzie już się nie mówi, a wiele osób zaczyna snuć domysły, spodziewając się, że może stosunki między Karolem i Dianą ulegną poprawie, w wyniku czego książęca para zostanie razem. Nie ma wątpliwości, że współdziałając oboje są wspaniałymi ambasadorami swego kraju. Każde z nich interesuje się innymi aspektami życia publicznego, a ich zainteresowania uzupełniają się, obejmując wspólnie wszystkie sfery tego życia. Wiele małżeństw przeżywa ciężkie chwile, by potem się odrodzić. A tej książęcej parze było trudniej niż komukolwiek innemu ze względu na rozgłos. Wygląda na to, że żadne z partnerów - z powodów omówionych powyżej - nie pali się do definitywnego rozstania.

Latem roku 1993 tak zwana Grupa Zenda - wywodząca swoją nazwę od powieści Anthony'ego Hope'a pod tytułem „Więzień na zamku Zenda” („The Prisoner of Zenda”), której akcja umiejscowiona jest w fikcyjnym królestwie Rurytanii - usiłowała spokojnie i dyskretnie doprowadzić do pojednania między Karolem i Dianą. Dianie - ku jej zachwytowi - nadano kryptonim „Flawia”, gdyż takie imię nosi bohaterka powieści - piękna, pełna uroku i godności, tragiczna księżniczka, którą kochają wszyscy, z wyjątkiem jej męża, króla. Król traktuje ją lekceważąco i obojętnie, prawie niechętnie. Tragedia polega na tym, że Flawia kocha króla i bardzo pragnie jego miłości. Grupa Zenda postanowiła doprowadzić do pojednania między Karolem i Dianą, pojednania, które sprawiłoby radość wielu ludziom. Na czele grupy stanął Gordon Reece - człowiek niegdyś zajmujący się dbaniem o dobry wizerunek Margaret Thatcher. To on nadał Dianie przydomek „Flawia”. Do grupy należeli też lordowie Rothschild, Palumbo i Mischon. Opracowali plan, zgodnie z którym książęca para miała stopniowo coraz częściej pojawiać się razem w trakcie wykonywania

królewskich obowiązków, podczas gdy oni sami mieli zasugerować mediom, że chodzi tylko o wspólną pracę. Plan był dobry. Pojawiły się jednak problemy, których niebagatelną część stwarzał sam Karol, niepodzielający entuzjazmu żony pragnącej takiego pojednania. Poza tym ten plan był przedwczesny, gdyż wówczas zbyt mało czasu upłynęło od ciężkich przeżyć poprzednich lat.

Natomiast teraz, kiedy zarówno Karolowi jak i Dianie pozostawiono czas i przestrzeń, aby mogli rozejrzeć się w swoim życiu, wiele zmieniło się na lepsze. Oboje mają znacznie mniej ostre spojrzenie na sytuację. I każde z nich jest bardziej pewne swojej drogi. Diana, stopniowo i bez rozgłosu, powraca do publicznego życia. Od bardzo dawna pragnęła odwiedzić Rosję, jednak poprzednio podróż odwołano przez szacunek dla Karola. W końcu jednak, wkrótce po pobycie w Wenecji, Diana udała się z dwudniową wizytą do tego kraju. Tu jeszcze raz dowiodła swojej niezależności, łamiąc protokół i rozdając autografy pacjentom i personelowi znajdującego się w oplakanyim stanie szpitala dziecięcego. Diana, patronująca funduszowi powierniczemu ustanowionemu po to, by nieść pomoc temu szpitalowi, w którym leczy się ponad tysiąc małych pacjentów, podpisywała się: *Diana, z miłością*. Widać z tego, że księżna odzyskuje wiarę w siebie, tak bardzo nadwątloną z winy Karola, a w związku z tym, być może, pojednanie w takiej czy innej formie stanie się możliwe.

Wiosną roku 1995 Karol odwiedził Dublin. A trzeba powiedzieć, że była to pierwsza wizyta księcia Walii w tym mieście od roku 1911. Karol wybrał się tam, aby utorować drogę pokojowi. Podczas tej wizyty jakiś śmiały Irlandczyk zapytał go, jak się ma Diana.

- Dobrze, dziękuję - odpowiedział książę.

Ale Irlandczyk nie ustępował.

- Stracił pan dobrą żonę - powiedział.

A Karol, zamiast go grzecznie zbyć, przyznał:

- Rzeczywiście, ma pan rację.

Taka postawa bardzo różni się od tego, co zademonstrował rok wcześniej, kiedy jakaś kobieta z tłumu powiedziała mu, że poznała księżnę Dianę, a on prychnął ironicznie:

- No i dożyła pani chwili, w której może się pani tym pochwalić!

Stosunki między księżącą parą są zdecydowanie lepsze niż przez ostatnich kilka lat. Zarówno Karol jak i Diana odnoszą się z szacunkiem do pracy wykonywanej przez drugą stronę.

Diana zawsze uważała, że jej najważniejszym obowiązkiem jest troszczyć się o własne dzieci i zapewnić im w miarę możliwości jak najnormalniejsze życie. Jednym z głównych powodów jej wycofania się z życia publicznego była troska o synów. Od czasu ogłoszenia separacji młodzi książęta znajdowali się coraz częściej w centrum uwagi, gdyż ludzie chcieli wiedzieć, jak reagują na zachowanie rodziców starających się zdobyć ich względy. Diana, która wie, jak bardzo natrętne potrafią być media, martwiła się, że wkroczywszy w trudny wiek dojrzewania, jej synowie będą jeszcze bardziej narażeni na natarczywość z ich strony. Doszła do wniosku, że wycofując się z życia publicznego, na którego forum odnosiła takie sukcesy, ochroni swoich synów przed tą natarczywością.

Diana przeleżała na synów całą tę miłość, którą powinna była móc obdarzyć męża. Zdaje sobie ona sprawę, że, dorastając, chłopcy będą się od niej emocjonalnie oddalać i że wtedy będzie musiała starać się nie przytłoczyć ich swoimi macierzyńskimi potrzebami. Tymczasem jednak książęta są jeszcze bardzo młodzi i, nie ma co do tego wątpliwości, nieco rozpieszczeni. Częściowo winne są temu okoliczności, gdyż rodzice rywalizują ze sobą, starając się zapewnić im jak najwięcej rozrywek, zabawek i czego tylko mogliby zapragnąć. Ponadto Diana dba o to, żeby mogli poznawać różnych idoli sportu - piłkarzy, graczy

w rugby, kierowców wyścigowych i tak dalej. O takich znajomościach większość chłopców w ich wieku może tylko marzyć. Ponadto księżęta spędzają wspaniałe wakacje - i to zawsze podwójne. W słońcu, na śniegu, na statkach wycieczkowych, a ostatnio na tratwie na rzece w stanie Kolorado. (Diana wpadła na ten pomysł po obejrzeniu filmu z Meryl Streep zatytułowanego „The River Wild” - „Dzika rzeka”). Wkrótce Diana będzie miała zapewne problem z wymyślaniem coraz bardziej fascynujących przygód dla swoich chłopców. Karol natomiast nie będzie miał takiego kłopotu, bo synowie już teraz dzielą jego zamiłowania. Lubią wiejskie rozrywki, którymi Diana w ogóle się nie interesuje. Wszystko to jednak nie zastąpi szczęśliwego rodzinnego życia, o jakim Diana marzyła dla swoich najbliższych.

Do roli króla Wilhelm będzie przygotowywany raczej przez rodzinę królewską i Karola, chociaż odwiedzanie wraz z matką ludzi pokrzywdzonych przez los przyczyni się do tego, że będzie świadom różnych aspektów życia. Dzięki temu, że matka wycofała się z królewskiego życia, jego egzystencja będzie spokojniejsza. A Dianie właśnie o to chodziło, gdyż już samo przejście ze spokojnej szkoły dla młodszych chłopców do tętniącego życiem Eton będzie stanowiło dla niego nie lada wyzwanie.

Wilhelm, choćby nie wiem jak tego chciał, nie będzie nigdy taki sam jak inni chłopcy. Co prawda, podobnie jak oni, pożegna się na początku trimestru z rodzicami, nie zostanie jednak sam, gdyż jego ochroniarz musi być zawsze przy nim. Będąc księciem, nie ma się łatwego życia w szkole z internatem. Przeciwnie, to życie jest trudniejsze, bo człowiek jest taki inny. Księżę Karol przekonał się o tym w swojej szkole. Zarówno on jak i Diana mają nadzieję, że Wilhelmowi będzie lepiej. Diana martwi się, czy media pozwolą chłopcu spokojnie cieszyć się szkolnym życiem w Eton. Obawia się też, że znajdą się ludzie,

którzy uznają, iż warto przekazywać prasie różne opowieści o nim.

Diana stara się bardzo, żeby jej synowie wiedzieli, że oprócz ich świata istnieje jeszcze świat „prawdziwy”. Zwłaszcza Wilhelm często odwiedza wraz z nią pokrzywdzonych przez los, bezdomnych czy mieszkańców londyńskich schronisk. Powinno to wpłynąć na jego sposób myślenia i sprawić, że będzie on świadom istnienia tego drugiego świata.

Wilhelm bardzo się przejmuje swoją przyszłą rolą. Jest już świadomy swoich obowiązków, poważny i wrażliwy. Uwielbia „sporty królów” - polowanie na zwierzynę, łowienie ryb i polowanie na ptactwo. Ma wyraźne cechy Windsorów. Rosnąc, coraz bardziej upodobnia się do ojca. Karol nie chciał naśladować swojego ojca, księcia Filipa, w którego obecności w dzieciństwie zawsze się denerwował. Natomiast Wilhelm, któremu on okazywał zawsze miłość i poświęcał wiele uwagi, ma najwyraźniej zamiar iść w jego ślady.

Karol chciałby, żeby jego synowie służyli w Siłach Zbrojnych. Obaj chłopcy są dobrymi sportowcami. Wilhelm jest bardziej zamknięty w sobie, poważny i opiekuńczy w stosunku do matki, podczas gdy Harry (Henryk) jest bardziej skłonny do psot i beztroski. Jeżeli Wilhelmowi nie przytrafi się nic złego, Harry nigdy nie będzie musiał wziąć na siebie obowiązków równych obowiązkom starszego brata i będzie mógł o wiele swobodniej dokonywać życiowych wyborów.

Diana z wielką niechęcią powitała fakt, że królewski dom zatrudnił Alexandrę Legge-Bourke („Tiggy”) w roli pomocnicy księcia Karola i osoby zastępującej chłopcom matkę, w czasie gdy przebywają z ojcem. Alexandra Legge-Bourke, osoba o cztery lata młodsza od Diany, jest córką jednej z dam dworu księżniczki Anny. Diana całkiem słusznie uważała, że gdyby ona zatrudniła zastępczego ojca zajmującego się książętami

podczas pobytu u niej, pałac Buckingham protestowałby ostro, a Karol byłby oburzony. Tiggy jest sobą hałaśliwą, rozmiłowaną w koniach, beztroską i zabawną. Chłopcy ją lubią. Tiggy jeździ z nimi na narty, na wycieczki morskie, na wakacje do zamku Balmoral i wszędzie uczestniczy w ich zabawach. Zajmuje się też organizowaniem imprez towarzyskich, w których uczestniczą wraz z ojcem, wybiera prezenty urodzinowe i gwiazdkowe i staje się coraz niezbędniejsza. Karol bardzo na niej polega. Chłopcy staczą w głębi duszy wewnętrzne walki, nie chcąc okazać się niełojalnymi wobec matki, ale są tylko dziećmi, które przecież żyją chwilą.

Wilhelm w końcu zaczął się trzymać z daleka od Tiggy. Rośnąc i dorostając, coraz bardziej lubi przebywać z ojcem. A zastępcza matka nie jest mu już tak potrzebna jak w początkowym okresie po separacji rodziców. Diana przyjęła to z ulgą. Przedtem zresztą rozumiała, że dzieciom potrzebny jest ktoś, kto ją zastąpi, i była rozdarta, bo z jednej strony pragnęła, aby książęta czuli się dobrze, a z drugiej zazdrościła osobie, która przebywała z nimi podczas jej nieobecności. Diana najbardziej denerwuje się wtedy, kiedy Karol zostawia dzieci jedynie z Tiggy, gdyż uważa, że powinny one dzielić swój czas między nią i ojca, a nie między nią i Tiggy.

Diana zdaje sobie sprawę, że dzieci należą do rodziny królewskiej, i dba o to, żeby regularnie odwiedzały babkę, którą nazywa „Najważniejszą Damą” (Chief Lady). Diana darzy królową głębokim szacunkiem i kontaktuje się z nią co tydzień. Chce, żeby jej dzieci czuły się swobodnie w obecności babki i, szanując tradycję, godzi się na to, by spędzały Boże Narodzenie w Sandringham, a lato w Balmoral. Powoduje to, że w Święta Bożego Narodzenia, kiedy rodziny powinny być razem, zostaje sama. Diana zdaje sobie sprawę, że jest to część ceny, jaką musi zapłacić za rozpad swojego małżeństwa. Wie także, że w tej sprawie nie ma żadnego wyboru.

Rozdział siedemnasty

Po wygłoszeniu swojej słynnej mowy „o czasie i przestrzeni” Diana przez kilka dni była pogrążona jakby w otchłani. Tak długo planowała ten krok, tak długo zastanawiała się, co powie, tak długo omawiała swoją decyzję z królową i księciem Filipem, a teraz, nagle, po tylu miesiącach, było już po wszystkim. Diana nie zaplanowała sobie, co zrobi z wolnym czasem, którego teraz miała tak dużo. Wiedziała tylko, że najpierw chce odpocząć, a potem stopniowo zacząć robić plany na przyszłość. Nie miała zamiaru wycofywać się na całe życie. Zamierzała pozostać w cieniu tylko do chwili, gdy upłynie dwudziesta piąta rocznica nadania Karolowi tytułu księcia Walii. Nie chciała bowiem, żeby ją oskarżono, że kosztem męża chce znaleźć się w centrum uwagi. Poprzednio, pełniąc swoją publiczną rolę,

Diana stawiała się z niej coraz bardziej niezadowolona. W końcu doszła do wniosku, że musi definitywnie zerwać z dotychczasowym życiem po to, żeby później dokonać radykalnej zmiany kierunku. Obecnie musiała obmyślić, jaki ma być ten najlepszy i odpowiadający jej życzeniom kierunek.

Dotychczas Diana żyła w świetle reflektorów, a rozkład jej dnia zależał przede wszystkim od tego, jakie królewskie obowiązki miała w planie. Po latach takiego życia przekonała się, że jest jej bardzo trudno poradzić sobie z nagłą, dotkliwą izolacją. Jej synów przeważnie nie było przy niej, bo albo znajdowali się w szkole albo, podczas wakacji i ferii, przebywali właśnie z ojcem. Diana spędzała z nimi stosunkowo niewielką część roku. Nagle okazało się, że jej dni są puste i ciągną się w nieskończoność, bo chodzenie do sklepów, pielęgnacja urody i spotkania z przyjaciółmi nie mogą zapełnić wszystkich wolnych godzin. Diana, podobnie jak my wszyscy, chce czuć, że się w życiu spełnia, pragnie wiedzieć, że jej życie ma sens. W ciągu sześciu miesięcy poprzedzających dwudziestą piątą rocznicę nadania Karolowi tytułu księcia Walii odpoczywała z dala od świateł reflektorów i od dworzan, którzy poprzednio zarządzali jej życiem. Kiedy ta rocznica minęła, potrzeba znalezienia sobie nowej roli i jakiegoś życiowego celu stała się dla niej bardziej nagląca. Zdaniem Diany idealnym rozwiązaniem byłoby dla niej połączenie pracy charytatywnej ze szczęśliwym życiem domowym. Wiele kobiet potrafi łączyć udane życie zawodowe z udanym małżeństwem, choć oczywiście te kobiety nie żyją w kręgach królewskich.

Diana zawsze była i nadal jest fanatyczną zwolenniczką sportów i gimnastyki, które uprawia dla utrzymania dobrej formy fizycznej. Chętnie pływa i gra w tenisa i od lat należy do klubów gimnastycznych. Wszystko zaczęło się u niej od tego, że podświadomie pragnęła utrzymania się w formie, gdyż uważała,

że nie podoba się Karolowi. Przypuszczała, że mąż z tego powodu przestał się nią interesować i nie chce zerwać ze swoją kochanką. Później poznała prawdę, ale nawet wtedy nie przestała dbać o formę. Kiedy okazało się, że ma dużo wolnego czasu, jej zainteresowanie ćwiczeniami wzrosło i zamieniło się w niemal obsesyjne dążenie do perfekcji. Diana zaczęła zmieniać kluby, kierując się radami nowych przyjaciół, wśród których znalazł się na przykład kapitan drużyny rugby Will Carling. Ostatnio przyjaciele starają się ją nakłonić, by trochę powściągnęła swój zapał, i nie dopuścić do tego, żeby stała się zbyt muskularna.

Trzy razy w tygodniu, wczesnym rankiem, Diana odwiedza Chelsea Harbour Club. Podczas wakacji także jej synowie grywają w tym klubie w tenisa. Będąc jeszcze z Karolem, Diana miała do niego żal o to, że w Highgrove, ich wiejskiej posiadłości, nie chce zbudować dla niej kortu. Możliwe, że Karol nie zrobił tego, bo przewidując, że się niedługo rozstaną, nie chciał mieć takiej pamiątki po niej. Diana uczęszcza także do ośrodka pielęgnacji stóp i ciała Beauchamp Place na masażę stóp i płukanie okrzężnicy, a raz w tygodniu odwiedza ją doktor Mary Loveday, która udziela jej porad na temat stylu życia. Doktor Loveday jest specjalistką w leczeniu alergii i dolegliwości związanych ze środowiskiem. W latach 1993-1994 Diana cierpiała na okresowe depresje i zwracała się wtedy do różnych terapeutów. Z większością z nich jednak już się rozstała, gdyż to, co sama nazywa „ciemnymi dniami”, zdarza jej się coraz rzadziej. Dwa razy w tygodniu, wczesnym wieczorem, przychodzi do niej masażysta, który robi jej masaż i omawia z nią jej problemy.

Diana bez przerwy pracuje nad swoim wyglądem zewnętrznym, bo nęka ją niemal obsesyjne pragnienie udowodnienia samej sobie, że jest atrakcyjna. W związku z tym bardzo dba o swoje zdrowie. Praktycznie przez całe życie była i nadal jest abstynentką, czasami tylko zdarza jej się wznieść toast winem

czy szampanem. Pielęgnowanie zdrowia i urody zabiera jej dużo czasu. W obecnym okresie, okresie poszukiwania wewnętrznego spokoju, bez zabiegów z tym związanych jej dni byłyby puste i upływałyby w samotności.

Diana bardzo interesuje się psychologią i astrologią. W przeszłości zdarzało się, że zamiast kierować się własną intuicją i rozsądkiem aż za bardzo przejmowała się przepowiedniami swojego astrologa. Korzystała też z pomocy jasnowidzów, próbując dotrzeć do zmarłych, których bardzo kochała - do wuja, lorda Fermoya, który przed laty, w pamiętny letni dzień, przyleciał helikopterem i wylądował w ogrodzie, i do ukochanego ojca, który zmarł, kiedy ona jeździła wraz z mężem na nartach. Dlaczego to robiła? Ktoś powinien ją ostrzec, powiedzieć jej, że to niemądre. Diana próbowała wejść w kontakt z duchami i uzyskać od nich wsparcie. Gdyby otaczali ją dojrzały, kochający ludzie, gotowi służyć jej radą i pomocą, nie czułaby zapewne potrzeby uciekania się do takich niebezpiecznych eksperymentów.

Natura Diany jest pełna sprzeczności. Z jednej strony księżna próbuje kontaktować się z zaświatami, a z drugiej szuka wskazówek i pocieszenia w religii. W tej sferze życia potrzebna jest jej pomoc. Trudno nie kwestionować rozsądku tych osób z jej otoczenia, które nakłaniają ją do kierowania się wskazówkami astrologów. Z drugiej jednak strony trzeba powiedzieć, że Diana jest uparta i kiedy się na coś nastawi, trudno jej to wyperswadować.

Matka Diany przeszła ostatnio na katolicyzm. Bolesna przepaść między matką i córką została co prawda zasypana. Jednak nie istnieje między nimi ten rodzaj bliskości, który pozwala na wzajemne zwierzenia i wzajemne respektowanie swoich opinii. Okazało się natomiast, że macocha Diany, Raine, jest dla niej wielką podporą. Obie spotykają się regularnie na lunchach w hotelu Claridge's.

Był czas, kiedy Diana interesowała się bardzo katolicyzmem. Jest ona jednak świadoma swojej pozycji i zdaje sobie sprawę, że przechodząc na katolicyzm, wywołałaby tylko kolejną falę wściekłości. Pozostając przy wierze protestanckiej, Diana potrzebuje w swoich duchowych poszukiwaniach pomocy ludzi Kościoła. Potrzebna jej rada człowieka, którego zdanie będzie szanowała i który pomoże jej wejrzeć w siebie w trakcie poszukiwań tej jedynej Osoby mogącej ją wesprzeć i obdarować siłą. Jezus powiedział: *Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię**.

* Cytat według Biblii Tysiąclecia, Mt 11,28.

Jeżeli Diana potrafi uwierzyć w te słowa, to staną się one rzeczywistością. Diana postępuje niemądrze, odwołując się do sił nadprzyrodzonych i korzystając przy tym z pomocy osób o właściwościach mediumicznych. Jest to niemądre i niebezpieczne. Takiego zdania jest królowa, która odnosi się do tego wszystkiego z dezaprobatą. Kiedy Diana jeszcze bardziej dojrzeje i nabierze więcej rozsądku, z pewnością przestanie polegać na tym, co mówią duchy i gwiazdy.

Diana podziwia kobiety stanowcze i takie, które czegoś w życiu dokonały. Wielki wpływ wywarła na nią Matka Teresa z Kalkuty. W obecności Matki Teresy Diana zaznaje spokoju. Podziwia Matkę za jej pracę, za kontakt z Bogiem, za spokój, którym Matka emanuje, widzi w niej człowieka będącego w zgodzie ze sobą, z własnym życiem i z Panem, któremu służy. Diana bardzo pragnie ją naśladować, a w każdym razie chciałaby przynajmniej osiągnąć jej spokój i zajmować się podobną jak ona działalnością.

Lucia Flecha de Lima, żona ambasadora Brazylii rezydującego w Londynie, spędzała z Dianą wiele czasu, a kiedy wyjechała wraz z mężem do Waszyngtonu, Dianie bardzo brakowało jej przyjaźni. Lucia Flecha okazała się dla Diany nie tylko

mądrą towarzyszką, ale i kimś w rodzaju zastępczej matki. Była dla niej oparciem w okresie, gdy Diana, pozostając w separacji, starała się jakoś ułożyć sobie życie w pojedynkę. Diana ma kilka przyjaciółek będących w tym samym wieku co ona. Są wśród nich Catherine Soames i Kate Menzies. To one towarzyszą jej podczas wyjazdów na wakacje i wypraw do kina. Dzięki nim Diana ma nieco radości i rozrywki. Nie posiadły one jednak tej mądrości, którą mają jej starsze przyjaciółki. Diana spędza także sporo czasu ze swoją szwagierką, księżną Yorku, której dwie córki wprost uwielbia, oraz ze swoją siostrą Sarą w jej domu w dzielnicy Earl's Court. Zdaje sobie jednak sprawę, że potrzeba jej czegoś więcej niż tylko życia towarzyskiego. Coraz częściej szuka więc towarzystwa ludzi starszych, z bagażem życiowego doświadczenia.

Do tych ostatnich należy Lucia Flecha de Lima, za którą tęskniła tak bardzo, że zaczęła ją odwiedzać. W pierwszej połowie roku 1995 jeździła do niej do Stanów Zjednoczonych aż pięć razy. Te wyjazdy są częściowo wyjazdami dla przyjemności, a częściowo mają na celu odwiedzanie ośrodków dla ludzi pokrzywdzonych przez los. Lucia jest podczas nich gospodynią i dba o ich stronę towarzyską.

Diana coraz chętniej przebywa w Nowym Jorku, gdzie czuje się bardziej wolna, nie tak skrępowana jak wśród brytyjskiego establishmentu. Jednak nawet w Nowym Jorku towarzyszą jej ciągle spekulacje. Ludzie bowiem są ciekawi, kto będzie kolejnym mężczyzną w jej życiu. Wystarczy, że Diana pojawi się w towarzystwie jakiegoś pana, a natychmiast zaczynają się plotki. Ludzie plotkują bez względu na to, czy towarzysz Diany jest człowiekiem młodym czy starym, szczęśliwym w małżeństwie czy kochającym stan kawalerski, a ich gadanie wprawia dżentelmena w ogromne zmieszanie. Takie plotki będą zawsze stanowiły negatywny element życia Diany.

Diana musi bez przerwy uważać, z kim się pokazuje publicznie, bo każda bulwarówka wprost marzy, by być pierwszą, która przedstawi światu jej „nowego mężczyznę”. Dopóki Diana jest mężatką, nad spekulacjami tego rodzaju można zaplanować. Natomiast bez tego zabezpieczenia stałaby się łatwym łupem całej prasy. W tej chwili wszelkie domysły są jedynie domysłami. Bo w życiu Diany nie ma żadnego mężczyzny. Diana ceni przyjaźnię, jednak związek z mężczyzną przysporzyłby jej prawdopodobnie więcej cierpienia i stresów niż radości.

Należy pamiętać, że Karol był pierwszą miłością Diany i pierwszym mężczyzną, z którym w życiu spała. Związek z nim przyniósł jej wielkie rozczarowanie i w żadnym wypadku nie był spełnieniem jej romantycznych marzeń. Diana mówiła nawet, że czuła się wykorzystywana, jak prostytutka. Tego ostatniego słowa użyła kilkakrotnie, rozmawiając z prasą. Wiele osób ma wrażenie, że Karol potraktował swoją młodą żonę jak kłacz zarodową, która miała dać mu odpowiednich dziedziców. Kiedy to się stało, pozbył się jej.

Diana z pewnością współczuje swojej szwagierce Victorii, która urodziła najpierw trzy córki, a później syna-dziedzica majątku Althorp i, urodziwszy tego syna, po kilku miesiącach znalazła się w separacji z mężem, bratem Diany.

Diana - w przeciwieństwie do Victorii - nigdy nie zaznała odwzajemnionej małżeńskiej miłości. I tylko raz znajdowała się w sytuacji, kiedy - przez krótki czas - kochała i była równie mocno kochana. Było to podczas potajemnego romansu, który z samej swojej natury nie pozwalał na nieskrępowaną miłość. Tak więc Diana, choć zdolna sobie wyobrazić, co traci, nie ma na ten temat rzeczywistej wiedzy i z pewnością dla związku z mężczyzną nie zaryzykuje utraty tego, co jest dla niej najważniejsze - możliwości przebywania z synami i wywierania wpływu na nich. Diana w wieku dojrzałym nauczyła się wiele,

jednak jeżeli chodzi o związki z mężczyznami, jest wciąż nie-dojrzała. Wygląda też na to, że pozostanie taka jeszcze przez jakiś czas.

Człowiek nie może wciąż uciekać od siebie. Diana bez przerwy usiłuje zagłuszać samotność i bolesne wspomnienia. Ale przychodzi jej to z wielkim trudem. Dobrze się składa, że nie musi liczyć się z wysokością rachunku telefonicznego, gdyż telefon okazał się jednym z jej największych sprzymierzeńców. Diana od dzieciństwa lubiła wieś - zwłaszcza miejsce swego urodzenia, Sandringham w hrabstwie Norfolk, gdzie znajduje się także zimowa rezydencja królowej. Od czasu gdy rozpadło się jej małżeństwo, Diana nie może przebywać w Sandringham. Co prawda królowa zawsze ją zaprasza, ale ona nie decyduje się zostać ze względu na to, że musiałaby znosić ciągłą obecność Karola. Uczestniczy więc tylko w tym, czego wymaga etykieta, a potem - sama - wraca samochodem do Londynu, pozostawiając w Sandringham osoby, które kocha najbardziej na świecie - swoich dwóch synów. W mieście łatwiej zapomina o swoich problemach. Wydaje się, że szuka pocieszenia w jego zgiełku, tak jakby ten zgiełk mógł zagłuszyć aż nazbyt bolesne wspomnienia. W weekendy jej przyjaciele wyjeżdżają na wieś, ona natomiast zostaje przeważnie w Londynie i spędza te dwa dni spokojnie, uprawiając jogging w Kensington Gardens i oglądając telewizję. Daje wychodne personelowi domowemu i obsługuje się sama, jak za czasów panieńskich, kiedy mieszkała w Londynie, nieznana prawie nikomu, a w każdym razie me-
diom.

Nie znalazła dla siebie żadnej wiejskiej rezydencji, w której zaciszu mogłaby spędzać czas. Myślała kiedyś o Garden House - domu znajdującym się na terenach należących do Althorp Hall, jednak Victoria poradziła mężowi, żeby jej tego domu nie udostępnił. Victoria lubi Dianę, ale nie mogła pogodzić się z tym, że cała posiadłość musiałaby być chroniona, zwłaszcza

wtedy, kiedy przebywaliby w niej młodzi książęta. Victoria z wielkim trudem przyzwyczaiła się do Althorp Hall i na pewno nie zniosłaby zakłócania prywatności rodziny. Diana, zawsze licząca się z kosztami, postanowiła przestać rozglądać się za wiejską posiadłością - do czasu, kiedy jej przyszły status będzie jaśniej określony. Naprawdę księżę Karol ponosi wielką odpowiedzialność za to, że ta nieskomplikowana, naturalna dziewczyna, z którą się ożenił, zmieniła się w Dianę, jaką znamy obecnie - w osobę, która czuje się samotna nawet wtedy, kiedy otaczają ją tłumy.

Tuż po wygłoszeniu słynnej mowy „o czasie i przestrzeni” Diana zamierzała wyprowadzić się z pałacu Kensington. Chciała to zrobić w ciągu sześciu miesięcy. Jednak kiedy zaczęła szukać nowej rezydencji, przekonała się, że mało jest takich, w których - w ramach rozsądnego budżetu - można zapewnić stosowną ochronę jej i jej synom. Zdawała też sobie sprawę, że jej poszukiwania zbiegły się z głęboką recesją, jaka dotknęła kraj. Była to sprawa delikatna. Diana zawsze pragnęła, żeby nie krytykowano jej za rozrzutność. Nie chciała, żeby w prasie pojawiały się zdjęcia jej potencjalnych nowych rezydencji, gdyż wiedziała, że inni ludzie, mający mniej szczęścia niż ona, muszą się zadowolić tym, co posiadają.

Poszukiwania przedłużały się, a ona z czasem przestała tak bardzo pragnąć wyprowadzki z pałacu Kensington. Im dłużej tam mieszkała, tym bardziej się czuła zdomowiona, zwłaszcza że teraz miała apartamenty tylko dla siebie. Jest jej tu bardzo wygodnie. Może zawsze wyskoczyć po zakupy czy na lunch, zwłaszcza że jednym z jej ulubionych miejsc jest Kensington High Street. Diana mieszka w pałacu Kensington od trzynastu lat. Ma dwunastopokojowy apartament znajdujący się na trzech piętrach. Na każdym piętrze są cztery wysokie pokoje. Po rozstaniu z Karolem Diana wprowadziła tu pewne zmiany. Dawny gabinet Karola służy teraz jako pokój telewizyjny synów. Diana wprowadziła też do apartamentów więcej

elementów kobiecych i sprawiła, że są bardziej przytulne, ale nie zmieniła całkowicie ich wystroju. Jej prywatny salon jest pełen osobistych pamiątek, drobiazgów, zdjęć i obrazów. Diana ma taką samą skłonność do chomikowania jak jej starsza siostra Sarah. W salonie wiejskiej rezydencji Sary jest tyle ozdób, że za każdym razem kiedy ją odwiedzam, współczuję osobie, która tam sprząta. Diana ograniczyła liczbę personelu domowego. Zatrudnia dwóch kamerdynerów, kucharza, dwie garderobiane, szofera i osobę sprzątającą. Jest z nimi w dobrych stosunkach, co sprawia, że atmosfera w domu jest przyjemna i młodzi książęta czują się tu swobodnie. Diana, która w dzieciństwie bardzo niechętnie przyjęła przeprowadzkę z Park House do Althorp Hall, nie chce, żeby jej synowie przeżyli coś podobnego. Czasami czuje się w pałacu Kensington bardzo samotna, jednak jest to jej dom, w którym od czasu gdy opuściło go kilku ochroniarzy, atmosfera stała się mniej klaustrofobijna. Rozważwszy wszystkie możliwości, Diana doszła do wniosku, że pałac Kensington będzie dobrą londyńską bazą dla niej samej i odpowiednim domem dla jej dwóch synów.

Wizerunek Diany bywa różny w oczach różnych osób. Jedni ją uwielbiają, inni z niej szydzą. Ale nikt jej nie ignoruje. Widzi się w niej osobę niezwyklej dobroci, prawie świętą, albo przebiegłą, zdolną do intryg jędzę. Te opinie różnią się w zależności od tego, jak Diana się zachowuje. W kontaktach z prasą ujawnia ona dwie sprzeczne cechy swojej osobowości: z jednej strony jest manipulatką, a z drugiej naiwną amatorką w podejściu do różnych spraw. Zdarza się, że jeździ na nartach ze znajomymi dziennikarzami, a równocześnie żąda, żeby fotoreporterzy zostawili ją w spokoju. A potem skarży się, że sekretarze prasowi nie chronią jej przed natarczywością paparazzich. Diana nabrała wprawdy w prowadzeniu bezpośrednich rozmów z ludźmi wpływowymi, na przykład politykami czy wydawcami,

ale strategia nie jest jej mocną stroną. Ostrożna, jeżeli chodzi o przyjmowanie rad od dworzan z pałacu Buckingham, uważa, że lepiej niż pałac potrafi sobie radzić z prasą. Jest raczej krótkowzroczna. Jeżeli jakiś jej pomysł okazuje się niewypałem, nie potrafi wziąć na siebie odpowiedzialności i krytykuje wszystkich, tylko nie siebie.

Media zdołały usunąć welon tajemniczości, w który spowita była monarchia. Diana wzięła udział w usuwaniu tej maski, w trakcie którego ujawnione zostały jej własne słabości oraz słabości innych członków rodziny królewskiej. Gazetom wystarczy strzęp informacji, a już zamieszczają krzyczące tytuły. W roku 1994, w styczniu, w miesiąc po mowie pożegnalnej Diany, „News of the World”, jeden z raczej mało szacownych magazynów niedzielnych specjalizujący się w skandalach i sensacji, zamieścił tytuł: DIANA - BOMBA ZEGAROWA W PAŁACU. Ludzie rzucili się, żeby go kupować. Ci, którzy to zrobili, przekonali się, że chodzi o to, iż w czerwcu ma wyjść moja książka. Dziennikarze oczywiście jej nie czytali, ale z artykułu zamieszczonego w „News of the World” wynikało, że doskonale znają jej treść i uważają, że książka będzie swoistą bombą. Natychmiast napisałam do Diany, zapewniając ją, że te rewelacje nie mają żadnych podstaw i że ona nie ma się czego obawiać. Podobne zapewnienie złożyłam jej bratu - jeszcze zanim zaczęłam pisać tę książkę.

Diana wie z doświadczenia, jak zmienne potrafią być media. Nigdy nie daje się namówić na zdjęcia, które mogłyby zaszkodzić jej działalności charytatywnej. Musi się jeszcze nauczyć, jak dawać sobie radę nie tylko z pochwałami, ale i z krytyką ze strony dziennikarzy, którym płaci się za chwytliwe tytuły, nie zwracając uwagi na to, że powodują one cierpienie tych, których dotyczą. Ja też stałam się jedną z ich ofiar - tylko i wyłącznie dlatego, że znałam Dianę. Jednak, w odróżnieniu od niej, nie miałam tej ogromnej sumy, która w myśl angielskiego

prawa potrzebna jest osobie zniesławionej pragnącej oczyścić swoje imię.

Wiele osób związanych z Dianą w ten czy inny sposób cierpiało z tego powodu. Można to nazwać „przekleństwem”, ale nie można o to winić Diany, która, mając naturę łagodną i wrażliwą, czułaby się okropnie, wiedząc że niechcący spowodowała tyle cierpień. Wina leży całkowicie po stronie dziennikarzy i czytelników, którzy z wielką zachłannością polują na wiadomości o niej. Macki mediów oplątują wszystkich, którzy ją kiedyś znali. Dziennikarze badają przeszłość tych osób i usiłują dokopać się do jakiegoś skandalu, a kiedy go nie znajdują - improwizują, wiedząc że są bezkarni. Rezultat jest taki, że ktoś żyjący sobie spokojnie może nagle znaleźć się na pierwszych stronach gazet - tylko dlatego, że kiedyś znał Dianę.

Diana musi nieraz znosić to samo. Od czerwca roku 1992, czyli od chwili gdy stało się powszechnie wiadome, że jej małżeństwo się rozpada, doznała lekceważenia zarówno ze strony kręgów królewskich, jak i prasy. Jakże łatwo jest krytykować, zapominając o tym, co w przeszłości było dobre! Wielu doznało tej zmienności prasy.

Diana zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń intelektualnych, nie waha się jednak nawiązywać stosunków z ludźmi, którzy mogą jej pomóc i służyć radą. Jest to być może wyrażone, ale równocześnie mądre. Polityka nie jest tematem bliskim jej sercu, jednak Diana uważa, że niektórzy politycy mogą jej się przydać, zwłaszcza podczas zagranicznych podróży, i pomóc jej przyjąć bardziej stanowczą postawę wobec pałacu Buckingham. Istnieje wiele sfer życia, którymi Diana zainteresowała się tylko dlatego, że została żoną księcia Karola. Diana bardzo dobrze zdaje sobie sprawę ze swojej pozycji, jak również z tego, że - chcąc sensownie zabierać głos na różne tematy - musi mieć pewną wiedzę. Ta konieczność poszerzania wiedzy jest jedną z pozytywnych stron jej małżeństwa.

Diana zawsze lubiła grać przed publicznością. W okresie gdy wkraczała w życie publiczne, brała lekcje emisji głosu. Bardzo lubiła te chwile, kiedy, stojąc na scenie, czuła, że jest silna i że panuje nad wszystkim. Diana poświęca wiele czasu na przygotowywanie swoich przemówień. Traktuje te przemówienia jako okazję do pokazania, na co ją stać, gdyż zawsze pamięta, że nikt - łącznie z nią samą - nie uważał jej nigdy za osobę inteligentną. Zawsze też pragnie udowodnić, że dokłada wszelkich starań, żeby się jak najwięcej nauczyć. Diana wie, że niektóre z jej pomysłów są dobre, brakuje jej jednak wiary w siebie i umiejętności odpowiedniego ich przedstawienia, co wynika z tego, że boi się śmieszności. Dziennikarze często krytykowali ją za jej wypowiedzi, spotykała się też z ostrymi atakami mediów na to, co stanowiło jej głębokie przekonania. Czasami wystarczy kilka obraźliwych przymiotników, żeby podkopać jej wiarę w siebie, odbudowaną dzięki jakiejś pochwalie. Diana zawsze pragnęła i wciąż pragnie, żeby ją traktowano poważnie, dlatego zanim wygłosi mowę na któryś z interesujących ją tematów - do których należą: AIDS, maltretowanie kobiet, narkotyki, choroby nerwowe czy samotność - zawsze zasięga rady specjalistów. Jej wypowiedzi na temat chorób nerwowych i samotności są wyjątkowo szczere, gdyż sama tych rzeczy doświadczyła.

Diana działa i mówi spontanicznie, żywo i z energią. A zwykłych ludzi naprawdę kocha. Zdaje sobie sprawę, że ci zwykli ludzie wiedzą przede wszystkim, jak wygląda. I mimo że zawsze chce wyglądać ładnie, gdyż ludzie tego się po niej spodziewają, pragnie, żeby interesowano się nie tylko jej ubraniami i żeby traktowano ją z taką powagą, z jaką ona traktuje swoją pracę. Diana ma poczucie humoru, potrafi być sarkastyczna, a ludzie, z którymi się spotyka, zapewnniają, że zawsze jest z nią o czym porozmawiać. Kiedy ma się spotkać z kimś, kogo mało zna, korzysta z pomocy swoich doradców, bo chce wiedzieć,

o czym z tą osobą rozmawiać. W życiu prywatnym Diana ma skłonność do ociągania się, gdyż zawsze boi się, że podjęcie niewłaściwą decyzję i że ktoś ją za to będzie później obwiniał. Tak właśnie manifestuje się jej brak wiary w siebie. W głębi duszy wciąż czuje się winna rozpadu swojego małżeństwa. Diana zawsze potrzebowała pochwał. Kiedy czuje się zagrożona, zmienia postawę z przyjaznej na wyniosłą. Zamyka się w sobie, obawiając się, że ludzie zauważą, że brak jej poczucia bezpieczeństwa.

Diana nie chowa do nikogo urazy, woli raczej powiedzieć wprost, co myśli. Wiedząc instynktownie, co znaczy grać czysto, pojednała się ze swoją babką ze strony matki, lady Fermoy, mimo że zawsze uważała, że babka jest wobec matki niełojalna. Jako jedyna z rodzeństwa akceptuje macochę, mimo że z początku była tą, która najbardziej jej nie znosiła. Obiecała ojcu, że będzie się opiekowała jego drugą żoną, której ojciec w znacznym stopniu zawdzięczał zdrowie. Podziękowała Raine za jej miłość do ojca i troskę o niego, a potem okazało się, że z przyjemnością spełnia daną ojcu obietnicę. A Raine ze swej strony stała się jej podporą.

Wydaje się, że większość ludzi uwielbia Dianę, która jest uważana za jedną z najpiękniejszych kobiet świata. Wytwarza ona wokół siebie aurę, która powoduje, że kobiety - zamiast jej zazdrościć - podziwiają ją. Czar, jaki wywiera na ludzi, nie zmniejszył się wcale od czasu gdy wycofała się z życia publicznego. Przeciwnie, ludzie darzą ją nawet głębszym szacunkiem, gdyż widzą, w jaki sposób radzi sobie ze swoją sytuacją, znajdując się pod wielką presją i zawsze na widoku publicznym. Obecnie Diana stała się wielką zagadką, a ludzie nie przestają się zastanawiać, jak rozwinie się dalej królewska saga.

Jednak zawsze znajdą się tacy, których Diana nie zdoła oczarować. Są to ci, którzy uważają, że ktoś, kto nie ma problemów finansowych, pozbawiony jest właściwie zmartwień.

Ci, którzy krytykują ją za to, że wydaje pieniądze na siebie - na fryzury, na pielęgnację i gimnastykę i tak dalej. A trzeba powiedzieć, że ci sami ludzie pierwsi zauważają, kiedy zdarzy jej się wyglądać nie za dobrze, twierdząc, że *dla kogoś, kto ma tyle czasu i pieniędzy nie ma usprawiedliwienia*. Są też tacy, którzy zazdroszczą jej rozrywek, na które może sobie pozwolić, i wynikającego z jej pozycji dostępu do wielkiego świata. Nie mają oni pojęcia, w jakim stresie żyje osoba, która wie, że każdy jej krok, każde drgnienie twarzy, każde wypowiedziane przez nią słowo będą zarejestrowane i zanalizowane. Jeżeli spełni prośbę dziennikarzy i pozuje do fotografii, zostaje oskarżona o to, że chce na siebie zwrócić uwagę, a jeżeli odwróci się do nich plecami, prosząc, żeby zostawili ją w spokoju, zarzuca się jej, że jest kapryśna i manipuluje prasą.

Według niektórych ludzi Diana postępuje zawsze źle. W ich oczach, cokolwiek robi, robi nie tak. Ale ci ludzie stanowią mniejszość. Bo w większości poddani, usłyszawszy że księżna usuwa się w cień, poczuli się tak, jakby w ich świecie zgasło nagle jakieś światło. Gdyż Diana - biorąc ślub jak z bajki - wniosła blask w życie tych ludzi. I w dalszym ciągu potrafi wносить światło w ich częstokroć szarą egzystencję. Diana w każdej sytuacji - czy to na imprezie dobroczynnej czy na premierze sławnego filmu - potrafi nie tylko dorównać gwiazdom swoją elegancją i urodą, ale także je zaćmić. Diana jest, naprawdę jest prawdziwą księżną.

Nawet wtedy, kiedy po opublikowaniu książki mówiącej o jej domniemanym pięcioletnim romansie z Jamesem Hewittem, owiała ją atmosfera skandalu, skandal nie trwał długo. Po radzie z prawnikiem, lordem Mischonem, Diana postanowiła nic nie robić, gdyż robiąc cokolwiek, spowodowałaby, że sprawa zyskałaby większy rozgłos. Ludzie, którzy początkowo przeżyli szok, w ogromnej swej większości postanowili nie wierzyć

w tę historię. Nie było w niej nic konkretnego, a to, co się w niej znajdowało, przeważnie nie pasowało do ich wyobrażenia o Dianie. Znaleźli się jednak tacy, którzy skłonni byli uwierzyć w tę opowieść. Ale i oni nie krytykowali Diany. *Zasłużyła sobie na miłość, ale ja właściwie w to nie wierzę. Lubiała go, ale tylko dlatego, że był w świetnych stosunkach z jej synami. Oczywiście, nadskakiwał jej, ale czy można ją winić za to, że jej to pochlebiali po tym, jak własny mąż tak podkopał jej wiarę w siebie?* Oczywiście, nikt jej nie winił. Diana, idąc za radą prawnika, ignorowała wrzawę podnoszoną przez media. Ale w głębi duszy czuła się ponownie zdradzona. Najpierw zdradził ją mąż, teraz - ten cham. Pozostawiła ludziom pole do domysłów. I nikt jej nie ganił. Jedni mówili: *No i dobrze*, a drudzy: *Nie wiercie w te bzdury*. Według poddanych Diana nie mogła postąpić źle.

Coś podobnego powtórzyło się w sierpniu roku 1994. Jej imię znowu pojawiło się na pierwszych stronach gazet. Tym razem w związku ze sprawą Olivera Hoare'a, handlarza dziełami sztuki. Diana cierpi na przymus telefonowania, potrafi rozmawiać godzinami, próbując zagłuszyć samotność. Ktoś bardzo często dzwonił do domu Hoare'a, którego żona zameldowała o tym policji. Policja ustaliła, że telefony wykonywano z aparatu Diany. Nastąpiły próby wyjaśnień: raz twierdzono, że telefonował ktoś z personelu domowego, innym razem, że telefon źle łączył. Tym razem również nikogo nie interesowało, jak było naprawdę. Ludzie nie chcieli widzieć swojej księżnej w złym świetle. Diana spotkała się z Richardem Kayem z „Daily Mail”, dziennikarzem, z którym czuje się najswobodniej i który wiernie cytuje jej słowa. Spotkanie było częścią „strategii przeciwwawaryjnej” Diany i dało dobre rezultaty. Plotki zmarły śmiercią naturalną, Dianie niczego nie udowodniono. Ale Diana, która odnosi się do przyjaciół podejrzliwie i wymaga od nich stuprocentowej lojalności, była bardzo wzburzona, gdyż Oliver Hoare nie stanął w jej obronie i nie oświadczył publicznie,

że to nie ona telefonowała. W rzeczywistości Oliver Hoare zwrócił się do policji z prośbą o niewszczywanie dochodzenia, jednak on i Diana nie są już w bliskich stosunkach. W ten sposób ubył jeszcze jeden mężczyzna z kręgu bliskich znajomych Diany, idąc w ślad za Jamesem Gilbym, z którego nagranej rozmowy telefonicznej z Dianą uczyniono sensację, oraz w ślad za Jamesem Hewittem.

Każdy, kto odegrał jakąś rolę z życia Diany, ponosi karę. Gazety rzucają się na takich nieszczęśników, badając najskrytsze zakamarki ich życia i upubliczniając ich najbardziej osobiste sprawy. Wskutek tego przyjaciele Diany pojawiają się w jej życiu, a potem odchodzą, stawszy się ofiarami plotek. A tymczasem ona sama pozostaje nietknięta. Pod koniec roku 1993 i w pierwszej połowie roku następnego Diana zwracała się o pomoc do wielu osób, nie zawsze najodpowiedniejszych. Była w tym okresie bardzo smutna i emocjonalnie wyczerpana. Ten świat, który był jej sceną, zawalił się, a ona, po tej katastrofie, starała się znaleźć wewnętrzny spokój. Czuła się bardzo podatna na ciosy i nie potrafiła właściwie oceniać ludzi. A ci ludzie, nie zawsze mając na sercu jej dobro, prowadzili ją w różnych kierunkach. Dianie potrzebny był ktoś, na kim mogłaby się oprzeć, ktoś, kto udzieliłby jej emocjonalnego wsparcia. Dlatego wymagała dużo od przyjaciół, mało dając w zamian. Jej własne emocje znajdowały się w stanie zamętu, a ona wprowadzała zamęt w świat cudzych emocji. Po epizodach związanych z Oliverem Hoarem i Jamesem Hewittem doszła do wniosku, że nie może sobie więcej na coś podobnego pozwolić. Ten wniosek przyczynił się do pogłębienia jej samotności, gdyż doszedłszy do niego, stała się bardziej ostrożna niż kiedykolwiek przedtem. Wiedziała bowiem, że jej motywacje, choćby najniewinniejsze, mogą zawsze zostać mylnie zinterpretowane.

Diana zawsze ostrzegała przyjaciół, że znajomość z nią może spowodować, iż znajdą się na widoku publicznym.

Uświadamiała im, że niepożądane zainteresowanie prasy może im skomplikować ich własne życie. Ostatnią ofiarą prasy, w sierpniu roku 1995, stał się Will Carling, kapitan mistrzowskiej drużyny rugby. Nastąpiło to wskutek opowieści mściwej eks-pracownicy, którą Carling wyrzucił z pracy w swojej firmie. Podobnie jak wielu przyjaciół Diany, Carling był żonaty i szczęśliwy w małżeństwie. Niestety, wskutek szumu, jaki wokół jego przyjaźni z Dianą uczyniła prasa, jego żona, Julia, postanowiła się rozwieść. W związku z tym z Diany ponownie zrobiono kozła ofiarnego. Diana czuje się dobrze w towarzystwie żonatyh mężczyzn, gdyż przebywanie z nimi nie powoduje problemów emocjonalnych. Jednak jej zwyczaj absorbowania ich swoją osobą, chociażby tylko za pośrednictwem długich rozmów telefonicznych, powoduje sprzeciw ze strony żon. Żony bowiem nie chcą pogodzić się z tym, że prasa bulwarowa rozpisyje się o romansach ich mężów, które - choć w rzeczywistości nieistniejące - stają się przedmiotem powszechnych spekulacji. Alternatywą dla Diany jest towarzystwo mężczyzn niezonatyh, jednak wybór tego rodzaju spowodowałby jeszcze więcej plotek.

Trzecią możliwością byłoby pokazywanie się tylko w towarzystwie kobiet, ale w takim wypadku prasa bulwarowa na pewno wkrótce zaczęłaby spekulować na temat jej skłonności lesbijskich, mimo że oczywiście nic nie jest dalsze od prawdy niż takie przypuszczenia. Stopniowo Diana zdefiniowała swoją rolę i zaczęła brać na siebie więcej obowiązków, dzięki czemu ma mniej wolnego czasu. Bierze na siebie te obowiązki stopniowo i bez rozgłosu, ale zdecydowanie i systematycznie, z tym że tym razem są to obowiązki, które sama wybiera.

Diana dodała monarchii splendoru. Zostawszy dziewiątą księżną Walii, określiła na nowo rolę kobiety będącej żoną następcy tronu. Zmieniła się z będącej podporą męża, ale grającej rolę podrzędną małżonki w supergwiazdę o światowej

sławie. Dzięki podróżom, strojom i licznym fotografiom stała się znaną wszystkim, pełną blasku księżną współczesnej epoki. Świat stał przed nią otworem, kiedy akceptowała normy moralne naszego wieku, nie chcąc równocześnie zaakceptować metresy swego męża. Diana szybko nauczyła się godzić rolę księżnej Walii z rolą podziwianej przez wszystkich królowej piękności. Zdobyła miłość narodu, który, oczarowany, obserwował jej przemianę z młodej dziewczyny w dojrzałą kobietę. Ludzie podziwiali ją, widząc jak z coraz większą pewnością siebie wygłasza przemówienia, podziwiali jej radość życia, widząc jak tańczy, podziwiali jej zdolność współczucia i szczerość, a także umiejętność ukrywania zmęczenia i rozpacz. Diana zawsze spełniała swoje obowiązki, nie sprawiała zawodu tym, którzy na nią czekali. Była księżną-amatorką, która zamieniła się w księżnę-profesjonalistkę. Wykonywanie roli księżnej to był jej zawód, a ona nauczyła się tego zawodu i rozumiała potrzeby ludzi. Ludzie pragnęli, aby w rodzinie królewskiej był ktoś wyjątkowy, ktoś, z kim mogliby się identyfikować, i taką osobą stała się Diana.

Po opublikowaniu mojej książki zaczęłam dostawać listy z całego świata. Ludzie piszą, że widzieli Dianę albo że uczestniczyli w zgromadzeniach, w których i ona brała udział. Wszyscy wspominają o specyficznej aurze, która ją otacza, o tym, że potrafi ona wnieść radość i światło w życie tych, z którymi się styka i że oni - zetknięwszy się z nią - poczuli się lepiej. Tę wielką popularność zawdzięcza ona nie czemu innemu jak swojej umiejętności wczuwania się, okazywania współczucia wszystkim, bez względu na ich pozycję społeczną. Diana zawsze wie, jak się ubrać i jak się zachować. Jej stroje nigdy nie są w złym guście, a jej zachowanie przesadne. Nigdy też nie przyjmuje postawy wyższości, jest naturalna - równocześnie spontaniczna i pełna godności.

Diana, dla której tak wielkie znaczenie mają rodzinne więzi, nie mogła podczas tych trudnych lat liczyć na wsparcie ze strony większości członków własnej rodziny. Największą jej podporą był ojciec, który ją uwielbiał i którego bardzo kochała. Jego śmierć spowodowała, że w jej życiu powstała wielka pustka. Żona ojca, Frances Fermoy, matka Diany, złamała mężowi serce, porzucając go dla Petera Shanda-Kydda. Po tym wydarzeniu stosunki Diany z matką były różne. Z początku, będąc dzieckiem, Diana czuła się lojalna wobec Frances, ale później, kiedy podrosła, miała do matki pretensję za to, że rozbiła rodzinę i przysporzyła ojcu tylu cierpień. Kiedy Frances wyszła za Petera Shanda-Kydda, który nazywał Dianę „księżną”, wakacje spędzane częściowo u matki, częściowo u ojca były przyjemne. Diana czuła się podczas nich szczęśliwa. Jednak później stopniowo oddaliła się od matki.

Frances z kolei była zdruzgotana, kiedy Shand-Kydd ją porzucił i zamieszkał we Francji z młodszą od niej kobietą. Zaczęła żyć samotnie w Szkocji. Przyjeżdżała do Londynu tylko czasami, jednak to podczas tych wizyt zaczęła spędzać więcej czasu z Dianą, często w towarzystwie Wilhelma i Harry'ego. W najgorszym okresie, podczas najgłębszego kryzysu małżeństwa Diany, jej matka była tak nieszczęśliwa i tak zajęta sobą, że właściwie nie mogła służyć córce wsparciem. Natomiast Raine okazała się dobrym doradcą. Jej pasierbica jest jej za to wdzięczna i zawsze pamięta, że macocha darzyła ojca szczerym uczuciem. Tymczasem Peter Shand-Kydd opuścił Francję i trzecią żonę i wrócił do Anglii. Peter zawsze zachowywał dyskretne milczenie na temat pasierbicy, podobnie jak Frances, która nie wypowiada się na temat córki. Peter i Frances spotykają się w interesach i co roku wyjeżdżają razem do Australii. Jest to dobry przykład dla Diany, która zaczęła traktować Kariolę z takim samym spokojem jak jej matka traktuje Petera.

Porzucając męża, Frances była młoda i impulsywna. Jej postępek spowodował napięcie w jej stosunkach z własną matką. Te stosunki nigdy nie uległy poprawie. Diana, która przez tyle lat cierpiała z powodu napięć w rodzinie, bardzo się starała, żeby w jej własnej rodzinie napięcia były zredukowane do minimum. Jej dwóm starszym siostrom, Sarze i Jane, poszczęściło się w małżeństwie. W dzieciństwie Jane i Diana były ze sobą blisko. Obecnie mieszkają niedaleko siebie, jednak Jane - wbrew własnym życzeniom - nie może być dla Diany oparciem, gdyż jest rozdarta między siostrą a mężem. Jej mąż, sir Robert Fellowes, sekretarz królowej, jest tym, którego Diana w znacznym stopniu obwinia za to, że była tak a nie inaczej traktowana podczas kryzysu swego małżeństwa. Sarah, najstarsza z sióstr, odznaczająca się kiedyś najbardziej zmiennym usposobieniem, ustatkowała się i teraz, mając trochę ponad czterdziestkę, jest dla Diany prawdziwym oparciem. Została jej damą dworu w okresie gdy siostra odbywała zamorskie podróże, pragnąc jej w tych podróżach pomagać, i od tamtej pory jest blisko niej. Ma jednak męża i troje dzieci, w związku z czym nie może być na każde zawołanie.

Pozostaje jeszcze młodszy brat Diany, Charles, którym Diana w dzieciństwie pomagała się opiekować. Zaabsorbowany własnym życiem i małżeńskimi problemami - on i jego żona są w separacji od sierpnia 1995 roku - właściwie nie może Dianie służyć wsparciem. Wspomniałam już, że gdy Diana tak bardzo potrzebowała wiejskiego zacisza, nie pozwolił jej wprowadzić się do Garden House. Zrobił to na prośbę Victorii. Na domiar złego, kiedy Diana napisała do niego list, prosząc, by rozważył ponownie swoją decyzję, odesłał go jej, nie otwierając. Przedwczesna śmierć ojca spowodowała, że Charles i Victoria musieli zrezygnować z podróży i pracy za granicą, wprowadzić się do Althorp Hall i poprowadzić ten dom. Przygnębiony śmiercią ojca i sfrustrowany w związku z koniecznością rezygnacji

z dotychczasowych planów i podjęcia nowych obowiązków, Charles wdał się w krótki romans ze swoją byłą dziewczyną. Victoria jakoś to przeżyła, ale jej wiara w siebie uległa zachwianiu. Rodząc jedno po drugim czworo dzieci, nie miała szans dojrzewać stopniowo i harmonijnie, a życie w Althorp Hall zdecydowanie ją przerosło. Charles uważa słabe zdrowie żony za jeszcze jeden zły skutek życia w Althorp. Charles był ukochanym dziedzicem fortuny, najzdolniejszym z czwórki rodzeństwa. Ożenił się, kierując się impulsem i nie licząc się z krytyką, a jego małżeństwo stało się przyczyną ciężkich zmartwień w rodzinie, której członkom nieobce są cierpienia. Charles stara się robić dla żony, co może, próbując równocześnie i sobie zapewnić jakieś życie. Trudno jest wyrobić sobie trafne zdanie na temat choroby jego żony, nie rozumiejąc jej rozpaczy. Nie wiadomo, czy ich małżeństwo przetrwa. Pewne jest jedno: Diana nie może szukać pocieszenia tam, gdzie jest tyle zmartwień i zgryzot.

Diana bardzo pragnie, żeby w jej własnej rodzinie panowała inna atmosfera. Bo wśród jej rodzeństwa sprawa wygląda tak, jakby przedtem wszyscy trzymali się razem z miłości do ojca i ze względu na niego, a później, kiedy umarł, doszli do wniosku, że nie ma się na kim oprzeć i nie ma dla kogo się wysilać. Od czasu ogłoszenia separacji Diany i Karola upłynęły już długie miesiące i lata. W tym czasie nie raz i nie dwa pojawiały się, a potem znikwały okazje do rozwodu. Wobec tego ciśnie się na usta pytanie: czy ktokolwiek ma ochotę wszystko popsuć? Kiedy tylko Diana i Karol pojawiają się razem na forum publicznym - co zdarza się bardzo rzadko - naród szuka oznak pojednania.

Siódmego maja 1995 roku, w piękny słoneczny dzień, Diana i jej synowie pojawili się wraz z resztą rodziny królewskiej w Hyde Parku na uroczystościach związanych z rocznicą zakończenia w Europie drugiej wojny światowej. I znowu optymiści

usiłowali doszukać się oznak pojednania. Jednak większość zdawała sobie sprawę, że zarówno Karol jak i Diana spełniają tylko swoje publiczne obowiązki i - jako ludzie dorośli - starają się być wobec siebie grzeczni. W gazetach pojawiły się tytuły wołające KONIEC WOJNY, a żale i urazy istniejące między książęcą parą z pewnością osłabły. Na pierwszych stronach większości gazet pojawiło się zdjęcie przedstawiające Karola całującego Dianę. Co prawda tylko prawdziwi romantycy spodziewają się trwałego pojednania, jednak widać wyraźnie, że czasy, kiedy książęca para nienawidziła się i wprost nie mogła na siebie patrzeć, przeminęły. Mowa ciała potrafi przekazać prawdę. Gdyby ta nienawiść jeszcze istniała, to Karol - całując Dianę - nie mógłby trzymać jej za ramię. W przeszłości, wtedy kiedy się tak nienawidzili, żadne nie zniosłoby dotknięcia tego drugiego. Obojgu zabrakło godności, kiedy tak bardzo upubliczniali rozpad swojego małżeństwa. Wersja Diany opublikowana została w książkach, a wersja Karola pojawiła się w telewizji. Ale od tej pory upłynęło sporo czasu, stare rany zasklepiły się, a przepaść między Karolem i Dianą zmniejszyła się znacznie.

Biorąc ślub, nie znali się wcale. Ona, młoda dziewczyna marząca o miłości i małżeńskim szczęściu, nie miała pojęcia, co robić, kiedy okazało się, że jej marzenia się nie spełniły. Natomiast on pragnął żony, która by mu matkowała, żony uległej, która pozwoliłaby mu żyć tak, jak żył dotychczas. Oboje doznali szoku. I oboje okazali się zbyt niedojrzali jako partnerzy, aby móc sprostać sytuacji. Każde z nich straciło nie tylko szacunek i miłość tego drugiego, ale także szacunek i miłość ludzi. Przemówienie, jakie wygłosiła Diana w hotelu Hilton, było wynikiem wrogości istniejącej między nią i Karolem od chwili ogłoszenia separacji.

Teraz, kiedy ta wrogość zniknęła, nie istnieje powód, dla którego Diana nie miałaby wrócić do życia publicznego. Diana zawsze twierdziła, że kontynuowałaby swoją pracę, gdyby

Karol ją poparł. Oboje, Karol i ona, pragną znowu cieszyć się popularnością. I oboje przejmują się swoimi obowiązkami wobec kraju. Karol - kiedy występuje sam - wypada często blado i wydaje się nieudolny. Diana dodaje wszelkimi występami blasku. Pragnie pochwał, chce być doceniana, a poza tym udowodniła, że potrafi dobrze wykonywać swoją pracę. Karol, który za pośrednictwem swojej instytucji charytatywnej (Prince Charles Trust) służy wsparciem i zachętą do działania tak wielu ludziom, postąpiłby mądrze, gdyby udzielił wsparcia także swojej żonie. Jest rzeczą pewną, że mając u swego boku Dianę, zostałyby kiedyś ukochanym monarchą Brytyjczyków.

Miłość i czułość, jakimi oboje obdarzają synów, wytwarzają między nimi silną więź. Rozwód na pewno zniszczyłby tę więź w jakimś przynajmniej stopniu. Żadne z nich tego nie chce. Czas jest wielkim uzdrowicielem, a od chwili gdy oboje szli przez katedrę Świętego Pawła, upłynęło czternaście lat. Dojrzałość przyniosła obojgu mądrość i zdolność trafniejszego sądzenia. Próby, które podejmowała Diana, usiłując wejść w związki z innymi mężczyznami, dowiodły, jak na razie, że nie jest to dla niej pożądana opcja. Głównym celem Karola, celem, z myślą o którym był przez całe życie kształcony, jest zostać królem. A Diana już jest matką przyszłego króla. Prawda jest taka, że teraz bardziej niż przez wszystkie poprzednie lata mogliby się uzupełniać. Oboje stopniowo coraz lepiej zdają sobie z tego sprawę. Karol wie, że Brytyjczycy nie zaakceptowaliby chętnie innej kobiety. Wie również, jaką szkodę wyrządziła monarchii separacja i zdaje sobie sprawę, że obecnie monarchia znowu prezentuje zjednoczony front. Zgryzoty ostatnich lat nieco zbladły, rozdzwinki do pewnego stopnia zniknęły, a ludzie, którzy podziwiają rodzinę królewską, mogliby ją zacząć obdarzać takim samym jak dawniej szacunkiem. Od chwili gdy

Diana przestała pełnić królewskie obowiązki, upłynęło półtora roku. Ten czas był dla niej czasem samotności, czasem uczenia się i dojrzenia, a także czasem kształtowania się w niej na nowo poczucia własnej wartości. Diana eksperymentowała w tym okresie z terapiami epoki New Age i poszukiwała pracy, która dawałaby jej satysfakcję. Nauczyła się panować zarówno nad swoją rolą publiczną, jak i nad swoim życiem prywatnym. I być może w końcu - po latach rozczarowań - świta dla niej nadzieja na lepszą przyszłość.

Epilog

Księżna Diana, postanawiając w listopadzie roku 1995 udzielić wywiadu telewizyjnego dziennikarzowi BBC, podjęła historyczną decyzję. W okresie poprzedzającym ten wywiad czuła się oblegana przez adiutantów męża i wysokich rangą dworzan, którzy nie ukrywali, że pragną, aby - bez rozgłosu - zniknęła z królewskiej sceny. Wywiad dla BBC, którego udzieliła u siebie w domu, w pałacu Kensington, był dowodem na to, że Diana nie ma zamiaru tego zrobić. Osobiście uważam, że nie powinna była udzielić tego wywiadu. Być może był on czymś w rodzaju terapeutycznego zabiegu, ale ponieważ Diana wracała już zdecydowanie do życia publicznego, jej podróż do Argentyny i jej terapia powinny mieć charakter prywatny. Co powiedziawszy, muszę stwierdzić, że trudno byłoby sobie wyobrazić wystąpienie bardziej eleganckie i profesjonalne. Jak na

osobę uchodzącą za niezbyt inteligentną, Diana poradziła sobie znakomicie.

Diana udzieliła tego wywiadu z trzech zasadniczych powodów. Po pierwsze: zwracając się do narodu, nie miała nic do stracenia, a wszystko do zyskania - i odniosła sukces. Jeżeli chodzi o mnie, to ani przez chwilę nie wątpiłam, że tak będzie. Wiedziałam bowiem, że Diana, zanim wystąpi, przemyśli całą rzecz w najdrobniejszych szczegółach. Zdawałam sobie sprawę, że nie podejmie tego kroku, jeżeli będzie się spodziewała, że jej się nie powiedzie. W ciągu ostatnich trudnych lat Diana przestała wątpić w siebie, nabrała wiary, której poprzednio jej brakowało, gdyż Karol ustawicznie ją podkopywał.

Drugim powodem, dla którego Diana udzieliła wywiadu, była chęć stwierdzenia - i to tak, żeby sprawa była dla wszystkich całkiem jasna - że Karol chciał separacji. A trzecim to, że pragnęła przekonać słuchaczy, że nie będzie się starała o rozwód. Czyniąc to, posyłała piłkę na część boiska należącą do Karola. Teraz, po tym wywiadzie, Diany nie będzie można obarczać odpowiedzialnością za stworzenie precedensu w historii monarchii. Pisałam już w tej książce, że Karol nie chce rozwodu, i podałam powody, dla których go nie pragnie. Wszyscy, od zwykłych obywateli poprzez rząd aż do bliskich przyjaciół Karola, podkreślają, że rozwód jest koniecznością - głównie ze względu na to, że po śmierci królowej wytworzyłaby się delikatna sytuacja. Jednak Karol, podobnie jak Diana, nie chce stwarzać tego precedensu. Jego jedyną wielką miłością jest Camilla Parker-Bowles, ale nawet on wie, że ożeniwszy się z nią nie zostałby zaakceptowany jako monarcha. A co do tego, że pragnie wstąpić na tron, nie ma żadnych wątpliwości. Camilla jest kobietą o silnym charakterze, a Karolowi jest łatwiej prowadzić życie kawalera, mając równocześnie tarczę w postaci małżeństwa, niż być naprawdę wolnym.

Diana, robiąc wrażenie osoby rozważnej, która bierze pod uwagę osobowość Karola, stwierdziła stanowczo, że wątpi w to, iż Karol nadaje się na monarchę. Nie jest w tym poglądzie odosobniona. Większość społeczeństwa również ma wątpliwości. Jednak Diana ma powody osobiste, żeby tak twierdzić. Zwłaszcza dobry stan zdrowia królowej, można przypuszczać, że będzie ona panowała aż do chwili, gdy Wilhelm dorośnie. O ileż wyższą i mocniejszą pozycję miałaby Diana jako matka króla-Wilhelma niż jako odsunięta czy była żona monarchy, gdyby tym monarchą był Karol. Diana zgadza się z Brytyjczykami. Wie, że wielu z nich wątpi w to, iż Karol nadaje się na króla. Podczas wywiadu, o którym mowa, Diana potwierdziła te wątpliwości, zabierając głos jako osoba, która go dobrze zna i która troszczy się o jego dobro i szczęście.

„Chcąc zrozumieć kobietę, człowiek musi znać dziecko”. W przeciwieństwie do tak zwanych ekspertów i wszystkich innych autorów twierdzących, że znają Dianę, ja znałam ją jako dziecko i znam ją jako kobietę - i rozumiem ją. Wystąpienie Diany potwierdziło wiele z tego, o czym pisałam już w tej książce, potwierdziło między innymi to, że Diana kładzie ogromny nacisk na miłość. *Wszystko, czego pragnę, to kochać i być kochaną*. Tak mówiła będąc dzieckiem, tak mówiła będąc młodą kobietą, tuż przed ślubem. Pod tym względem nic się nie zmieniło, tylko że teraz Diana obdarza miłością własnych synów i własnych poddanych. W swoim wystąpieniu Diana mówiła o swoim szczęśliwym dzieciństwie. A wszystkie teksty o niej, z wyjątkiem mojej książki, mówiły o dzieciństwie *nieszczęśliwym*. Będąc dzieckiem, Diana demonstrowała siłę charakteru i odnosiła sukcesy. Ta siła charakteru jest wciąż widoczna, a ja, kiedy rozpadło się jej małżeństwo, pisałam, że pozwoli jej ona przetrwać. Wszyscy oprócz mnie wmawiają czytelnikom, że Diana, wychodząc za mąż, miała już zaburzenia łaknienia.

Diana natomiast potwierdziła moje słowa. Stwierdziła, że bulimia była u niej reakcją na rozczarowanie małżeństwem.

Są dwie rzeczy, ze względu na które uważam, że Diana nie powinna była mówić publicznie o tak osobistych sprawach. Pierwsze to to, że jej przyznanie się do romansu z Hewittem ma i będzie w przyszłości miało destrukcyjny wpływ na jej synów, zwłaszcza na wrażliwego Wilhelma. Jej miłość do synów jest czymś niezaprzeczalnym. W swoim przemówieniu wygłoszonym w hotelu Hilton powiedziała: *Rzeczą najważniejszą w moim życiu są moi synowie*. Jednak tym razem Diana postawiła siebie na pierwszym miejscu. A druga sprawa to fakt, że przed wywiadem nikt tak naprawdę nie wierzył plotkom, i co więcej, nikt nie chciał im uwierzyć. To, co mogło wywołać potężną burzę, wywołało zaledwie lekką bryzę, która nie mogła zagrozić reputacji Diany. Oczywiście, ponieważ Diana to Diana, większość słuchaczy, łącznie ze mną, stanęła po jej stronie, mówiąc sobie: „No, tak, ja jej nie winię, bo przecież miała męża, który traktował ją tak źle”. Jednak prawda jest taka, że ja ją winię - za to, że naraziła synów na cierpienie, za to, że rówieśnicy muszą się nad nimi litować. Rodzice Diany też się rozwiedli, a ich rozwód był rzeczą straszną, jednak Diana i jej rodzeństwo nie byli jego świadkami. Szkoda, że ona i Karol nie okazali w stosunku do synów takiej delikatności, jaką okazali rodzice Diany wobec swoich dzieci.

Członkowie królewskiego establishmentu - a pod tym terminem rozumiem adiutantów i dworzan - są wściekli. W ich życie wkroczyła bowiem outsiderka, uzurpatorka, osoba, której raczej nie dawali wiary. Jednak królowa uznaje Dianę za osobę wartościową, a księżę Filip, który nie zawsze był nią zachwycony, podziwia jej charakter i odwagę. Oboje wiedzą, jak wielkie znaczenie ma Diana dla rodziny królewskiej i jak ważne jest to, żeby miała jasno określoną pracę, pracę o doniosłym znaczeniu.

Owo wielkie publiczne pranie królewskich brudów z pewnością nie oznacza końca monarchii. Przeciwnie, wzmocniło ją ono nawet, a monarchia, z pomocą Diany, stanie się w przyszłości monarchią składającą się z ludzi bardziej pasujących do dwudziestego pierwszego wieku. Należy mieć nadzieję, że Wilhelm, który odziedziczył dobre cechy obojga rodziców i który będzie rozumiał swych poddanych o wiele lepiej niż wszyscy poprzedni monarchowie, stanie się nowoczesnym, kochanym przez Brytyjczyków królem.